P. 9786 Obc. Arch. N. 1/2-6

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/532-2/533 1992

• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. GIEDROYC: **JAK WYJŚĆ Z IMPASU?**

L. UNGER: **W PRAWO PATRZ!!!**

K. WOLICKI: **MEDIA I POLITYKA**

B. OSADCZUK: **WYWIADY Z PREZ. UKRAINY L. KRAWCZUKIEM I Z AMB. POLSKI W KIJOWIE J. KOZAKIEWICZEM**

NAGRODY „KULTURY" ZA ROK 1991

SPIS RZECZY

Jerzy Giedroyc: *Jak wyjść z impasu?* 3
Gustaw Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą* 8
Maciej Poleski: *Siedem prawd o rządzeniu* 21
Czesław Miłosz: *Początki sporu o enklawę* 26
Kazimierz Orłoś: *Śmierć cygańskiego króla* 35

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger: *Widziane z Brukseli* 61
Robert Kaczmarek: *Pułapki koniunktury energetycznej* 76

WYWIADY „KULTURY"

Krzysztof Pomian: *Rozmowa z Jerzym Giedroyciem* 83

KRAJ

Krzysztof Wolicki: *Media i polityka* 91
Smecz: *Z ukosa* 99
Lesław Gruszczyński: *Ziemia nieobiecana* 108
— *Komunikaty Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim* 112

NIEPODLEGŁA UKRAINA I POLSKA

Bohdan Osadczuk: *Ukraińska wiosna w grudniu* 113
Bohdan Osadczuk: *„Pragniemy ścisłej współpracy z Polską" (Rozmowa z prezydentem Ukrainy, Leonidem Krawczukiem)* 114
Bohdan Osadczuk: *„To były najszczęśliwsze dni w moim życiu" (Rozmowa z Jerzym Kozakiewiczem, ambasadorem Polski w Kijowie)* 118
— *„Polska ma dla nas szczególne znaczenie" (Wypowiedź Teodozjusza Staraka, ambasadora ukraińskiego w Warszawie)* 122

SPRAWY I TROSKI

— *Komisja Likwidacyjna Skarbu Narodowego* 125

SĄSIEDZI

Kazimierz Karnkowski: *Polska a Czechy* 127
Adam Kruczek: *W sowieckiej prasie* 142
Józef Darski: *Kronika litewska, białoruska i ukraińska* 146
Tatiana Hołyńska: *Sesja ku czci Mychajły Hruszewskiego* 151
Andrzej Stach: *Jesień w Niemczech* 152

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Dominik Morawski: *Bez euforii* 161

KRONIKA KULTURALNA

Andrzej Biernacki: *Na marginesach kultury polskiej po Jałcie* 169
Zbigniew Florczak: *Trzy epizody tożsamości* 179
— *Oświadczenie w sprawie Józefa Mackiewicza* 191
— *W obronie śp. Bronisława Przyłuskiego* 192

Ciąg dalszy na str. 224

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1992

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Bob Borowicz, Santiago de Chile, po raz 11-ty	F.	1.570,00
Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA), po raz 20-ty — dol. 44,00	F.	237,00
Dla uczczenia pamięci moich drogich Rodziców, Idy Jurysiowej-Spira i Romana Jurysia — córka	F.	300,00
L. Fulmyk, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 9-ty — dol. can. 5,00	F.	25,00
Jan Furdak, Montesson (Francja)	F.	330,00
Grupa wiernych czytelników ze Sztokholmu z podziękowaniem za wywiad red. Jerzego Giedroycia w *Polityce* (przekazała Katarzyna Gruber) — Krs. 300,00	F.	270,00
Andrzej Jędrkiewicz, Milano, po raz 29-ty	F.	100,00
Jacek Jędruch, Summit, NJ (USA), po raz 18-ty — dol. 16,00	F.	86,00
Barbara N. Kicińska, Enskede (Szwecja) — dla uczczenia pamięci Ojca mego, inż. Zygmunta Kicińskiego z Buenos Aires (Argentyna) — w 15-tą rocznicę Jego śmierci — dol. US 50,00	F.	270,00
A. Kolator, Londyn, po raz 11-ty — £ stg. 25,00	F.	250,00
Karol J. Krótki, Edmonton, AB (Kanada), po raz 14-ty	F.	230,00
Dr Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 19-ty	F.	250,00
Tadeusz J. Maczyński, Des Plaines, IL (USA), po raz 15-ty — dol. 24,00	F.	129,00
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA), po raz 20-ty — dol. 26,00	F.	140,00
Teodor Müller, Bad Homburg (Niemcy), po raz 3-ci	F.	400,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 20-ty — Frs. 100,00	F.	380,00
Michał S. Ochalski, Highland Park, IL (USA), po raz 17-ty — dol. 36,00	F.	194,00
Bronisław Partyka, Port Orange, FL (USA), po raz 10-ty — dol. 36,00	F.	194,00
Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA), po raz 22-gi — dol. 116,00	F.	626,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, NJ (USA), po raz 24-ty	F.	228,76
Michas Sienko, South River, NJ (USA), po raz 16-ty — dol. 10,00	F.	54,00
Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY (USA), po raz 15-ty — dol. 37,00	F.	200,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 32-gi — dol. 36,00	F.	194,00
W. Szablewski, Sheffield, W. Bryt. — £ stg. 15,00	F.	150,00
Julitta Szylar, New York, NY (USA), po raz 3-ci — dol. 100,00	F.	540,00
C. Waluk, Kitchener, ON (Kanada), po raz 11-ty	F.	100,00
Dr Stefan Wowczak, Altwarmbüchen (Niemcy), po raz 13-ty	F.	150,00
W siódmą rocznicę śmierci mego nieodżałowanego Męża i Przyjaciela, Edwarda Puacza, założyciela księgarni „Polonia" w Chicago — Mira Puacz — dol. 500,00	F.	2.700,00

dalszy ciąg WPŁAT na str. 223

1992 N 1069
P. 9786
Chr
A

Jak wyjść z impasu?

— Obecna sytuacja w parlamencie uniemożliwia stworzenie rządu — a jeżeli to nastąpi na skutek różnych kompromisów, będzie to rząd rozdarty sprzecznościami i niezdolny do działania. Jedynym wyjściem z tej sytuacji byłoby powołanie przez prezydenta Rządu Ocalenia Narodowego, złożonego z osób kompetentnych i o dużym autorytecie moralnym. Wyobrażam sobie, że premierem mogłaby zostać pani Łętowska jako osoba o dużym i niekwestionowanym autorytecie moralnym i reprezentująca poczucie prawa. Skompletowanie rządu nie powinno nastręczać wielkich trudności. W Polsce jest szereg ludzi kompetentnych odpowiadających tym warunkom.

Specjalne pełnomocnictwa dla rządu winny być uchwalone na okres jednego roku.

Najpilniejszymi zadaniami dla rządu byłyby:

— Energiczna walka z korupcją i nadużyciami. Anulowanie decyzji premiera Bieleckiego o uczestniczeniu członków rządu i urzędników w prywatnych przedsiębiorstwach. Tego nie ma na całym świecie. Już powstają plotki o aferach kompromitujących najwyższe autorytety państwowe. Nie należy cofnąć się przed utworzeniem sądów specjalnych dla takich spraw.

— Zawieszenie wszelkich rewindykacji. Wszelkie konfiskaty z okresu PRL-u — jeżeli były zgodne z ówczesnym ustawodawstwem — nie powinny podlegać rewindykacjom, z wyjątkiem wypadków oczywistego bezprawia.

Dzieła sztuki, które zostały zabrane właścicielom i znajdują się obecnie w muzeach, nie mogą być rewindykowane. Właścicielom pozostaje prawo zaznaczenia, że dane obiekty stanowiły ich własność. Jakakolwiek tolerancja w tych sprawach spowoduje, że będą one natychmiast sprzedawane za granicą;

— Powołanie komisji nadzwyczajnej dla uporządkowania istniejącego ustawodawstwa, które jest w kompletnym chaosie i uniemożliwia jakąkolwiek działalność społeczną i gospodarczą;

— Scentralizowanie licznych ministerstw i biur gospodarczych w jedno Ministerstwo Gospodarki Narodowej. Ramą wytyczną dla tego ministerstwa będzie w pierwszym rzędzie popieranie rzemiosła i średniego przemysłu.

Rola kapitałów zachodnich jest niewątpliwie ważna, ale gospodarka powinna być w pierwszym rzędzie oparta na kapitale krajowym, który choć słabo, ale istnieje. Jest on w tej chwili dyskryminowany. Trzeba w stosunku do niego zastosować przynajmniej te wszystkie ulgi i przywileje, które daje się kapitałom zagranicznym. Jeśli idzie o prywatyzację przedsiębiorstw, to należy wprowadzić więcej jasności w istniejących przepisach. Przede wszystkim prywatyzacja musi się odbywać na zasadzie jawnych i publicznych przetargów.

— Uporządkowanie spraw wojskowych. W tej dziedzinie panuje kompletny chaos. Do tej chwili nie ma żadnej polskiej doktryny wojskowej. Wysyła się bez sensu stażystów do wszystkich krajów zachodnich, a nawet do Związku Sowieckiego (40 osób), co tylko pogłębia bałagan. Należy zdecydować się na stworzenie — na wzór lat 20-tych — Akademii Wojskowej przy pomocy Francji, która w tamtych latach formowała kadrę oficerską. Jednocześnie winna być przeprowadzona szeroka akcja kulturalno-oświatowa w wojsku.

Wykorzystanie wojska dla służby bezpieczeństwa publicznego, gdyż policja jest zbyt słaba i źle wyposażona.

Wykorzystanie wojska w punktach granicznych dla uściślenia i przyspieszenia kontroli, i usprawnienia działalności. Idzie tu również o walkę z przemytem i korupcją:

— Powołanie specjalnego ministerstwa, a właściwie przekształcenie już istniejącego dla spraw ekologii. W tej dziedzinie nic się nie robi i nawet nie są wykorzystywane bardzo znaczne kredyty przyznane chociażby przez kraje skandynawskie. Wymaga to również koordynacji z sąsiednimi krajami;

— Sprawa Śląska. Jest to sprawa niezmiernie ważna m.in. w stosunkach polsko-niemieckich. Powołanie paroosobowej komisji, która w ciągu pół roku winna przedstawić rządowi konkretne propozycje.

— Stworzenie przy Radzie Ministrów biura do spraw narodowościowych, którego pilnym zadaniem byłoby opublikowanie dokumentacji dotyczącej operacji „Wisła". To też winno być załatwione w ciągu pół roku.

— Pomoc dla mniejszości litewskiej i zaspokojenie jej potrzeb kulturalnych i religijnych;

— W radio i telewizji powinny być audycje w językach litewskim, białoruskim i ukraińskim.

Wszystkie te sprawy, nie mówiąc o zagadnieniach kulturalnych, wymagają pieniędzy, których nie ma.

Tymczasem w Polsce powstała liczna klasa miliarderów, i to nie tylko w złotówkach. Niezależnie od podatków należy nałożyć na nich jednorazową kontrybucję w wysokości 10% posiadanego majątku. Kontrybucja ta powinna stworzyć fundusz specjalny, którym będzie dysponował premier dla realizacji wyżej wskazanych potrzeb kulturalnych, w tym również potrzeb mniejszości słowiańskich.

— Należy wprowadzić zakaz przyjmowania subwencji zagranicznych przez organizacje polityczne (*vide* ostatnio ujawnione ogromne subwencje ze Związku Sowieckiego dla komunistycznych organizacji w Polsce). Tego rodzaju dotacje są również udzielane z Zachodu. Jak się dowiadujemy z polskiej prasy, liczy na nie nowopowstały Instytut Obywatelski;

— Drastyczne ograniczenie przerostów biurokratycznych w Urzędzie Rady Ministrów i w różnych ministerstwach i urzędach powoływanych w pierwszym rzędzie przez prezydenta o nieokreślonych zadaniach i kompetencjach. Ograniczenie liczby ministrów stanu.

— Likwidacja kosztownych doradców zachodnich.

Rozmnożyła się ogromna ilość kursów, stypendiów, z których znakomita większość jest pretekstem do wyjazdu. Trzeba położyć nacisk na szkolenie fachowców, jak np. ostatnio wprowadzone staże dla Francuzów w przemyśle samochodowym niemieckim. Te wszystkie staże są monopolem inteligencji, a rzeczą równie ważną jest szkolenie fachowców wśród wykwalifikowanych robotników, np. w kolejnictwie.

— Należy stworzyć przy Urzędzie Rady Ministrów biuro studiów dla przeprowadzenia niezbędnych reform w służbie zagranicznej, działalności informacyjnej i kulturalnej za granicą. Tu jest bardzo niedobrze. Można te sprawy nie tylko usprawnić, ale również zapobiec marnowaniu pieniędzy, których jest tak mało.

— Polskim fenomenem jest ogromna popularność tygodnika *Nie*. Wynika to stąd, że społeczeństwo jest całkowicie nie informowane o tym, co dzieje się w kraju. Rola tzw. rzeczników prasowych polega głównie na aroganckim odmawianiu informacji. Społeczeństwo należy wychowywać, ale przede wszystkim informować tak, żeby nie musiało szukać wiadomości w podobnych pismach jak *Nie*. Wymaga to reorganizacji Telewizji i Radia. Wzorem powinno tu być angielskie BBC.

— Społeczeństwo należy wychowywać i to powinien robić rząd. Po 45 latach komunizmu i sowietyzacji Polacy zagubili dawniej posiadane cechy jak uczciwość i patriotyzm. Dzisiaj myśli się tylko o sobie. Dużo mówi się ostatnio o demokracji, ale tego wszystkiego należy ludzi uczyć.

Klasa rządząca z prezydentem na czele winna dawać społeczeństwu przykład surowego, jeśli nie ascetycznego trybu życia.

Należy zlikwidować w pierwszym rzędzie domy wypoczynkowe. Dla celów reprezentacyjnych wystarczą jakieś trzy rezydencje, tak jak to było za czasów międzywojennych — resztę należy przekazać na cele społeczne (szpitale dla dzieci, etc.)

Jest niedopuszczalne zakupywanie niesłychanie luksusowych samochodów i samolotów. Do krajów zamorskich można latać samolotami normalnych linii lotniczych. Helikoptery należy kupować nie za granicą, ale w kraju, gdyż mamy własną dobrą produkcję.

Należy zlikwidować ogromny park samochodowy przy Urzędzie Rady Ministrów. Wprowadzić zakaz używania samochodów służbowych dla celów prywatnych.

Podróże służbowe nie muszą odbywać się samochodami. Kolej wystarczy, a często jest to szybszy sposób lokomocji.

Ograniczenie przyjęć i nie muszą być tak luksusowe. Podróże prezydenta powinny również być skromniejsze. Niekoniecznie z kilkudziesięcioosobowym „dworem" i z tak luksusowymi przyjęciami, jak to miało miejsce w czasie wizyty prezydenta w Londynie.

Ograniczenie przesadnych środków bezpieczeństwa i ochrony prezydenta. Sytuacja w kraju jest zła, ale nie ma podstaw do obawiania się zamachów terrorystycznych.

Ograniczenie i to drastyczne nieustannych rozjazdów po świecie senatorów i posłów, które przybierają już groteskowe rozmiary. Duże oszczędności można uzyskać przez ograniczenie rozjazdów radia, telewizji i dziennikarzy. Sieć korespondentów jest przecież b. rozbudowana, nie mówiąc o biurach prasowych placówek dyplomatycznych i instytucjach polskich.

Nie tracę nadziei, że konieczność stworzenia Rządu Ocalenia Narodowego zostanie przyjęta przez prezydenta i parlament. Można się z wieloma punktami powyższego zarysu programu nie

zgadzać, można wysunąć inne priorytety, ale nie ma innego wyjścia. Należy szokiem przełamać znieczulicę społeczną, zmobilizować wszystkich wartościowych ludzi do pracy nad wyjściem z kryzysu, pracy ciężkiej i wymagającej poświęceń. Jeśli się to nie uda... wolę nie myśleć co się stanie z Polską. Nieprzyjęcie koncepcji Rządu Ocalenia Narodowego obciąży ogromną odpowiedzialnością przed historią ludzi, którzy mają o tym decydować.

Jerzy GIEDROYC

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 30 września 1991

Po nieudanym puczu sowieckim, u progu nieuniknionego na dalszą metę rozpadu „imperium zła", motyw „śmierci komunizmu" dominuje w prasie światowej, a więc i w prasie kraju mojego zamieszkania. Powinienem się z tego cieszyć, a przecież obserwuję włoski taniec na grobie komunizmu z uczuciem irytacji. Nie mogę zapomnieć jak bywało dawniej.

Majstersztykiem zręczności i przebiegłości Togliattiego było przetkanie komunistami, lub przynajmniej komunizantami („sympatykami"), prasy, wydawnictw, radia, telewizji, uniwersytetów. Włoski *establishment* kulturalny znajdował się w dużej mierze pod kuratelą — bezpośrednią albo pośrednią — „partii postępu". Kryterium „postępowości", „lewicowości", torowało drogę „myślącym prawidłowo", bądź zamykało ją przed tymi, których uważano za „reakcjonistów" czy wręcz „faszystów". Rzecz jasna, nie wymagała długiego zastanawiania się odpowiedź na pytanie kim jest emigrant z krajów „zwycięskiego socjalizmu". *Ex definitione* był „wypędkiem Historii", „wrogiem", „agentem amerykańskim". Komunistyczna „wieczorówka" *Paese-Sera* domagała się, dość niedwuznacznie, wydalenia mnie z Włoch (kiedy udało mi się coś niecoś wydać i wydrukować). „Wiesz — powiedziałem niedawno Miłoszowi — przez długi czas większość tzw. włoskich intelektualistów odnosiła się do mnie jak do trędowatego". „Podobnie było ze mną — odparł Miłosz — w latach pobytu w Paryżu".

No a teraz? Teraz czytuję lub słucham w telewizji włoskich „postępowców", którzy kiedyś pisali lub mówili nikczemne bzdury, którzy swymi sławnymi nazwiskami żyrowali pospolite kłamstwa, a dziś obwieszczają radośnie „śmierć komunizmu", jak gdyby nigdy nic, jak gdyby świeżo się narodzili, nie poczu-

wając się nawet wobec swych czytelników i słuchaczy do obowiązku wykrztuszenia kilku bodaj wyjaśniających słów w imię zwykłej przyzwoitości: byłem w błędzie, zmieniłem zdanie. To właśnie budzi moją irytację. Z dużą domieszką odrazy.

1 października

Zaraz po puczu *Corriere della Sera* poświęcił mu cały niedzielny dodatek, w którym między innymi znalazłem krótki wywiad z Leszkiem Kołakowskim. „Można postawić znak równania między komunizmem i hitleryzmem", powiedział w pewnej chwili nasz sławny filozof (cytuję z pamięci). Natychmiast przypomniał mi się wieczór w londyńskim pubie, przed laty. Poszliśmy na piwo we czwórkę — Kołakowski, Adam Ciołkosz, Andrzej Stypułkowski i ja. W rozmowie postawiłem wówczas ów „znak równania", proponowany obecnie przez Kołakowskiego. Kołakowski, tak zawsze zrównoważony i grzeczny, spurpurowiał i żachnął się gniewnie. „Jak pan może, jak pan może tak upraszczać", powtarzał. Zawsze podejrzewałem, że „upraszczanie" jest znachorską miksturą, która co jakiś czas, w skromnych dawkach, wychodziłaby na zdrowie filozofom.

3 października

W *Jądrze ciemności* Conrada uderzający jest fragment: „Widywałem szatana przemocy, szatana chciwości, szatana pożądliwości; ale, na Boga!, byli to silni, jurni szatani o ognistych ślepiach, którzy władali ludźmi. Stojąc tam, na zboczu wzgórza, poczułem że pod oślepiającym blaskiem słońca zapoznam się w tym kraju z rozlazłym, kłamliwym, bladookim diabłem, opiekunem drapieżnego i bezlitosnego szaleństwa". W jądrze ciemności czatuje Zło. Conrad przedstawia je pod postacią obłędu, spowodowanego potwornością tropików i osamotnieniem wśród dzikich. Nasz wysoce cywilizowany wiek wprowadził nowoczesny koncept „banalności Zła". Zawdzięczamy go Hannie Arendt, która na procesie Eichmanna ujrzała nie „rozlazłego, kłamliwego, bladookiego diabła, opiekuna drapieżnego i bezlitosnego szaleństwa", lecz diabła zbiurokratyzowanego, opanowanego drapieżnym i bezlitosnym szaleństwem w taki sposób, jakby chodziło o zarządzanie wielką i sprawną fabryką, obowiązaną dostarczać na czas ustalony przez planistów asortyment trupów.

Na szczęście, istnieje również banalność Dobra. Tak swoją książkę nazwał, *La banalità del Bene*, Enrico Deaglio, nie ukry-

wając że pomyślana była jako skromna przeciwwaga raportu Hanny Arendt. Jej bohaterem jest Giorgio Perlasca, włoski kupiec i — co ciekawe — bojownik w Hiszpanii po stronie generała Franco, chociaż trudno powiedzieć czy na ochotnika. W cywilu zajmował się handlem bydła i z tego tytułu jeździł często na Węgry. Znalazł się w Budapeszcie w końcowej fazie „ostatecznego rozwiązania *Judenfrage*", gdy Eichmann podwyższał u kresu produkcji wydajność swej fabryki śmierci, a Raul Wallenberg usiłował ocalić część przeznaczonych do gazu. Perlasca, który z wojny domowej w Hiszpanii wyniósł dobrą znajomość hiszpańskiego i list rekomendacyjny swych frankistowskich przełożonych, wkręcił się do konsulatu hiszpańskiego w Budapeszcie, a po wyjeździe konsula zajął jego miejsce za zgodą personelu. W roli fałszywego konsula zaczął wystawiać budapeszteńskim Żydom „listy gwarancyjne" (w tym duchu, że Hiszpania zamierza ich przyjąć w ramach „łączenia rodzin"), respektowane jako glejt przez władze węgierskie następców admirała Horthy i nawet przed podkomendnych Eichmanna. Uratował w ten sposób od pewnej śmierci pięć tysięcy Żydów. Po wojnie wrócił do Włoch, osiedlił się w Padwie, prowadził życie emeryta, nie opowiadał nikomu (z wyjątkiem żony) o swoich budapeszteńskich dokonaniach. Aż wreszcie po długich poszukiwaniach wytropili go ocaleni. Posypały się wysokie odznaczenia, podróże, honory. Perlasca był oszołomiony, lekko jakby zakłopotany, może niezbyt zadowolony, że zakłócono jego cichą, spokojną, uregulowaną starość. „Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo", zapewniał. Wolno o tym wątpić, ale jak ożywczo działa ten niezwykły przykład „banalności Dobra"! Orwellowskim odpowiednikiem „banalności Dobra" była *ordinary human decency.*

14 października

A jednak uchowali się jeszcze pogrobowcy leninizmu na pewnym — nie za wysokim, co prawda — poziomie umysłowym. Jednego takiego spotkałem wczoraj, nie mogłem się od spotkania wykręcić, bo przyjechał z Warszawy z listem do mnie (nadawca listu nie bardzo wierzy, że cenzura pocztowa przestała działać). Musiałem wysłuchać w kawiarni monologu długiego jak soliter. Było to słuchanie bardzo specyficzne, mentalnie starałem się blokować odbiór, broniłem się rozpaczliwie przed drzemką. Właściwie powinienem był schować do kieszeni wręczony mi natychmiast list i po kwadransie uciec z kawiarni pod jakimś mniej lub więcej wiarygodnym pretekstem. Ale nie mogłem się na to zdobyć, zawsze w takich wypadkach odzywa się we mnie

przeklęte „nie wypada". Więc siedziałem w milczeniu, smakując jedyną formę zemsty, którą określa się zazwyczaj „jednym uchem wchodziło, drugim wychodziło". Skąd ten facet się wziął, jak się uchował i co ma wspólnego z moim przyjacielem, autorem listu? Czy istnieją jeszcze w Polsce takie grupki na peryferiach Socjaldemokracji RP, podobne do włoskiej grupy Cossutty na peryferiach Demokratycznej Partii Lewicy (czyli dawnej włoskiej partii komunistycznej, która tak się dzisiaj ślicznie nazywa w panicznej obawie przed słowami „socjalizm" lub „socjaldemokracja")? Nie wiem, podczas podróży do Polski ani razu nie zetknąłem się z tym w rozmowach. Ale nagle wpadł mi do głowy niezły pomysł. „Przyznaję — powiedziałem bardzo poważnie, — że jedna myśl Lenina ocalała w Polsce. Nie jestem pewien czy można ją nazwać genialną, w każdym razie pokazała swoją żywotność". Zajrzał mi w oczy pytająco i z odcieniem sympatii. „Chodzi mi o leninowskie zapewnienie, że każda kucharka potrafi rządzić państwem". Teraz on znalazł błyskawiczny pretekst pożegnania mnie (dość chłodnego).

W pociągu do Laffitte przeczytałem list z Warszawy. Mój podejrzliwy przyjaciel, przewrażliwiony (jak o nim mówiono) na punkcie cenzury, dopytywał czy jest prawdą że zostałem ocenzurowany w warszawskiej telewizji. Tak, prawda. Zatelefonowano do mnie z TV w dniu moskiewskiego puczu, prosząc o krótką wypowiedź. Zgodziłem się. Brzmiało to prawie dosłownie tak: „Na wiadomość o moskiewskim puczu Prezydent Wałęsa zrobił dwie rzeczy, jedną nierozumną, drugą rozumną. Nierozumne było zwrócenie się do generała Jaruzelskiego w celach swoistej konsultacji; nie przeczę, że generał jest w tej dziedzinie wybitnym fachowcem, ale nie sądzę by stosowna była w tym wypadku świeża polska mania konsultancka. Rozumna natomiast była zapowiedź szybkiego uznania przez Polskę niepodległości krajów bałtyckich". Nazajutrz zawiadomiła mnie telefonicznie moja siostra, że w dzienniku wieczornym nadano tylko drugą część mojej wypowiedzi, tzn. pochwałę prezydenckiego „przyspieszenia" na odcinku dyplomatycznym. Generał, którego — jak dowiedziałem się dzisiaj z artykułu Michała Hellera — wysoko cenił na odległość Mołotow, korzysta w TV z przywileju nietykalności.

Neapol, 25 października

Każdy ogłoszony tekst przyciąga i frapuje jednych czytelników, odpycha i irytuje innych (wyłączam teksty najzupełniej obojętne). Stare reguły wszelkich lektur. Twierdzeniu „mnie się podobało" odpowiada echo „a mnie wprost przeciwnie". Piszący

nie powinien się temu dziwić, jakkolwiek w duchu przyznaje rację Pasternakowi, że tekst który spodobał się czytelnikom rośnie natychmiast w oczach samego autora.

Moja *Podróż do Polski* w wrześniowej *Kulturze* wywołała dwojakie reakcje: pochlebne i bardzo krytyczne. To było do przewidzenia. Co mnie natomiast zaskoczyło, to fakt że jedni chwalili mnie dokładnie za to samo, za co ganili mnie inni. „Nareszcie — pisze mój korespondent z Warszawy — ktoś serwuje kawałek nagiej Polski, bez emocjonalnego sosu". „Jest prawie nie do wiary — odpowiada mu jakby czytelnik z Krakowa, — że po pięćdziesięciu latach nieobecności podróżuje pan po własnym kraju jak turysta. Czy nie przyszło panu do głowy, co kryje się za tym parawanem Polski *zwiedzanej*, jedynie zwiedzanej i beznamiętnie oglądanej suchym okiem?". „Trafia mi do przekonania — wyznaje młody doktorant z Gdańska, — po prostu bardzo mi się podoba rzeczowy i spokojny ton pana spostrzeżeń ogólnych, głównie politycznych. Taki „zdroworozsądkowy" głos jest nam potrzebny w tej okropnej mieszaninie wymądrzania się „jajogłowych" i demagogicznego wrzasku ludzi, którzy sądzą (myląc się gruntownie), że do Polaków najłatwiej trafić pyskówką". „Nie ma Polski w pana niesprawiedliwych, kaustycznych, oschłych zapiskach — skarży się czy raczej oskarża lekarka z Wrocławia, — nie wiem czy pan to zrozumie; przykro mi (i panu, mam nadzieję, też), ale nie mogłabym nic dodać do tych ciężkich słów".

„Ciężkie słowa" pani doktor zasługują na chwilę baczniejszej uwagi. Są indywidualnym popisem narodowej egzaltacji, aktem strzelistym polskiego anielstwa patriotycznego? W dużej mierze, tak. Istotniejsze jednak od tego aspektu osobistego jest traktowanie Polski jako swoistego sekretu, który dostępny jest nielicznym wybranym, wymaga uroczystego obrzędu aby się w pełni odsłonić. Nazwałbym taką postawę „polskością kapłańską", niechętnie albo i wrogo usposobioną do zbyt „przyziemnej" perspektywy w spojrzeniu na własny kraj rodzinny.

W latach wojny teatr wojskowy pokazał nam, żołnierzom, na pustyni w Iraku sztuczydło Herminii Naglerowej (autorki świetnych *Krauzów*) *Tu jest Polska*. Siedzieliśmy pod gołym niebem na piasku dokoła sceny, usilnie starając się odgadnąć gdzie mianowicie jest owa Polska. Moi towarzysze na przedstawieniu, przeważnie ledwo piśmienni żołnierze z Kresów, Polacy i Białorusini, zerkali co jakiś czas na mnie, swego „kolegę z cenzusem", jakby w cichym, zawstydzonym lekko oczekiwaniu, że pomogę im dojrzeć światło w pustynnym mroku. A ja wstydziłem się w duchu, że proste i naturalne przywiązanie do Polski nie może u nas wciąż zejść z fałszywych koturnów.

I trwa na nich dalej, przynajmniej wśród osób, które z nieukrywaną dumą pławią się w „polskości kapłańskiej".

27 października

Dziś wybory do Sejmu, wybory nareszcie wolne, bez „kontraktowych i okrągłostołowych cudów nad urną". Rano zajrzałem do mojej *Podróży do Polski* w wrześniowej *Kulturze*: „Cokolwiek by się sądziło o przyczynach rosnącego indyferentyzmu społeczeństwa, podmywa on istniejące i kruche jeszcze (bo połowiczne) struktury demokratyczne, a w wyborach do Sejmu będzie źródłem ogromnej absencji". Potem przyniósł ktoś z kiosku dzisiejszy *Corriere della Sera*, gdzie w dodatku niedzielnym ukazał się wywiad Francesco Cataluccio ze mną na temat mojej majowej podróży do Polski. Fragment jednej z moich odpowiedzi: „Zabolało mnie bardzo, gdy usłyszałem że o obecnych rządzących ludzie mówią ONI, jak za czasów panowania komunistów. Zresztą ostrzeżenie padło już w zeszłym roku: w wyborach prezydenckich absencja wyniosła 47 procent. I był to akt ukarania władzy, a nie odruch lenistwa. Apatia i absencja wyborcza są największymi wrogami zmian. Obawiam się, że także w dzisiejszych wyborach do parlamentu mnóstwo ludzi nie pójdzie do urn".

Po północy zatelefonował do mnie Michał Komar z telewizyjnego studia wyborczego w Warszawie. Wczoraj uprzedzono mnie, że na podstawie wyników wyborczych (nie pełnych, ale wystarczających dla orientacji) Komar zada parę pytań pięciu osobom zamieszkałym na Zachodzie, w tej liczbie i mnie. Mnie właściwie o nic nie zapytał, powiedział tylko: „Widzę, że wywróżyłeś w *Kulturze*, w *Podróży do Polski*, ogromną absencję". Niestety, niestety, po stokroć niestety.

29 października

Na pierwszym miejscu w ocenie polskiej katastrofy wyborczej (katastrofy, która nie tylko nasuwa ludziom na Zachodzie pytanie: czego właściwie ci Polacy chcą? — przez długie lata bili się o wolne wybory do parlamentu, a teraz w 60% siedzą w domu — ale na domiar złego każe inwestorom zachodnim dziesięć razy pomyśleć, zanim się na coś zdecydują, a w większości zdecydują się prawdopodobnie pokazać plecy), otóż na pierwszym miejscu znajduje się oczywiście absencja. To ona stawia w ogóle pod znakiem zapytania „polską rewolucję pokojową", odsuwając na dalszy plan, jako mało istotne, partie czy raczej partyjki, które niby kamyki mają służyć do ulepienia jaskółczego gniaz-

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

da oskubanej i rachitycznej demokracji polskiej. Dogadają się *in articulo mortis*, czy skoczą sobie do gardeł w starym, rodzimym stylu? Powstanie rząd bezpartyjnych „techników", aby każde swoje posunięcie wyżebrywać u posłów i senatorów? Prezydent skoczy dodatkowo na fotel premiera, aby „przyspieszonemu biegowi na skróty" i „silnej ręce uzbrojonej w siekierę" stało się zadość? Tak wysoka odmowa wyborcza nie jest według mnie porażką, jest klęską. I brak już nawet ochoty rozdłubywać dwa minione lata w poszukiwaniu przyczyn. Wszystko, albo prawie wszystko, odbyło się na bakier ze zdrowym rozsądkiem, zarówno w „twierdzy prezydenckiej", jak wśród politycznych wolnych strzelców i zagończyków pod jej murami.

●

Wczoraj zatelefonował do mnie znany dziennikarz rzymski Nello Ajello, neapolitańczyk z urodzenia; przed wielu laty widywaliśmy się często na początku mojego pobytu w Neapolu. Nie jest i nigdy nie był komunistą; wprost przeciwnie. Odezwał się nagle, bo jego młody syn Mario, również dziennikarz (początkujący) jest jakoby od dawna moim pilnym czytelnikiem i chciałby przeprowadzić ze mną wywiad.

— Dla jakiego pisma?

— Dla *Unità*.

— Dla *Unità*? Wywiad *ze mną*?

— Nie widuje pan ostatnio *Unità*.

— Nie widuję i nigdy nie widywałem.

— Szkoda. W każdym razie mogę pana zapewnić, że jeśli zgodzi się pan dać mojemu synowi wywiad, nikt nie ośmieli się ruszyć w nim ani jednego słowa.

— No dobrze, ostatecznie wydano właśnie moją książkę w Moskwie. Ale zastrzegam sobie uprzednią autoryzację.

Dzisiejsza wizyta młodego człowieka była dla mnie bardzo pouczająca. Przede wszystkim przekonałem się, że młode pokolenie „neo-komunistów" włoskich (PDS) ma słabe, mgliste pojęcie o przeszłości. Zaczęliśmy rozmowę, przed właściwym wywiadem, od sprawy która pasjonuje obecnie włoską opinię publiczną, a mianowicie od ujawnionego przez Moskwę, wieloletniego finansowania włoskiej partii. „Niech pan posłucha — powiedziałem. — Mówi się i pisze o tym, szczególnie w deklaracjach waszych przywódców partyjnych, z odcieniem hipokryzji, jak o czymś skandalicznym, zaskakującym i trudnym do uwierzenia. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych zaprzyjaźniłem się z Eugenio Reale, niegdyś neapolitańskim przywódcą komunistycznym, ambasadorem w Warszawie i wiceministrem spraw zagranicznych w pierwszym włoskim rządzie koalicyjnym (z ra-

mienia partii), delegatem włoskim na posiedzeniu Kominformu w Szklarskiej Porębie. Nasza przyjaźń przypadła naturalnie na okres jego zerwania z partią po roku 1956, inaczej byłaby po prostu niemożliwa. Jako *ex*-komunista Reale opowiedział mi szczegółowo, jak w charakterze ministra finansów partii miał w swojej pieczy odbiór pieniędzy z Moskwy i Warszawy, głównie poprzez mieszane spółki handlowe import-eksport. Partia francuska otrzymywała pieniądze z Moskwy via Czechosłowacja. A teraz oglądamy komedię niewiedzy, zaprzeczeń, oburzenia". Mój rozmówca patrzył na mnie wybałuszonymi oczami. Podobne zdziwienie malowało się na jego twarzy, gdy opowiedziałem mu jak byłem w ciągu lat „tępiony" przez włoskich komunistów i ich „towarzyszy podróży" (we Włoszech nazywano ich „użytecznymi idiotami", *utili idioti*).

W wywiadzie położyłem nacisk na jedną rzecz, w związku z wyborami w Polsce i z ogólną sytuacją krajów postkomunistycznych. W paru słowach: komunizm był ciężką, śmiertelną chorobą, która w ZSSR ciągnęła się przeszło siedemdziesiąt lat, a u nas przeszło czterdzieści; pacjenci zostali uratowani *in extremis*, ale jest szaleństwem sądzić, że ich rekonwalescencja odbędzie się w trybie przyspieszonym; będzie to długi, trudny proces, w którym dobrze przemyślana i powolna wytrwałość okaże się o wiele ważniejsza od błyskawicznych improwizacji, przeważnie tyleż efekciarskich co groźnych w skutkach. Świeżym przykładem są wyniki wyborów w Polsce, owoc pomieszania politycznych zmysłów na wyżynach władzy.

(Dopisane 31 października. Po autoryzacji wywiad ukazał się dziś w *Unità* w nietkniętej formie).

6 listopada

„Stylem dokonujemy naszych podbojów, stylem! Mógłbym napisać opowiadanie o praniu, a zadźwięczy jak proza Juliusza Cezara. Od języka i stylu zależy wszystko, ale rzecz w tym żeby mieć doskonały materiał, drogocenny surowiec... Dwadzieścia dwie redakcje jednego krótkiego opowiadania, co za przesada! A ja tymczasem nie jestem pewien, czy ostatnia nadaje się już do druku. Może dałoby się osiągnąć jeszcze większą zwięzłość".

To Babel. Jego *Dziennik 1920* (przełożony przez Jerzego Pomianowskiego) ukazuje nowelistę zbierającego „doskonały materiał, drogocenny surowiec". Pędzi w szeregach Konnej Armii i jak dawny żydowski szmaciarz zbiera, wrzucając do dużego worka, wszystko co mu się pod rękę (a raczej oko) nawinie. Sporo w tym śmiecia, ale nie wiadomo czy nawet śmieć

nie okaże się w jego rękach wielkiego snycerza stylistycznego „surowcem" z żyłkami złota. Lektura *Dziennika 1920* zostawia wrażenie wirowania do kresu sił, sołdackiego obojętnienia, pamiętamy jednak wciąż zdanie Babla o doświadczeniach wśród czerwonych jeźdźców Budionnego: „Kronika tylu codziennych zbrodni dławi mnie bez wytchnienia na podobieństwo wady serca". I dlatego właśnie że nie nadawał się na „kozaka", potrafił z epopei Konnej Armii wydobyć tragizm „znienawidzonej wojny" i „życia w zgrozie" (co tak irytowało Budionnego i przyczyniło się dodatkowo do śmierci pisarza w lochach Butyrek).

W worku ze śmieciami znajduje się kilka gotowych już zalążków narracyjnych. W wybornym opowiadaniu *Żyd Gedali* (z *Konnej Armii*) Babel przekonywał tytułowego bohatera, człowieka mądrego i sceptycznego, do rewolucji. W *Dzienniku 1920* podobny motyw wygląda inaczej (w zapiskach prywatnych odpadła obawa przed cenzurą). Babel usiłuje wpoić żydowskiej rodzinie w Dubnie wiarę w świetlaną przyszłość. „Mówię, że będzie swobodnie, że będzie lepiej, to moja zwykła metoda, że w Rosji wspaniałe zmiany — ekspresy, bezpłatne żywienie dzieci, teatry, międzynarodówka. Słuchają z zachwytem i niedowierzaniem. A ja myślę sobie — będziecie mieli swoje niebo całe w diamentach (cytat z Czechowa), wszystko będzie wywrócone na nice, wszystkich wyobraca i któryż to już raz mi żal". Albo takie dwa zapisy. „Straszne pole, usiane zarąbanymi, nieludzkie okrucieństwo, niewiarygodne rany, roztrzaskane czaszki, młode, białe, nagie ciała błyszczą w słońcu, porozrzucane notesy, kartki, książeczki wojskowe. Ewangelia, zwłoki w zbożu". Zadziwiająca mistrzowska ostrość szybkiego spojrzenia, jeszcze większa w opisie pożaru. „Pożar we wsi. Pali się stodoła plebana, spłonęły dwa konie, szamoczące się co sił. Konia nie da się wyprowadzić z pożaru. Dwie krowy wyrwały się, jednej popękała skóra, pęknięcia krwawią, aż żal. Dym obleka całe sioło, jaskrawy płomień, czarne, wzdęte kłęby dymu, kupa drzewa, piecze policzki, wszystkie rzeczy z domu popa i z cerkwi wyrzucają na ziemię. Apanasenko w czerwonym kaftanie, w czarnej opończy, twarz gładko wygolona — straszne zjawisko, ataman".

Witalij Szentaliński dobrał się ostatnio do „literackich archiwów" KGB (za zgodą „neo-liberalnych" policjantów). Zbadał m.in. „sprawę" Babla. Przede wszystkim trzeba między bajki włożyć wersję o jego śmierci w łagrze w roku 1941. Został zastrzelony (strzał w tył czaszki) 27 stycznia 1940 po dwudziestominutowym „procesie" w Butyrkach („trójka" zasiadająca w gabinecie Berii). Dramatyczne były jego przesłuchania, poprzedzające proces i wyrok, myślę że najwybitniejszy polski „bablista" Pomianowski powinien te przesłuchania wziąć na warsztat (teatralny lub narracyjny). Początkowo Babel odpowiadał sędziom

śledczym z dużą dezynwolturą, sypał nazwiskami przyjaciół i znajomych (głośnymi na ogół nazwiskami), jakby nie zdawał sobie sprawy co mu grozi, jakby akt oskarżenia („trockizm" i „zniesławienie" Konnej Armii) zamierzał ośmieszyć i wykpić. Kiedy zrozumiał wreszcie, że nie uniknie kuli, że lekkomyślnie pcha się sam pod mur podziemnej celi, ogarnęło go przerażenie na myśl o ludziach, których wplątał w swoją „sprawę". Całe jego przedśmiertne szamotanie się, ciągłe domaganie się *doprosów*, miało na celu jedno: wyłączyć, na bok odsunąć innych, samotnie stanąć oko w oko z przygotowanym dlań losem. Oko w oko? Był tak krótkowzroczny, że pozbawiony okularów widział wszystko we mgle; i tak, bez przyrodzonej ostrości spojrzenia, zobaczył własną egzekucję. Bablowska „ciemność w południe" odbiegałaby daleko od stworzonej przez Koestlera legendy Rubaszowa-Bucharina.

10 listopada

Powódź przerwała wszystkie tamy i upusty: Polską płyną mętne i brudne wywiady-rzeki, im bardziej wezbrane i szeroko rozlane, tym płytsze. Trudno ocenić jakie w nich drobiazgi zasługują na wyłowienie i ocalenie, a co jest zwykłym chłamem. Co, na przykład, warto bosakiem przyholować do brzegu w wielkiej rzece Kiszczak? Jakie niespodzianki szykuje bliska już wystąpienia z oszańcowanych brzegów Główna Rzeka Jaruzelski? Okaże się ciekawsza i odrobinę bodaj przejrzystsza, odchłamiona i bardziej podobna do prawdy, niż jej dopływ Kiszczak? *Pożiwiom, uwidim.* Według przewidywań i obliczeń meteorologów, rzeka Jaruzelski ruszy, przerywając tamy i upusty, około 13 grudnia.

Rzeka Kiszczak ma filuterno-kokieteryjny tytuł *Generał Kiszczak mówi PRAWIE wszystko.* „Prawie" oznacza, że maksimum 5-10% zataja. Ściślejszy, choć mniej zalotny wobec czytelnika, byłby tytuł *Generał Kiszczak zataja prawie wszystko.* Z rzeki Kiszczak, wyjątkowo zamąconej, wyłowimy niewiele prawdy. Co Kiszczaka, niesklonnego do zwierzeń jak każdy Oberpolicmajster, popchnęło do *czistosierdecznych* rozmówek z dwoma dziennikarzami? Według mnie dwie rzeczy. Jedną formułuje sam, nie po raz pierwszy zresztą: „Istnieje — jakkolwiek brzmi to paradoksalnie — generalna jedność intencji i celów stanu wojennego oraz „okrągłego stołu". Są to jakby dwa bieguny tej samej polityki głębokich, ale zarazem bezpiecznych reform". Drugą rzeczą jest kanonizacja naczelnego architekta „okrągłego stołu". Mądrość polityczna i aureola nad bezbożną głową generalską.

Twierdzenie pierwsze jest nonsensem. Prawdopodobnie także Główna Rzeka Jaruzelski przyniesie ten sam nonsens na swoich falach, lepiej więc zawczasu powiedzieć o nim parę słów. Stan wojenny był ekstremalną próbą uratowania władzy komunistów i rozbicia Solidarności w proch i w pył. Nie udało się. Natomiast — paradoksalnie — rozłożył Solidarność „okrągły stół".

Rolę „okrągłego stołu" określiłbym tak. Był nieuniknionym *bezkrwawym* pomostem do epoki post-komunistycznej. Ale opozycyjni uczestnicy „okrągłego stołu" powinni byli od pierwszej chwili zrozumieć, że nie chodzi już o „dialog", lecz o początek kapitulacji ze strony komunistów, kapitulacji połączonej z przysłowiowym „machaniem szablą przy odwrocie". Wobec tego opozycja powinna była kupować możliwie najtaniej, a sprzedawać możliwie najdrożej. Zamiast zalęknionej opozycji, zastosowali tę taktykę komuniści. W każdym razie sprawiedliwość nakazuje przypiąć do piersi generała Kiszczaka brązowy krzyż zasługi za organizacyjne doprowadzenie do „okrągłego stołu".

Gdy kartkuję pokaźny tom Kiszczaka, przychodzi mi na myśl popularny niegdyś żart. W okresie Wielkanocy do rodziny Minców zatelefonowała ich przyjaciółka. Telefon odebrała żona. „Co robi Hilary?" — zapytała przyjaciółka. Na co żona: „Maluje jajka". Przyjaciółka w śmiech: „Ach, ten kokiet!". Kiszczak, nazywany przez adulatorów „jedynym na szczytach reżymu człowiekiem z jajami", pokazuje czytelnikom, z pomocą Beresia i Skoczylasa, swoje „prawie" wiarygodne pisanki.

Ostatnie rozdziały książki odpowiadają na pytanie: „za co powinniśmy lubić generała Kiszczaka?". Sympatyków jest sporo, o zaskakujących niekiedy nazwiskach. Zamykające książkę słowa Kiszczaka budzą i we mnie życzliwe uczucia. Brzmią tak: „Panowie, z tym wzbudzaniem sympatii to trzeba ostrożnie. Tego nas wszystkich uczą na kursach".

Wizualną ozdobą książki miał być kolorowy blok fotograficzny *Magdalenka 1988-1989 — Koniec starego porządku, początek nowej epoki*. Długo przyglądałem się tym zdjęciom, dla których odpowiedniejszy byłby nostalgiczny tytuł angielski *Oh Happy Happy Days*. Kwiaty, napoje, słodycze, uśmiechy, dusery, czasem gesty markujące uściski, słowem sielanka. Pewien facet zrywa się z krzesła z kieliszkiem przytkniętym do warg i z promiennym uśmiechem. Jeszcze chwila, a skoczy na stół i albo zaprodukuje męski *strip-tease*, albo odtańczy Krakowiaka. Kusi trawestacja *Folwarku zwierzęcego*. „Panowie — wzniósł kielich generał Kiszczak, — panowie, piję za wasze zdrowie i za pomyślność naszej ojczyzny. Rozległy się entuzjastyczne brawa, pomieszane z tupotem nóg. Lech Wałęsa był tak zachwycony, że

podniósł się z krzesła i obszedłszy stół, trącił się z generałem Kiszczakiem. Po czym, na stojąco, palnął mówkę. Jak wszystkie jego przemówienia, również to było krótkie i przejrzyste. Radością przejmował go fakt, że skończyły się nieporozumienia i niesnaski. Długo krążyły pogłoski — puszczane w ruch, jak miał prawo podejrzewać, przez złośliwych wrogów — o wywrotowych i rewolucyjnych planach jego i jego kolegów. Oskarżano ich o wzniecanie buntu. Nic bardziej dalekiego od prawdy. Znowu zerwały się brawa i napełniono po brzegi kielichy".

U Orwella scena kończy się widokiem zwierzęcych mord, rozpłaszczonych z niepokojem i niedowierzaniem na szybach dworu pana Pilkingtona. W moim półsennym urojeniu widać na szybach Magdalenki rozpłaszczone i gniewne twarze tych, którzy w dwa lata potem odmówili w ogromnej większości udziału w wyborach.

14 listopada

Po mojej imaginacyjnej podróży do Pragi w roku 1976 coraz częściej marzę ostatnio o podróży realnej. Zobaczyć Pragę, zobaczyć Pragę! Ile rozmaitych składników kryje się w tym pragnieniu! Być może, spełni się ono na wiosnę przyszłego roku, jeśli nie pokrzyżuje mi planów stan zdrowia.

Tymczasem kupiłem wznowiony po wielu latach tom Angelo Maria Ripellino *Praga magica* (pierwszy nazwał Pragę „magiczną" André Breton) — połączenie ogromnej erudycji i dużego polotu poetyckiego. Przeczytałem trzy pierwsze rozdziały. Nietzsche w *Ecce Homo* powiada, że kiedy szuka innego słowa na miejsce „muzyki", znajduje zawsze i wyłącznie słowo „Wenecja". A Ripellino, chcąc zastąpić słowo „zagadkowy", sięga nieodmiennie po „Pragę". W opowiadaniu Apollinaire'a stara Cyganka oznajmia w Bośni, że przywędrowała z „Bohemii, cudownego kraju, do którego warto pojechać, ale nie należy w nim zamieszkać w obawie przed zaklęciami, czarami". A Kafka? Uważał się widocznie za niewolnika Pragi, skoro w roku 1902 pisał do Oskara Pollaka: „Praga nie popuszcza. Nie popuszcza nas obu. Ta mateczka ma szpony. Trzeba się albo przystosować, albo... W dwóch punktach powinniśmy wzniecić pożar, na Wyszehradzie i na Hradczynie, co pozwoliłoby nam wymknąć się z uchwytu. Postaraj się myśleć o tym trochę aż do karnawału".

Czytając z zachwytem („zaklęty, zaczarowany"?) książkę, wspomniałem autora. Przecież łączyła nas zażyła znajomość. A poznałem go nazajutrz po wojnie jako młodziutkiego chłopca, chyba świeżego maturzystę, gdy z rodzinnej Sycylii przywędrował

do Rzymu, by nam wręczyć — nam, czyli wydawanemu przez wojsko po włosku pismu *Irydion* — dziesięć przełożonych przez siebie wierszy Norwida. Uwielbiał Norwida, swoją edukację slawistyczną zaczął od polskiego. Po latach dał mi te dziesięć wierszy Norwida dla *Tempo Presente* po ich oszlifowaniu. Kocham — mówił — cyzelowanie słów, jak obtaczanie twardych kamyków. Ja też.

Potem z polonistyki przerzucił się na rusycystykę i w młodym jeszcze wieku został profesorem zwyczajnym na Uniwersytecie Rzymskim. W ogóle pędził naprzód w szalonym pośpiechu, jakby zdawał sobie sprawę (a może rzeczywiście zdawał sobie sprawę?), że życie ma przed sobą krótkie. Pisał i wydawał dużo, do rusycystyki podłączył bohemistykę (ożenił się z Czeszką). Jako profesor rusycysta jeździł często do Moskwy, do archiwów i bibliotek, zawsze w drodze powrotnej zatrzymywał się w Warszawie, gdzie miał wielu przyjaciół. Po każdym powrocie z podróży telefonował do mnie, aby mi opowiedzieć „co w trawie piszczy" (szalenie lubił ten kolokwialny zwrot). Politycznie był mi bliski, ale zachowywał zrozumiałą ostrożność w trosce o swoje moskiewskie wojaże. Aż pękło. Wakacje letnie spędzał co roku z żoną i z dziećmi w Czechosłowacji. Sierpień 1968 zastał go w Pradze. Wrócił do Rzymu wzburzony, na śmietnik wyrzucił ostrożność i napisał do tygodnika *Espresso* serię niesłychanie gwałtownych artykułów o inwazji. Musiał się do końca życia pożegnać z naukowymi wyprawami do Moskwy. Umarł w roku 1978 w wieku 55 lat.

Ilekroć myślę o Ripellino, uśmiecham się z rozczuleniem do wydobytego z pamięci opisu jego wizyty u Pasternaka. Przełożył masę wierszy Pasternaka i wydał je w pękatym tomisku na długo przed nagrodą Nobla. Pojechał do Pieredełkina, żeby osobiście wręczyć egzemplarz poecie. Pasternak zaprosił go na obiad, obficie zakrapiany, z dużą ilością gości przy stole. Podczas obiadu poprosił tłumacza o przeczytanie na głos jednego choćby wiersza po włosku. Ripellino zgodził się natychmiast. Do stołu podawała stara niania, związana z rodziną Pasternaków od niepamiętnych czasów. Kiedy zaczął czytać, przystanęła w progu z pustym półmiskiem i odgięła ręką ucho, żeby nie uronić ani słowa. *Wy słyszytie, Anastasja Fiodorowna* — zwrócił się do niej rozpromieniony poeta — *kak ja prekrasno zwuczaju po italianski*? Staruszka pokręciła głową. *Sława Bogu, Boris Leonidowicz, wy jeszcze łuczsze, prekrasno do wostorga, zwuczajetie na naszom rodnom jazykie.*

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Siedem prawd o rządzeniu

1. Ubiegłe dwa lata to okres koniunktury, jakiej nasz kraj nie przeżywał od wieków. A jednak coraz częściej społeczeństwo ma wrażenie, że Polska to dla rządzących Radziwiłłowski postaw sukna. Grupowe interesy i ambicje polityczne górują nad wysiłkiem konkretyzowania programów. Nie jest to owoc „wojny na górze" ani „spisku z Magdalenki". Początkiem tego stylu politycznego myślenia było *liberum mediatio*, złota wolność paktowania z władzą, bez najmniejszej troski o reprezentowanie całej, pluralistycznej opozycji. Znana uzurpacja: Polska, Polski, Polsce, Polską...

Gdyby były światowe zawody na przegrywanie zwycięstw, z dwóch ostatnich ekip rządowych można by zbudować *Wunderteam*. Pluralizmu i demokracji mamy już pod dostatkiem. Prawdziwym przełomem byłoby zbilansowanie władzy i odpowiedzialności.

2. Struktura i wzajemne zależności najwyższych władz Państwa z natury rzeczy podlegać będą ewolucji. Zamiast skupiać się dziś na dyskutowaniu problemu trójkąta: Prezydent — Parlament — Rząd, warto rozważyć trzy niebezpieczeństwa: słabej prezydentury o mocnych uprawnieniach, rozdrobnionego parlamentu pretendującego w imię demokracji do sejmokracji, i rządu, który będzie kompromisową koalicją osób bez koncepcji rządzenia.

Zanim odda się wizję polityczną na przetarg kilkunastu obecnym w parlamencie partiom, warto powtórzyć parę zasad, aby raz jeszcze konstytucjonalizm postawić ponad parlamentaryzmem, a rację stanu ponad interesami partii. Demokracja parlamentarna nie jest bowiem dobrem samym w sobie. Dopiero stymulowanie życia parlamentarnego i struktur politycznych przez większościową ordynację wyborczą pozwala doprowadzić do kruchego ideału: większość rządzi, a mniejszość lojalnie kontroluje rząd, wypracowu-

jąc alternatywę polityczną. Parlament na ogół nie tworzy koncepcji, lecz wybiera je z szerokiego rynku pomysłów politycznych, organizując wokół nich większość i przekonując do nich — z mandatu społeczeństwa — rządzących i rządzonych.

Nie ma alternatywy dla naszej polityki reform — to hasło-szantaż kompromituje poprzednie rządy.

3. Elektorat jednoznacznie zawyrokował, że chce takiego państwa, które zapewni rozsądne minimum interwencji i opieki, że chce kapitalizmu z ludzką twarzą. Rządzący muszą dziś mówić co zrobią, czego żądają od innych i w jakim terminie wykonają zadanie. Bez rzetelnego, sprawnego aparatu Sejm będzie uchwalał niewykonalne ustawy, a rząd będzie wydawał rozporządzenia bez szans na ich realizację.

Prezydent, Sejm, Senat i rząd muszą przyjąć, że reforma administracji jest inicjatywą europeizującą nasz ustrój, podobnie jak wolność słowa i wymienialny pieniądz. To fizyka — a nie metafizyka. Projekt Silnego Państwa-Minimum, który zespół zorganizowany pod egidą Porozumienia Ponad Podziałami przedstawił Prezydentowi, nie jest rozwiązaniem ideologicznym lecz pragmatycznym. Każda władza ustawodawcza i wykonawcza musi mieć lojalny aparat, który pełni służbę publiczną na zasadzie jednoznacznego oddania się interesom społecznym, aparat jawnie kontrolowany i odpowiedzialny personalnie zarówno za decyzje, jak i za brak decyzji. Zjawiskiem skądinąd najbardziej dziś uciążliwym jest nadregulacja prawna: obywatelowi co krok nie wolno czegoś zrobić bez zgody jakiejś władzy. Zawiesza to decyzje rządowe w próżni. Od pierwszych dni wolności obywateli zniewala brak szybkich decyzji — od Prezydenta RP po starszego referenta. Cóż, że dzieje się to z myślą o państwie, narodzie, demokracji i niepodległości, gdy paraliżuje inicjatywę jednostek.

Omnipotencja państwa doprowadziła do impotencji władzy. Afery, które ostatnio wstrząsają Polską, zdarzają się w każdej demokracji. Nie powinny jednak odwracać uwagi od afery największej: władza jest od dwóch lat tak niesprawna, a prawo tak niejasne, że nie robimy jako naród tego, na co nas stać.

Nie jesteśmy tacy głupi — myślą ludzie — mimo, że tak uważają mędrcy na górze, nie umiejący rozwiązać podstawowych problemów: jak nie stać w kolejce w urzędzie, jak uzyskać pozwolenie na budowę domu, jak za dobrą pracę dostać godziwą płacę, a za złą — wylądować na bezrobociu. Chcemy zmian i gotowi jesteśmy za nie płacić, ale w imię elementarnej sprawiedliwości nie mogą najbardziej korzystać z nich komuniści, budując polityczny kapitalizm.

4. Pora bez demagogii określić, na czym polega wyczerpanie się koncepcji gospodarczych pierwszego dwulecia postkomuny.

Leszek Balcerowicz stwierdził ostatnio: „Istnieją dwa modele polityki, również w sensie demokratycznym. Jeden polega na prostym odwzorowaniu tego, co się nazywa dominującym nastrojem lub poglądem. Drugi model to przywództwo, w którym próbuje się przez swoje działania polityczne kształtować nastroje i pozyskiwać ludzi. Od klasy polityków zależy, który model działania w praktyce wybierają".

Niestety, Leszek Balcerowicz zapomniał o jednej kwestii: zarówno w pierwszym, jak i w drugim modelu można odnieść sukces lub ponieść klęskę. Nastrojów nie wystarczy pozyskiwać, trzeba być w tym skutecznym, czyli przekonać ludzi — od nich bowiem a nie tylko od pieniądza zależy rozwój gospodarki rynkowej. Klęska Balcerowicza jest niestety i naszym niepowodzeniem. A szkoda, gdyż jesteśmy bardziej praktyczni i mniej doktrynerscy.

Główny Księgowy, który rządzi polską gospodarką zapomniał, że trzeba być ostrożnym, eksperymentując na ludziach. Ludzie bowiem łatwo zapominają, co ich męczyło przed operacją i z trudem przyzwyczajają się do nowego kapitalistycznego bólu: nie stać nas na kupienie wszystkiego, co rynek oferuje.

Leszek Balcerowicz jest kompetentnym, odważnie broniącym swoich koncepcji finansistą. Ale jak wielu byłych komunistów nie docenia kapitału ludzkiego i tego, jakie ramy należy mu tworzyć, aby mnożył bogactwo narodowe. Balcerowicz uwierzył, że wolny rynek zrestrukturyzuje gospodarkę i zwalczy biurokrację. To naiwne złudzenie. Do dziś wolny rynek nie działa normalnie tam, gdzie urzędnik jest wszechwładny. Wolny rynek może korumpować biurokrację, ale bez pomocy władzy nie może jej zwalczyć.

5. Polską chcą rządzić i rządzą ludzie, którzy nie lubią rządzić. Chcą władzy, prestiżu, sławy. Ale nie lubią wymuszać swej woli w imię akceptowanych wizji. Nasi rządzący mizdrzą się jak komuniści, że ktoś im nie pozwala, że układ taki, że zarabiają grosze, że inni byli lub będą gorsi. Ludzie, którzy lubią rządzić wiedzą, że nie mają być mili. Mają dobrze i odpowiedzialnie podejmować decyzje i godzić się na publiczną ich kontrolę.

Twórczą rolą rządzących jest porządkowanie chaosu, powoływanie bytów rzeczywistych mimo marazmu, miałkości, dylematów moralnych, intryg i nacisków grup interesu. Triadę: czas — odwaga — decyzja, spaja wola rządzącego — nic więcej. Żadni eksperci nie uratują go przed ryzykiem. Nie robi on łaski nikomu. Nikt nie oczekuje jego dobroci. Musi być tylko tak ludzki w swoich odruchach, by ów nadludzki wysiłek budowy

demokracji w zmasakrowanym społeczeństwie poparli ci, którzy rozdarci są między swoim wczoraj a naszym jutrem. Władza, jak twórczość czy business, może służyć demokracji i budować pluralizm, ale samo jej sprawowanie nie ma nic wspólnego z dobrocią i tolerancją.

Społeczeństwo po to wybiera ludzi władzy, aby to oni rządzili, czyli narzucali rozwiązania, które przemówią do rządzonych już od pierwszej chwili. Tak sprawdziła się pierwsza koncepcja impulsów szokowych. Rządom Mazowieckiego i Bieleckiego zabrakło wizji gospodarczo-społecznej, którą rozpisaliby na pomysły polityczne w poszczególnych dziedzinach. Nie zaproponowano konkretnych rozwiązań oddzielenia Zarządu Majątku Skarbu Państwa od centralnej administracji, usamodzielnienia ekonomicznego gmin, kontroli przedsiębiorstw poprzez banki, czy zmiany systemu ubezpieczeń.

Jest potocznym złudzeniem, że wnioski płyną z analiz. Rozwiązania są owocem intuicji, doświadczenia, a przede wszystkim odważnej pracy jednostek. Polityk, realizując swój pomysł, musi myśleć o czasie operacji, aby uzyskać kredyt zaufania na następny pomysł.

Po plebiscycie przeciw komunizmowi z czerwca '89 obserwujemy w kolejnych wyborach ucieczkę od rzeczywistości politycznej kreowanej przez elity. Dlaczego? Ludzie mają dość haseł i przeciwstawień: coś za coś, ktoś przeciw komuś. Chcą wybierać rozwiązania, które dają odpowiedź na codzienne elementarne pytania. Chcą normalności w miejsce „normalki". Głosują więc nogami, gdy słyszą slogany, które miałyby sens w kraju już urządzonym, gdzie sensowne ramy działania dawałyby każdemu na jego poziomie pewien komfort samodzielności.

Niezależność polega na tym, że dylemat „coś za coś" można rozstrzygnąć na swój rachunek. Państwo musi pozwolić obywatelowi na jego własną konstrukcję nadziei, wyrzeczeń, oszczędności. Wybory samorządowe, prezydenckie i parlamentarne stopniowo coraz bardziej zaciemniły horyzont. Zaletą Wolnej Polski jest to, że obywatel budzi się z mniejszymi zmartwieniami niż to, że nie jest wolny. Ludzie władzy nie powinni jednak wciąż się temu dziwić i zapominać, że nie wszyscy żyją polityką.

6. Zdaniem rządzonych celem rządzących nie jest uczestniczenie w rozwiązywaniu problemów lecz znajdowanie rozwiązań. Rolą polityków jest prezentacja apolitycznej wizji rozwoju. Akt wyborów to decyzja o tym, kto mną rządzi i kogo będę z tych rządów rozliczał: jeśli nie umiesz odpowiedzieć na pytania — nie pchaj się na górę, na dole jest dość pożytecznej i inteligentnej pracy!

Człowiek polityki pretendujący do przywództwa, musi spełniać co najmniej trzy warunki, aby można było powierzyć mu losy państwa.

Po pierwsze: biografia polityczna. Musi być wiadomo, skąd przychodzi, co robił i co zrobił, czy cechuje go wystarczająca odwaga i niezależność myśli, jak przeszedł próby, którym sprostać musiał cały naród. Fakt, że wielu połamało sobie na nich życie nie znaczy, że ten, kto ma nimi przewodzić ma być też człowiekiem o pokiereszowanym życiorysie.

Po drugie: musi być to człowiek, który ma wizję nowej Polski i jej rozwoju. Wizji nie zbuduje się z bieżącego znajdowania kompromisów i manipulowania w polityce personalnej na wyższym szczeblu.

Po trzecie: polityk na miarę czterdziestomilionowego kraju musi być skuteczny i dobrze zorganizowany, musi panować nad własnym budżetem czasu, musi zorganizować sobie zespół współpracowników, których kontroluje i jeśli nie spełniają standardów, szybko się ich pozbywa.

7. Zborność wizji politycznej, rozpisanie jej na programy minimum, ułatwia budowę struktur organizacyjnych. Jeśli rządzący nie mają aparatu, to muszą go sobie stworzyć. Pomysł przejęcia biurokracji państwa komunistycznego był rodzajem wyzwalającego lenistwa: po co się męczyć, skoro już mamy aparat!

W rezultacie, po dwóch latach na wszystkich poziomach, to aparat ma władzę a nie władza ma swój aparat.

Rosnąca bierność społeczna jest owocem propagowania mitu Samorządnej Rzeczypospolitej, w której nieustanna aktywność polityczna miała być podstawą funkcjonowania państwa. Jest to dydaktyzm, który nie wychowa aparatu, ale skutecznie znudzi obywateli. Rządzący nie mogą mówić rządzonym: zrób to sam! Sytuacja odwrotna jest jak najbardziej uzasadniona. Obywatel ma prawo odpowiedzieć politykowi: możesz to sam zrobić za moje pieniądze!

Ostatnio rządzący pouczają rządzonych, co oznacza profesjonalizm. Profesjonalizm to kompetencja. A kompetencja to znajomość granic, poza którymi przestajemy być kompetentni, ale umiemy kompetencje delegować. Tu zaczynają się schody: nie można delegować tego, czego się nie rozumie. Nasi politycy ignorują konieczność poznawania rzeczy, dziedzin, które delegują. W ten sposób poszerzają swoją władzę przez zwężenie zasięgu jej odpowiedzialnego rozumienia. I odnajdują się w Polsce, czyli nigdzie.

Banalna historia, ale właśnie nam się zdarzyła.

Maciej POLESKI

Początki sporu o enklawę

Dziejom naszej części Europy podczas pierwszej wojny poświęcił obszerne, dwutomowe studium Wiktor Sukiennicki, niegdyś mój profesor filozofii prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, następnie mieszkaniec Kalifornii. Dzieło to, *East Central Europe during World War I: From Foreign Domination To National Independence* (Europa środkowo-wschodnia podczas I wojny: od obcego panowania do narodowej niepodległości), napisane suchą, szkolarską angielszczyzną, ukazało się, staraniem i w redakcji Macieja Siekierskiego, w r. 1984, już po śmierci autora. Jest to nieocenione źródło wiedzy o niedostatecznie znanym okresie.

Czytelnik, mający w pamięci wydarzenia bliższej nam w czasie drugiej wojny światowej, nie może uniknąć porównań. Zarówno podczas pierwszej jak i drugiej wojny ogromny obszar w środku Europy przez kilka lat był pod władzą niemieckiej armii. Polityka Niemców wobec ludności tego obszaru jest jednym z głównych tematów książki Sukiennickiego, która szczegółowo zajmuje się wielką niemiecką debatą z udziałem prasy, parlamentu i mężów stanu, o urządzeniu tych ziem po zwycięstwie.

Przedmiotem tej debaty jest zresztą bardziej „sprawa polska" niż tzw. „Ober-Ost" pod bezpośrednim zarządem generałów. Sprawa polska jest wypadkową tarć i ugód pomiędzy rządami niemieckim i austriackim. Co uderza, to podobieństwo planowanego państewka nad Wisłą do General Gouvernement za drugiej wojny, zwłaszcza jeżeli chodzi o rozmiary. Nie mogło być oczywiście mowy o ustąpieniu temu państewku jakiejś cząstki zaboru pruskiego, natomiast zdania były podzielone co do tego ile urwać z b. zaboru rosyjskiego i włączyć do Rzeszy. Ci, którzy chcieli włączyć mniej uzasadniali to ujemnymi skutkami posiadania zbyt licznego elementu słowiańskiego, tj. jedni i drudzy zastanawiali się ile da się bezpiecznie wchłonąć i zniemczyć.

W rezultacie granice kreślone na mapie przypominają te pomiędzy Reichem i G.G. podczas drugiej wojny.

Ówcześni Niemcy nie znali jeszcze ludobójstwa jako narzędzia swojej polityki i natrafiwszy na niesamowitą mozaikę języków i wyznań — polski, jidisz, litewski, białoruski, ukraiński, katolicy, prawosławni, Żydzi — manewrowali oraz uczyli się zasady *divide et impera*. Przymus jaki stosowali był w pierwszym rzędzie gospodarczy — zasoby tych ziem były wyciskane jak cytryna. Zważywszy, że cała administracja i cywilna i wojskowa zatrudniała dużo niemieckich specjalistów, zdumiewa, że nie pozostał z tego żaden prawie ślad dwadzieścia lat później, kiedy hitlerowskie Niemcy złożyły dowód absolutnej politycznej ślepoty w swoim traktowaniu podbitych narodów. Zdawałoby się, że powinni byli czegoś się w ciągu pierwszej wojny nauczyć, tym bardziej, że przecie wielu dawnych urzędników i oficerów było po 1939 jeszcze w sile wieku. Gdzie się podzieli? Czy też, wobec masowego obłędu, nie warto pytać?

Zresztą już wtedy, podczas pierwszej wojny, skrajna prawica niemiecka pracowała nad programem, który miał być urzeczywistniony przez hitleryzm. Pisarz tej prawicy, Adolf Bartels, głosił, że Niemcy powinny się rozciągać po Dniepr i Dźwinę a Rosja powinna być zepchnięta do Azji. Co do ludności, to proponował „przesiedlenia" i „rezerwaty", nawet wspominał o załadowaniu Żydów na okręty w Odessie i wywózce do Palestyny.

Dawna Rzeczpospolita była więc przedmiotem krawieckich cięć jej mapy, przy czym inaczej nieco wyglądało to nad Wisłą — nie będę tutaj powtarzać dziejów Rady Regencyjnej itp. — a inaczej wyglądało na wschodzie, gdzie generał Ludendorff miał swój „Ober-Ost", swoje państwo z miastami Wilno, Kowno, Suwałki, Grodno, Białystok. Na północy w skład jego wchodziła Kurlandia. I właśnie Kurlandia dostarczyła pomysłu jak w przyszłości to terytorium urządzić: tam wielka własność w rękach nadbałtyckich Niemców pozwalała na nadzieję szybkiej kolonizacji. Taka też miała być przyszłość Litwy: przyłączona do Rzeszy albo złączona z nią unią dynastyczną, stanowiłaby teren kolonizacji i stopniowego zniemczenia. Niestety Ludendorff odkrył, że jedynie w Kurlandii germanizacja mogłaby przebiegać szybko i sprawnie. Przekonał się bowiem, że na Litwie duża część ludności, i to nie tylko klasy wyższe, uważa się za Polaków. Spisy ludności, przeprowadzone przez Niemców na ogół rzetelnie, bo dla własnej orientacji, wykazały to dowodnie. Spis z lutego 1916 roku następująco dzieli 140.840 mieszkańców Wilna: jako język rodzinny polski podało 70.629 (50.15 %), jidisz 61.265 (43.50 %), litewski 3.692 (2.60 %), plus nieduże procenty rosyjskiego, białoruskiego i niemieckiego. Wileńszczyzna i Grodzieńszczyzna miały od 50 % do 90 % polskiego. Nato-

miast na północy, w Kowieńszczyźnie, na 1.100.000 mieszkańców litewski jako swój język podało 900.000 czyli 85 %, polski tylko 73.000 (7 %), jidisz 54.000 (5 %), jednakże w Kownie polski miał względną większość tj. 40 %. Wysoki procent polskiego był niespodzianką i przykrością dla Ludendorffa. Zdaniem Niemców element polski był silny ekonomicznie, prężny i najbardziej wykształcony, co stwarzało niebylejakie problemy. W Wilnie pod okupacją niemiecką sprawnie działała sieć polskich szkół na różnych poziomach, twór najzupełniej miejscowy, świadczący o talentach do samorządu. Toteż władze niemieckie zaczęły jak mogły szkoły polskie ograniczać, natomiast usilnie popierać szkoły w języku litewskim albo białoruskim.

Dawna Rzeczpospolita nadal trwała w świadomości Polaków, nie można jednak było nie widzieć, że zamieszkują ją różne narodowości. Znajdowano na to radę. W 1895 roku Roman Dmowski głosił poglądy, które zmienił później, a były to poglądy dość powszechne. Według niego przyszła Rzeczpospolita powinna wziąć za wzór Szwajcarię i być krajem co najmniej dwujęzycznym. Nie ma dwóch patriotyzmów, polskiego i litewskiego, jest jeden, wspólnej ojczyzny. Kulturalny rozwój Litwinów leży w interesie całej Polski, należy bronić języka litewskiego, który jest jednym z naszych języków narodowych, i popierać litewską literaturę. Polacy na Litwie powinni uczyć się litewskiego, natomiast inteligencja litewska powinna wychowywać młodzież w duchu patriotycznym tj. zaznajamiać ją zarówno z historią Litwy jak Polski i z językiem polskim.

Te poglądy odpowiadają dokładnie przekonaniom Jakuba Gieysztora znanym z jego pamiętników, jak też całkowicie wyjaśniają postawę Marii Rodziewiczówny, zwłaszcza w powieściach *Szary proch* i *Dewajtis*. Dla Litwinów taki projekt współżycia był zupełnie nie do przyjęcia i opór wobec niego wzrastał w ciągu paru dziesięcioleci, od początków ruchu „litwomanów" w latach 1880-tych. Nie można im się dziwić, bo był to najlepszy przepis na dalsze postępy polonizacji. Sam Dmowski poszedł w innym, wręcz przeciwnym, kierunku i, rzec można, że w opinii polskiej ścierały się te dwa kierunki, zalecany przez dawnego Dmowskiego i nadal bliski Piłsudskiemu oraz jego zwolennikom, i nowego Dmowskiego, który w *Myślach nowoczesnego Polaka* wyłożył zasady nacjonalizmu, a te posłużyły jako lekcja nacjonalizmu również Litwinom, Ukraińcom i Białorusinom.

Zapytywano nieraz skąd w Polsce takie powodzenie partii Dmowskiego tj. Narodowej Demokracji, i to nie tylko wśród tych, którzy oddawali na nią swoje głosy, bo jej program zdawał się być wyznawany niemal nieświadomie, jako oczywisty, i to dość powszechnie. Jednym z tłumaczeń tego zjawiska byłoby pewnie sprzężenie Polak-katolik i utożsamienie przez kler religii

katolickiej z polskością. Niemało chyba jednak zaważyło szczególne znaczenie słowa naród, stopniowo narastające w ciągu dziewiętnastego wieku. Różne od rosyjskiego *narod* czyli lud, nie miało też wiele wspólnego z *la nation* czy *the nation*, bo te ostatnie oznaczają ogół ludności razem z zamieszkałym przez nią terytorium. Ani Francuzi, ani Anglicy, ani Amerykanie nie znali pojęcia narodu bez państwa, który chce dopiero stworzyć swoje państwo i posługiwać się nim jako swoim narzędziem, a do tego przecie wzoru pchała w Polsce walka przeciwko zaborcom. Żłobiły się więc pewne uczuciowe koleiny, i Naród z wielkiej litery łatwo już było podać jako najwyższą wartość. Naród stawał się jedynym podmiotem, twórcą i gospodarzem państwa, które nie miało wcale należeć do ogółu obywateli. Przeciwnie, tylko Naród był obdarzony pełnymi prawami i jego wola powinna była rozstrzygać o tym, ile praw będą miały tzw. mniejszości. Toteż zamordowanie pierwszego prezydenta Polski w 1922 roku przez narodowca-fanatyka było logiczne: został on wybrany głosami ludzi do Narodu nie należących.

Zastosowany do społeczeństw ludzkich darwinizm (przeżywanie lepiej przystosowanych) pojawia się zarówno na skrajnej niemieckiej prawicy jak u Dmowskiego, z tą różnicą, że tam Niemcy są podmiotem, Polacy, Żydzi, Litwini, Rosjanie etc. przedmiotem, tu podmiotem są Polacy i mają „zarządzać" innymi narodowościowymi grupami. Powstaje przy tym to samo zagadnienie co u Niemców: ile „obcego elementu" zawrzeć w granicach „swego państwa", tak żeby dał się łatwo wchłonąć i zasymilować.

Niestety w latach 1914-1918 Alianci, głównie z inicjatywy prezydenta Wilsona, rzucili hasło samostanowienia narodów, co musiało prowadzić do ujawnienia sprzeczności w programie Dmowskiego. Był on głównym politykiem polskim działającym po stronie Aliantów, jednak jego podróż do Stanów Zjednoczonych w 1917 roku wypadła jak najgorzej. Paderewski pisał, że „jego postawa, jakkolwiek dumna i prawdziwie patriotyczna, wyrządzała naszej sprawie ogromną szkodę". Kiedy żydowscy przywódcy w Ameryce dowiedzieli się od samego Dmowskiego co sądzi o kwestii żydowskiej, zdecydowali się prowadzić odtąd antypolską politykę. Z amerykańskimi Litwinami i Ukraińcami nie chciał rozmawiać. Jego zdaniem te narody nie dojrzały do państwowości i jedynym rozwiązaniem na wschodzie (mniejszym złem) był podział terytorium dawnej Rzeczypospolitej pomiędzy Polskę a Rosję, mniej więcej wzdłuż granic drugiego rozbioru z 1793 roku. Północ, z przewagą języka litewskiego, otrzymałaby autonomię. Czyż nie przypomina to niemieckich planów co do Litwy?

Wielkim wydarzeniem, jeżeli chodzi o propagandę i wpływ na opinię publiczną, było utworzenie Środkowo-Europejskiej Unii

Demokratycznej w Amercye pod wodzą Masaryka, z jasnym i wyraźnym żądaniem samostanowienia narodów dotychczas zagarniętych przez wielkie mocarstwa. W zjeździe (wrzesień 1918), otwartym przez Masaryka, brali udział Czesi, Słowacy, Węgrzy, Litwini, Ukraińcy, nawet Albańczycy i Ormianie — ale nie Polacy, którzy jedynie złożyli protest przeciwko obecności ukraińskiego delegata ze Lwowa.

Fakty łatwo pozbierać, mnie interesują osobistości. Dla Wilna i Litwy ważną osobistością był Michał Romer, człowiek zasługujący na podziw i szacunek za swoją jasność umysłu.

Romerowie albo Roemerowie byli starą rodziną szlachecką, która z Inflant przeniosła się na Litwę w siedemnastym wieku i wydała wiele osobistości odnotowanych w dziejach W. Księstwa. Michał Romer urodził się w r. 1880 na Żmudzi, we dworze Bogdaniszki w powiecie rosieńskim. Szkołę średnią skończył w Wilnie, po czym studiował prawo w Petersburgu, historię na Uniwersytecie Jagiellońskim, nauki społeczne w Ecole Libre des Sciences Politiques w Paryżu. W młodości nauczył się litewskiego i utrzymywał bliskie stosunki z ruchem „litwomanów". W Wilnie wydawał w 1906 radykalną *Gazetę wileńską*, zamkniętą wkrótce przez władze, po czym przeniósł się do Krakowa, gdzie z pomocą literata z kręgu Młodej Polski, Albina Herbaczewskiego (Litwina) zbierał materiały do najnowszej historii Litwy i pisał o Litwie („Stosunki etniczno-kulturalne na Litwie", 1906; „Litwa", 1908; „Litwini w Prusiech Książęcych", 1911.) Powróciwszy do Wilna, został tam adwokatem. Podobnie jak jego przodek z czasu Filomatów, mistrz loży „Gorliwy Litwin" i loży „Doskonała Jedność", był masonem i współpracownikiem pisma „krajowców" *Przegląd wileński*. Z wybuchem wojny przekrada się do Austrii i wstępuje do Legionów Piłsudskiego, z którym następnie rozstanie się z powodu różnic politycznych. Program niepodległościowy NKN w r. 1916 żądał ekspansji polskiej na wschód, dokładnie według wytycznych Dmowskiego, przyjętych również przez jego politycznych przeciwników. Natomiast Romer był zdania, że należy wskrzesić Wielkie Księstwo Litewskie i w liście do profesora W.L. Jaworskiego przedstawił swoje argumenty (tłumaczę za Sukiennickim): „Załóżmy, że krótkowzroczna koncepcja wzięcia tak dużo jak się da zostanie urzeczywistniona. Polska otrzyma część Białorusi, wchłonie ją i skolonizuje. Polski obszar etniczny powiększy się o tysiące kilometrów a polska ludność wzrośnie o kilka milionów głów... W tym samym czasie Niemcy ze swojej strony skolonizują i zniemczą zabrane przez siebie Kurlandię i Litwę; i, żeby zapobiec polskim wpływom, Rosja będzie bez wątpienia intensywnie rusyfikować wschodnią Białoruś zostawioną w jej ręku. Tak więc w chwili kiedy Polska zakończy dzieło polonizacji zachodniej Białorusi, natrafi na zwarty pruski mur od północy i nie mniej mocny mur na wschodzie. A dalej co? Bez dostępu do morza i bez możliwości ekspansji na wschód, wciśnięta między dwa olbrzymy, czy mała etniczna Polska zdoła zachować niepodległość?

Romer wtedy uważał, że unia Polski z Litwą w przyszłości będzie znów możliwa, ale pod warunkiem, że zostanie najpierw wskrzeszone Wielkie Księstwo Litewskie złożone z Litwy i Białorusi. Pisze o tym w liście:

„Musimy zająć jasne i wyraźne stanowisko. Jeżeli żądamy niepodległego istnienia dla Polski, nie powinniśmy stosować innej miary wobec Litwy i Białorusi. Nie ma znaczenia, że naszym zdaniem status narodu polskiego jest równy statusowi narodów europejskich, że natomiast mamy wątpliwości czy Litwini i Białorusini mają być traktowani jako narody czy ludy. Polacy są traktowani jako coś niższego przez opinię niemiecką; w prasie niemieckiej nie brak głosów, że Polska jest niemieckim *Hinterland*; polscy publicyści są skłonni patrzeć w ten sam sposób na Białoruś w odniesieniu do Polski.

Polska wyciągająca rękę po zachodnią Białoruś wywoła głośny protest białoruskiego ruchu narodowego; żądając Wilna, wywoła ze strony Litwinów krzyk oburzenia z echem w całej Europie. Pozostawiając na boku konsekwencje moralne, których nie należy lekceważyć, wątpliwe jest, czy praktyczne wyniki odpowiedzą oczekiwaniom. Trudno być pewnym, że Polska, która właśnie dźwiga się ze skrajnego poniżenia i nieistnienia, otrzymała prawo do zagarnięcia ziem białoruskich. Czy wolno zgodzić się, żeby musiała znieść wstyd słysząc rzucone sobie w twarz: 'Precz z rękami!'".

Tak w roku 1916 rozumował Romer. Był to głos odosobniony, późniejsze jednak wypadki nic nie zmieniły w tej trzeźwej ocenie. Warto ją zestawić z poglądami Piłsudskiego, który był dla Romera początkowo wiernym synem Wielkiego Księstwa dążącym do jego odbudowy. Polityka Piłsudskiego uderza nas dzisiaj jako rządząca się uczuciowymi odruchami i pozbawiona konsekwencji. Poza tym, jak wiadomo, Piłsudski został pokonany przez polski sejm i prasę, których ducha najpełniej wyrażał Roman Dmowski.

Romer w pewnej chwili spostrzegł, że Wielkiego Księstwa nie da się odnowić i że to, czego się obawiał staje się faktem: Polska zabrała siłą Wilno. Stojąc przed wyborem między Polską a Litwą, wybrał Litwę. Został profesorem uniwersytetu kowieńskiego i jako znakomity specjalista prawa konstytucyjnego, o międzynarodowej sławie, wychował parę pokoleń litewskich prawników.

Wśród mówiących po polsku mieszkańców Litwy należał do wyjątków: oni chcieli uważać się za Polaków, on natomiast uważał

się za Litwina o kulturze polskiej, tak zresztą jak urodzony w Kownie profesor Wiktor Sukiennicki. Przez większą część życia Romer pisał po polsku swój dziennik, który po jego ogłoszeniu będzie, nie wątpię, uznany za monumentalne dzieło świadka historii pierwszej połowy naszego stulecia. Romer umarł w r. 1945 i w testamencie pozwolił na ogłoszenie dziennika w 25 lat po swojej śmierci.

Jakiej ewolucji uległy jego poglądy polityczne? Trzeba byłoby śledzić stopniowe przejście od idei wielonarodowego Wielkiego Księstwa do rzeczywistości Litwy etnicznej. Można się domyślać, że jego lata w Kownie, mimo godności, jakie sprawował (kilka razy był wybrany rektorem uniwersytetu) nie były pozbawione konfliktów, bo nacjonalistą nigdy nie był, a Litwa chorowała na ostry przypływ nacjonalizmu.

Polski czytelnik, zdaję sobie sprawę, ma zawsze trudności z wejściem w skórę Litwinów i zrozumieniem o co im chodzi kiedy przeklinają Unię Lubelską przedstawianą w polskich podręcznikach jako dobroczynną. Utrata klas wyższych na rzecz kultury polskiej i polonizacja stolicy W. Księstwa wydają mu się nie warte krzyku: dlaczego język ma mieć takie znaczenie? A jednak ma, i w wypadku Litwy, otoczonej przez Słowian z jednej strony, Niemców z drugiej, został ostatnim znamieniem tożsamości, jak dzisiaj dla Indian północnoamerykańskich ich obrzędy religijne. Litwini czuli się trochę jak ostatni Mohikanie i nie darmo Oskar Miłosz nazywał ich „Czerwonoskórymi Europy". Powiedziałem gdzieś, że Litwę nowoczesną zrodziła nie historia ale filologia. W istocie trudno sobie wyobrazić większą niż u Litwinów miłość do języka, który ledwo przetrwał i z którego należało wywieść całą zabraną, bo opowiedzianą w innym języku, przeszłość. Stąd zakreślenie wyraźnej granicy pomiędzy swoim, należącym do plemienia i obcym, który może przysięgać, że jest Litwinem z dziada pradziada ale to nie pomoże jeżeli jego mowa nie jest litewska. Postacie takie jak Michał Romer czy Alfred Tyszkiewicz, ambasador Litwy w Londynie po pierwszej wojnie, nie mogły nie zostawić pola do podejrzeń, skoro byli to ludzie kultury polskiej. Oskar Miłosz przynajmniej pisał po francusku, nie po polsku, ale ja, jako poeta polski, już do miana Litwina nie mogłem pretendować. To językowe kryterium stwarza zupełną ambiwalencję jeżeli chodzi o przeszłość. Bo jak być dumnym z architektury Wilna, jeżeli fundowali ją i budowali ludzie nie mówiący po litewsku? Jak ustalić ciągłość od wileńskich lóż masońskich, Towarzystwa Szubrawców, Filomatów — do dzisiaj, jeżeli Wilno wtedy, według językowych kryteriów, nie było litewskie?

Ziemiaństwo na Litwie, z rzadkimi wyjątkami, niechętnie albo wrogo odnosiło się do „litwomanów". Jak wiadomo ruch narodowy litewski został stworzony przez inteligencję i kler pochodzenia chłopskiego. Tu trzeba wprowadzić pewną poprawkę. Rodowody pisarzy i publicystów litewskich wskazują na szczególny krajobraz społeczny tamtejszej wsi. Np. poeta i duchowny Maironis pochodził z rodziny wolnych gospodarzy utrzymujących towarzyskie stosunki z okolicznymi dworami; powieściopisarka Žemaite rosła w drobnoszlacheckiej rodzinie, jej ojciec był rządcą majątku; rodzice Basanowicza i Kudirki byli, zdaje się, chłopami dość zamożnymi; szlacheckiego pochodzenia był poeta i duchowny Baranauskas. Tak więc wszystko to raczej farmerzy niż biedota i w polityce gospodarczej Litwy 1918-1940 wzór średniego gospodarstwa był wyraźnie faworyzowany. Reforma rolna miała na celu zarówno osłabienie tych twierdz języka polskiego, jakimi były dwory, jak popieranie średniej farmy. Siła dworów *nota bene* bardzo martwiła władcę „Ober-Ostu" generała Ludendorffa, szczególnie solą w oku był dla niego Bank Rolny w Wilnie, główne źródło kredytu dla majątków.

Litwini podczas pierwszej wojny grali z Niemcami, tak jak Piłsudski i Polacy w Galicji z Austrią. Taryba (Rada) w Wilnie pod wodzą Smetony już, zdawałoby się, uzyskała niepodległość Litwy w unii z Rzeszą, jako monarchii z niemieckim księciem na tronie. Było to już późno (1918) i te plany się rozwiały. Litwa miała obejmować również Wileńszczyznę, Suwalszczyznę i Grodzieńszczyznę, co trudno sobie — językowo — wyobrazić, jeżeli jednojęzyczność stawała się już obsesją litewskich działaczy.

Znaczna część tego, co Litwini piszą i myślą o sobie dowodzi dużej potrzeby mitologizacji i wręcz utrzymywania pewnych legend, po prostu siłą woli. Jako przykład mogę podać podręcznik do nauki języka litewskiego (bardzo dobry) wydany w Ameryce. Postacie, które toczą tam rozmówki przebywają w Litwie przedwojennej ze stolicą w Wilnie, mimo że Wilno wtedy (z wyjątkiem r. 1939/1940) do Litwy nie należało: oto wola stworzenia rzeczywistości „jak gdyby". Zresztą ta sama wola podyktowała wynalezienie nazwy Vilnius, choć miasto nigdy tak się nie nazywało. W dawnych kronikach występuje jako Vilna albo Vilnia, od rzeki Vilny. A jeszcze Taryba używa nazwy Wilno.

Dmowskiego *Myśli nowoczesnego Polaka* były zapewne przez Litwinów uważnie czytane. Może nawet przeszłość (mała pogańska Litwa rządząca ogromnym nielitewskim, bo słowiańskim i prawosławnym, terytorium) pomagała w przyjęciu doktryny narodu jako właściciela państwa. Tylko że ta dawna Litwa nie chciała nikogo nawracać na swój język i wiarę, ta nowa wyznaczyła sobie misję depolonizacji, posługując się argumentem, że przecież to wszystko Litwini, tylko nieuświadomieni. Dmowski

chciał to samo zrobić z Białorusinami i Ukraińcami, co prawda nie utrzymując, że kiedyś byli Polakami, bo mieli nimi dopiero zostać.

Romer, zwolennik państwa prawa i zawsze wierny swemu masońskiemu Wilnu „krajowców" musiał niekiedy czuć się źle w Kownie, w klimacie etnocentryzmu. Niemniej zachowanie się „polskiej mniejszości" było dostatecznie złe, żeby litewskie posunięcia administracyjne w jego oczach usprawiedliwiać. Bo chyba nic nie stałoby na przeszkodzie tej mniejszości żeby uznać Litwę za ojczyznę i bronić praw do swego języka jako jednego z dwóch języków Litwy. Nie, oni uważali za ojczyznę Polskę i siebie za Polaków.

Książka Sukiennickiego będzie inaczej czytana przez historyków niż przeze mnie. Biorę z niej teraz to co mi potrzebne. Daje ona dość wszechstronne oświetlenie sporu o Wilno. Posiadanie Wilna w perspektywie Warszawy oznaczało rozciągnięcie Polski na wschód jako jedyną możliwą kompensację za obcięcie jej na zachodzie przez (zwycięskie) Niemcy. Polityka niemiecka w 1918 wahała się — poprzednio godziła się na projekt Taryby, z Wilnem jako stolicą Litwy, teraz obiecywała Wilno Polakom. Niemcy zdawali sobie sprawę, że Taryba jest „reprezentacją narodową, nie terytorialną", bo zasiada w Wilnie, mieście polsko-żydowskim, ze znikomym procentem Litwinów, a nie wchodzą w jej skład ani Polacy ani Żydzi. W niedzielę 20 października 1918 roku wielotysięczne tłumy manifestowały na ulicach Wilna przeciwko Tarybie i władzom niemieckim, polska milicja i harcerze utrzymywali porządek. Żandarmeria niemiecka użyła broni, ale obeszło się bez ofiar. Nawiasem należy zauważyć, że długa obecność wojsk niemieckich na wschodzie, nawet po zwycięstwie Aliantów, tłumaczy się chęcią państw zachodnich utrzymania „kordonu sanitarnego" chroniącego przed bolszewikami.

Historia tego miasta mogłaby posłużyć do napisania tragedii. Spór polsko-litewski miałby w niej skromny jedynie udział, bo treścią jej byłby koniec żydowskiego Wilna wymordowanego na Ponarach i następnie okupacja sowiecka, która dla większości wilnian oznaczała utratę ojczyzny.

Czesław MIŁOSZ

Śmierć cygańskiego króla

Wyjechaliśmy o siódmej rano w sobotę — z dworca południowego, kolejką wąskotorową przez Górę Kalwarię. Pamiętam ojca w berecie i szarym płaszczu prochowcu z impregnowanego płótna, które pachniało gumą, z błyszczącą klamrą u paska na brzuchu i czarną teczką ze świńskiej skóry, z wytartą klapą nad kieszeniami. W tej teczce były piżamy ręczniki, kanapki na drogę i paczka herbaty od mamy dla pani Helenki. Ja miałem kurtkę uszytą przez Jadwigę (służącą rodziców sprzed wojny, która teraz zarabiała szyciem) — zbyt obszerną na dwunastolatka, ale wkładałem ją chętnie, ponieważ imitowała angielski *beattle-dress* i była uszyta z wojskowego sukna. Nosiłem krótkie spodenki, chyba granatowe, a na nogach miałem podkolanówki i sandały o jasnej podeszwie z lanej gumy, zapinane na paski. Tak jak ojciec założyłem beret, ale mój był duży, granatowy, z jedwabnymi tasiemkami z tyłu. Naciągnięty na ucho zasłaniał je zupełnie. Ten beret i sandały dostałem w prezencie od stryja Jerzego z Anglii, gdzie młodszy brat ojca spędził wojnę. W paczce była jeszcze zielona koszula z metką pod kołnierzykiem: „*Regulation army officer's shirt*". Pamiętam, że beret i koszula pachniały tytoniem po wyjęciu z paczki.

Dojechaliśmy na dworzec „dziewiętnastką" — na pół godziny przed odjazdem ciuchci. Ojciec ruszył szybkim krokiem w stronę parterowego budynku po drugiej stronie Puławskiej. W środku, przed kasami, był ścisk — chwilę staliśmy w kolejce. Potem — już nie śpiesząc się — poszliśmy wzdłuż składu małych wagonów, zaglądając przez okna do środka. Wsiedliśmy na końcu blisko parowozu spuszczającego parę z kotła. Ojciec znikł nagle w białych kłębach.

— Tato! — zawołałem. — Gdzie jesteś?

Czekałem z nogą na stopniu przed pomostem, póki ojciec nie wynurzył się z mgły. Mówił coś do mnie, ale słyszałem tyl-

ko syk i świst. Wtedy, zwijając dłoń w trąbkę, zawołał: — Wsiadaj!

W środku były drewniane ławki, twarde i niewygodne. Wagonem zatrzęsło, kiedy ruszyliśmy. Sapał parowóz, dym wciskał się przez szpary w oknach. Wagony ciuchci nie miały przedziałów — pośrodku było przejście między ławkami, nad którymi umieszczono półki. Kiedy usiedliśmy, ojciec zaraz zaczął czytać *Życie Warszawy*, a ja patrzyłem przez okno, dotykając nosem zimnej szyby, czasem chuchałem i wtedy — na matowym kawałku — rysowałem palcem koła i serca.

Jechaliśmy do wuja Florentego Trypolskiego, od którego kilka dni wcześniej przyszła depesza: „Heńku, przyjedź natychmiast. Florenty". Ojciec przestraszył się, że wuj umiera.

Młodszy brat matki ojca — babki Bogumiły, która umarła przed wojną — mieszkał gdzieś koło Rogowa, w powiecie rawskim, nad Pilicą.

— Dla ciebie wuj Florenty jest ciotecznym dziadkiem — wyjaśniła kiedyś mama. Ojciec mówił czasem, że jego wuj urodził się w pamiętnym roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim. Z wykształcenia był rolnikiem — studia kończył w Kijowie, później, już w niepodległej Polsce, pracował w cukrowniach i dużych majątkach ziemskich. Po wojnie przeniósł się z Białej Rawskiej „nad rzekę, bliżej ziemi", jak napisał w jednym z listów, które ojciec czytał nam głośno. Pamiętam, że były to listy pisane czarnym atramentem, z ozdobnymi zawijasami przy dużych literach i zamaszystym podpisem na dole kartki. Opisywał w nich kupioną chatę, sad, kłopoty z uprawą pola (musiał prosić chłopów o pomoc) i niepowodzenia z pasieką, którą założył w sadzie. Na skutek wyjątkowo mroźnej zimy pszczoły padły.

Zapraszał nas często — ojca i mnie z mamą — nawet na całe wakacje, ale nigdy jeszcze tam nie byliśmy. Mam wrażenie, że to mama, której wuj nie lubił, nie miała ochoty na odwiedziny. Dopiero przed dwoma tygodniami, kiedy przyszedł list opisujący dolegliwości choroby wieńcowej, na którą wuj cierpiał od lat, i nawiedzające go coraz częściej przeczucia „rychłego odejścia" — ojciec zdecydował się pojechać do Rogowa na trzy dni: sobotę, niedzielę i przypadające na poniedziałek święto pierwszego maja. Kiedy spytałem, czy mogę zabrać się razem — zgodził się chętnie. Mama nie powiedziała nic.

Przez naszą rodzinę wuj Florenty uważany był za oryginała-dziwaka, który z własnej winy nie ożenił się we właściwym czasie i z tego powodu cierpiał na starość. Słyszałem o tym często z ust matki, a także od różnych ciotek i kuzynek ojca.

— Dlaczego nie ożeni się z tą Helenką? — pytała mama

(mając na myśli gospodynię wuja Florentego), ale ojciec nie potrafił udzielić jasnej odpowiedzi.

Mówił najwyżej: — Zawsze był taki. To zatwardziały kawaler, Muszko.

Pani Helena była gospodynią wuja Florentego jeszcze sprzed wojny.

Kiedy wyjechaliśmy z miasta, patrzyłem na zielone oziminy i kwitnące drzewa w sadach. Wydawało się, że z nieba spadły obłoki. Wierzby wzdłuż polnych dróg i brzozy na skraju lasów stały pochylone. Patrzyłem na różne odcienie zieleni — zamykałem i otwierałem oczy. Pod powiekami było czerwono, później biało-zielono, biało.

Pociąg stawał na małych przystankach w lesie. Kiedy ruszał, kłęby pary przesłaniały widok. Wsiadały i wysiadały kobiety z koszami, w których wiozły produkty na targ: pewno osełki masła owinięte w kawałki płótna, białe sery w szmatkach (z odciśniętymi na wierzchu nitkami), jajka w wiadrach, butelki z miodem. Kolejarze grali w oczko.

Chyba przed Górą Kalwarią zjedliśmy kanapki z szynką, przygotowane przez matkę i wypiliśmy rabarbarowy kompot. Ojciec wyjął z teczki butelkę z niebieskiego szkła. Rozlał kompot do kubków, które mama owinęła w ręcznik. Na skórce chleba był mak. Szynkę i rabarbar kupiłem w przeddzień wyjazdu, w sklepie pani Szeliskiej.

Później ojciec rozmawiał z konduktorem, który przysiadł się do nas po sprawdzeniu biletów, a ja wyszedłem na tylny pomost małego wagonu.

— Tylko nie wychylaj się! — usłyszałem za plecami.

Stałem na pomoście, trzymając się metalowej poręczy i patrzyłem, jak pod deskami miga ziemia wzdłuż torów. Biegła tam wydeptana ścieżka. Zrobiło się cieplej, tylko od lasu wiało chłodem, jakby leżał gdzieniegdzie śnieg. Stałem osłonięty od wiatru i słońca. Mimo przestrogi ojca wychylałem czasem głowę zza wagonu i czułem na twarzy zimny pęd.

Kiedy wróciłem, konduktor jeszcze rozmawiał z ojcem.

— Za Niemca, panie, wiadomo było, kim kto jest. Czy nie mam racji? Teraz nigdy pan nie wiesz, co drugi myśli. Na przykład pan i ja: siedzimy, gadamy, ale jeden może się lękać drugiego. Czy nie jest tak?

— Racja, racja — potakiwał ojciec.

— Nie mówię, żebym akurat pana się bał. Ja ludzi znam. Spojrzę tylko i wiem, co za gość. Pan inteligent, synek miły — popatrzył na mnie.

Ojciec uśmiechnął się: — To już kawaler.

— Dzieciak, dzieciak — westchnął konduktor. Czapkę poło-

żył na ławce. Na białym czole miał odciśnięty czerwony pasek, jak przyklejoną czerwoną tasiemkę. — A na innego spojrzę i od razu wiem: łobuz! Ludzie się zmienili. No powiedz pan: nie mam racji?

— To prawda — powiedział ojciec.

Konduktor pochylił się i ściszył głos: — Na przykład jeden od nas, z Rogowa, przy wódce coś powiedział. Jedno słowo. I zaraz po niego przyszli. Następnego ranka. No widzisz pan, widzisz? Co się z ludźmi dzieje?

Ojciec wstał, żeby wyjrzeć przez okno.

— Rogów — powiedział kolejarz. — Za Rogowem na pierwszej stacji wysiadacie. — Zabrał czapkę i poszedł przejściem między ławkami.

— O czym on mówił? — spytałem.

Ojciec usiadł, spojrzał na mnie i zasępił się.

Za Rogowem schował niebieską butelkę do teczki. Nałożyłem beret i *battle-dress*. Ojciec swój szary prochowiec ściągnął paskiem. Wyszliśmy na pomost, kiedy ciuchcia zwalniała bieg.

To był przystanek w lesie — z białą tablicą, którą zobaczyliśmy wysiadając z wagonu: „Lipki" lub „Sosnówka". Pamiętam, że nazwa miała coś wspólnego z drzewem. Nie było żadnego budynku, tylko nasyp wzdłuż torów — z czarnego żużla — a dalej droga przez las. Poszliśmy tą drogą na wschód, zgodnie ze wskazówką wuja Florentego w jednym z ostatnich listów („jak iść od przystanku 'Sosnówka'"), między szpalerami młodych brzóz, za którymi były na przemian zagajniki i pola. Pamiętam, że śpiewały ptaki — chyba skowronki zanosiły się świergotem — cały czas słyszeliśmy to kołatanie wysoko, a w zagajnikach inne ptaki — ojciec mówił, że to drozdy. Słońce świeciło już wyżej, mgła znikła i kiedy tak szliśmy środkiem pustej drogi, ścieżką obok kolein w piasku — wdychaliśmy ciepłe powietrze, zapach trawy i czegoś nieokreślonego, co zawsze później kojarzyło mi się z łąką, żółtą od kwiatów mniszka lub topniejącym śniegiem w rowach i kaczeńcami.

Ojciec pogwizdywał, zadowolony — szedł pierwszy, równym krokiem, rozpinał płaszcz i zdjął nawet mały beret, dlatego idąc za nim, po śladach odciśniętych na piasku, stawiając tak samo duże kroki — widziałem, jak ten ciepły wiatr lekko unosi kępkę włosów na jego głowie — taki mały wicherek, który trzepotał, jak skrzydełko skowronka.

Gdzieś w połowie drogi, między przystankiem „Sosnówka" a wsią, minęliśmy cygański tabor. Wozy stały wzdłuż drogi, pod brzozami i dalej wśród sosen — już z daleka zapachniało dymem i zobaczyliśmy spętane konie. Skubały trawę na poboczach i między koleinami pośrodku drogi, skacząc niezdarnie z miejsca na miejsce z uniesionymi kopytami związanymi w pęcinach. Wozy były żółte, brązowe i zielone — niektóre z kwiatami wymalowanymi na ścianach. Na drewnianych schodach i na pomostach pod daszkami siedziały stare Cyganki. Na drodze bawiły się dzieci — wszystkie bose — dziewczynki w różnokolorowych spódnicach do kostek i chłopcy w białych koszulach. Oczy i włosy niektórych dzieci połyskiwały granatowo. Najmłodsze biegały półnago. Usłyszeliśmy harmonię — ktoś grał w jednym z wozów. Zapachniało zupą z kotła — topioną słoniną, kapustą, kartoflami.

Dzieci stawały i patrzyły na nas, kiedy tak szliśmy środkiem drogi. Obszczekiwały nas psy. A potem młoda Cyganka szła obok przez chwilę, kołysząc dziecko w czerwonej chustce zawieszonej na ramieniu i chciała wróżyć ojcu.

Ojciec bronił się: — Dziękuję, nie trzeba. — Powiedział nawet: — Nie wierzę we wróżby, proszę pani! — Ale ona szła uparcie przy nas, czasem tyłem, kołysząc dziecko i starała się chwycić ojca za rękę.

— Panie profesorze, wszystko powiem z rączki!

Dopiero kiedy mijaliśmy ostatni wóz, przy którym stało dwóch Cyganów — jeden stary, w białej koszuli i żółtej kamizelce, z brodą i w czarnym kapeluszu — odeszła. Ten stary Cygan coś do niej krzyknął po cygańsku, a do nas uśmiechnął się — błysnęły białe zęby: — Dzień dobry, dzień dobry! — powiedział, jakby ucieszył się na widok znajomych.

— Do wsi daleko? — zapytał ojciec, a wtedy obaj zaczęli powtarzać jednocześnie: — Blisko, blisko. Niedaleko.

Obejrzałem się, kiedy odeszliśmy kawałek: na tle zieleni widać było żółtą kamizelkę i czarny kapelusz, gdzieś dalej czerwoną chustkę. Grała jeszcze harmonia i siwy dym snuł się między sosnami. A potem wyszliśmy z lasu na otwartą przestrzeń i już od skraju widać było dachy Sosnówki za polami w zielonych oziminach, wśród kwitnących biało sadów, a dalej horyzont za rzeką, pod niebem jakby podpartym wspinającymi się w górę obłokami.

Szliśmy teraz drogą przez pole, w stronę tak bliskiej już wsi, do chwili kiedy niespodziewanie nadjechał wóz zaprzężony w dropiatego konia. Powoził chłop, którego wuj Florenty wysłał po nas na stację — trochę za późno, ponieważ wyobraził sobie, że przyjedziemy o dwunastej. Ten chłop — pan Chrystek, jak okazało się wkrótce — zatrzymał konie z głośnym „prrr!" i zwracając się do ojca zapytał: — A pan wielmożny, a pan wielmożny do kogo w gości?

Do pana Trypolskiego — odpowiedział ojciec, zdziwiony, a wtedy woźnica w milczeniu zawrócił konia, robiąc wozem koło na drodze — od oziminy do oziminy — i znów stanął przy nas.

— Wsiadajcie. Niedaleczko ujechał! — zaśmiał się trochę chrapliwie. Był w maciejówce naciągniętej na oczy i w czarnej marynarce, spod której świecił biały kołnierzyk. Błyszczały wyglansowane buty-saperki. Mówił do ojca „wielmożny panie" i powtarzał niektóre zdania, jakby zacinał się. Jedno oko, jak zauważyłem, było lekko wysadzone z orbit: zdawało się, że za chwilę wypadnie.

— Niedaleczko, niedaleczko — mówił.

Wdrapaliśmy się na wóz, uradowani — ojciec usiadł obok pana Chrystka, a ja plecami do nich, na desce przykrytej kocem, furman cmoknął głośno i dropiaty koń pociągnął nas w stronę chat w białych drzewach.

Ujechaliśmy może pół kilometra i zaraz skręciliśmy na zarośniętą trawą ścieżkę, między kwitnące jabłonie — jechaliśmy dalej, jak w białej chmurze, do bielonej chaty przed którą woźnica — znów z tym głośnym „prrr!" — zatrzymał konia.

— Oto dwór pana dziedzica Trypolskiego, wielmożny panie! — powiedział. I mrugnął wyłupiastym okiem.

Przed dom wyszła zaraz kobieta w czerwonym swetrze, który ciasno opinał wielkie piersi — uśmiechnięta, wycierała ręce o fartuch — i zwracając się do nas zaraz zaczęła mówić: — Niedaleko pan Chrystek zajechał! A mówiłam wcześniej! Prosimy, prosimy. Pan Florenty już doczekać się nie może siostrzeńca i wnuka!

Była to pani Helenka. Pamiętam ją sprzed kilku lat, kiedy zatrzymaliśmy się w Białej Rawskiej po powstaniu w czterdziestym czwartym — ja z matką we wrześniu, a w listopadzie dołączył do nas ojciec. Była wtedy młodsza i chyba chudsza — teraz patrzyłem, jak ojciec całuje jej rękę. Zaraz zaczął wyjaśniać, dlaczego przyjechaliśmy tym wcześniejszym pociągiem.

— Nie chcieliśmy robić kłopotu. Wuj niepotrzebnie pana fatygował!

— Panie wielmożny, ja to dla pana dziedzica wszystko zrobię! — zachrypiał furman z wyłupiastym okiem.

— Jaki tam dziedzic z pana Florentego! — śmiała się pani Helenka. A potem, zwracając się do mnie i biorąc moją głowę w swoje pulchne ręce, zaczęła mówić: — Proszę, proszę, jaki to kawaler dorosły! Nigdy w życiu nie poznałabym!

Pochyliła się, pocałowała mnie w czoło i przytuliła do wielkiego biustu. Przez chwilę miałem wrażenie, że wtuliłem głowę w poduszkę. Beret spadł na trawę — podniosłem, kiedy pani Helenka przestała mnie tulić.

— Mój Boże, jak latka lecą! — powtarzała.

Weszliśmy niskimi drzwiami, przestępując wysoki próg, do kuchni — i zaraz z pokoju obok, zza płóciennej zasłony, usłyszeliśmy głos wuja Florentego: — Henek? No proszę, proszę!

To nasz Chrystek niedaleko zajechał!

— Sam pan dziedzic rozkazał jechać na dwunastą — mówił pan Chrystek za naszymi plecami. — Nie moja wina, nie moja wina.

Weszliśmy do pokoju, w którym — na drewnianym łóżku naprzeciw okna z gałązkami jabłonek zaglądającymi do środka — pół siedział, pół leżał wuj Florenty. Pamiętam piętrzące się wokół czerwone poduszki. Był w białej koszuli zapiętej pod szyją i tak jak dawniej wydawał mi się bardzo czysty i schludny. Kiedy całował mnie, poczułem zapach wody kolońskiej i muśnięcie gładko wygolonego policzka. Posiwiał tylko bardziej — jeżyk wuja Florentego wydawał się mleczno biały, jak powłoka pierzyny lub ściana nad łóżkiem.

— Drodzy moi, kochani, Henku, wnusiu, jakże się cieszę! Siadajcie, siadajcie! Pani Helenka zaraz poda coś gorącego. Może ręce chcecie umyć? Może załatwić naturalną potrzebę? Pani Heleno!

Ojciec postawił na podłodze teczkę i zdjął płaszcz.

Poszedłem za dom, ścieżką, którą wskazała pani Helenka, do drewnianej wygódki. Kiedy wróciłem, wuj Florenty mówił do pana Chrystka, który rozsiadł się na skrzyni między oknami: Pana Chrystka pożegnamy tymczasem. Może później, wieczorem, zajrzy, ale teraz niech idzie, moi goście zmęczeni, prawda? — I chyba mrugnął do ojca.

— Już idę, już lecę — powiedział furman wstając ze skrzyni. — Mnie tam nie trzeba, mnie tam nie trzeba dwa razy powtarzać!

Wyszedł uśmiechnięty, z tym okiem na wierzchu, które — jak zdawało się — może za chwilę wypaść.

— Dobre chłopisko, ale wleźliwe, jak mówią Moskale — powiedział wuj Florenty, kiedy pan Chrystek zamknął drzwi. — Henku, Henku, jakże się cieszę!

Weszła pani Helenka z tacą, na której stał talarz z pokrajanym chlebem, a obok ser i miód na mniejszych talerzykach. Dwie szklanki z herbatą.

— A może mleczka podać? — spytała ale ojciec zaraz zaczął tłumaczyć, że nie jesteśmy głodni, ponieważ dopiero co jedliśmy kanapki, które mama przygotowała na drogę.

— Prawda, prawda, jak tam zdrowie pani Muszki? — zapytał wuj poważniejąc.

Po śniadaniu pobiegłem nad rzekę. Chwilę stałem na wysokiej skarpie, w miejscu, gdzie kończyła się ścieżka między jabłonkami. Roztaczał się stąd widok na dalekie pola, jakby widać było cały kraj. Za linią lasu błysnęła w słońcu blacha na wieży kościoła. Czułem ciepły wiatr na twarzy, wiejący znad tej dale-

kiej przestrzeni, od nieba z piętrzącymi się obłokami.

Zbiegłem ścieżką nad rzekę. Stąd wysoki brzeg wydawał się przykryty białą chmurą. Wszędzie kwitły sady. Przy brzegu, obok kładki ze spróchniałych desek, leżała na wpół zatopiona łódka. Woda przepływała z szelestem przez dziury w burtach. Usiadłem okrakiem na dziobie i patrzyłem na rzekę. Stado białych gęsi i kaczek pływało trochę dalej. Prócz ich głosów i szmeru wody, przeciekającej przez burty, nie słyszałem nic.

Może po kwadransie przyszła pani Helenka z drewnianym cebrzykiem, w którym przyniosła bieliznę do płukania.

— No co, nie pięknie u nas? — spytała. — Przyjedź na wakacje. Chrystek naprawi łódź, będziecie łowić ryby. Namów tatusia i mamusię. Namówisz?

Powiedziałem, że będę namawiał a ona uklękła na kładce, przytrzymując się burty i zaczęła płukać koszule i kalesony wuja Florentego, prześcieradła i poszwy. Siedziałem na dziobie łódki i przyglądałem się jak pani Helenka płucze bieliznę. Nie miała już czerwonego swetra — była w białej bluzce rozpiętej na piersiach, które przy każdym ruchu rąk zanurzonych w wodzie poruszały się pod luźną bluzką, wielkie, jak by pani Helenka zamiast mojej głowy tuliła teraz białe gęsi. Przyglądałem się, jak granatowa spódnica, opinająca biodra i pośladki, obsuwa się niżej i spod podwiniętej bluzki wygląda ciało. Widziałem nogi pani Helenki — grube łydki trochę spuchnięte nad kostkami. Na stopach miała pocerowane skarpetki — pewno wuja Florentego. Prześcieradła rozpływały się na tle zielonych wodorostów pod kładką, jakby tuż obok, nurkując, przepływały białe kaczki.

Pani Helena wypytywała o szkołę i kolegów. O nasze mieszkanie i zdrowie mamy. Kiedy podniosła się z klęczek, wstałem również. Wtedy znów przygarnęła mnie — poczułem jej zimną rękę na ramieniu — i chwilę tak staliśmy na kładce, przy brzegu. Pamiętam, że spłoszone czymś gęsi odleciały gdzieś dalej, tłukąc skrzydłami o wodę.

Pomogłem wnieść cebrzyk z bielizną na górę.

Na parapetach w dużym pokoju, gdzie pół leżał, pół siedział wuj Florenty na swoim wielkim łóżu, stały fajansowe talerze z rzeżuchą, której zapach czuć było bliżej okna. Stały tam także doniczki z pelargoniami i zielone skrzynki w których pani Helenka trzymała sadzonki pomidorów i włoskiej kapusty.

W czasie obiadu ojciec z wujem Florentym wspominali Ukrainę.

— Ty, Henku, miałeś szczęśliwe dzieciństwo — powiedział wuj. — Przyjeżdżałem do was na wakacje z Kijowa. Twój ojciec przysyłał konie na stację do Krasnohorki, a potem jechało się do Sławuci te piętnaście a może dwadzieścia wiorst przez step. Pamiętasz furmana Pohoryłę? Czasem przyjeżdżaliście po mnie — ty lub Karol. Mieliście po dziesięć lat. Boże mój bat'ku, już wtedy byłem stary!

Ojciec nie odezwał się, tylko zaśpiewał po ukraińsku:

Doszczyk, doszczyk, aż iz strichy kopotyt',
Rozserdywsia mij mileńkij, aż nohami tupotyt'!

Później wyjaśnił, że tak śpiewała jego matka, babka Bogumiła, na werandzie w Sławuci, kiedy przyszła wiosenna burza — padał deszcz, grzmiało a jednocześnie świeciło słońce i pokazała się tęcza nad ogrodem. Ojciec miał pięć czy sześć lat, ale zapamiętał tamtą chwilę na całe życie.

— *Boże Bat'ku* — wzdychał wuj Florenty — *hde to zajszło nasze sonce?*

Siedzieliśmy przy stole przykrytym lnianą serwetą. Wuj nałożył szlafrok na białą koszulę do pięt. Ten szlafrok — z szarego płótna, z grubym sznurem zamiast paska — przypominał habit. Szurając wielkimi papuciami bez pięt i podpierając się laską, podszedł do stołu. Uśmiechał się ciągle do mnie i poklepywał po policzku lub ramieniu.

— Nie mogę się nacieszyć, że mam takiego wnusia! — mówił do ojca. — Czy jesteś szczęśliwy, Józiu? — zapytał, a potem, nie czekając na odpowiedź, zaczął mówić o tym szczęśliwym dzieciństwie ojca.

Jedliśmy rosół, po którym pływały złote oka i zielone listki pietruszki. Makaron był pozwijany i kruchy. Na drugie pani Helenka przyniosła półmisek z kotletami i ziemniakami, na których świeciły brązowe skwarki. Były kiszone ogórki i kompot z rabarbaru do popijania — słodszy niż tamten z niebieskiej butelki.

— Jedzcie, jedzcie, mizeraki — powtarzał wuj Florenty.

Pomyślałem, że jego choroba wieńcowa i obawy ojca, że umrze nie doczekawszy się naszych odwiedzin — wszystko było złudzeniem. Może udawał chorego? Ciągle rozmawiali z ojcem o Ukrainie i ludziach, których pamiętali — o furmanie Pohoryle, piastunce ojca Marusi, o dziadku Tadeuszu i babce Bogumile — starszej siostrze wuja Florentego.

— Wszyscy nie żyją, ich groby rozsiane po świecie, ale pamięć nie pozwala, żeby odeszli, co, Henku? Pozostali w naszych sercach — powiedział wuj Florenty, wycierając usta i brodę białą chustką.

Potem zaczął wypytywać o stryja Jerzego: — podobno zadowolony z tej Afryki?

Stryj Jerzy wyjechał do Adenu, później do Kenii. Po wojnie przeniósł się z polskiego dywizjonu do RAF-u i zgodził na służbę w koloniach.

— Pisze, że wszystko dobrze — powiedział ojciec.

— Pewno jaką Murzynkę przyhołubił sobie — zaśmiał się wuj Florenty.

Ojciec zapytał o inżyniera Ignatowicza z Białej Rawskiej — wykładali razem na tajnych kursach nauczania. Wuj powiedział, że inżynier przeniósł się do Piotrkowa.

Kiedy piliśmy herbatę z kruchymi ciasteczkami (na każdym leżał migdał lub połowa włoskiego orzecha w lukrze), ojciec zaczął opowiadać o powstaniu. Wspominał, jak patrol żandarmerii powstańczej postawił go z rękami do góry pod murem, ponieważ nie miał AK-owskiej legitymacji ani żadnego zaświadczenia ze swego oddziału. Był przydzielony do grupy, która wybierała miejsca na barykady w rejonie Lwowskiej, Poznańskiej i Hożej. Tam go zatrzymali z mapnikiem, na którym rysował szkic barykady, a kiedy okazało się, że nie ma pozwolenia — postawili pod murem.

— Wszyscy wtedy łapali szpiegów. Tak jak w trzydziestym dziewiątym.

Wyobraziłem sobie ojca w powstańczej furażerce, z mapnikiem przewieszonym przez ramię — stojącego z rękami do góry pod murem kamienicy na Lwowskiej lub Hożej.

— O Boże ty mój Bat'ku! — wzdychał wuj Florenty.

Ojciec śmiał się. Powiedział, że stał tak pół godziny, otoczony gapiami, póki żandarmi nie sprawdzili w komendzie zgrupowania „Zaręba-Piorun", kim jest.

Zamknąłem oczy i ciągle widziałem tamten mur, ojca, dymy nad dachami kamienic. Nie wiem czemu, ale zobaczyłem nagle gołębia pod nogami gapiów. Biegł drobiąc czerwonymi nóżkami po niebieskich kostkach jezdni, wśród odłamków gruzu i szkła, jakby szukał okruchów chleba.

Ksiądz Szotarski przyjechał na rowerze o piątej. Pamiętam, że wynurzył się nagle spomiędzy szpaleru jabłoni — czarny, w sutannie podwiniętej na kolanach i spiętej agrafkami. Miał zielone spodnie-bryczesy i buty oficerki, które zniknęły pod sutanną, kiedy odpiął agrafki. Zdjął zaraz czarną czapkę-narciarkę.

Akurat siedziałem na małej ławce pod ścianą chaty. Spojrzał na mnie, nim pochylił głowę w progu i powiedział: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Zniknął, a ja tylko zdążyłem szepnąć w stronę drzwi: — Na wieki wieków!

Kiedy w pół godziny później wszedłem do pokoju za kuchnią — wuj Florenty, ojciec i ksiądz Szotarski siedzieli przy stole. Pachniało kawą z trzech porcelanowych filiżanek przyniesionych przez panią Helenkę. Pośrodku stołu zauważyłem rzeźbioną karafkę z grubego szkła, z korkiem w kształcie graniastosłupa. Obok filiżanek stały kieliszki z takiego samego szkła — granatowe, z wyrzeźbionymi gwiazdkami, jakby przylepionymi płatkami śniegu. W karafce i kieliszkach połyskiwała ciemna nalewka.

— To mój wnuczek, proszę księdza — ucieszył się wuj Florenty na mój widok. Józiu, przywitaj się z księdzem Szotarskim.

— Witaj przyjacielu — powiedział do mnie gość wuja i podał rękę. Pamiętam, że bardzo mocno ścisnął palce. Szurnąłem sandałami o drewnianą podłogę.

Ksiądz Szotarski palił. Długi papieros dymił w srebrnej cygarniczce, która leżała na szklanej popielnicy przed nim. Kiedy unosił się, żeby podać mi rękę, zmrużył oczy. Był wysoki i chyba młodszy od ojca, chociaż siwy, tak jak wuj Florenty. Twarz przy białych włosach wydawała się opalona. Zauważyłem, że czarna czapka leży za plecami księdza, na zielonej skrzyni.

Wuj uszczypnął mnie w policzek. — Wnusiu miły! — powiedział.

Nie wiedziałem, jak zachować się. Nie prosili, żebym siadł na wolnym krześle. Z kłopotu wybawił mnie ojciec.

— Synu, zostaw nas samych. Mamy do omówienia ważną sprawę.

— Bardzo cię przepraszam, mój drogi — dodał wuj Florenty. Siedział w swoim szlafroku przepasanym grubym sznurem. Ręce trzymał na lasce, która tkwiła między kolanami, w fałdach szlafroka.

Pachniało kawą. Słońce wpadało przez okna i cienie pelargonii poruszały się na podłodze z jasnych desek.

— Ach, nie, nie! — powiedział ksiądz Szotarski. — Chłopcu można zaufać. Dobrze mu z oczu patrzy.

Spojrzałem pytająco na ojca. Odczekał chwilę, potem skinął głową.

Ksiądz zaciągnął się dymem ze srebrnej cygarniczki. — On przecież wie, w jakich czasach żyjemy. To, co usłyszy, zachowa dla siebie. Prawda, przyjacielu? — popatrzył na mnie niebieskimi oczami.

Skinąłem głową, tak jak przed chwilą ojciec, a potem usiadłem na brzegu krzesła. Pamiętam dziwne wrażenie: oparcie z plecionką z rafii wydało mi się zimne, jakby lodowate ręce dotknęły moich pleców. Dzięki księdzu Szotarskiemu poznałem historię porucznika Łady.

— Jest to, proszę pana — zwrócił się do ojca — sprawa wagi państwowej. Dlatego pozwoliłem sobie prosić pana Trypol-

skiego, aby wezwał siostrzeńca z Warszawy. Wy tam, podobno macie jeszcze kontakty, różne znajomości. Może stare, z podziemia, z konspiracji? Proszę się nie obawiać! — uniósł dłoń z papierosem w srebrnej cygarniczce. — My, proszę kochanego pana, musimy teraz trzymać się razem. W tych ciężkich czasach. Prawda?

Ojciec podniósł ostrożnie kruchą filiżankę. Wypił łyk kawy. — Nie wiem, czy ksiądz nie zawiedzie się na mnie. Dawno straciłem kontakty.

— Henku, Henku, wysłuchaj dobrodzieja do końca — odezwał się wuj Florenty.

— Otóż, drogi Henryku — mówił ksiądz Szotarski, znów zaciągając się papierosem i mrużąc oczy — chodzi o człowieka, który uciekł z Katynia. Świadka. On widział wszystko. Podkreślam: wszystko.

W pokoju zapadło milczenie. Tylko cienie pelargonii na deskach podłogi poruszały się — czarne na jasnym tle. Gdzieś znad sadu wiatr przywiał zapach kwitnących drzew. Na chwilę zapachniało jabłonkami.

— Czy to możliwe? — spytał ojciec. — Czy ksiądz jest pewien? Zna tego człowieka na tyle, że może ręczyć? O ile wiem, z Katynia nikt nie uszedł z życiem. Nikt.

— Tak, tak. Wiem! Zaczął mówić szybko ksiądz Szotarski. — To wszystko brzmi nieprawdopodobnie, ale ja tego człowieka poznałem dobrze. On tam był na pewno. Uciekł spod kul. Chodzi o to, aby go przerzucić na Zachód. Pan rozumie, tutaj stale grozi mu śmierć. Jego mogą w każdej chwili, ot! — i ksiądz Szotarski pstryknął nad filiżanką palcami.

Znów zapadło milczenie. Wuj Florenty patrzył na ojca, ale nie uśmiechał się. Wszyscy trzej siedzieli zatroskani i poważni, nad rzeźbionymi kieliszkami i filiżankami z kawą. Daleko, za białym sadem, szczekały psy.

— Chodzi o porucznika Ładę — odezwał się w końcu ksiądz. — To, oczywiście, nie jest jego prawdziwe nazwisko. On w naszej okolicy mieszka kątem, pracuje dorywczo, ale dłużej tak żyć nie może, jak zaszczuty pies! Chodzi o jak najszybsze przerzucenie tego człowieka na Zachód.

— Jak to było? Kiedy? Z którego obozu go przywieźli? — zaczął pytać ojciec. Wydał mi się poruszony — nawet wzburzony.

— Mówi, że był w katyńskim obozie. W dniu egzekucji, kiedy NKWD zaczęło strzelać, kilku oficerów rzuciło się na oprawców. Wywiązała się bójka. Nasi bardzo dzielnie poczynali sobie — wielu tamtych padło. W tym zamieszaniu, nim wezwali posiłki, porucznik Łada uciekł do lasu. On mówi, że wyrwał karabin bojcowi i wywijając nim nad głową przedarł się przez kordon. Biegł między drzewami, kule siekły po pniach, ale zdołał dobiec do drogi. Tam białoruski chłop podwiózł go furmanką, a potem przechował do czerwca czterdziestego pierwszego. To wszystko. Później był w oddziale Piwnika.

Zauważyłem, że ojciec kręci głową. Milczał chwilę, potem chrząknął i zaczął wyliczać na palcach: — Po pierwsze w Katyniu nie było obozu. Po drugie oni zabijali pojedynczo, strzałem w potylicę, ręce wiązali drutem. Po trzecie co to za chłop, jak z bajki! To było w czterdziestym roku, pod bokiem NKWD!

Ksiądz Szotarski postukał srebrną cygarniczką w popielnicę.

— Henku — odezwał się wuj Florenty — ja także z tym człowiekiem rozmawiałem. Był oficerem w dziesiątym pułku strzelców konnych.

Usłyszałem ostry głos ojca: — Ale fakty przeczą temu, co mówi! Niechże ksiądz będzie ostrożny. To może być prowokator.

— Drogi panie Henryku — powiedział ksiądz Szotarski po chwili milczenia — znam Ładę dobrze. To kryształowy człowiek. Po cóż miałby zmyślać, czy prowokować?

— Zalecam ostrożność! — powtórzył z naciskiem ojciec. — NKWD szuka naiwnych. Przepraszam — dodał.

Zamilkli. Pomyślałem, że ta rozmowa zaczyna być nudna — wstałem i wyszedłem przed dom. Ojciec dopiero po powrocie wspomniał porucznika Ładę w rozmowie z matką.

— Podobno uciekł z Katynia. Czysta prowokacja i to szyta grubymi nićmi. Ledwo wuja przekonałem. Prosiłem, żeby wytłumaczył księdzu, ale ten Szotarski jest zbyt naiwny.

— Co wuj zrobi z domem: sprzeda? A może zapisze komuś w testamencie? — spytała niespodziewanie mama.

Ojciec zdziwił się: — Dom? Myślę, że powinien zapisać pani Helenie. Za to całe poświęcenie. Ale wuj jeszcze bardzo dobrze się trzyma! — Machnął ręką. Później już nie wspominał porucznika Łady.

Kiedy wróciłem po kwadransie, w pokoju wuja Florentego także nie mówiono o nim. Pewno niespodziewana wizyta pana Chrystka przerwała rozmowę. Siedział na zielonej skrzyni i perorował głośno. Nos i policzki, jak zauważyłem, były bardziej czerwone niż rano i chyba częściej mrugał wyłupiastym okiem. Niebieska maciejówka leżała obok czarnej czapki księdza Szotarskiego. Może wielmożni panowie wyjaśnią niepiśmiennemu chłopu, jak to jest z tą komuną — mówił. — W dwudziestym roku przeszedł całą wojenkę w sto czterdziestym pułku piechoty pod bezpośrednim dowództwem podporucznika Ignacego Kublicza. Już wtedy, wielmożni panowie raczą pamiętać, ten Marchlewski, czy inny Kon, szykowali nam prezent. Niby pan marsza-

łek Piłsudski dał im nauczkę, ale ćwierć wieczku minęło i są z powrotem! Czyja to wina, wielmożni panowie, czyja wina? Marszałka Piłsudskiego, a może Pana Boga?

— Ty, Chrystek, Pana Boga nie mieszaj do ziemskich spraw — odezwał się ksiądz Szotarski.

— Jak to, jak to, proszę księdza wielebnego proboszcza? Od dziecka mnie uczyli, że Pan Bóg wszystko widzi, wszystko wie, wszystkiemu się przygląda a może nawet planuje. Ja chciałbym wiedzieć: kto tu wpuścił bolszewików?

— Moim zdaniem szatan — westchnął ksiądz Szotarski.

— Niech się kochany Chrystek nie złości na komunistów — odezwał się wuj Florenty. — Oni czynią sporo dobrego. Oświata, lecznictwo, sprawiedliwy podział majątków, to też się liczy w niebie.

Wydało mi się, że pan Chrystek aż podskoczył na zielonej skrzyni. — Wielmożny panie, wielmożny panie, pozwolę sobie inaczej uważać! Chyba, że tę propagandę nazwie pan nauką, a złodziejstwo — sprawiedliwością! — Wyłupiaste oko patrzyło teraz gdzieś w sufit, jakby furman zwracał się wprost do pana Boga.

Ojciec i ksiądz Szotarski śmieli się.

— Pani Heleno! — zawołał wuj Florenty.

— Wielmożny pan raczy się uspokoić. Ja zaraz sobie pójdę, zaraz pójdę! Nie potłukę tej miśnieńskiej porcelanki.

Pani Helenka zajrzała do pokoju. Wuj Florenty przywołał ją gestem uniesionej ręki — białej i chudej. Potem szeptał chwilę na ucho. Pani Helenka zaraz wyszła.

— Wielmożni panowie, uczeni i mądrzy, a nie potrafią wyjaśnić prostemu chłopu! — kiwał głową Chrystek. — Po co Pan Bóg stworzył komunę? Na czyje podobieństwo?

— Bóg ludzi boleśnie doświadcza! Niejeden raz.

Ksiądz Szotarski chciał mówić dalej, ale w tej chwili w drzwiach ponownie ukazała się Pani Helenka: — Pan Stanisław proszony do kuchni! W pilnej sprawie. Już, już, raz dwa! Prędzej. — Machnęła białą ścierką.

— No proszę, nie mówiłem? Ledwom przyszedł, już przepędzają! Idę, idę, wielmożna pani, już mnie tu nie ma. Dziękuję za rozmowę, dziękuję za wszystko.

Patrzyliśmy, jak wstaje niepewnie i chwiejąc się idzie w stronę drzwi. Kiedy mijał moje krzesło, poczułem zapach wódki. Potknął się jeszcze o próg, chwycił za framugę i zniknął za zasłoną. Później już tylko od czasu do czasu słyszeliśmy chrapliwe pokasływania i niektóre słowa.

— Królowo Trypolska, wielmożna pani, najwyższa władzo, dziedziczko...

— Ciszej, ciszej, co się tak rozochocił? — strofowała pani Helenka.

— Z nim trzeba ostrożnie — powiedział wuj do księdza — niby taki antybolszewik, żołnierz Piłsudskiego, a przyjaźni się z tym milicjantem-łobuzem, jak mu tam?

— Żyto, Żyto.

— Właśnie. To przecież okropny komunista, bolszewik, UB-owiec.

— Ale chodzi do spowiedzi.

Wuj Florenty rozłożył chude ręce: — A ksiądz, broń Boże, udziela mu rozgrzeszenia? Z bolszewizmu nie można rozgrzeszać! Ojciec i ksiądz Szotarski śmieli się.

Trochę później pani Helenka wniosła naftową lampę i postawiła pośrodku stołu. Zabrała filiżanki z miśnieńskiej porcelany i zaczęła ustawiać białe talerze. Zamknęła lufciki nad pelargoniami.

Na kolację były sery, wędliny, marynowane rydze, kiszone ogórki w plasterkach. Wiejska kiełbasa pachniała jałowcem. Nie trzeba było zdejmować skórki — cienkiej, jak skóra wędzonych szprotek, które kupowałem czasem w sklepie pani Szeliskiej. Koszyk z czarnym chlebem stał koło lampy. Pachniało jeszcze kawą i dymem papierosów ze srebrnej cygarniczki.

Podczas kolacji wuj z księdzem Szotarskim zaczęli dyskutować o problemach wiary, niewiary i dowodach na istnienie Pana Boga. Zauważyłem, że ojciec prawie nie odzywał się — jadł w milczeniu.

Wuj Florenty był ateuszem, jak sam mówił. Ksiądz Szotarski twierdził, że ateizm jest ślepą ulicą, która kończy się czarną dziurą. — Nie ma na niej słońca, nie ma latarni. Nic. Droga do nikąd. Bóg jest światłem, kochanie panie Florenty. Całe życie idziemy do światła. Po cóż skręcać w ostatniej chwili?

— Nie mogę iść nie znając drogi, czyli odpowiedzi na podstawowe pytania: dlaczego, po co, jak?

Siedziałem bardzo senny i czasem miałem wrażenie, że ta rozmowa toczy się gdzie indziej — daleko, za drzwiami lub za oknem. Może ojciec zauważył pierwszy?

— Józku, czas do łóżka! — usłyszałem.

— Tak, tak — to był głos wuja. — Pani Helena przygotowała wszystko. Idź, idź, kochany. Dobranoc.

Wstałem, ukłoniłem się i powtórzyłm cicho: — Dobranoc.

Kiedy wyszedłem na chwilę przed dom, niebo wydało mi się inne niż w mieście — bardziej granatowe i całe usiane gwiazdami. Nad głową, nad dachem domu wuja Florentego, nawet w gałęziach jabłonek — wszędzie widziałem gwiazdy. Stałem z zadartą głową, koło wygódki za szopą. Gdzieś, z bardzo

daleka, wiatr przywiał melodię. Może ktoś grał na harmonii w obozie Cyganów? Później znów było cicho.

Wiem, że długo nie mogłem zasnąć. Leżałem na drewnianym łóżku, w pokoju pani Helenki, przykryty pierzyną, której poszwa była zimna i pachniała wilgotnym powietrzem. Wdychałem zapach rzeżuchy z parapetu i czasem cienki dym papierosów, które ciągle palił ksiądz Szotarski. Przez szparę w drzwiach do pokoju obok widziałem żółte błyski naftowej lampy i długo słyszałem głosy wuja Florentego i księdza. Ciągle spierali się o istnienie lub nieistnienie Pana Boga. Ojciec chrząkał. Płomień naftowej lampy jakby mocniej zamigotał w szparze. Zamknąłem oczy.

Już zasypiałem, kiedy nagle zbudziły mnie dwa głosy bliżej — zza uchylonego okna, pod którym stało łóżko. To były głosy pani Helenki i mężczyzny. Przyszli nagle i chyba usiedli pod ścianą chaty, niedaleko okienka.

Pani Helena mówiła: — Ty, Stachu, jesteś niecierpliwy. Ty chciałbyś zaraz wszystko. Tak nie można.

— Co wszystko, co wszystko? Ja tylko mówię: starego mogę zaraz, wiesz! Jak nie tak, to inaczej.

— Nawet tak nie myśl. To człowiek z tamtego świata.

— I tam go czekają. Najwyższy czas.

— Komu czas a komu nie, wie tylko pan Jezus — szepnęła pani Helenka. — Przestań, przestań, Staszku! — powiedziała głośniej.

Chwilę milczeli. Ksiądz Szotarski za ścianą rozwodził się na temat życia wiecznego. Kiedy otwierałem oczy, widziałem róg okna, za którym siedzieli pani Helenka i nieznajomy. Na granatowej tafli za szybą, jak światła dalekich miast, mrugały gwiazdy. Pachniała rzeżucha.

— No chodź, chodź, Heluś! Na nas czas — powiedział mężczyzna.

— A gdzież tam! Dziś nie. Dziś nie, Staszku.

— Jak mnie tak czasem najdzie, żebyś wiedziała — powiedział cicho mężczyzna. — Szukam cię po ciemku koło siebie.

— Tobie tylko wódka i amory w głowie.

Znów zapadło milczenie. Poruszyłem się i słoma w sienniku zachrzęściła, jakby ktoś stąpał po trzeszczącej podłodze. Otworzyłem oczy. Mrugały gwiazdy za granatową szybą.

— Jezu — powiedziała cicho pani Helenka i powtórzyła zaraz głośniej: — Jezu! Ile to człowiek się namęczy w tym grzesznym życiu.

Słyszałem trzeszczenie, jakby ktoś szedł po starych deskach. Usiadłem, odgarnąłem pierzynę na bok i podpełzłem na kolanach

do parapetu. Wyjrzałem przez liście pelargonii nad rzeżuchą. Na tle ciemnych drzew w sadzie zobaczyłem dwie głowy: mężczyzny w maciejówce i pani Helenki. Cofnąłem się i przykryłem pierzyną. Te świerszcze wciąż odzywały się w ścianie, coraz głośniej, jak mi się zdawało. Trzeszczała podłoga, coś załomotało. Zdawało mi się, że ktoś krzyknął. Wyjrzałem spod pierzyny — w rogu okna mrugały światła dalekich miast. Poczułem dym z papierosa księdza Szotarskiego. Zamigotał żółty płomień.

I wtedy, nagle, zaczął śpiewać słowik. Ojciec spytał mnie rano, czy słyszałem słowika. Z początku nie mogłem uświadomić sobie, skąd i czyj to głos. Jakby ktoś uderzał w jeden klawisz fortepianu a potem gwizdał długo, grał na organkach, przerywał, strzelał palcami. Pukał do drzwi. Znów uderzał o jeden klawisz.

Zasypiałem. Te świerszcze umilkły. Było coraz ciemniej, jakbym odchodził w stronę tamtego lasu na horyzoncie, za rzeką. Coraz dalej. Jeszcze łyk zimnego powietrza, jeszcze umierające głosy. A potem już nic.

I przyśnił mi się porucznik Łada.

Oficerowie stali rzędem, w brzozowym lesie. Mężczyźni w polskich mundurach. Jeden, pamiętam, miał rękę zawieszoną na białej chuście poplamionej krwią — tak jak tamten z obrazu „Olszynka grochowska". A naokoło stali bojcy z karabinami o cienkich bagnetach, jak igły. Na iglanych bagnetach, jak w wąskich lustrach, błyszczało zamglone słońce. Może — przez zmrużone powieki — widziałem jeszcze płomień lampy? Rosjanie mieli bure szynele do kostek i wielkie czapy z błękitnymi otokami. Otaczali pierścieniem oficerów w drelichowych mundurach i polowych rogatywkach. Wśród nich stał porucznik Łada. Od razu wiedziałem, że to on — może wuj Florenty lub ksiądz Szotarski pokazali na niego uchylając drzwi: — Spójrz, tam stoi porucznik Łada!

Był wysoki i szczupły. Miał ciemny zarost na długo nie golonych policzkach i niebieskie oczy. Na kieszeni munduru przypięty krzyż walecznych na biało-wiśniowej wstążce. Obok porucznika stał ten z obandażowaną ręką. Było cicho — słyszałem tylko szelest brzozowych liści.

A potem, nagle, zjawił się rosyjski oficer, w takim samym szynelu i wielkiej czapie, jak bojcy. Spod płaszcza świeciły buty-oficerki, pofałdowane na kostkach w harmonijkę. Miał ostrogi i kiedy szedł, te ostrogi zostawiały świecące zygzaki w trawie, jakby za nim pełzły dwa węże. Zauważyłem, że Polacy mieli inne buty — wysokie i lśniące, bez harmonijki na kostkach.

Sowiecki oficer uniósł rękę z czarnym naganem i strzelił. Nie słyszałem huku, tylko zobaczyłem obłoczek dymu. Bojcy

zaraz wymierzyli lufy karabinów w stronę jeńców. I wszystko potoczyło się szybciej. Jeszcze patrzyłem na sowieckiego oficera z czarnym naganem. Kiedy odwrócił się, zobaczyłem, że nie ma twarzy. Jego głowa przypominała wielki arbuz. Naokoło żołnierze strzelali — błyski pełzały po bagnetach, jak złote wężyki. Nasi rozbiegli się po polanie. Zobaczyłem porucznika Ładę — podbiegł do najbliżej stojącego żołnierza i chwycił za lufę karabinu. Mocowali się trzymając z dwóch stron. Cienki bagnet zataczał koła nad nimi. Wszędzie walczyli oficerowie. Po trawie toczyły się czapki z niebieskimi otokami, podskakiwały rogatywki. Ten sowiecki oficer, z arbuzem zamiast głowy, strzelał ciągle. Pośrodku polany stał ranny z obandażowaną ręką — on jeden nie brał udziału w walce.

Powstał wiatr i gałęzie brzóz zafalowały jak woda w jeziorze. Wszystko zaczęło tonąć w tej wodzie — porucznik Łada, bojcy w burych szynelach, oficer bez twarzy. Ranny. Jeszcze słyszałem strzały, jak trzaski podłogi lub cykanie świerszczy. Coraz dalsze i cichsze. Aż wszystko zniknęło.

Później tylko przez chwilę widziałem porucznika Ładę. Był już sam — klęczał nad rowem przydrożnym. Naokoło rosły kaczeńce — porucznik pił wodę nabierając w złożone dłonie. Widziałem jak woda przecieka przez palce, płynie po brodzie na podarty mundur. Odjął ręce od twarzy i wtedy zobaczyłem krople na brwiach i rzęsach.

A potem odjechał wozem zaprzężonym w dropiatego konia. Woźnicą był pan Chrystek. Nad karkiem konia zakołysała się duha — świsnął bat, cienki jak bagnet. Odjechali drogą wśród sosnowych zagajników, jak te, przez które szliśmy z ojcem. I poczułem zapach tamtego lasu — szyszek, igieł, jakby rozgrzanych słońcem. A przecież była mgła — wilgotny ranek, te brzozy, których gałęzie rozwiane na wietrze przypominały fale zielonego jeziora.

Więcej już porucznika Łady nie zobaczyłem. Chyba budziłem się kilka razy. Słyszałem głosy zza drzwi lub zza okna, śpiew słowika, cykanie świerszczy. W rogu, za szybą — światła dalekich miast.

W niedzielę pojechaliśmy do kościoła na dwunastą. Polnymi drogami, przez zagajniki, jak tamte ze snu. Przez cały czas, nad naszymi głowami, śpiewały skowronki.

— Modlą się od rana do wieczora — powiedziała pani Helenka.

Siedziałem między gospodynią wuja a panem Chrystkiem, na ławeczce z oparciem. Na siedzeniu leżała derka. Ojciec i wuj Florenty zostali.

Pan Chrystek zajechał o jedenastej bryczką, która miała drewniane szprychy i metalowe obręcze. Skrzypiały żółte lejce w dużych dłoniach pana Chrystka. Dropiaty koń parskał i potrząsał łbem.

Pani Helenka nałożyła granatowy żakiet i białą bluzę z falbankami. W klapie żakietu świeciła złota broszka. Przy wstrząsach na nierównej drodze i kołysaniu czułem ciepłe udo przy swoim. Czasem obejmowała mnie, jakby w obawie, że spadnę z bryczki, a wtedy czułem zapach różanych perfum.

Pan Chrystek pachniał tytoniem. Był w białej koszuli i czarnej marynarce. Czapkę-maciejówkę zsunął na oczy. Cmokał na konia. Jego saperki przypominały buty sowieckiego oficera — tak samo lśniły i tak samo miały harmonijkę na kostkach. Tylko ostróg nie było.

Czułem zapach żółtych rzemieni i końskiego potu. Czasem dropiaty koń unosił ogon i sypały się na drogę brązowe kule. Wtedy pachniało stajnią i końskim nawozem.

— Klik-klak! — zastukały kopyta na drewnianym moście, kiedy dojechaliśmy do rzeki. — Klik-klak!

Dalej był kawałek bruku — bryczka zakołysała się mocniej i Pani Helenka znów mnie objęła. A potem droga stała się szersza, po obu stronach rosły wierzby nad rowami, w których połyskiwała woda. Zobaczyłem kaczeńce, tak jak tamte — przy rowie, z którego pił wodę porucznik Łada.

Mijały nas furmanki i spotykaliśmy ludzi śpieszących do kościoła. Pan Chrystek zdejmował maciejówkę na widok znajomych i trzymał chwilę nad głową. Pani Helenka odpowiadała: — na wieki wieków, na wieki wieków!

Kościół stał na wzgórzu. Był murowany i otoczony lipami o rozłożystych konarach, jakby gromada tęgich kobiet w zielonych spódnicach otoczyła księdza w czerwonej sukmanie. Kościelna wieża miała srebrną blachę — to ona świeciła za rzeką. Odezwał się dzwon, kiedy wchodziliśmy do środka. Bryczka została pod kościelnym murem.

Wnętrze wydało mi się chłodne i ciemne. Pan Chrystek zatrzymał się w kruchcie (widziałem, jak witał się ze znajomymi mężczyznami, którzy tam stali) a ja poszedłem za panią Helenką. Usiedliśmy na ławce, z przodu — kobiety odsunęły się robiąc nam miejsce. Zaczęła się msza. Myślałem, że zobaczę księdza Szotarskiego, ale nie było go przy ołtarzu. Przyszedł inny ksiądz — wydał mi się stary, drobny i chudy.

Od czasu od czasu kościół zanosił się śpiewem, jak skowronki modlitwą. Po drugiej stronie przejścia między ławkami stała dziewczyna w czerwonej chustce na ramionach. Była w moim wieku — może starsza o rok? Miała białą bluzkę i tę czerwoną chustkę w kwiaty. Czarny warkocz i ciemne oczy. Czasem, kiedy patrzyłem na nią, odwracała głowę w moją stro-

nę. Przez chwilę nasze spojrzenia krzyżowały się, ale ona zawsze odwracała oczy, jakby spłoszona.

Ksiądz wszedł na ambonę w kształcie dzioba łodzi rozbijającej fale — wszystko wyrzeźbione w drzewie i pozłacane. Nad amboną, w promieniach słońca, zrywał się do lotu drewniany gołąb. Wysłuchaliśmy słów ewangelii, potem ksiądz zaczął kazanie.

— Mili moi, w Chrystusie Panu! — powiedział.

Ciągle patrzyłem na dziewczynę z czerwoną chustką, ale ona zawsze odwracała głowę, kiedy nasze spojrzenia spotykały się.

Po kazaniu ksiądz uklęknął, żeby się pomodlić. Był tak mały, że jego głowa zniknęła za pozłacaną burtą łodzi. Usłyszeliśmy głos, jakby drewniany gołąb przemówił nagle: — „Wierzę w Boga wszechmogącego..."

Kościół zawtórował nierównym chórem: — „Stworzyciela nieba i ziemi..."

Głośno odezwały się dzwonki w czasie podniesienia i ofiarowania. Pani Helena chodziła spowiadać się — teraz przyjęła komunię świętą. A potem zagrały organy i ktoś na chórze zaintonował: — „Z tej biednej ziemi, z tej łez doliny..."

Patrzyłem na dziewczynę z czarnym warkoczem. I wtedy, nagle, jakby grzmotnęło nad moją głową — chyba skuliłem odruchowo ramiona. To śpiewał Pan Chrystek — pełną piersią, basem. Nie zauważyłem, kiedy stanął przy nas.

— „Tęskny się w niebo unosi głos: serce Jezusa, skarbie jedyny, zlituj się, zlituj nad ludem twym..."

Kiedy wychodziliśmy po mszy, dziewczyna z czerwoną chustą zniknęła w tłumie. Szedłem za panią Helenką i rozglądałem się, ale nigdzie jej nie było. Szumiały rozłożyste lipy, przeszliśmy pod sklepieniem bramy. Długi rząd wozów i bryczek stał pod kościelnym murem. Dropiaty koń jakby drzemał z nisko pochylonym łbem.

Wracaliśmy tą samą drogą — przez most i pola. Poskrzypywały żółte lejce w dłoniach Pana Chrystka. Bryczką kołysało, pani Helenka obejmowała mnie przy wstrząsach. Pamiętam, że zobaczyłem coś czerwonego na łące — może mak — i wtedy po raz ostatni pomyślałem o nieznajomej dziewczynie.

Po obiedzie wyprowadziliśmy wuja Florentego przed dom. Stanął obok krzesła pod ścianą, przy której rosły pędy winogradu, jak powiedziała pani Helenka. Wspinały się po drewnianej kracie — zielone na tle białych belek.

Wuj stał długo pod ścianą — wysoki, zgarbiony, w swoim szarym szlafroku, jak habit.

— Niech wujaszek usiądzie — powiedział ojciec. — Szkoda zdrowia.

— Chore nogi zabolą — dodała pani Helenka.

— Postoję, postoję. *Złoho czort ne bere*! — Wyprostował się i spojrzał na nas z góry.

Ojciec i pani Helena usiedli na ławce pod ścianą. Obok — na trawniku i pod jabłonkami — dreptały kury i kaczki. Bury kot z podniesionym ogonem ocierał się o nogi gospodyni.

— Boże ty mój Bat'ku — powiedział wuj — świat byłby znośny, gdyby nie ludzie. Mniej ludzi, więcej zwierząt, prawda Józiu? — zwrócił się do mnie.

— Niech pan inżynier takich herezji przy chłopcu nie opowiada! — oburzyła się pani Helenka.

— Cóż to za herezje? A bolszewicy, to dobrzy ludzie? A hitlerowcy?

Usiadłem na starym cebrzyku porzuconym w trawie. Wuj podniósł laskę: — A tam kto?

Obejrzałem się. Między jabłonkami, daleko, mignęły kolorowe sukienki.

— Cyganki, diablice! — zawołała pani Helenka. Zerwała się z ławeczki.

— Poszły! — krzyknęła klaszcząc w ręce. — Znów wczoraj zginęła kura zielononóżka! Idź no, Józiu. Zobacz, co one tam robią.

Wstałem i pobiegłem ścieżką pod jabłonkami. Nie było nikogo wśród drzew. Wyszedłem na drogę. Między oziminami, trochę dalej, szły dwie kobiety w czerwono-żółtych spódnicach. Odchodziły w stronę lasu, gdzie stał cygański tabor. Wyglądały jak dwa wielkie kwiaty na zielonej łące.

Wróciłem wolno i stanąłem nad cebrzykiem. — Poszły. Nie ma nikogo. — I wtedy chyba zdobyłem się na odwagę, żeby zapytać wuja Florentego:

— Dziadku, czy to prawda, że urodziłeś się w pamiętnym roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim?

Ojciec, pani Helena i wuj roześmieli się. Patrzyłem na liście winogradu. Poruszały się na wietrze, jak zielone chorągiewki. Chyba zaczerwieniłem się, ale wuj Florenty spoważniał zaraz. — Rok później, wnusiu. Rok potem. A pamiętam tylko powrót ojca z zesłania, chyba w tysiąc osiemset siedemdziesiątym. Miał taki drewniany kuferek, w którym były różne drobiazgi: łyżka, żelazny kociołek, cały osmolony — nawet zapach pamiętam. Przyszedł na wiosnę, w baranim kożuszku i czapce z długimi nausznikami. Miał brodę. Zdawało mi się, że pachnie Syberią. Pamiętam, że podniósł mnie i trzymał tak chwilę nad głową. Chyba pierwszy raz zobaczyłem wtedy świat z wysoka. Twoja matka, Henku — zwrócił się do ojca — Anielcia i Fela, wszystkie nas otoczyły. Obejmowały ojca za kolana. Pamiętam wielki płacz. Moja mama płakała. I babka płakała. Żyła jeszcze.

— Jak długo dziadek Ksawery był na zesłaniu? — spytał ojciec.

— Sześć lat. Sześć lat, Henku.

Gdzieś wysoko, nad sadem, zanosił się śpiewem skowronek. W wiosce szczekały psy. — Została drewniana łyżka ojca — przypomniał sobie wuj Florenty. — Jeszcze do niedawna była. Pani Heleno, pamięta ją pani? Taka mała, brązowa. Dałbym Józiowi na pamiątkę.

Pani Helenka wstała i poszła do kuchni, żeby poszukać łyżki. Wuj z ojcem wrócili do przerwanej rozmowy: wspominali jakiegoś Hryhora Onyśkowycza, kąpiele w rzece Boh, stróża Iwaśkę. W pewnej chwili wuj Florenty znów podniósł laskę: — A kogóż to diabli niosą?

Obejrzałem się i zobaczyłem milicjanta, który prowadził rower pod jabłonkami. Tak jak wczoraj ksiądz Szotarski. Patrzyliśmy, jak zbliżał się ścieżką. Słychać było brzęk dzwonka. Był w mundurze, spodnie pod kostkami były spięte. Daszek okrągłej czapki wydawał się wielki, na pasie miał kaburę z pistoletem. Kiedy stanął przy nas — szurnął butami i przyłożył dwa palce do czapki.

— Sierżant Żyto melduje swoje przybycie!

— Poznaję, poznaję — uśmiechnął się wuj Florenty.

Sierżant był mały, miał bufiaste spodnie, które przypominały pumpy i czarne półbuty. Kiedy zdjął czapkę, żeby wytrzeć czoło chusteczką zwiniętą w kłębek — zobaczyłem, że jest łysy. Zamrugał powiekami. — Obywatelka gospodyni jest?

— A z nami obywatel sierżant nie porozmawia? — odpowiedział pytaniem wuj.

Sierżant schował chusteczkę — nie mam czasu, panie Trypolski. Ja tylko na minutkę. — Oparł rower o ścianę i wszedł do chaty.

— Czego on może chcieć? — spytał wuj szeptem i spojrzał na ojca.

Czekaliśmy. Minęła minuta lub dwie. W końcu sierżant wyszedł z kuchni zakładając po drodze czapkę i poprawiając pas.

— Uszanowanie dla pana inżyniera. Już mnie nie ma. — Zabrał rower spod ściany i zaczął odchodzić.

— Cóż to za konszachty z panią Heleną, panie kochany! — zawołał za nim wuj, ale milicjant nie odpowiedział. Może nie dosłyszał? Odchodził szybko. Patrzyliśmy, jak kura-zielononóżka ucieka przed nim — skręcała to w lewo, to w prawo. Nie mogła się zdecydować. Jeszcze raz brzęknął dzwonek pod jabłonkami i sierżant znikł.

— Józiu, Józiu! — zawołała pani Helenka przez uchylone okno. Zerwałem się z cebrzyka.

W kuchni pachniało trochę inaczej: jakby pastą do butów i milicyjnym mundurem. Może przydrożnym kurzem? Na stole leżał stos łyżek.

— To wszystko dla mnie? — przestraszyłem się.

Pani Helenka zaczęła się śmiać. Powiedziała, że nie pamięta, która łyżka z Syberii. — Trzeba pokazać panu Trypolskiemu. Zaniesiesz?

Podszedłem do stołu i zacząłem zbierać łyżki. Przycisnąłem naręcz do brzucha. Kiedy wyszliśmy przed dom, wuj Florenty od razu spytał:

— Czego ten *gorodowoj* chciał?

— Kazał wywiesić flagę — wyjaśniła gospodyni. — Z okazji pierwszego maja. Podobno wszyscy muszą.

— To łobuz, to drań! — zdenerwował się wuj Florenty.

— On przecież tego nie wymyślił — powiedział ojciec, ale wuj nie mógł zrozumieć: — jaki obowiązek, to bezprawie! — Nawet nie spojrzał na moje łyżki. Podszedłem do ławki i położyłem pod drewnianą kratą.

Minęło trochę czasu, nim wuj Florenty przestał się denerwować. Znów zaczęli wspominać dawne czasy: deklamowali Szewczenkę, ojciec podśpiewywał ukraińskie dumki — pani Helenka mówiła, że ma piękny głos. Siedziałem na cebrzyku i wydawało mi się, że ciągle czuję zapach milicyjnego munduru. Przyglądałem się, jak kury grzebią w piasku. Daleko — za sadem — szczekały psy.

— A gdzież to pan Chrystek, gdzież to pan Chrystek, coś go nie widać z wieczorka? — spytał niespodziewanie wuj.

Zauważyłem, że pani Helenka zaczerwieniła się — jakby nagle biała bluzka z żabotem zrobiła się bielsza. — To i dobrze. Nie chce, nie musi przychodzić.

Wuj Florenty mrugnął do ojca: — *„tam w Kyjevi na rynoczku, tam był czumak horiłoczku...”* — zaśpiewał trochę drżącym głosem.

— *„Propył jarma, propył woły...”* — podchwycił ojciec. Chwilę śpiewali razem, potem zaczęli się śmiać, aż wuj rozkaszlał się i zamilkł.

Pani Helenka wstała nagle i szybko poszła do kuchni. Pobiegłem nad rzekę.

Kiedy wróciłem, nikogo nie było pod chatą. Na ławce, pod oknem, leżała mała łyżka. Trzonek miała sczerniały. Na brzegach i w płytkim zagłębieniu znać było cięcie nożem, jak drobne łuski.

Z kuchni wyszła pani Helenka z miednicą pełną brudnej wody. Podeszła do krzaków porzeczek i wylała z rozmachem. Wydało mi się, że ma zaczerwienione powieki i wilgotne policzki. Spojrzała na mnie i odwróciła głowę.

Późno wieczorem zeszliśmy z ojcem nad rzekę. Usiedliśmy na burcie zatopionej łodzi. Kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem ciemny brzeg, trochę tylko rozjaśniony kwitnącymi jabłoniami, a nad nim granatowe niebo i gwiazdy. Nigdy nie widziałem tylu gwiazd. Siedziałem z zadartą głową.

Ojciec milczał. Tak jak wczoraj rano słyszałem szmer wody przeciekającej przez dziury w burtach łódki. Było cicho. Zanurzyłem dłoń i poczułem, jak zimna woda przepływa między palcami. Naokoło kładki i w środku zatopionej łódki migotały gwiazdy, jakby iskry tonęły w rzece.

— Tato — odezwałem się po chwili — skąd się wzięły gwiazdy?

Ojciec chrząknął i zanucił: — „O gwiazdeczko coś błyszczała gdym ja ujrzał świat..." Nie mówili w szkole?

— Nie.

— Słońce, słońce. Wszędzie takie wielkie słońca jak nasze i jeszcze większe. Tylko daleko. Bardzo daleko. Słyszałeś o latach świetlnych?

Potrząsnąłem głową.

Wtedy ojciec zaczął mówić o gwiazdach i konstelacjach. Pokazał Wielką Niedźwiedzicę i Małą Niedźwiedzicę z gwiazdą polarną na końcu dyszla. Odnajdywał inne układy: Smoka, Kasjopeję. Łabędzie z jasną gwiazdą kilkadziesiąt razy większą od słońca.

— Gdyby była tak blisko jak Syriusz — mówił ojciec — świeciłaby jak księżyc w pełni. Ale ona jest dalej. Niewyobrażalnie daleko. Posłuchaj — ożywił się nagle — promień światła przebiega w ciągu sekundy trzysta tysięcy kilometrów. Policz teraz: ile w ciągu minuty, godziny, doby, tygodnia, roku? Ile w ciągu tysiąca lat? Policz — mówił ojciec — zrozumiesz, czym jest kosmos.

Rozwodził się jeszcze o galaktykach, tych wielkich gromadach gwiazd oddalonych od naszej Drogi Mlecznej o miliony lat świetlnych. Mówił o planetach, kanałach na Marsie, o księżycach Jowisza.

Siedziałem z zadartą głową. Mrugały dalekie słońca, jak jasne krople rozrzucone po granatowym oceanie. Kiedy zamilkł, spytałem: — Dlaczego wuj Florenty nie wierzy w pana Boga?

Ojciec nie odpowiedział, jakby nie dosłyszał pytania.

— A ty wierzysz? — spytałem po chwili.

— Nie wiem, synu — usłyszałem głos ojca po dwóch lub trzech minutach, kiedy myślałem, że już nigdy nie odpowie. — Nie wiem — powtórzył.

Wstaliśmy po kwadransie i weszli na ciemną skarpę.

Pan Chrystek nie przyszedł, żeby się pożegnać. Znów zasypiałem pod oknem, w ciemnym pokoju pani Helenki, pod zimną

pierzyną, blisko parapetu z pelargoniami. Pachniała rzeżucha. Gospodyni wuja spała w kuchni — zza zasłony słyszałem, jak chrapie głośno. Ojciec rozmawiał z wujem Florentym, potem i u nich zgasło światło. Tej nocy słowik nie śpiewał — jeszcze patrzyłem na gwiazdy, myślałem o latach świetlnych. O tych milionach gwiazd. Czy wszystko powstało z kamieni?

Kiedy wychodziliśmy rano — w sadzie była mgła. Wuj, tak jak wczoraj, wyszedł przed dom. I tak go zapamiętałem — pod ścianą z kratą, po której wspinają się pędy winogradu. Stoi przygarbiony, macha na pożegnanie chudą ręką. Biały jeżyk, szary habit, laska. Nim odeszliśmy, ucałował ojca. — *Nechaj tebe Boh prowadyt'* — powiedział po ukraińsku. Objęli się i stali nieruchomo przez chwilę. Potem poczułem szorstki policzek przy swoim i wilgotny pocałunek na czole. I miękkie piersi pani Helenki, w które wtuliłem głowę, jak w poduszkę. Białe gęsi na rzece.

Stali oboje przed chatą wuja Florentego i patrzyli za nami.

Poszliśmy ścieżką pod drzewami. Na końcu, przywiązana do pnia ostatniej jabłonki, wisiała na krótkim drzewcu mała, biało-czerwona flaga. Gdzieś z daleka, od wioski, wiatr przyniósł melodię skocznego marsza.

Odchodziliśmy coraz dalej — polami, w stronę lasu. Jeszcze była mgła. Słońce świeciło nisko, za plecami — później, w lesie, przyświecało przez gałęzie. Zapachniało sosnami. Pamiętam krople rosy na igłach i błyski słońca w kroplach. Znów śpiewały drozdy.

Ojciec szedł pierwszy, pogwizdując, jak wtedy, dźwigając teczkę wyładowaną jajkami, serem, masłem, które rano przyniosła pani Helenka. Gdzieś na dnie leżała łyżka pradziadka Ksawerego. Szedłem za ojcem szybko, starając się stawiać tak samo duże kroki. A potem zobaczyliśmy pierwsze wozy cygańskiego taboru stojące wzdłuż drogi — zielone, żółte i brązowe, z kwiatami na ścianach.

Byliśmy przy pierwszych wozach, kiedy nagle otoczył nas tłum Cyganek — starych i młodych. Wszystkie w tych swoich kolorowych spódnicach — żółtych, czerwonych i niebieskich. I wszystkie płakały.

Stanęliśmy, zaskoczeni. Ojciec zaczął pytać, rozglądając się bezradnie: — Co się stało? Powiedzcie kobiety drogie?

Cyganki płakały przyciskając ciemne dłonie do oczu i rozmazując łzy. Dopiero po chwili jedna z młodszych — może ta z dzieckiem w czerwonej chuście, która chciała nam wróżyć przedwczoraj — położyła głowę na ramieniu ojca (tak jak matka czasem) i przyciskając czoło do szarego płaszcza powiedziała: — Umarł, umarł. Nie żyje.

— Kto nie żyje? — dopytywał się ojciec.

A wtedy jednocześnie zaczęły powtarzać: król, król. Umarł nasz król.

Staliśmy minutę lub dwie, otoczeni tłumem płaczących kobiet, między kolorowymi wozami, wśród spętanych koni, które skubały trawę na poboczach. Nie było mężczyzn — tylko te kobiety. I nie czuliśmy dymu z ognisk ani zapachów z kotłów — jakby zgasło nie tylko jedno życie, ale wielkie słońce.

— Umarł król, umarł król — szlochały Cyganki.

— Współczuję wam — powiedział ojciec. — Bardzo współczuję.

Zaczęliśmy odchodzić, a one wszystkie zostały na drodze, jęcząc i zawodząc. Długo słyszeliśmy za plecami płacz. Potem znów odezwały się drozdy.

Po godzinie doszliśmy do przystanku z tablicą „Sosnówka" i weszliśmy na peron z czarnego żużla. Czekaliśmy około dziesięciu minut. Ojciec chodził po nasypie, odmierzając dziesięć kroków — tam i z powrotem. Kucnąłem pod tablicą „Sosnówka", obok teczki ojca. W telegraficznych słupach za plecami brzęczało.

A potem — nagle — zobaczyliśmy jak z mgły wynurza się parowóz ciuchci — czarny, w kłębach pary spod kół. Zbliżał się powoli, z łoskotem i sapaniem. Był coraz bliżej — wydawał się wielki, coraz większy, ogromny. Wyrzucał z komina szary dym. Płatki sadzy zawirowały w powietrzu.

Ciągle siedziałem w kucki, z głową podpartą rękami i patrzyłem na zbliżający się pociąg. Ojciec podszedł szybko, żeby podnieść teczkę.

— Wstawaj — powiedział kładąc rękę na moim ramieniu. — Już czas.

1991

Kazimierz ORŁOŚ

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

W PRAWO PATRZ!!!

Pytanie: „Czy wiecie, co o was mówią, tu w mieście, ludzie z prawego rzędu?" (Meneniusz „w Koriolanie").
Odpowiedź: „Nie wiecie? No to posłuchajcie".

Tego jeszcze nie było. Najstarsi ludzie w Belgii nie pamiętają, aby redaktor naczelny dużej i ważnej gazety codziennej podał się do dymisji nie ze względów politycznych lub, zwłaszcza, finansowych, a z powodów uczuciowych, hadko powiedzieć, moralnych. Paul Goossens podał się do dymisji na znak protestu przeciwko roli jego gazety i postępowaniu jego czytelników. Brzmi to dziwnie i wymaga wyjaśnienia.

Paul Goossens był do niedawna naczelnym redaktorem i głównym publicystą poczytnego agresywnego lewicowego dziennika flamandzkiego *De Morgen*. Znałem go już ze wspólnej podróży do Moskwy i Kijowa. Dwie rzeczy nas wtedy zbliżyły. Po pierwsze, obaj staliśmy się przestępcami. Chcieliśmy mianowicie wywieźć niebezpieczną kontrabandę: on 1,5 kg czarnego kawioru kupionego na czarnym rynku w Moskwie, a ja pięć małych puszek czerwonego kawioru kupionego w czerwonym sklepie dla obcokrajowców. Obaj zostaliśmy poddani przesłuchaniu, musieliśmy, w obecności policji, podpisać odpowiednie bumażki i, już bez kawioru (ciekawe kto się nim zajął), we wstydzie i hańbie opuścić granice państwa znanego wówczas z inicjałów ZSSR. Drugą naszą wspólną cechą były niedelikatne pytania zadawane naszym rozmówcom i nienajgorsze wywiady, jakie się potem ukazywały.

Goossens był znany z ostrego pióra. Bardzo często różniliśmy się poglądami, Goossens ciągle wierzył w sprawiedliwość

społeczną i w ogóle utopie, ale nie można było nie szanować jego nieprzejednanej, choć czasami nawet zacietrzewionej postawy w sprawach, które uznawał za zasadnicze. Goossens poza tym słynął z odwagi — że ją tak nazwę — zawodowej. Bił się jak lew o los swego pisma. Wyciągnął je z niejednej opresji. Na belgijskim targowisku próżności „skandal" był więc tym większy, że bomba z dymisją Goossensa wybuchła akurat kiedy gazeta już właściwie wyszła z najnowszych (choć zapewne nie ostatnich) kłopotów wydawniczych.

O co więc poszło? Goossens odszedł albowiem wysnuł — jak powiada — smutną lekcję z wyników ostatnich — w listopadzie ubiegłego roku — wyborów do parlamentu belgijskiego. Uważam, wyjaśnił, że wynik wyborów ujawnił dramatyczną degrengoladę w mentalności mieszkańców Flandrii, spadek ich zaufania do polityki i do demokracji, za co w dużym stopniu, według Goossensa, odpowiedzialność ponosi właśnie prasa i także jego gazeta. Prasa, powiada Goossens, nie stawiła się na spotkanie z historią, nie zrozumiała i nie przemyślała zjawiska skrajnej prawicy we Flandrii, zlekceważyła rasistowską treść, jaką ona ze sobą niesie.

Goossens wymienia rozmaite elementy kryzysu prasy drukowanej w Belgii: nacisk menadżerów, którzy dla zwiększenia sprzedaży skłonni są poświęcić zasadnicze treści szanującej się gazety, ulegać naciskom telewizji, dostosowywać poziom pisma do gustów najmniej wyrobionej publiczności, usuwać np. poważne komentarze z pierwszych stron dzienników na rzecz „chałtury" czy reklamy. A tymczasem — powiada słusznie Goossens — jeżeli telewizja potrafi przekazać emocje i nastroje, to idee i refleksje można przekazać tylko poprzez słowo drukowane. No to dlaczego rezygnuje? A no właśnie dlatego. Jako redaktor naczelny nie miał, w pogoni za aktualnością, czasu na przekazywanie tego co myśli. Teraz, z dystansu, łatwiej mu będzie rozmyślać nad zasadniczą ewolucją Europy, nad jej priorytetami...

Narwaniec, powiedzieli po ogłoszeniu dymisji niektórzy jego koledzy. Romantyk, dodali inni. Rozczarowany socjalista, ktoś inny dorzucił. Może to i prawda, ale nie cała prawda. Epitety nie wystarczą aby odfajkować sprawę Goossensa. Jeżeli jej poświęciłem cały wstęp to nie tylko dlatego, że nie znam innego wypadku w ten sposób uzasadnionej dymisji na takim stanowisku, ale i dlatego, że sprawa wydaje mi się ważna nie tylko w skali Goossensa, czy Flandrii, ale także w skali Belgii i całej Europy.

Żałoba w Belgii

Kiedy ogłoszono wyniki wyborów, w Belgii zapanowała żałoba i — jak po stypie (której zresztą nie było) — okropny

kac. Policzek, wołały gazety. Czarny dzień, brunatna fala, ostatni dzwonek... tytuły wstępniaków krzyczały na alarm. Lament był uzasadniony.

W obu częściach Belgii, francusko-walońskiej i flamandzkiej, wybory nie odbyły się jak „należało'". Demokratyczne partie tradycyjne — chadecka, socjalistyczna i liberalna — utraciły sporo głosów na korzyść „parweniuszy", ekologów we francuskojęzycznej części kraju, skrajnej prawicy flamandzkiej i skrajnego... aferzysty na północy.

Co czwarty Flamand głosował na ultranacjonalistyczny „Blok Flamandzki", czyli na skrajną prawicę, w całej Belgii skrajna prawica czterokrotnie poszerzyła bazę wyborczą, będzie miała trzynastu posłów (w tym 12 Flamandów) zamiast dwóch jak dotąd.

Lista van Rossem'a, twórcy modelu spekulacji giełdowej, autentycznego (niektórzy twierdzą genialnego) finansisty i prawdziwego aferzysty, lansującego hasła ultra-liberalne i przebywającego w momencie wyborów w... więzieniu pod zarzutem kolosalnych oszustw, zdobyła 3 mandaty. Figuruje na niej m.in. naiwnie anarchizujący („chce, powiada, aby wszyscy byli szczęśliwi"), znakomity aktor flamandzki Jan Decorte. „Politycy — powiada absolutnie zaskoczony wyborem aktor — dostali zasłużenie w skórę. Teraz na nas kolej, aby przywrócić nieco powagi parlamentarnemu zajęciu". W oczekiwaniu na otwarcie sesji, Decorte grał główną rolę w sztuce pt. „Monarcha, błazen i dziecko", co jest zarówno humorystyczną adaptacją... „Króla Lear'a" jak i (prawie) jego programem politycznym. „Zieloni" także nie powinni się skarżyć. Co dziesiąty Walon oddał swój głos na ekologów, którzy zamiast trzech miejsc w poprzednim parlamencie, zajmują dziesięć w nowym.

Chadecy, którzy uczestniczyli, jeżeli nie kierowali, prawie wszystkimi powojennymi rządami w Belgii, zamiast 62 mają obecnie 57 miejsc, socjaliści, którzy wraz z chadekami rządzili w koalicji przez ostatnich kilka lat, mają 63 zamiast 72 miejsc, liberałowie, którzy nie zasiadali w ostatnim gabinecie, ale byli w kilku poprzednich, będą mieli 44 posłów zamiast 46, wszystko to w izbie gdzie zasiada 212 posłów.

Mniejsza o dokładną statystykę, nie warto rozkładać — choć w ogóle byłoby to celowe — tych danych na strefy językowe, które bardziej dzielą Belgów niż łączy ich wspólna religia. Zresztą, u obywateli kraju, w którego sejmie zasiadają posłowie z 29 partii i w którym żadna partia nie uzyskała więcej niż 13 % głosów, dane belgijskie nie mogą wywołać prawdziwych wzruszeń. A jednak dla Belgów był to prawdziwy wstrząs. Nie polityczny (na razie), a psychologiczny i moralny.

Naturalnie, możemy na razie zachować spokój. Stosunek sił

w parlamencie się nie odwrócił. Belgia nie będzie od jutra rządzona przez faszystów lub ekologów. Stare, tradycyjne partie mają nadal większość w parlamencie i, w jakiejś tam kombinacji, które są specjalnością Belgów po obu stronach granicy językowej, naturalnie władzę utrzymają. Znaczenie dymisji Goossensa i wyborów w ogóle nie polega więc na groźbie nagłej zmiany ekipy rządzącej, gwałtownego spełznięcia bogatej Belgii z demokracji do totalizmu, a polega na wnioskach, jakie z tych wyborów wysnuć należy po to, aby pewnego dnia do tego wszystkiego jednak nie doszło. Ani w Belgii, ani gdzie indziej.

Nie za, a przeciw

Goossens miał rację. Wybory to bardzo bolesna lekcja, udzielona przez obywateli partiom politycznym, które, w rządzie lub w opozycji, odpowiadały za los kraju i położenie jego obywateli. Polski czytelnik nie powinien dać się oszołomić stosunkowo wysoką frekwencją wyborczą: z ponad 7.000.000 uprawnionych głosowało 5.600.000. W Belgii bowiem głosowanie jest obowiązkowe. Gdyby było inaczej, do urn wyborczych poszłoby w Belgii mniej obywateli niż niedawno w Polsce. Zniechęcenie Belgów i ich zobojętnienie na intrygi w elicie, igraszki technokratów, politykierskie manewry i zapatrzenie się we własny pępek, są w rzeczywistości nie mniejsze niż były dla 60 procent Polaków.

Stąd, głosy oddane na „zielonych" na południu i na „brunatnych" (lub „czarnych", jak ich tu nazywają) na północy, były nie tyle i nie tylko „za" ekologami lub nacjonalistami flamandzkimi, co „przeciw" reszcie klasy politycznej oderwanej od problemów jakimi żyje społeczeństwo. Belgowie chcieli powiedzieć, że mają dosyć drętwego języka prozy politycznej i wstępniaków prasowych, „wojen na górze" między przywódcami, którzy dziś łamią na sobie siekiery, a jutro pozują do wspólnego zdjęcia gabinetu na schodach parlamentu. Belgia ma dziś chyba sześć rządów: jeden centralny i kilka regionalnych i językowych (tych co nie wiedzą informuję, że jest w Belgii także niezależna administracja regionu niemieckiego), ma największą ilość ministrów (w tym ministrów spraw... zagranicznych) na głowę mieszkańca, kilka parlamentów z wybrańcami narodu objętymi nietykalnością poselską, niezliczoną ilość autonomicznych organów językowych i lokalnych, ale wszystkie te ekscelencje były tak zajęte sobą, że nie miały czasu na poważne zajęcie się podstawowymi problemami jakimi żyje społeczeństwo: sytuacją gospodarczą, bezrobociem, spadkiem stopy życiowej, wielką imigracją, nieostrożnym i niekontrolowanym zgęszczeniem obcych, przede wszystkim muzułmanów, w pewnych dzielnicach czy szkołach, trudnościami (często zresztą z winy samych imigrantów) w integracji, np. agresywnością wojującego islamu, sprawami bezpieczeństwa na ulicy, w metrze, na stadionie...

Reszta była prosta. Wyborcy dali się wziąć, żeby nie powiedzieć nabrać, na południu na hasła ekologiczne, które mogłyby i powinny figurować w programie każdej partii demokratycznej, na północy na demagogię, ksenofobię i politykę „kozła ofiarnego". We Flandrii akurat, nie trzeba go było długo szukać. Był pod ręką. Vlaams Blok nie ma wątpliwości, podał dokładny adres. Według bloku, wszystkiemu winna jest przede wszystkim... Belgia, która terroryzuje i niszczy rasowo czystych germańskich mieszkańców Flandrii uniemożliwiając im odzyskanie (?!) niepodległości i przekształcenie Brukseli, liczącej ponad 900.000 francuskojęzycznych mieszkańców, w stolicę suwerennej Flandrii. Winni są także pasożyci walońscy, którzy żyją z potu i trudu robotnika flamandzkiego. I, *last but not least*, winni są, jak zawsze, po prostu obcy, zwłaszcza ci biedniejsi, których, po ostatecznym zwycięstwie idei flamandzkich integrystów, trzeba będzie, „kulturalnie i szanując prawa człowieka", odesłać do kraju, z którego kiedyś oni sami albo ich rodzice przybyli.

Nie wszyscy, na szczęście, dali się nabrać. Król Belgii na przykład nie dał się. Król w tym kraju odgrywa nieco większą rolę niż jego koledzy w krajach oświeconej monarchii, m.in. w procesie desygnowania premiera. Ojciec obecnie panującego Baldwina, Leopold III, zapisał nie bardzo chwalebną kartę w okresie drugiej wojny światowej, ale został w lepszych kronikach m.in. dzięki swej postawie w sytuacji zbliżonej do obecnej. Rzecz działa się po wyborach w 1936 roku, w których nazistowska partia belgijska Rex zdobyła 21 ze 112 miejsc w parlamencie. Leopold III przyjął wtedy — jak to było w zwyczaju — führera Rex'u, Leona Degrelle. Kiedy Degrelle wszedł butnie do gabinetu, król wyjął zegarek i oświadczył: „Audiencja jest otwarta", po czym, po 20 przewidzianych minutach, schował zegarek i znowu powiedział: „Audiencja jest skończona". Żadne inne słowo w czasie tej „audiencji" nie padło... Król Baldwin uprościł sprawę i kierownictwa bloku flamandzkiego w ogóle nie przyjął.

Czy to już fala?

Tyle o Belgii, która niejedno już przeżyła i przeżyje i to. Kwestia bardziej interesująca dotyczy wielkości zjawiska nie w skali Belgii, a Europy. Mniej lub bardziej brunatne plamy pojawiły się w wielu miejscach na mapie Europy. Flamandzka Ant-

werpia to tylko najnowszy epizod w cyklu, gdzie figurują już Marsylia i Nicea, Genewa, Zurich, Brescia i Mediolan, Wiedeń, Hanower, Brema, kilka miast byłej NRD, Sztokholm, Göteborg czy Oslo.

Otóż, zachodzi pytanie czy chodzi tu o zjawiska identyczne czy odmienne, czy brunatna fala zalewa już Europę czy też są to groźne, ale odizolowane przejawy ksenofobii, czy, inaczej mówiąc, jest to już zaraza faszyzmu, czy jeszcze prawica skrajna, ale mieszcząca się w systemie demokratycznym?

Pytanie, jak widać, zasadnicze, bez prostej czy jednoznacznej odpowiedzi. Faszyzm, myśleliśmy, sczezł ostatecznie w gruzach Berlina w 1945 roku. Ale faszyzm, jak się okazuje, to nie ciało obce, a produkt naszej cywilizacji. Totalitarna prawica nigdy w istocie nie zniknęła z powojennej Europy. Po koszmarze wojny, hitleryzmu i stalinizmu, jakby się skurczyła, skryła, zaryła. Ale w miarę upływu lat, zanikania pamięci, a przede wszystkim narastania problemów społecznych, niektóre wspólne ogniwa tego brunatnego łańcucha zaczęły na nowo ponuro pobrzękiwać: ksenofobia, antysemityzm, nie nacjonalizm a już szowinizm, obciążanie obcego i zwalanie na innego, przeważnie imigranta z krajów biednych i zacofanych, winy za całe zło jakie się pleni na glebie kryzysu w istocie przecież nie rasowego czy plemiennego, a gospodarczego, moralnego i cywilizacyjnego.

Pewnie, ksenofobia Szwajcarów to nie flamandzkie zaślepienie, populizm szwedzki wprowadził 20 posłów do parlamentu w Sztokholmie, ale pogromy tam na razie nie grożą. Neofaszyzm włoski jest w fazie zaniku, a prawicowych tendencji w miastach północnych Włoch nie można na razie utożsamiać z nostalgią po Mussolinim. Liga Lombardzka, triumfator ostatnich wyborów samorządowych, nie ma właściwie programu, to nawet nie jest partia polityczna, a po prostu ruch protestu wobec „intryg Rzymu", manewrów skorumpowanej klasy politycznej, bratobójczego wykańczania się demokratów, „inwazji z południa Włoch" nie mówiąc już o „inwazji z Afryki". Taki ruch musi w końcu wpaść w ksenofobię. Po włosku, ale jednak...

Zjawiska neonazizmu w Niemczech, zwłaszcza wschodnich, nie wolno lekceważyć. Ataki na Polaków, Wietnamczyków, Cyganów czy imigrantów są skandaliczne. Niemcy są dziś w fazie *prosperity*, stoją przed ogromnym wyzwaniem zjednoczenia, stanowią główną siłę gospodarczą, a niedługo polityczną Europy i są na pewno najmniej sfrustrowanym, *if any*, narodem Europy zachodniej. Osławiona partia republikanów Steinhubera została zmyta ze sceny politycznej, a ekscesy skinów czy chuliganizm, w tym sportowy, należą bardziej do sfery kryminalistyki niż polityki. Specjaliści socjologowie twierdzą — choć może to zabrzmieć paradoksalnie — że gdyby nie chmura pamięci, to można by powiedzieć, że niebezpieczeństwo faszyzmu w tym kraju akurat jest teraz mniejsze niż gdzie indziej.

Do niedawna też byłem tego zdania, ale po obejrzeniu reportażu telewizyjnego nakręconego za kulisami (i za zgodą) niemieckich nazistów, zmieniłem pogląd. Wziął mnie nie strach a obrzydzenie. Zakładałem, że coś takiego jest ewentualnie do pomyślenia w byłej NRD, gdzie ze stalinowskiego nacjonalkomunizmu mógł się ostać u niektórych już tylko ślepy nacjonalizm. Ale na Zachodzie? Choć wiem, że chodzi tu o małe grupki na skraju paranoi, to uważam, że nigdzie, a przede wszystkim w Niemczech, tego zjawiska tolerować nie można. Nie rozumiem tylko, dlaczego mówi się o „neo"-nazistach. Reportaż pokazuje po prostu hitlerowców roku 1991, starych i młodych, śpiewających, przy pobłażliwości policji, *Horst-Wessel-Lied*, wołających *Sieg heil* pod portretami Hitlera i pod transparentami „*Wahrheit* (zamiast *Arbeit*) *macht frei*" albo „*Juden raus*", oglądających z nabożeństwem stare filmy z Adolfem i trenujących strzelanie (na razie na ślepych nabojach).

Przede wszystkim jednak łączy ich „historyczny rewizjonizm", czyli negowanie hitlerowskiego ludobójstwa, Oświęcimia, komór gazowych. Film pokazuje, jak ci hitlerowcy „po sezonie" błogosławieni są przez „uczonych" rewizjonistów typu Francuza Faurrissona. Co w tym towarzystwie robi David Irving, kiedyś uznany za prawdziwego historyka, autor prawdziwych bestsellerów, tylko Bóg może wiedzieć. Po co mu to? Jak nazwać to zboczenie? Jakim pokrętnym zygzakiem taki człowiek doszedł do tego, że nie waha się pozować telewizji w takim towarzystwie, pokazać i manifestować razem z hitlerowcami, przemawiać na ich wiecach i całym swoim autorytetem popierać ich brednie? Widziałem i słyszałem (na filmie) Irvinga, jak bandzie wyjących durni opowiadał o tym, że to Polacy, w służbie propagandy żydowskiej, wybudowali baraki w Dachau już po drugiej wojnie światowej. Trzeba było słyszeć i widzieć, jak tłumek rechotał, kiedy Irving, pękając ze śmiechu, opowiadał dowcipy mające za tło obozy koncentracyjne. Jak mógł wykształcony człowiek wpaść w taką aberrację? Historia zna tylko jeden resentyment mogący odpowiedzieć na to pytanie: to może sprawić tylko antysemityzm. I tak zresztą jest.

Będzie gorzej

Grupki? Durnie? Na pewno. Ale nie pocieszajmy się. Brunatny cień kładzie się na Europie. We Francji prawie 15% sondowanych ma zamiar poprzeć w wyborach ugrupowanie Le Pena, a ponad 30% uważa, że rzucane przez niego hasła są uzasad-

nione. No a kto to jest Le Pen, nie trzeba tłumaczyć. Istnieje na jego temat przebogata literatura. Wystarczy powiedzieć, że w poszukiwaniu wiarygodnego odniesienia, dziennikarze francuscy stosują wobec niego porównania idące od, najlżejszego — Goebbelsa — aż do, ostatecznego, Pol Pota. Choć wszystko co przesadne jest nieprzekonywujące, trzeba powiedzieć, że Le Pen, inteligentny, przebiegły, znakomity mówca, demagog i rasista, stawia istotne i rzeczywiste pytania, ale udziela na nie fatalnych i niebezpiecznych odpowiedzi.

W chwili kiedy nowoczesna cywilizacja opiera się na ruchliwości ludzi, wolności przemieszczania się idei i towarów, wymianie a nawet mieszaninie i wzajemnym przenikaniu się kultur, Le Pen potrafił wylansować hasło „my przeciw oni", „tożsamości własnej i wykluczenia obcych" i zatruć rasistowskim jadem sporą część opinii francuskiej. Nie tylko „prawdziwych patriotów" i zwyczajnych ksenofobów, których we Francji nigdy nie brakowało, czy strasznych drobnomieszczan, których przekonywać nie trzeba było, ale także — i to jest właśnie groźne — sporą część normalnych, że tak powiem, obywateli z uboższych kategorii lub wprost bezrobotnych — mieszkańców „zagrożonych" imigracją dzielnic. Kiedyś głosowali na komunistów, dziś na prawicę. Le Pen stanowi dziś wielką groźbę dla demokracji francuskiej osłabionej walką wewnętrzną, konkurencją o stołki, zużytą latami źle, lub wcale nie kontrolowanej władzy. Dziennik zbliżony do Le Pena *Présent* wydrukował w grudniu 1991 roku artykuł w obronie Paul'a Touvier, byłego szefa gangu morderców zwanych milicją w vichystowskim Lyonie pod okupacją hitlerowską, zbrodniarza wojennego, oskarżonego m.in. o zamordowanie Victora Bascha, przewodniczącego Ligi Praw Człowieka i jego żony, obojga wówczas po 80-tce. Autorem artykułu broniącego Touviera jest Jean Arfel, słynny w czasie okupacji autor elukubracji antysemickich w gadzinówce w Lyonie. Klamra się zamknęła.

Austriacki naśladowca Le Pena, Jorg Haider, zebrał 23% głosów we Wiedniu. Tak jak blok flamandzki w Antwerpii. Grymas historii sprawił, że Algeria, której obywatele są najbardziej wyklinanymi imigrantami we Francji, nie prowadzi się lepiej. Propaganda algierska pełna jest ataków na „żydowskie *lobby* prasowe" i na „bankierów żydowskich chcących destabilizować Algier" (skąd my to znamy?), a tygodnik *Le Jeune Indépendant* (dobrze się nazywa!) drukuje w odcinku szlagier stulecia „Protokoły Mędrców Syjonu"...

Co będzie się działo w byłym Związku Sowieckim, lepiej nie zapowiadać (piszę te słowa w piątek 13 grudnia!). Rasizm jest najbardziej zatrutą częścią spadku po komunizmie, najbardziej cuchnącą substancją w otwartej po 70-ciu latach lodówce

sowieckiej. Rodzące się na gruzach komunizmu nacjonalizmy duże i małe, słuszne i kryminalne, to prawdziwa bomba z opóźnionym zapłonem. Jak wybuchnie... O marszu skrajnej prawicy do Europy zachodniej nie należy pisać w czasie przyszłym. Ona już tutaj jest. Ważniejsze, że wszystko wskazuje, iż trendy skrajnie prawicowe i ich społeczny odbiór oraz akceptacja będą rosnąć, rozszerzać się, umacniać. Demagogom z prawicy wystarczy dziś przywołać widok najazdu Albańczyków na Włochy, Wietnamczyków na Hong Kong (właśnie wyrzucanych z powrotem do... Hanoi), Haitańczyków oblegających brzegi Florydy, aby nastraszyć i zakłócić sen burżujów. Ba, gdyby tylko ich. Zjawiska nie należy upraszczać, nie chodzi tylko o burżujów, imigracja to jest dziś prawdziwy problem i to, że demokraci nie chcieli czy nie potrafili się nim poważnie zająć, nie oznacza, że nie da o sobie znać. I rzeczywiście. Zajęła się nim właśnie prawica.

I postawiła świat w obliczu kolosalnego, historycznego wyzwania, do którego, mimo, że jest go świadom, przygotowany nie jest.

Nadszedł koniec pewnego modelu świata. Wszystko się dziś kumuluje: galopująca i nieodpowiedzialna rozrodczość trzeciego świata, recesja w kapitalizmie, kres zimnej wojny, rozpad imperiów, zmierzch dwóch wielkich ideologii, które panowały nad światem, to znaczy marksizmu i klasycznego liberalizmu, atrofia zasadniczych wartości tradycyjnej moralności chrześcijańskiej lub laickiej, przepaść między wyznaniem wiary a jej praktykowaniem (przerywanie ciąży itp.), pojawienie się integryzmu i, na innym biegunie, ekologii.

Nic nie wskazuje, aby miało być lepiej, aby marazm gospodarczy mijał, aby bezrobocie miało zmaleć. Recesja, niektórzy uważają nawet, że depresja właściwie dopiero się zaczyna, a rozpad sowietyzmu sprawi, że do imigracji z krajów trzeciego świata dojdzie, poprzez coraz bardziej otwarte granice, fala albo strach przed falą exodusu z ZSSR i Europy wschodniej.

Nożyce się coraz bardziej rozwierają. Z jednej strony zniknął tradycyjny wróg, to znaczy komunizm, który w pewnym stopniu kanalizował i monopolizował resentymenty, z drugiej strony, problemy społeczne rosną i zapotrzebowanie na kozła ofiarnego także wzrośnie. W takich nożycach zrodzą się godziny nienawiści, które skupią się już nie na komunistach, a w ogóle na obcych, na emigrantach.

Skrajna prawica będzie się rozwijać według swojej specyficznej dynamiki. Ona także ma swoją ekologię. Jest to ekologia nie natury, a rasy, broni nie zanikających gatunków zwierząt czy drzew, a czystości białego człowieka, wyznaje priorytet nie praw ludzkich, a koloru skóry, reaguje na zew nie humanizmu, a mito-

logii krwi, samookreśla się nie przynależnością do strefy kulturowej, a do ziemi urodzenia.

Jeżeli się takich chmur nie rozgoni, to spadnie zatruty deszcz. Tu już nie będzie odrzutu integracji czarnego czy żółtego, Araba czy Żyda. Tu się zjawi zjawisko heterofobii, czyli odrzutu każdego innego, każdego nie swojego, Cygana czy Rosjanina (o Żydach nie wspominam) w Polsce, Polaka w Belgii, Algierczyka we Francji, Turka, Chorwata czy Marokańczyka w Szwecji, Danii czy Holandii, to znaczy w najbardziej wolnych i tolerancyjnych krajach na świecie. Każdy stanie się obcym dla kogoś innego. Kiedy taka ekologia ogarnie masy, będziemy mieli z powrotem rasizm.

Tak jak Żydzi byli w polskim marcu 1968 roku tylko „na śniadanie", na obiad, w grudniu 70 roku w Gdańsku, już byli Polacy, tak i imigranci to tylko przystawka, ekran, spoza którego wynurzają się znaki zapowiadające system autorytarny czy dyktaturę. Za rogiem, jak kiedyś uprzedzał Kołakowski, już stoi kanalia.

Tym większa jest odpowiedzialność tych, których się określa jako demokratyczne elity polityczne i w skali małej Belgii i w skali wielkiej Europy. Dziś nic nie przypomina sytuacji z lat 30-tych, nie widać i — z wyjątkiem nielicznych dementów — mało kto czeka na wodza, który „załatwi" wszystko. Nie ma więc potrzeby dramatyzować. Ale erozja wiarygodności partii politycznych i spadek zaufania do demokracji przecierają szlak Le Penowi i jego apologetom. „Wynik wyborów odzwierciedla protest obywateli wobec alienacji tradycyjnych partii politycznych... Należy szybko nawiązać na nowo bezpośredni kontakt z obywatelem. Kolokwia i uroczystości już nie wystarczą...".

„Nasze ruchy są coraz mniej zrozumiałe. Ludzie chcą, żeby się zająć ich sprawami i wściekają się, gdy politycy zajmują się sprawami polityków. Trzeba mówić otwarcie, w jakiej jesteśmy sytuacji i informować, jak źle może być za moment". Czyje i skąd te dwa cytaty? Pierwszy jest pióra socjologa z *Le Soir* i dotyczy wyborów w Belgii. Drugi jest Jacka Kuronia z *Gazety Wyborczej* i komentuje wybory w Polsce. Można je wymienić, zamienić i nie stracą na aktualności.

Stąd diagnoza także jest wymienna, uniwersalna. Wzajemne niszczenie autorytetów, afery i korupcja w klasie politycznej, „drętwa mowa", izolacja „kanap", a przede wszystkim brak polityki i polityków na miarę wyzwania XXI wieku, mogą sprawić, że rozmaite, wielojęzyczne strumyki brudnej brunatnej wody połączą się w jeden wielki zalew. Umiejętność politycznego pływania może się wtedy okazać mało skuteczna.

Prawidłowej, odważnej polityki, np. w zakresie nieuniknionego regulowania polityki imigracyjnej, czy metod integracyjnych

(autochtonów uczyć trzeba szacunku dla obcego, ale obcego także trzeba uczyć szacunku dla autochtona) nie zastąpią małe gierki personalne, czy przechwytywanie języka i haseł prawicy. Były prezydent Francji, Giscard d'Estaing, dał się skusić, kupił i nieopatrznie użył hasła „obcej inwazji". Były premier Chirac dał wyraz niechęci wobec nieprzyjemnych zapachów idących od mieszkań, zwłaszcza kuchni imigrantów z Magrebu. No i co? Ano, popularność Le Pena wzrosła. Jeżeli bowiem iść za takimi hasłami, to lepiej od razu za tym, który je wymyślił, a nie za naśladowcami. Albowiem w demagogii i w populizmie nikt skrajnej prawicy ani „ulepszyć", ani zastąpić nie potrafi.

Dla kogo telewizja?

Zacząłem od dziennikarza i na dziennikarzu tę klamrę zamknę. Goossens odszedł z dyrekcji dziennika *De Morgen*, albowiem chciał zaprotestować przeciwko komercjalizacji swej gazety, uleganiu najgorszym gustom, schlebianiu tandecie w poszukiwaniu jeżeli nie łowieniu czytelnika, stosowaniu niedobrych wzorów, przeciwko tolerowaniu lub niedostatecznemu reagowaniu na najgorsze instynkty, reprezentowane m.in. przez Vlaams Blok.

Daniel Bilalian nie odszedł, a wyleciał z Antenne 2, drugiego (państwowego) kanału telewizji francuskiej, albowiem w łowieniu telewidza (A2 jest w kryzysie) za wszelką cenę, dopuścił do studia istny skansen nazizmu. W wojnie z prywatną konkurencją o telewidza, Antenne 2 wprowadziła do siatki cotygodniowy program „Wtorek wieczór", składający się — według dość banalnego wzoru — z filmu, a potem dyskusji z udziałem kilku zaproszonych gości: polityków, specjalistów, działaczy, intelektualistów... W pewien grudniowy wtorek Bilalian zaprogramował znakomity zresztą film („Lacombe Lucien") z historii francuskiej kolaboracji (temat jest obszerny) i zaprosił do dyskusji obie — że tak powiem — zainteresowane grupy.

Na pozór, wszystko w porządku, wolność słowa i te rzeczy. W istocie, to co miało być dyskusją przeistoczyło się w obłędny, jakby z innej epoki 80-minutowy festiwal faszystowski. Bilalian dopuścił bowiem do mikrofonu przedstawicieli najbardziej skrajnych, tak mało znanych, że właściwie anonimowych grupek nazistowskich we Francji, a wśród nich szefa jakiejś partyjki jawnie hitlerowskiej, negującego naturalnie Oświęcim i komory gazowe, byłego członka Waffen-SS, jakiegoś zupełnie pokręconego ogromnego *skin*'a, przy których zaproszony także do studia i agresywny, okropnie wrzaskliwy przedstawiciel Fron-

tu Narodowego Le Pena wyglądał na niewinną owieczkę lub — jak mówią Francuzi — na dziecko z kościelnego chóru.

W tych warunkach nie było mowy o żadnej dyskusji. Z jednej strony, faszyści — żeby ich jakoś razem ująć — (choć twierdzili, że zachodzą między nimi poważne różnice ideologiczne), wrzaskiem i przekrzykiwaniem się uniemożliwiali dyskusję w sensie — że tak powiem — technicznym. Strona demokratyczna, bo naturalnie była i ta, *a priori* bardzo mocna, po prostu nie mogła dojść albo utrzymać się przy głosie.

Ale, z drugiej i ważniejszej strony, wszelka dyskusja z faszystami 1991 roku okazała się intelektualnie niemożliwa. Wszelka próba wprowadzenia do debaty jakichś przesłanek racjonalnych spełzała na niczym, odbijała się od „tamtych", jak od ściany i to z waty. Nie było najmniejszej szansy, aby oni chcieli lub mogli zrozumieć, co się do nich mówi. W tego typu spektaklach, napisali potem dziennikarze, nie ma miejsca na inteligencję ludzką. Odwrotnie, dobrze wychowani obrońcy rozumu i ludzkiej godności zostają szybko i łatwo sprowadzeni do pozycji oskarżonych. Tak się stało np., kiedy na wrzaski Waffen-SS'a próbowała odpowiedzieć pani Madeleine Rebérioux, z francuskiego ruchu oporu przeciw okupacji hitlerowskiej, obecnie starsza pani i godna przewodnicząca Ligi Praw Człowieka. Czyż mogła ona doprowadzić do świadomości SS-mana sentymenty, w których pobrzmiewały echa demokracji, wolności czy ruchu oporu? Więc choć wszyscy mieliśmy świadomość, że chodzi tu o zjawisko odizolowane, że bezpośrednio te sieroty po Hitlerze nie reprezentują prawie nikogo, to dreszcze chodziły po plecach. I słusznie. Albowiem było to widowisko naturalnie niesmaczne, ale przede wszystkim groźne. Oto próbka „dyskusji". W końcu 1991 roku, w Paryżu, młody adept hitleryzmu wykrzyczał: „Rasizm to ważny składnik nacjonalizmu. Rasa, naszym zdaniem, to grupa ludzi, która utożsamia się według przynależności do tej samej wspólnoty krwi. Kiedy dochodzi do rasowej mieszaniny, rodzą się ekscesy, bezrobocie, nienawiść...". A młody *skin* uzupełnił: „Europa ma być biała, bez komunistów, Żydów i Arabów. Komory gazowe? Jeżeli były, to był to skuteczny środek...". Żeby było zupełnie już tragi-śmiesznie, to występujący pod pseudonimem „Batskin" (tak też wyglądał) znany, jak się okazuje, z kronik policyjnych, pogromca *Rassenschande*, nazywa się Serge Ayoub, jest klasycznym mieszańcem, wnukiem imigranta z Turcji... Mniejsza o dalszy ciąg „debaty". Nikt z obecnych nie zmienił zdania po wyjściu ze studia. Pytanie, czy nie zmienili zdania (na gorsze) niektórzy telewidzowie? Inaczej mówiąc, zachodzi pytanie czy należy faszystów zapraszać do studia i udostępniać im, w imię wolności słowa, kolosalną nośność trybuny telewizyjnej, lub, jeszcze inaczej mówiąc, czy powinno się dawać do ręki wrogom demokracji tę wolność wypowiedzi, którą tylko demokracja może zapewnić, lub jeszcze inaczej, czy telewizja i jej poważni goście powinni dawać się wykorzystać do nadawania znamion wiarygodności i... godności prawdziwym szumowinom? Czy obecność wybitnych polityków i intelektualistów przy stole w studiu telewizyjnym, przy którym z drugiej strony zasiadają ludzie, którzy, gdyby byli u władzy, swoich przeciwników wpuściliby nie do studia telewizyjnego a do kryminału, ma w ogóle jakiś sens? Czy, w końcu, dążenie do zwabienia telewidzów i odebrania ich konkurencji wystarczy, aby uzasadnić telewizyjny festiwal faszystów, prawdziwe a nie orwellowskie „80 minut nienawiści"?

Pytanie tym bardziej uzasadnione, że „prawdziwy" Front Narodowy Le Pena, w obawie przed sądowymi skutkami, nie występuje z otwarcie rasistowskim programem. To są dziś panowie w eleganckich garniturach, o dobrych, z reguły, manierach. Na tle otumanionych krzykaczy, ludzie Le Pena sprawiają wrażenie łagodnych demokratów. 50-punktowy program Le Pena, w którym najczęściej używanym epitetem jest znane nam dobrze słowo „kosmopolita", nabiera, na tle frazeologii *skin*'ów czy neohitlerowców, znamion poważnego dokumentu politycznego. Grupka politycznych zboczeńców robi w ten sposób brudną robotę dla Le Pena. Ponieważ sama nie ma żadnych możliwości ani aspiracji wyborczych, to skupia wokół Le Pena (lub Vlaams Blok itp.) i przynosi mu głosy byłych vichystów, kolaborantów i innych podobnych, ale także, i to jest ważne, całą dywidendę z akcji kuszenia hasłami mitologii rasistowskiej i głoszenia rasistowskich kryteriów uprawiania polityki w ogóle, a polityki kadrowej w szczególności.

Bardzo wielu polityków, większość dziennikarzy, w tym z Antenne 2, i spora część telewidzów dała na pytania związane z programem Bilaliana odpowiedź negatywną. Ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości postanowili wszcząć postępowanie sądowe z tytułu ustawy przeciwko sianiu nienawiści rasowej. Dziennikarz Daniel Bilalian został zawieszony, jego „Wtorek wieczór" zdjęty z programu.

Bilalian nie jest pozbawiony argumentów. Pyta m.in., czy kara ta oznacza, że francuski telewidz nie dojrzał jeszcze do wysłuchania skrajnie prawicowych obłąkanych decybeli i w imię jakich to zasad należy unikać pokazania Francuzom prawdziwego oblicza faszyzmu? I dodaje, że skrajna prawica nie jest we Francji zakazana.

Można w rozmaity sposób uzasadniać zawieszenie Bilaliana, uważam zresztą, że nie jest to właściwy ani skuteczny sposób postępowania, tym mniej zresztą, że za program powinna odpowiadać dyrekcja generalna, a nie tylko dziennikarz. Ale trud-

no zakwestionować pogląd, że program był skandaliczny, że został źle skonstruowany, że Bilalian nie panował nad sytuacją, że powinien był wiedzieć, że jego „gości" utrzymać w karbach jakiejś cywilizowanej debaty się nie da, jemu się to w każdym razie nie udało. Że choć skrajna prawica nie jest zakazana, to faszyzm i rasizm są. I że, z jego winy a to jest niewątpliwe, telewizja państwowa, czyli jak mówią Francuzi *service public*, stała się przekaźnikiem, nosicielem i rzecznikiem tez nie prawicowych, a rasistowskich i nazistowskich oraz agentem reklamowym małych gangów, które te tezy propagują. Komercjalizacja, odwrócenie skali wartości i priorytetów, o które się potknął Goossens, fakt, że głównym kryterium oceny programu staje się *audimat*, czyli powodzenie u publiczności, co wywróciło Bilaliana, spowodowały, mówiąc w bardzo uproszczonym skrócie, potrójny opad. Z jednej strony, fatalny mariaż polityki *show*'u. Ja też lubię ładne dziewczynki, ale te muzyczki czy „numery" przerywające „dla odprężenia" poważne programy polityczne w istocie pomieszały rozrywkę z refleksją, zubożając lub degenerując jedną i drugą. Z drugiej strony, nacisk idzie coraz częściej, tak jak u Bilaliana, nie na dialog a na konfrontację, bo pyskówka na stereotypy i brednie jest bardziej telegeniczna niż poważna i spokojna rozmowa. I wreszcie — scenografia. Oprawa, warunki w jakich idzie program stały się *Ding an sich*, ważniejsze od samej treści programu. Dopuszczenie publiczności do studia, teoretycznie w imię demokracji, w istocie aby była „atmosfera", zamienia często poważny program w zwyczajny wiec.

Zapraszając „bo to ciekawe" poputczyków hitlerowskich, telewizja nadała im jakieś cechy przyzwoitości, a ich poglądom jakiś walor poznawczy. A to jest błąd, który nie może pozostać bez skutków. Bowiem, jak powiedział pewien profesor medycyny na zebraniu podejmującym, w reakcji na program Antenne 2, inicjatywę powołania jakiegoś organu koordynującego akcję antyfaszystowską, „rasizm to wirus nieskończenie groźniejszy od straszliwego przecież AIDS". A telewizja — padła refleksja — nie powinna się przyczyniać do szerzenia AIDS.

Następnym razem

Nie waham się powiedzieć że, w tym sensie, dramat Jugosławii jest także kwestią skrajnej prawicy. Mówiąc cynicznie (i tak jestem o to podejrzany), masakra domowa w Jugosławii nie jest już, po końcu zimnej wojny, dla Europy niebezpieczna. Zagranicy bardziej żal starych kamieni Dubrownika niż wymordowanych całych rodzin z Wukowaru. Ale klasycznie „skrajnoprawicowy" bo plemienny paradygmat wysmażony w Belgradzie może stać się bardzo niebezpieczny. Łączy on agresywny szowinizm, interes kasty czy bojówki czyli, w tym przypadku, byłego aparatu partyjnego i wojskowego oraz „ideologię" czyli hecujące kazania kościoła prawosławnego, aby stworzyć serbską syntezę w duchu dawnych wojen krzyżowych, lub, inaczej mówiąc, w duchu nacjonal-komunizmu. Francuski filozof André Glücksman wydrukował na ten właśnie temat wstrząsający artykuł w *Le Monde* (11 grudnia 1991). Glücksman, który wrócił właśnie z Wukowaru, cytuje lekarza operującego w piwnicy, pod bombami, w i tak już zupełnie rozbitym szpitalu. „Barbarzyństwo, zdziczenie. Jeżeli pozwolicie na masakrę, to sami staniecie się draniami". Ano...

Glücksman kieruje bardzo ostre oskarżenia pod adresem Europy, a Jacques Delors'a wyzywa od „monachijczyków", co dla Francuza nie jest komplementem. Europa to pokój, pisze filozof. Zwiedzajcie Chorwację, dodaje. Glücksman zastanawia się, ilu aparatczyków w Rumunii, w Rosji, na Ukrainie, w Gruzji itd. czeka tylko na okazję, aby móc pójść śladem towarzyszy z Belgradu. Ma rację. To jest nowa skrajna prawica. Post-komunistyczna.

Ale Glücksman za szybko wrócił. Gdyby spojrzał dalej, choć rozumiem, że mogło mu być trudno, to zauważyłby, że niektóre bojówki chorwackie nawiązują do tradycji Ustaszów, najgorszych zbirów hitlerowskich mordujących Serbów i Żydów w imię i pod znakiem krzyża. Na Ukrainie pojawili się banderowcy. W Słowacji święci się pamięć ks. Tiso. Rosyjska „Pamiat" maszeruje na, ogólnie mówiąc, „Żydów", choć nie tylko o nich chodzi, pod portretami Mikołaja II, w mundurach carskich, i z błogosławieństwem popów. No a kto im wszystkim, mniej lub bardziej dyskretnie, pomaga? Skrajna prawica europejska. Czysta logika. W tym miejscu czas na akcent polski. Będzie krótki, ale nie należy go lekceważyć. Niech się nikt nie pociesza wyborczą klęską Giertycha i Tejkowskiego. Ktoś inny na niej skorzystał. Tak jak za sprawą Antenne 2, dzięki telewizji polskiej, tej największej i najbardziej nośnej trybunie propagandowej, ich trucizna (bez antidotum czy polemiki choćby jak u Bilaliana), dotarła do polskich domów. Tym razem głosy ich zwolenników poszły na innych, bo byli tacy, którzy niektóre ich hasła przejęli, albo dali wyborcom do zrozumienia, że, w bardziej cywilizowanej formie, mieszczą się one w ich własnych programach. Ale nie trzeba się łudzić, nieudolnym naśladowcom nie uda się także w Polsce prawdziwych faszystów przechytrzyć. Następnym razem może być inaczej. Tymińskiego także nikt się nie spodziewał.

Wszyscy wtedy, w Belgii, w Polsce, i wszędzie indziej, będą

odpowiedzialni. I ci, którzy, zdegustowani polityką, mówią „niech się kitłaszą we własnym sosie". I ci, którzy tchórzliwie odwracają się tyłem i umywają ręce. I ci, którzy myślą, że uda się im bezkarnie energumenów wykorzystać i użyć dla własnych celów.

Nie wolno zamykać oczu, stawką jest demokracja. Kiedy politycy się ockną, a strach już zdąży ostatecznie się przekształcić w nienawiść, wtedy będzie za późno.

Pisane 15 grudnia 1991

Leopold UNGER

Pułapki koniunktury energetycznej

Jak dotąd polski system energetyczny stanowi część układu imperialnego, nastrojonego na sieć sowiecką z ośrodkiem na Ukrainie. Sieć ta charakteryzuje się niską jakością produkowanej elektryczności. Wahania częstotliwości i amplitudy są duże, a możliwości regulacji ograniczone. Elektronów nie można zatrzymać, ani składować; jeśli w jakimś punkcie sieci spożycie nagle spada lub wzrasta, wówczas wymaga to szybkiego dostosowania produkcji. Sztywny system sowiecki nie zawsze na to pozwala, a wówczas jedynym rozwiązaniem jest raptowna zmiana podaży gdzie indziej, lub wręcz zatrzymanie produkcji w obszarze dyspozycyjnym, jakim często bywają kraje ościenne, więc Polska. Ponadto wysoka awaryjność sowieckiej sieci stanowi czynnik destabilizujący cały system, bowiem w układzie połączonym poważna awaria — typu *black out*, oznacza kompletną ciemność — błyskawicznie przenosi się na wielkie obszary. W każdym przypadku Sowiety uprawiały imperializm energetyczny, narzucający krajom satelitarnym rolę tamponu dla niesprawnego systemu Imperium.

Pozostawanie w tym systemie jest szkodliwe także z punktu widzenia modernizacji całej gospodarki. Nowoczesne urządzenia stawiają wysokie wymagania dla parametrów zasilania, w szczególności gdy chodzi o wahania częstotliwości i amplitudy, a także zawartość harmonicznych.

Wszystko to dowodzi konieczności włączenia kraju do zachodniego systemu energetycznego. Zabiegają o to Polska, Czecho-Słowacja i Węgry, natomiast wschodnie Niemcy zostaną podłączone już w najbliższym czasie, być może z końcem 1992 roku.

UNIKNĄĆ IZOLACJI

Jeśli nie zmieniać niczego w funkcjonowaniu polskiego systemu, wówczas po integracji sieci niemieckiej nastąpi otwarcie złącz w Zgorzelcu i Szczecinie, dla rozdzielenia obu sieci. Rozwiązanie to nie wymaga żadnych inwestycji, za to prowadzi do izolacji kraju.

Odosobnienie Polski jest nie do pomyślenia, żaden kraj w Europie nie produkuje w taki sposób: innymi słowy, w grę wchodzić może co najwyżej odroczenie inwestycji na krótki termin. W tym czasie mogą jednak nastąpić operacyjne porozumienia poza naszymi plecami, stawiając Polskę w znacznie trudniejszej sytuacji, niż obecnie. Dziś jeszcze ważną rolę w negocjacjach pełni kluczowe położenie naszego kraju, mogącego stać się w najbliższych dziesięcioleciach platformą skutecznych uzupełnień energetycznych w skali kontynentu. Chodzi tu w szczególności o związanie potencjału hydrolitycznego Skandynawii z cieplnym układem produkcyjnym Polski, a przede wszystkim o rolę czynnego partnera w europejskim scenariuszu energetycznym, gdzie byłe kraje sowieckie mają stać się zagłębiem surowcowym dla Zachodu. Jakkolwiek krytycznie oceniać można ten ostatni aspekt europejskiej wspólnoty, pozostaje faktem, że stanowi on praktyczny impuls inwestycyjny zachodnich spółek.

ROZWIĄZANIE POŚREDNIE

Możliwe jest postawienie na granicy z Niemcami stacji przekształceniowych: polskie napięcie zmienne o kiepskich parametrach uległoby w nich „wyprostowaniu", a następnie przekształceniu na napięcie zmienne o wysokiej jakości, umożliwiającej wstrzyknięcie polskiej energii do niemieckich sieci. Kosztowałoby to mniej pieniędzy, niż dostosowanie całej sieci do norm zachodnich, a przy tym i finansowanie zdaje się łatwiejsze, ponieważ pod względem politycznym i technologicznym odpowiada to koncepcji niemieckiej spółki PREUSSEN-ELEKTRA. Celem tej ostatniej jest przeprowadzenie przez nasze terytorium linii prądu stałego do Rosji, stanowiącej przedłużenie podobnej magistrali od Atlantyku. Opłacalność rosyjskiego odcinka tej linii zależy trochę od tego, czy Polska pozostanie w izolacji od sieci zachodnioeuropejskiej.

Rozwiązanie pośrednie ma i u nas zwolenników, nie tylko z uwagi na możliwość szybkiego finansowania, lecz i dlatego, że zainstalowanie urządzeń przekształcających kiepską energię naszego systemu na energię wysokiej jakości umożliwiłoby bezzwłoczną jej sprzedaż do Niemiec. Wówczas jednak modernizacja całej polskiej sieci zeszłaby na dalszy plan, co poza wszystkim penalizowałoby również i przyjętą opcję, bowiem przekształtniki na granicy niemieckiej podlegałyby podobnemu fatalizmowi awaryjności krajowego systemu jak i wszystkie inne urządzenia na terenie całego kraju. Ponadto, zdaniem części specjalistów, znacznie wzrosłoby niebezpieczeństwo strategicznej izolacji Polski w przypadku przeprowadzenia kabla prądu stałego z Niemiec do Rosji. W gruncie rzeczy bowiem Zachód interesuje się nie tyle małym krajem znad Wisły, co Rosją, i bezpośrednie połączenie Rosji z Niemcami odjęłoby sporo ze znaczenia polskiej sieci jako potencjalnego pośrednika. Innymi słowy już na krótką metę zagrożone byłyby inwestycje służące modernizacji tej sieci. Przykładem jest francusko-belgijska inicjatywa budowy elektrowni pompowo-szczytowej w Młotach. Dla jej finansowania konieczny jest wkład Europejskiego Banku Rozwoju BERD, który jednak wymaga, by inwestycja służyła celom integracyjnym.

ROZWIĄZANIE KOMPLEKSOWE

Modernizacja całej sieci, a w szczególności nałożenie na wszystkie generatory sprawnych urządzeń regulacyjnych, jest w każdym razie niezbędna. Stanowi to warunek przyłączenia do sieci zachodniej, bez czego nie do pomyślenia jest niezależna polityka handlowa, ogólna stabilizacja polskiego systemu dystrybucji energii oraz unowocześnienie całej gospodarki. Problem polega na tym, kto zapłaci.

INTERES NIEMIECKI

Na średnią metę Niemców interesuje polska energia dla przyspieszenia rozwoju wschodnich Landów. W scenariuszu tym, najbardziej prawdopodobnym, rozwój Polski będzie znacznie wolniejszy, niż byłej NRD, co pozwoli z naszej strony na wydzielenie nadwyżek na eksport. Ponadto kraj nasz jest nieuniknionym pośrednikiem między Rosją i Niemcami, skoro już nie udało się go połknąć wspólnym wysiłkiem. Powyższe argumenty faworyzują koncepcję stacji przekształtników na granicy z Polską oraz bezpośrednią linię do Rosji.

Do Niemców trafiają jednak także dwa inne argumenty, przemawiające raczej za unowocześnieniem polskiej sieci, a jednocześnie nie stojące w sprzeczności z ich strategicznymi celami. Po pierwsze są oni zainteresowani niezrywaniem więzi z terytoriami utraconymi po II wojnie. Jest to zainteresowanie raczej umiarkowane, przynajmniej w bliskiej perspektywie, ale stale realne. W dziedzinie energetycznej objawia się ono na przykład rządowym finansowaniem elektrociepłowni w Gliwicach. Drugim czynnikiem jest polityka konkurentów, którzy zdecydowanie chcą inwestować w unowocześnienie polskiej sieci.

AMERYKANIE, FRANCUZI, SZWEDZI I BELGOWIE

Amerykanie, którzy u nas ulokowali się w dziedzinie średnich mocy i w projektach elektrociepłowni, mają duży wpływ na decyzje Banku Światowego, skąd łatwiej niż inni dostać mogą pieniądze na modernizację polskich urządzeń. Z kolei celem Szwedów jest ekspansja regionalna wokół Bałtyku. W grę wchodzi także kabel pomorski na prąd stały, ale zapleczem dla takiego kabla powinna być zwarta sieć obrzeża Bałtyku o europejskich parametrach. W odróżnieniu od Niemców, którzy chcą kupować polską energię, w związku z czym stacja przekształtnikowa bez zsynchronizowanego zaplecza mogłaby im wystarczyć, Szwedzi zainteresowani są sprzedażą własnej energii poza sferę przybrzeżnomorską, do którego to celu konieczna jest nowoczesna sieć w Polsce. O skali ich zaangażowania świadczyć mogą ważne inwestycje ABB w polskim parku maszynowym, czy obecność firmy VATTENFALL w kilku projektach w Polsce i republikach bałtyckich. Wreszcie Francuzi, których motywacje są dwojakie. Po pierwsze ich monopol elektryczny zadłużony jest na 40 miliardów dolarów i muszą szukać na rynkach zewnętrznych możliwości zrównoważenia swojego bilansu. Po drugie wobec dynamiki niemieckiej nie pozostaje im nic innego, jak zająć korzystną pozycję wyjściową w europejskiej strukturze handlu i produkcji, a sektor elektryczny jest ich mocną stroną. Wreszcie konwersja polskiej sieci jest mocno popierana przez Europejski Bank Rozwoju BERD, na którego czele stoi Francuz Attali.

Polskie Sieci Energetyczne zdają się sprawnie wykorzystywać tę sytuację, negocjując ze wszystkimi stronami. W sprawie linii stałego prądu do Rosji Niemcy działają całkowicie w pojedynkę. Spółka PREUSSEN nie traci nadziei na przyjęcie przez Polaków tej koncepcji, zwłaszcza gdy rozwiniętym projektom zaczną kurczyć się fundusze.

STANOWISKO POLSKIE

Dla polskich fachowców jest jasne, że Niemcy muszą stanowić uprzywilejowanego partnera. Geografia narzuca taką sytuację zarówno w aspekcie prostego handlu, jak i w przypadku synchronizacji polskiego systemu z zachodnim. Żywa jest jednak nieufność do ekspansjonizmu niemieckiego, która nadaje pewną rangę koncepcji południowo-wschodniej, to jest bliższego związku z Czechosłowacją i Węgrami, aż do pełnego układu równowagi energetycznej dla regionu republik bałtyckich, Ukrainy i Białorusi.

Ostatecznie wydaje się, że synchronizacja polskiej sieci z zachodnią dokona się tak czy inaczej, problemem jest zatem wybór najlepszej i najszybszej drogi. Polska, Czechosłowacja i Węgry mogłyby zwiększyć własną siłę przebicia przyjmując wspólną politykę energetyczną.

POLSKA SUROWCAMI STOI?

Zauważmy, że powyższe scenariusze oparte są o zasadę biernej roli polskiej energetyki w odniesieniu do własnej gospodarki. Z jednej strony polska sieć miałaby pełnić rolę pośrednika dla zagłębia rosyjskiego, a z drugiej zapewnić dostawy energii na rynki zewnętrzne. Zbyt wydaje się niezagrożony: w Europie wschodniej zapewnia go regres energetyki nuklearnej, a w Europie zachodniej rozwojowe potrzeby tamtejszego przemysłu. Wizja pośrednika i dostawcy leży u podstaw wszystkich ocen, a w końcu i decyzji dotyczących przyszłości polskiej sieci. Z punktu widzenia całej gospodarki jest to perspektywa niepokojąca. Rola bankiera energii dla wszystkich dookoła musiałaby się wiązać z głębokim i stałym upadkiem polskiej gospodarki, pozwalającym na wydzielenie dużych nadwyżek na eksport. Od strony rachunku inwestycyjnego zaś powyższa wizja wymaga zachowania istniejących nienormalnych stosunków cenowo-płacowych, innymi słowy energetyka stałaby na straży upadku gospodarki.

Jak dotąd bowiem zachodni inwestorzy opierają swój rachunek na niskich kosztach własnych polskich central. Na rynku międzynarodowym cena węgla dostarczonego do portu wynosi około 50 dolarów za tonę. Tymczasem koszt wydobycia węgla zachodnioeuropejskiego jest dwukrotnie wyższy i sytuacja taka ma charakter trwały, spowodowany różnicą warunków geologicznych. Europejskie kopalnie głębinowe nie mogą w żaden sposób konkurować z odkrywkami północnoamerykańskimi czy

australijskimi. W tych warunkach Europa zachodnia zamyka własne kopalnie, przerzucając część swych planów energetycznych na Wschód, gdzie cena polskiego węgla — 26 dolarów za tonę — stanowi silny bodziec inwestycyjny. Taniość polskiego surowca nie wynika ze sprzyjających warunków wydobywczych, czy wysokiej wydajności pracy, lecz jest następstwem zaniżonych płac i fałszywej struktury cen. Specjalnie szkodliwą rolę odgrywa tu administracyjny dolar byłego ministra finansów. Tani dolar podnosi cenę polskiego węgla, więc środkiem dla utrzymania jego konkurencyjności jest silna blokada płac i dopłaty do wydobycia. Jak długo to może potrwać? Zachodni inwestorzy nie zadają sobie wielu pytań. Liczą oni na utrzymanie niskich kosztów produkcji w Polsce przez kilkanaście do dwudziestu lat. Do takiego wniosku nakłaniać może nie tylko obserwacja wolnego tempa zmian w gospodarce, lecz przede wszystkim przekonanie o trwałości polityki monetarnej i płacowej w krajach wschodnioeuropejskich. Źródłem części kredytów inwestycyjnych są bowiem krótkoterminowe ustalenia polityczne. Otóż Zachód widzi na Wschodzie przede wszystkim zagłębie surowcowe oraz odbiorcę własnych towarów o dużej wartości dodanej, bez trudu narzucając tę wizję wschodnim politykom. W ten sposób można po części zrozumieć, dlaczego kolejne polskie rządy kontynuują politykę fałszywej monety, która penalizuje wprawdzie krajową wytwórczość, ale nie zabrania stosowania wybiórczych środków kompensacyjnych, sztucznie promujących tani polski węgiel. Wynikająca stąd gospodarcza stagnacja jest ceną, jaką politycy godzą się płacić za możliwość prowadzenia prostych rachunków eksportowych dla surowców i półprzetworów, w tym także energii elektrycznej.

PRZEDE WSZYSTKIM INWESTYCJE SUROWCOWO-PRODUKCYJNE

Modernizacja polskiej energetyki nie powinna być dokonywana wyłącznie pod kątem korzyści eksportowych. Zastąpienie gierkowskiej metody „Polska węglem stoi" na „Polska elektrycznością stoi" nie rokowałoby nowym reżimom lepszego końca niż poprzednikowi. Polski system energetyczny musi zostać unowocześniony przede wszystkim dla potrzeb wewnętrznych. Chodzi o wysoką jakość energii dla polskiego przemysłu oraz pełną sterowalność sieci podług wahań spożycia w całym regionie dynamicznej gospodarki.

Wypada bowiem zdać sobie sprawę, że niska cena polskiego węgla jest niemożliwa do utrzymania. Jeśli Polska chce rozwinąć normalny rynek, to — podobnie jak i w całej Europie — polski

węgiel wypadnie z konkurencji. Wówczas dzisiejsze kryteria opłacalności, podstawa rachunku inwestorów zagranicznych, stracą wszelkie znaczenie.

Eksport energii jest konieczny, ale nie może dominować planów rozwojowych. Należy przede wszystkim zainteresować inwestorów złożonymi projektami, gdzie wytworzona energia spożywana jest na miejscu, służąc produkcji dóbr. Dobra te, obok elektryczności, służyć powinny dla kredytowania inwestycji zarówno poprzez zyski ze sprzedaży wewnętrznej, jak i eksportowej. Dla wszystkich jest jasne, że opłaca się sprzedawać przede wszystkim przetwory, raczej niż surowce i półfabrykaty, zwłaszcza, jeśli konkurencyjność surowca ma charakter sztuczny, więc nietrwały.

Z tego punktu widzenia wyjściowy dylemat z niemieckim kablem do Rosji zmienia swój charakter. Na kablu można zarobić tak samo, jak na sprawnej sieci. Zauważmy, że producenci w Europie zachodniej bynajmniej nie obawiają się izolacji w związku z atlantyckim odcinkiem linii firmy PREUSSEN. Spór związany z dotychczasową, surowcową wizją wschodnich gospodarek zniekształca wszystkie dane problemu. Konieczne jest uwolnienie się od doraźnych wizji na rzecz programu, którego nieukrywanym celem byłoby poszukiwanie wspólnej rady dla obu dolegliwości dzisiejszej Europy: bezrobocia na Zachodzie i nędzy na Wschodzie. Takim programem może być właśnie inwestowanie kompleksowe, surowcowo-wytwórcze. Projekty inwestowania łączonego stanowiłyby dla zachodnich spółek podstawę sojuszów, a także restrukturyzacji profilu produkcyjnego, zastępując jedyny jak dotąd środek na recesję — to jest zwalnianie pracowników. Pewnym argumentem dla kapitalistów, z natury nieufnych wobec złożonych projektów, może być iluzoryczność ich dzisiejszego zaufania do prostych operacji surowcowych, w których niewiele trzeba aby i oni stracili.

Paryż, 9.12.91

Robert KACZMAREK

Wywiady «Kultury»

Rozmowa Krzysztofa Pomiana z Jerzym Giedroyciem*

1. *Czy przypuszczał Pan, że dożyje do upadku komunizmu i odzyskania przez Polskę niepodległości? Jeśli tak, jak Pan sobie to wyobrażał? Co w wydarzeniach z lat 1989-91 było dla Pana najbardziej zaskakujące, co sprawiło Panu największą radość, co było najważniejszym rozczarowaniem?*

— Byłem od bardzo dawna przekonany, że imperium sowieckie upadnie i że wskutek tego Polska odzyska niepodległość. Nie przypuszczałem jednak, że to może nastąpić tak szybko i jeszcze za mego życia.

W wydarzeniach z lat 1989-91 największą radość sprawiła mi postawa społeczeństwa: niezmiernie jednolita, zdecydowanie antykomunistyczna i gotowa do największych poświęceń. Ta postawa społeczeństwa niestety nie tylko nie została wykorzystana, ale przeciwnie, zmarnowana. Największym rozczarowaniem była dla mnie postawa nowej elity politycznej, która doszła do władzy. Była ona do tego zupełnie nieprzygotowana. Walczyła cały czas jedynie o nawiązanie dialogu z władzą komunistyczną, niezmiernie przeceniała siłę PZPR-u i na skutek tego z miejsca poszła na niepotrzebne koncesje i ustępstwa. Była również zupełnie niezorientowana w rozpadzie imperium sowieckiego i je-

* W Centre du Dialogue w Paryżu, dn. 6.XII.1991.

go słabości, żyjąc w ciągłym strachu przed reakcjami Moskwy. Ten strach paraliżował jakąkolwiek szerszą działalność, specjalnie na Wschodzie. Dawna opozycja zupełnie nie liczyła, że może nastąpić odzyskanie niepodległości i że ona dojdzie do władzy, wobec tego nie miała przygotowanych ani kadr, ani przepracowanych ważniejszych zagadnień. Przez lata walczyłem o to, żeby się tym zająć. Pieniędzy było wystarczająco dużo, było wielu bezrobotnych intelektualistów i specjalistów, którzy mogli poszczególne tematy opracować, jak np. współpracę z Ukrainą czy z Rosją, gdy Polska odzyska niepodległość.

Zwracałem uwagę, jaką rolę tego rodzaju przygotowawcze prace odegrały w czasie konferencji pokojowej w Wersalu po pierwszej wojnie światowej. Były przygotowane opracowania ze wszystkich dziedzin; niestety tego obecnie całkowicie nie brano pod uwagę, uważając to za jedną z moich fobii.

2. *Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia Pan dorobek Drugiej Rzeczypospolitej? Jakie pozostawił on wzorce do naśladowania? Jakie przykłady negatywne?*

— W tej chwili panuje tendencja do bezkrytycznego brązowienia tego okresu. Niewątpliwie było w Dwudziestoleciu bardzo dużo rzeczy pozytywnych i godnych naśladowania.

Przede wszystkim z miejsca dokonano ogromnego wysiłku scalenia prawodawstwa wszystkich trzech zaborów, uruchomiono w niezwykle szybkim tempie zniszczony przemysł, wyszkolono wojsko, co było przecież improwizacją.

Jedną z cech bardzo ważnych i pozytywnych była ogromna uczciwość. Pensje urzędnicze były bardzo niskie, tym nie mniej nadużycia i łapownictwo zdarzały się bardzo rzadko. Nie wykorzystywano stosunków i protekcji. W całej historii Dwudziestolecia była tylko głośna sprawa *trafic d'influence* Parylewiczowej. Gdy premier Świtalski pojechał do Nicei na wakacje samochodem służbowym płacąc z własnej kieszeni za benzynę czy reparacje — wywołało to taką burzę, że spowodowało jego dymisję.

Wyostrzone poczucie państwowości, służby i ofiarności dla państwa było tak silne, że np. po klęsce wrześniowej i porachunkach z sanacją, które prowadził gen. Sikorski, wszyscy przywódcy jak marszałek Śmigły-Rydz czy min. Beck zgłosili chęć współpracy, poinformowania o ich działalności — przecież w wielu wypadkach poufnej — jak np. umowa polsko-francuska, czy pertraktacje z Anglią. Niestety zaślepienie partyjne spowodowało odrzucenie tej gotowości, z jakże wielką stratą dla sprawy polskiej. Tak np. przekazane do Angers materiały dotyczące umowy polsko-francuskiej nie były nawet rozpakowane.

Nie brakowało także spraw negatywnych: katastrofalna polityka narodowościowa, pacyfikacja Małopolski Wschodniej, niszczenie cerkwi, tendencje antysemickie i dyktatorskie, które ujawniały się w ostatnich latach przedwojennych, zaniedbanie kryzysu rolniczego, przeludnienie wsi, sztywna polityka finansowa (np. odmowa dewaluacji złotego), skłonność do działań nielegalnych, jak sprawa brzeska, i próby naginania sądownictwa dla celów politycznych, okłamywanie społeczeństwa przedstawiając mu w sposób przesadnie optymistyczny potęgę kraju i wojska.

3. *Jak określiłby Pan miejsce PRL-u w historii Polski:*

a) czy można mówić o „czarnej dziurze"? Czy uważa Pan za trafne określenie „Trzecia Rzeczpospolita"? Czy między PRLem a Polską dzisiejszą widzi Pan jakąś ciągłość? Jaką?

b) Jaki jest Pana pogląd na „dekomunizację" rozumianą jako prawny zakaz zajmowania stanowisk publicznych przez byłych członków lub działaczy PZPR-u?

— „Trzecia Rzeczpospolita" to jakby stwierdzenie, że bezpośrednio po prezydencie Mościckim był prezydentem Wałęsa. Jest to zwykła bzdura. PRL, mimo zwasalizowania przez Związek Sowiecki, był jednak w pewnym sensie państwem polskim i na niektórych odcinkach dokonał rzeczy pożytecznych dla interesów Polski. Trzeba pamiętać, że nie tylko Stalin i KGB, ale także sami Polacy brali udział w zniewoleniu Polski, we wszystkich zbrodniach i nadużyciach.

Ciągłość między PRLem a Polską dzisiejszą podkreśliła zresztą sama Solidarność przeforsowując różnymi sztuczkami gen. Jaruzelskiego na prezydenta Polski, czy w pewnej mierze fałszując wybory do Sejmu, aby nie wyglądało to na pogrom PZPR.

Przy okazji uwaga: nową elitę rządzącą cechuje po prostu brak dobrych manier: np. robienie nieprzyzwoitych sztuczek, by prezydentura Wałęsy nie została przyjęta z rąk Jaruzelskiego, czy nawet nie zaproszenie go na intronizację Wałęsy.

„Dekomunizacja" czy różne grube kreski także są bzdurą. Wśród byłych członków PZPR było wiele osób przyzwoitych i cennych, nie mówiąc o tym, że przynależności do PZPR-u można się dopatrzeć w życiorysach wielu przywódców obecnego *establishmentu*. Natomiast jest zaskakujące, że nie pociągnięto do odpowiedzialności działaczy Bezpieki, sędziów i prokuratorów, odpowiedzialnych za haniebne represje i morderstwa. Sprawa ks. Popiełuszki i Przemyka — to grubo nie wszystko. Jest rzeczą niezrozumiałą, że nie zabezpieczono tajnych akt Min. Spraw Wewnętrznych i Bezpieki, nie mówiąc już o wywiadzie i kontr-

wywiadzie. Te wszystkie akta powinny były być zebrane w jednym miejscu, uporządkowane przez osoby godne zaufania. Ma się rozumieć powinny one być tajne, ale powinny też służyć jako cenny materiał dokumentacyjny, niezmiernie potrzebny dla oczyszczenia atmosfery politycznej w kraju, która jest zatruwana plotkami, publikowaniem różnych „niedyskrecji" ogłaszanych dla rozgrywek personalnych.

4. Jak z perspektywy dnia dzisiejszego ocenia Pan „Solidarność"?

— Negatywnie. Był to wspaniały zryw świata robotniczego i postępowej inteligencji, który w dużym stopniu został zmarnowany przez euforię, przecenianie własnych możliwości. Stan wojenny zastał „Solidarność" zupełnie do tego nieprzygotowaną, bez zabezpieczenia ciągłości pracy i wypracowania linii postępowania. W czasie stanu wojennego pewne rzeczy zostały odbudowane nawet bardzo imponująco, jak prasa i wydawnictwa podziemne, ale jednocześnie powstały rozłamy i rozgrywki personalne. Dziś jest najwyższy czas, żeby odłożyć „Solidarność" do archiwum, a nie traktować jej jak dziurawego parasola, pod którym chce się chować różne rzeczy.

5. Jaka Pana zdaniem powinna być w Polsce — dziś i w najbliższej przyszłości — rola państwa? W gospodarce? W kulturze?

— Przez dłuższy czas rola państwa będzie bardzo duża. Przekształcenie się gospodarki Polski bez ingerencji państwa jest właściwie niemożliwe. To, że w tej chwili ta rola państwa jest głupia i szkodliwa, nie zmienia faktu, że bez działalności państwa jest niemożliwe przejście do nowego typu gospodarki. Tak samo rola państwa powinna być bardzo duża w dziedzinie kultury. Bez pomocy państwa nie mogą funkcjonować teatry, film, imprezy kulturalne krajowe czy międzynarodowe, życie naukowe, wydawnictwa wartościowe, które nie mogą liczyć na samodzielne utrzymanie się, etc.

6. Jaka jest Pana wizja ustroju Polski?
a) z jakich wzorów winni czerpać autorzy nowej konstytucji,
b) jak widzi Pan stosunki władzy ustawodawczej i wykonawczej, rolę urzędu prezydenckiego, organizację aparatu państwowego, stosunki między państwem a Kościołem katolickim?

— Przede wszystkim należy sprecyzować uprawnienia Prezydenta, do których należą w pierwszym rzędzie: mianowanie premiera (ale *nie* odwoływanie go), rozwiązanie parlamentu, wprowadzenie stanu wyjątkowego, mianowanie naczelnego wodza.

Wybór prezydenta powinien nastąpić nie w wyborach powszechnych, ale przez zgromadzenie elektorów, z których jedna trzecia składałaby się z przedstawicieli samorządów terytorialnych, jedna trzecia z samorządów i związków zawodowych, jedna trzecia z instytucji naukowych i kulturalnych.

Należy zredukować co najmniej o jedną trzecią liczbę posłów i senatorów.

Dla uniknięcia rozdrobnienia partyjnego — czego świadkami jesteśmy obecnie — należy wprowadzić, na wzór Niemiec, barierę uzyskania w wyborach co najmniej 5% głosów.

Ustalenie trybunałów rozjemczych, rozwiązujących konflikty i ograniczających prawo strajku jeśli idzie o pracowników służby zdrowia, transportu i bezpieczeństwa.

Jeśli idzie o okres przejściowy, to należy się opierać na obecnie obowiązującej konstytucji. Wszystkie próby wprowadzenia „małej konstytucji" są szkodliwe i wprowadzają tylko zamieszanie.

Jeśli idzie o stosunki państwa z Kościołem to są one regulowane przez konkordat z Watykanem.

Działalność Kościoła nie może być sprzeczna z ustawodawstwem państwowym. Jest niedopuszczalne, jak to miało miejsce przy ostatnich wyborach, aby Kościół czyli znakomita większość proboszczów, ustalał listy partii i osób, na które należy głosować, przy czym propagandę prowadzono jeszcze w dniu wyborów.

Powinien być przeprowadzony rozdział Kościoła od państwa.

Należy ustalić taryfy za usługi kościelne.

Należy zakazać ściągania z obywateli zamieszkałych w danych parafiach prawdziwych haraczów na budowę kościołów, jak to ma miejsce np. przy budowie kościoła na Okęciu.

Należy anulować niezrozumiałe przywileje, jak na przykład nadziały ziemi dla parafii z państwowego zapasu ziemi, której nie ma dla reemigrantów ze Związku Sowieckiego.

7. Jakie są Pana zdaniem niebezpieczeństwa wewnętrzne, które grożą dziś Polsce?

— Zniechęcenie i desperacja społeczeństwa obniżającym się stale poziomem życia, rosnące bezrobocie, kryzys rolniczy, brak zaufania do władzy. Tego rodzaju sytuacja może grozić niekontrolowanym wybuchem.

8. *Jakie są niebezpieczeństwa zewnętrzne?*

a) czy podziela pan pogląd tych, którzy utrzymują, że Polska nie musi się interesować Rosją, gdyż ta nie jest naszym sąsiadem? Jak Pan widzi przyszłą rolę Rosji?

b) czy uważa Pan za uzasadnione obawy związane z możliwością pojawienia się na wschodniej granicy Polski niepodległej Ukrainy wyposażonej w broń nuklearną?

c) czy Pana zdaniem możliwe jest gospodarcze i cywilizacyjne skolonizowanie Polski przez Niemcy?

— Rosja jest ciągle dla nas bardzo ważnym partnerem zarówno politycznym jak i gospodarczym. Jest więc rzeczą wielkiej wagi znormalizowanie stosunków polsko-rosyjskich.

Niepodległość Ukrainy ma dla Polski ogromne znaczenie. Bardzo dobrze się stało, że Polska pierwsza tę niepodległość uznała i nawiązała stosunki dyplomatyczne. Nie obawiam się zagrożenia nuklearnego ze strony Ukrainy, wręcz przeciwnie. Ukraina chce usunąć ze swego terytorium broń nuklearną. Obawiam się jedynie koncentracji broni nuklearnych w republice rosyjskiej. Niebezpieczeństwem jest natomiast narastanie nastrojów skrajnie nacjonalistycznych różnych grup politycznych, na szczęście — jak dotąd — nielicznych. Z analogicznymi tendencjami w społeczeństwie polskim należy walczyć jak najbardziej energicznie.

Nie wierzę w gospodarcze i cywilizacyjne skolonizowanie Polski przez Niemcy. Przy całym pesymizmie, jeśli idzie o sytuację Polski, nasza prężność kulturalna jest wystarczająco silna. Trzeba natomiast szereg rzeczy uporządkować, jak np. sprawę Śląska, ale to jest osobne zagadnienie.

9. *Czy Pana zdaniem Polska ma jakieś szczególne obowiązki wobec swych sąsiadów z północy i ze wschodu, zwłaszcza wobec Litwy? Na czym one polegają?*

— Pomijając względy historyczne i sprawę mniejszości polskiej na Litwie, bez współpracy z Litwą nie jesteśmy w stanie rozwiązać np. problemu Okręgu Kaliningradzkiego. Okręg ten, jeżeli zostanie zaludniony przez Niemców rosyjskich, może być dla nas ogromnym zagrożeniem w przyszłości.

Równie ważna dla interesów polskich jest Białoruś. Jest to splot zagadnień bardzo dla Polski istotnych ze względów przede wszystkim narodowościowych i religijnych.

10. *Jak zapatruje się Pan na współpracę regionalną w Europie środkowej, zwłaszcza w trójkącie Polska-Czechosłowacja-Węgry?*

— Ta współpraca ma dla nas ogromne znaczenie, gdyż może być ośrodkiem stabilizacyjnym dla tej części Europy zarówno na odcinku gospodarczym jak i wojskowym. Po załamaniu się Paktu Warszawskiego i niemożliwości wejścia do NATO — co zresztą miałoby swoje złe strony — możliwość stworzenia współpracy na odcinku wojskowym na wzór Francja-Niemcy byłaby doskonałym rozwiązaniem. Jest to bardzo trudne ze względu na niechętny stosunek tych krajów do nas, spowodowany naszymi błędami.

11. *Jaką rolę winna Pana zdaniem odgrywać w obecnych warunkach emigracja polska? Czy można mówić o emigracji politycznej?*

— Emigracja polityczna — jeśli przez nią rozumieć ośrodek londyński — przestała istnieć z chwilą przedwczesnego przekazania insygniów Polski Wałęsie i podporządkowania mu czynności likwidacyjnych.

Polski Londyn ma ciągle bardzo duże znaczenie na odcinku historyczno-kulturalnym i dlatego znaczne zasoby finansowe nie powinny w żadnym wypadku być przekazane do Polski, ale zużyte na zabezpieczenie działalności Instytutu im. gen. Sikorskiego, Biblioteki Polskiej w Londynie i Biblioteki Polskiej w Paryżu. Należy kategorycznie się sprzeciwić istniejącym tendencjom przekazania do Polski zbiorów i archiwów. Losy Rapperswilu są wyraźnym ostrzeżeniem, a ponadto w obecnej sytuacji Polska nie jest w stanie tych zbiorów odpowiednio zabezpieczyć i utrzymać.

Złym objawem jest inflacja dekoracji i awansów, nieustanne jazdy do kraju dygnitarzy emigracyjnych dla przyjmowania różnych zaszczytów, branie udziału w ważniejszych wydarzeniach krajowych — typowej roli *swadiebnowo generała*.

Komisja Likwidacyjna wyznaczyła sobie pensje, rewizorzy p. Wałęsy też kosztują. To wszystko uszczupla pieniądze z takim trudem i wysiłkiem zbierane przez szeregową emigrację.

Należy również rozwiązać sprawę obywatelstw emigrantów polskich na Zachodzie. Jestem przeciwny utrzymaniu podwójnego obywatelstwa. Trzeba uporządkować współpracę Polski z emigracjami na Zachodzie, a specjalnie w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i Niemczech. Jest to problem bardzo złożony i jak dotąd „Wspólnota Polska" nie daje sobie z tym rady. Dotyczy to w najwyższym stopniu Polaków na terenie b. Związku Sowieckiego, gdzie nie mamy żadnej koncepcji działania. Ale to jest osobny, ogromny temat.

(...)

12. *Jaka jest Pana wizja Polski i jej roli odgrywanej przez nią w Europie i w świecie?*

— Jak już wielokrotnie mówiłem, nasza rola w tej chwili może być ogromna. Jest obecnie koniunktura, jakiej nie mieliśmy od paruset lat. Mamy wszelkie dane, by przyczynić się do stabilizacji tej części Europy i być łącznikiem między Wschodem a Zachodem. Możemy też mieć wielki wpływ na procesy demokratyzacyjne w Rosji i na Ukrainie. Pytanie, czy tę koniunkturę jesteśmy w stanie wykorzystać. Osobiście jestem pesymistą.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Kraj

Media i polityka

1. Zaruba opowiedział kiedyś, jak pewnemu malarzynie wędrującemu za posadą preceptora po podolskich dworach i dworkach przydarzył się taki oto dialog z panią dziedziczką, przyszłą chlebodawczynią:

— Francuskim włada?
— Włada.
— Angielski posiada?
— Posiada.
— To niech siada.
— Kiedy nie może, pani dziedziczko, bo go dupa boli...

Przypomniała mi się ta historyjka, kiedy zaszedłszy na Wiejską do parlamentu III Rzeczypospolitej dowiedziałem się, że dziennikarze nie mają odtąd wstępu frontowym wejściem, zarezerwowanym dla „prezydenta, premiera, ministrów, sekretarzy i podsekretarzy stanu, dyplomatów, senatorów, posłów i dyrektorów parlamentarnych kancelarii". Dziennikarze, drobiazg urzędniczy, pomniejsi interesanci i w ogóle wszelaka hołota wchodzą od tyłu. Za przepustką, oczywiście.

Wejście dla państwa i wejście dla służby to odwieczny wynalazek, a podolska dziedziczka byłaby nawet na miejscu w tym parlamencie, gdzie bez mała wszyscy chcą siedzieć na prawo od centrum. Już mi się to nawet ładnie składało z arystokratycznymi nazwiskami marszałków seniorów, Zamoyskim i Małachowskim, ale strażnik zniweczył nęcącą kompozycję. Teraz — powiedział — będzie znowu tak jak za komunistów.

Jakoż nie o arystokratyzm i nawet nie o niewczesne fumy nowej władzy tutaj chodzi (chociaż przewraca się już we łbie niejednemu ze świeżo wypieczonych), ale o jej separację. Odnosi się wrażenie, że im jest formalnie i prawnie lepiej legitymizowana, tym skwapliwiej nowa klasa polityczna konstruuje hierarchie, drabiny służbowe, ceremoniały i bariery, których funk-

cją jest nade wszystko jej własne wywyższenie i odseparowanie od pospólstwa, przy godniejszych okazjach zwanego społeczeństwem obywatelskim. Między innymi dlatego tak niewiele klasa ta skorzystała z lekcji 27 października: obecny parlament jest, oczywiście, pierwszym w pełni demokratycznie wybranym i dlatego rząd, który wyłoni, posiadać będzie bezsporną legitymację do rządzenia. Któż jednak ośmieliłby się twierdzić, że ten rząd większościowej koalicji reprezentującej w najlepszym razie nieco ponad połowę z 43% elektoratu, ma większe poparcie społeczne, niż rząd wyłoniony latem 1989 przez kontraktowy Sejm? Im krzykliwiej politycy (i ich dziennikarze) zapewniają, że oto konstruują gmach suwerennej państwowości, tym łatwiej jest im nie dopuszczać do głosu nieprzyjemnej prawdy, że to konstruowanie zdumiewająco niewielu Polaków zdaje się obchodzić.

Nie jest to, oczywiście, tok rozumowania który można byłoby wysnuć z jakiegoś pojedynczego, anegdotycznego wybryku sejmowego biurokraty, tym bardziej, że przeciw inicjatywie pana Ryszarda Stemplowskiego, szefa kancelarii sejmowej, z miejsca zaprotestowało kilku posłów (z Aleksandrem Małachowskim właśnie) oraz klub PSL. Rzecz jednak w tym, że podział parlamentarnych oddrzwi na frontowe i kuchenne, dla państwa i dla służby, był propozycją jak najbardziej na czasie, o wartości wręcz symbolicznej. Już przed wyborami stawało się jasne, że politycy III Rzeczypospolitej zamierzają się wyemancypować od mediów, dziennikarzy i opinii. Rzecznicy prasowi ministerstw i urzędów, którzy w założeniu powinni ułatwić krążenie informacji, okazywali się coraz wyraźniej zawadą i zaporą w tym obiegu. Celowali w tym dwaj główni, Drzycimski u prezydenta i Zarębski w rządzie, każdy po swojemu: pierwszy robił swoje topornie, na pytania po prostu nie odpowiadał, drugi z uśmiechem i wdziękiem mówił, żeby nic nie powiedzieć. Pomniejsi mogli sobie dobierać poetykę. Szczególną odmianę toporności wyrobili sobie prokuratorzy i bankowcy, pierwsi chowając się za dobro śledztwa i obowiązek ochrony dóbr osobistych podejrzanego, drudzy za tajemnicę bankową: fatalna informacja jest niemało ważną składową bezkarności aferzystów w Polsce. Z kolei z wielosłowia, aż po otwartą dezinformację, zasłynęły np. resorty budownictwa, telekomunikacji, przekształceń własnościowych, których rzecznicy i kierownicy bez żenady wykorzystywali niedokształcenie, nieprzystosowanie, głupotę czy wreszcie służalczość i zaślepienie ideologiczne przedstawicieli prasy. Do rzadkości należały konferencje prasowe jak w Centralnym Urzędzie Planowania u Jerzego Eysymontta, na których dziennikarzom prezentowano uczciwie własną wiedzę o rzeczywistości.

Mało znanym uwieńczeniem tej „serii antyinformacyjnej" stał się projekt ustawy o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej, przekazany Sejmowi 27 września przez premiera Bieleckiego (druk nr 1112). W Polsce „wreszcie demokratycznej" jest to tekst kuriozalny, bo przejmując całą konstrukcję pojęciową z ustawy aktualnie obowiązującej, a uchwalonej 14 grudnia 1982, pogarsza jeszcze sprawy, ponieważ rezygnuje w ogóle z wyliczania elementów podlegających ochronie i powierza określenie „rodzajów wiadomości stanowiących tajemnicę państwową" Radzie Ministrów, tajemnicy zaś służbowej — kierownikom odpowiednich jednostek organizacyjnych. Tajemnicy państwowej, po dawnemu, obowiązany jest dochować „każdy, do kogo ta wiadomość dotrze", służbowej zaś „każdy pracownik". W sprawach udzielania i cofania upoważnień do dostępu do wiadomości stanowiących tajemnicę państwową i służbową stosuje się przepisy Kodeksu postępowania administracyjnego, ale z wyłączeniem zaskarżalności decyzji do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Innymi słowy, tajemnicy państwowej i służbowej można będzie używać jako knebla — ilekroć się zechce. Powie ktoś może, iż jest to insynuowanie złej woli administracji? Ale ustawy nie są po to, by zakładać dobrą wolę. Wtedy byłyby ne ogół zbędne.

Następnym zespołem faktów, który świadczył o intencji ograniczenia lub wypaczenia roli prasy i mediów także przed 27 października była zdumiewająca, zainicjowana jeszcze przez Mazowieckiego i Drawicza, gra pozorów wokół pluralizacji radia i telewizji. W istocie wszyscy po kolei chcieli zachować dla siebie monopol tych najpotężniejszych mediów. Ponieważ jednak w miarę dyferencjacji rządzącego obozu i różnych w nim wojen i wojenek na górze, a także trochę niżej, monopol stawał się z konieczności oligopolem, podziałem łupów, brak otwartego pluralizmu, niezależnych telewizji i niezależnych radiostacji powodował rykoszetem nieustanną szarpaninę w królestwie na Woronicza. Można by wręcz rozumieć eks-prezesa Terleckiego, że się całkiem rozpił. W rezultacie serwis polityczny polskich RTV jest po prostu lepszą lub gorszą, na ogół kiepską obsługą reklamową polityków, a niezależny dziennikarz, publicysta, czy politolog nie ma tam czego szukać... zwłaszcza jeśli sam ma jakieś poglądy. W RTV w Warszawie posiadanie przez dziennikarza poglądów jest najwyraźniej sprzeczne z niezależnością. Posiadacz poglądów może co najwyżej reklamować swoich, jeśli tylko jego poglądy są akurat „słuszne" — ale reklamowanie kogokolwiek nie jest przecież zajęciem dla niezależnego dziennikarza.

Jakiekolwiek byłyby motywy poszczególnych posłów, którzy bez końca smędzili i mędzili nad ustawą o mass mediach, ostatecznym sensem politycznym operacji okazało się opóźnienie — co najmniej dwuletnie — uniezależnienia publicznej telewizji i radia od rządu i w związku z tym odpowiednie zablokowanie pluralizacji mediów, jako że wpuszczenie prywatnych nadawców

musiałoby zniszczyć sektor publiczny, pozostający organem władzy. RTV pozostało więc wyróżnionym miejscem demoralizacji politycznego dziennikarstwa w Polsce: agencją reklamową.

Kiedy ostatecznie Sejm pod koniec kadencji spłodził tzw. mini-ustawę o radiu i telewizji — dopuszczającą stacje prywatne, ale nadal nie regulującą sytuacji mediów publicznych — najpierw Senat bezskutecznie, potem zaś prezydent skutecznie zablokowali to rozwiązanie. I nie bez racji, ponieważ zalew audycji komercyjnych, zwłaszcza z kapitałem zagranicznym, dobiłby, jak powiedziano, niezreformowany sektor publiczny.

Wszystko wróciło więc do stanu wyjściowego. Z uwiecznionego prowizorium korzysta tylko Kościół, któremu ustawa z maja 1989 umożliwia uzyskiwanie przydziału częstotliwości i zgody na emisje. W ten sposób — nie licząc „okienka" w telewizji i radiu państwowym — Kościół ma już przydział na 11 UKF religijnych i czeka na dalsze 8.

Tyle zatem przykładów, choć faktów z tej dziedziny znalazłoby się więcej, na przykład w poczynaniach Komisji Likwidacyjnej RSW Prasy. Mimo wszystko, dopóki trwała walka o wybory i walka przedwyborcza, nasi politycy nie mogli sobie pozwolić na otwarte lekceważenie dziennikarzy. Na to czas miał przyjść dopiero po pełnej legitymizacji władzy.

Jakoż natychmiast po 27 października, kiedy rozpoczęło się żmudne formowanie koalicji i rządu, nieuprzedzeni i naiwnie niczego się nie spodziewający sprawozdawcy parlamentarni i polityczni natknęli się nagle na nieprzeniknione mury i zapory, nawet na najbardziej już udeptanych ścieżkach. Skończyła się epoka otwartych dla prasy posiedzeń klubów parlamentarnych: w nowym parlamencie do dn. 6 grudnia odbyło się tylko jedno jedyne otwarte posiedzenie klubowe — mianowicie klubu NSZZ Solidarność z prezydentem, któremu zależało na przemówieniu wprost do opinii. Zanosi się, co gorsza, na podobną praktykę komisji. Pod płotem Belwederu przytupują zmarznięte grupki reporterów, których się już nie dopuszcza nawet do kaloryfera w biurze prasowym prezydenta.

2.

Niech mi jednak będzie też wolno spojrzeć na sytuację z perspektywy owej klasy politycznej, która właśnie teraz negocjuje i rozgrywa w swoim gronie władzę nad Polską. Z okien polityków widać przede wszystkim, że zarówno większość ludności, która ugina się pod ciężarami i coraz bardziej lęka każdego dnia, jak i mniejszość, nowa klasa średnia, statystycznie znikoma, ale ponoć prefigurująca już przyszły fundament dziejów — zdaje się w ogóle nie pojmować w jak tragicznym węźle

znalazła się polityka kraju. Terminu „tragiczny" nie używam tu ani z retorycznej przesady ani z nawyku teatralnego teoretyka amatora. Jest to węzeł tragiczny w historycznym rozumieniu, ponieważ projekt, który przyświecał upadkowi realnego socjalizmu i w imię którego konstruuje się Polskę po nowemu, jest wprawdzie nadal ważny i obowiązujący, ale coraz mniej... wykonalny. Zbliża się więc do granicy „konieczny ale niemożliwy", a to właśnie jest jądrem tragizmu. Projekt ów — budowa demokratycznego państwa prawa i gospodarki rynkowej, w terminach porównawczych zaś i lepiej zrozumiałych stworzenie Polski „normalnej", „takiej jak na Zachodzie", „nowoczesnej" etc. — naznaczony jest następującymi antynomiami:

— antynomia modelu i drogi: bardzo dobrze znany jest stan docelowy, aktualne zachodnie społeczeństwo z demokratycznym państwem i rynkową gospodarką, natomiast nie do powtórzenia jest tamtejsza marszruta historyczna. Każda inna droga, którą można byłoby zastosować na gruzach realnego socjalizmu, jest nieznana, a przynajmniej niepewna. Pochodną tej antynomii jest postulat politycznie i psychologicznie sprzeczny: jednoczesnej strategii wiernego kopiowania modelu i niebywałej wynalazczości co do „metod i sposobów".

— antynomia czasu demokracji i czasu rynku: oba te postulaty modelu mają rozmaite rytmy realizacji. Efektowne powiedzonko głosi, że możliwy jest wprawdzie rynek bez demokracji, ale nie demokracja bez rynku. W rzeczywistości jednak współcześnie możliwa jest demokracja bez rynku — bardzo krótko; i rynek bez demokracji — znacznie dłużej. Ostatecznie jednak degeneruje się jedno i drugie. Problem polityczny w okresie przejściowym polegałby więc na dawkowaniu czasu: doborze faz realizacji, ich kolejności i długości. To jednak wymagałoby takiego panowania nad sytuacją, które dać może tylko demokracja niebywale dojrzała lub dyktatura niesłychanie skuteczna, czyli właśnie to, czego chcemy uniknąć.

— antynomia przymusowego oszczędzania: nazywam tak sytuację, w której znakomita większość dopłaca do konstrukcji modelu, z którego korzystać będzie dopiero po ukończeniu budowy. W porównaniu z wizją bolszewicką model jest więc wprawdzie realny, ale rozkład kosztów i zysków w czasie wydaje się niepokojąco podobny. Trudno się dziwić, że ta analogia domaga się również swego dopełnienia: rewolucyjnej dynamiki startu, „przyspieszenia", „przełomu", „dekomunizacji"... Stopniowanie w górę jest nieuchronne, ponieważ teraz wszystko to dzieje się bardziej w słowach niż w faktach, a więc apetyt rośnie w miarę lektury menu nad pustym stołem. Ale też stół nie może

nie być pusty, przynajmniej w porównaniu z apetytem, bo przecież z założenia odchodzić mamy od bolszewizmu i rewolucji ku demokracji. Chyba więc, że skończymy z demokracją...

Dodać wypada do tego, że w Polsce autonomiczność zadania politycznego jest szczególnie rażąca. Kraj jest wprawdzie znacznie bardziej zaawansowany na drodze ku modelowej „Europie", zarówno kulturalnie jak ekonomicznie (rozległość sektora prywatnego), ale niecierpliwość społeczna jest szczególnie duża. Polacy mają bowiem poczucie, że „należą do Europy", że konstruowanie modelu jest zwykłym powrotem i że realnym socjalizmem byli ledwie skażeni, nie zaś przeżarci jak, wedle świadomości potocznej, Rosjanie i Ukraińcy, ale również Niemcy ze Wschodu, lub Czesi... Wynikająca z takiego rozumienia niecierpliwość musi ogromnie obciążać polityków.

Zbierzmy to wszystko razem. Postawiony wobec zadania, które niezmiennie go obowiązuje, ale okazuje się coraz mniej wykonalne, polityk może jedynie starać się nie dopuścić do owego przejścia z problematyką do granicy, przy której obowiązujące staje się konieczne i zderza sztywno z niemożliwością. Polityk zatem brnie w trudności, żeby nie dopuścić do tragedii. Mowa, oczywiście, o polityku odpowiedzialnym, nie hochsztaplerach i doktrynerach, którzy chcą rzeczywistość bądź to oszukać, bądź zlekceważyć. Polityk odpowiedzialny nawet pojmuje, że nie ma żadnej szansy, by społeczeństwo pomogło mu „przekroczyć" mokradła niemożliwych konieczności, z entuzjazmu lub samozaparcia. Polityk odpowiedzialny nie liczy na sympatię, uznanie czy nawet na autentyczne poparcie większości. Liczy na obniżenie temperatury, na zmęczenie tych, którzy płacą za jego politykę, na ich zniechęcenie, poczucie beznadziejności, bezwyjściowości i nawet trochę rozpaczy. Pisałem o tym w grudniowej *Kulturze* omawiając wyniki wyborów. Alain Touraine nazywa to delikatnie odpływem ruchu społecznego, zniechęceniem aktorów społecznych. W tej koncepcji ruchliwość powinni zachować tylko ci, którzy sobie radzą — przyszła klasa średnia. W ten sposób stopniowo, stopniowo zaczniemy się wydobywać na drugi brzeg... Spadająca wciąż frekwencja wyborcza w Polsce jest najlepiej znanym wskaźnikiem, jak realizują się takie ruchy. Innym (i w innym rejestrze) jest rozpowszechnienie się głodówkowych form protestu społeczno-ekonomicznego: samobójczy charakter tej utrzymującej się jeszcze aktywności przy zaniku innych, bardziej optymistycznych form, wyraża przecież, w skrajny sposób, ową beznadzieję, której spodziewa się polityk odpowiedzialny. Głodujący nie liczą na politykę, ich działanie ma charakter apelu moralnego. Replikując, polityk odpowiedzialny wyprasza sobie szantaż: rachunki się od tego przecież nie zmienią... Itd.

Polityka chłodzenia i zniechęcania opinii źle znosi konfrontację z prasą polską w jej obecnym kształcie. Nie mam jednak na myśli prasy w tym czy innym sensie opozycyjnej, ani Jerzego Urbana, ani publicystyki w rodzaju zaprezentowanej w listopadowym numerze *Kultury* przez Piotra Skórzyńskiego. „Szansa wielkiego narodowego przełomu została zaprzepaszczona — choć, jak usiłowałem wykazać, właściwie jej nie było": — po takim zdaniu rozpoznanie ostrej frustracji u autora jest nieuniknione, ale trudno ten zapis boleści wewnętrznych traktować jako opis rzeczywistości zewnętrznej.

Chodzi mi raczej o wciąż obecny w większości polskich gazet i mediów swoisty etos interwencjonizmu, grania pobudki, trąbienia na alarm. Nie chcę tu wdawać się w odszukiwanie genezy tego etosu, który jest obecny w pismach najrozmaitszych obediencji ideowych, od lewa do prawa, i to nawet skrajnie prawa; wyłącznie dla porządku zaznaczę tylko, że była to poetyka bardzo popularna w prasie do niedawna socrealistycznej, choć jej pierwowzorów trzeba by chyba szukać w XIX wieku. Etos ten uniemożliwia realizację ideału, do którego skądinąd wszyscy prawie się przyznają: prasy ściśle informacyjnej. Nawet nudne jak pieprz („informacyjne") *Spotkania* czy *Rzeczpospolita* ulegają raz po raz pokusie i też grają pobudkę. Nie należy sądzić, że etos ten szkodzi sam z siebie poczytności pisma. Często, w dobrym wykonaniu profesjonalnym, jest wręcz przeciwnie: w *Życiu Gospodarczym*, *Polityce*, *Wprost*, *Tygodniku Solidarność*, *Gazecie Wyborczej* są to nieraz najlepsze teksty. Ale też właśnie wtedy widać jak na dłoni, w jaki sposób niweczą one cały wysiłek redakcyjny, by „chłodzić" opinię publiczną. *Gazeta Wyborcza* dostarcza w tym względzie klinicznego przykładu. Najważniejszą linią polityczną pisma jest już od dłuższego czasu twardy neoliberalizm: Ernest Skalski, Danuta Zagrodzka, Jan Bazyli Lipszyc mogliby prowadzić gazetę w Manchesterze w 1840 roku. Oto jak Skalski skomentował pierwsze wystąpienie sejmowe Jana Olszewskiego jako premiera desygnowanego — myślę, że tekst ten zasługuje na miejsce w antologii:

„Każdy kolejny rząd III Rzeczpospolitej ma coraz trudniejsze zadanie. Pierwsze przemówienie sejmowe Jana Olszewskiego świadczy, że ma on tego świadomość. Stąd powściągliwość, brak łatwych obietnic i słowa o czekających wyrzeczeniach.

Jest to prawda, ale nie cała prawda. Jeśli chce się mówić całą prawdę, to trzeba powiedzieć, że wielką część społeczeństwa czeka jeszcze większa bieda i ostrzejsze wyrzeczenia, a część będzie żyła znośnie, dostatnio, a nawet się bogaciła. Utopią byłby pomysł, abyśmy wszyscy noga w nogę wychodzili z tej biedy. Rozwój gospodarczy i wzrost zamożności społeczeństw od-

bywa się w ten sposób, że poszerzają się obszary dobrobytu i bogactwa, a zmniejszają strefy biedy i nędzy, przy czym zawsze zostaje jej margines. I nie ma innego sposobu!

Nowy premier mówił o dzieleniu polskiej biedy. Dzielenie biedy praktykowaliśmy już przez kilkadziesiąt lat. Oznaczało ono biedę wszystkich, poza grupą uprzywilejowaną z urzędu, która musiała pilnować, by inni byli biedni, żeby ona mogła utrzymać swoją pozycję.

W gospodarce rynkowej jest zupełnie inny mechanizm. Poprawa sytuacji jednych grup może warunkować postęp całości. Może, jeśli się nie przeszkadza. Równe dzielenie odsuwałoby tę nadzieję na przyszłość, o której mówił w Sejmie premier Olszewski".

Kiedy jednak czytelnik *GW* przerzuci kilka stron i sięgnie do Telefonicznej Opinii, „czarnego reportażu", w którym celują młodzi współpracownicy pisma, lub kolejnej terenowej sondy Kuśmierka, natychmiast wie, że trzeba koniecznie coś robić, zarządzić, interweniować; tak spraw pozostawiać nie wolno i nie można, a co właściwie sobie myślą te sk...syny od rządzenia... Również informacyjne kolumny pisma są „gorące" od tendencji (co, wbrew potocznej opinii, nie zawsze jest równoznaczne z partyjnością; *GW* oddala się coraz bardziej od linii taktycznej Unii Demokratycznej).

Polityk odpowiedzialny, którego problemy i nastawienia charakteryzowałem uprzednio, bez żadnej, zapewniam, ironii, nie może więc liczyć na dziennikarzy. Lepsi i gorsi, ci od komuchów, i ci od katolików, i na pewno ci z solidarnościowego podziemia, prawi i lewi, przywykli, że czytelnik dokonuje projekcji siebie na swoją gazetę, siebie czynnego. Polska prasa nie jest jeszcze elementem społeczeństwa wszechkonsumpcji, acz robi się wiele, by się nim stała: ideał „chłodzenia" opinii najprędzej spełni, o paradoksie, świerszczyk z gołymi dziewczynami. Politycy odpowiedzialni niech więc czekają na zapowiedzianego polskiego *Penthouse*'a.

Polityków odpowiedzialnych wolę od nieodpowiedzialnych. Ale nie wierzę, by zdołali wydobyć kraj z tragicznego węzła niemożliwych konieczności, nawet jeśli uda im się, zgodnie z sugestią Alaina Touraine, wychłodzić opinię jak nitroglicerynę.

Warszawa, 8 grudnia 1991

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Pomyślałem, zbliża się Nowy Rok, zrobię małe porządki, przypomnę co pisałem przez minione półtora roku. I nagle ogarnął mnie strach. Bo ja przecież piszę w nadziei, że tego nikt nie przeczyta, szczególnie ci, których krytykuję. Więc teraz strach samego siebie czytać. Może raczej jakiś mały remanent. A więc korzystam z okazji i próbuję uratować dwie strony o dwóch śmierciach, te strony uparcie wypadają z kolejnych numerów pisma, bo albo tekst się spóźnił, albo zabrakło właśnie na nie miejsca.

Był robotnikiem, który awansował do rangi mechanika. Pierwsze pokolenie ze wsi. Poznać to można było po zapachu mieszkania, przynieśli ten zapach ze wsi. I buty wystawione na korytarz. Z żoną i pewną liczbą dzieci mieszkali kilka pięter pod nami. Ona prosta, ale otwarta, on obdarzony mądrością, dla której nie znajduję innego słowa jak „naturalna". Kupił sobie komputer i ten komputer stał się jego pasją. Czasy były burzliwe, dlatego zbudował dla komputera niezwykle przemyślny stolik, który gdy wychodził z domu stawał się sejfem na cenne urządzenie. Całość mocował kłódkami do ściany. O tak, był przezorny, ale znał granice, również w piciu. Uczył się angielskiego, raczej z miernym wynikiem, ale wytrwale. Kilka wyjazdów za granicę spłynęło po nim jak woda po kaczce. Tylko w Polsce czuł się dobrze. Tylko ją rozumiał. Komunizmu nie znosił, podobnie jak większość polskich robotników, z powodów moralnych i za bezsens, który mógł obserwować już na poziomie śrubki. Miał pasję do polityki, słuchał systematycznie Wolnej Europy, był pilnym czytelnikiem książek drugiego obiegu, które mu pożyczałem. Kupować nie lubił, były za drogie. Do polityki miał żyłkę, miał również intuicję, jak się potem okazało lepszą niż wielu naszych zawodowców. Gdy na trzy miesiące przed stanem wojennym sowiecka prasa przestała atakować „Solidarność" i gdy nasi odetchnęli z ulgą, on przestraszył się. Wiedział, że tam już ktoś podjął decyzję. W czasie stanu wojennego był ostrożny, ale nie przesadnie, przecież wiedział, że i tak wygramy i że zadecyduje o tym nie tylko nasza postawa, a głównie właśnie komputer. Brał ostrożnie pisma drugiego obiegu do kolportażu, kibicował wszystkim manifestacjom, nie za blisko nie za daleko. „Takie odwody jak ja czasami się przydają, a czas działa na ich niekorzyść", mawiał. Jego zdrowy rozsądek, brak uprzedzeń były uderzające. Reprezentował co najlepsze w na-

szym ludzie, chociaż miał niektóre jego wady, pewien rodzaj niechlujstwa i skłonności do kombinowania. Ale to ostatnie Polakom wszczepiła historia jak bezwarunkowy odruch. Potrafił narażać się, ale zawsze w miarę, i dbał, by nie zmarnowało się co dobre. To on dokonał brawurowej ewakuacji od sąsiada kilkunastolitrowego gąsiora świeżego bimbru. Ta operacja miała, jeżeli się nie mylę, jakiś związek z moim „spalonym" mieszkaniem i z kontaktami, jakie miałem z lokatorami mieszkania, gdzie dojrzewał gąsior.

Teraz już nie potrafię rozplątać wszystkich nici konspiracji, jakie zostały zawiązane na moim osiedlu w czasie stanu wojennego, myślę, że niektóre supły z tamtego czasu będą zasupłane na zawsze.

Określenia miał dosadne, ale starał się, by słowa nie wykraczały poza granice przyzwoitości. Uważał się za robotnika, również w myśleniu, dlatego każdą refleksję budował na żywym materiale. Zaczepiał mnie zawsze na schodach krzycząc „co słychać". Mówił głośno, nie zważając na niepewnych sąsiadów. Wieścił koniec Imperium, bo sypała się tam gospodarka, a Amerykanie dokonali udanej próby z systemem wojen gwiezdnych. Diagnozy miał daleko idące i ryzykowne, ale zaskakująco trafne, więc o naszej przyszłości dowiedziałem się zawczasu na schodach własnego domu. Wolność i ostateczne nasze zwycięstwo przyjął z triumfem, ale ostrożnie, jak kot, który wchodzi do obcego mieszkania. I tu też miał rację.

Podczas ostatniej wizyty w Warszawie, idąc niemiłosiernie krzywym chodnikiem mojej dzielnicy, ujrzałem jego małego synka, biegł nieprzytomnie, ale na mój widok uśmiechnął się wstydliwie, jakby wiedział o czymś niezwykłym, co mnie zaraz spotka. W oddali kuśtykał On, wsparty o kulę i swoją żonę. Głowę miał ogoloną i obandażowaną. Jedna ręka jak złamane narzędzie wisiała bezwładnie. Wyglądał upiornie. Nie było wątpliwości, że wyszedł przed chwilą z czeluści szpitala, miał na sobie jego trupi odcisk. Podał mi z trudem wielką jak bochen dłoń i wtedy dostrzegłem, że — chociaż cały — jest właściwie w połowie. „Z całego chłopa zostało chłopa pół", powiedział, a właściwie wybełkotał. Wylew? — zapytałem. Jego żona uśmiechnęła się boleśnie i wstydliwie — „jeszcze gorzej". Moja wyobraźnia szukając czegoś gorszego odbiła się od ściany. Ledwie stał, ale stał i oczywiście komentował naszą gorzką wolność, po czym wdał się w szczegóły techniczne systemu satelitarnej telewizji, którą załatwiał dla naszego domu. Był ledwie żywy, ale nadal otwarty na życie.

Wkrótce potem umarł. I już wiem, że nigdy nie zaczepi mnie na schodach, to boli. I boli, bo wiem, że był rzadkim u nas charakterem, który zbierał w sobie stare i nowe, tradycję wiejską i miejsko-szlachecką. Łączył je harmonijnie, biorąc z nich co najlepsze, i garść słabości też u nas typowych, ale nie one dominowały.

I uświadomiłem sobie, że myśląc o przyszłej Polsce wierzyłem, że tacy ludzie jak On będą naszą siłą i nadzieją.

To nie jedyna śmierć.

X. wił się wokół swojej wielkości, w którą wierzył bezgranicznie, był tak wokół niej opleciony, że rozmowa z nim była trudna, bo nawet jeśli nie o nim i jego książkach, to jednak za sprawą niezwykłej siły przyciągania też kręciła się wokół tej osi. Mówił inteligentnym szeptem, a więc nawet kiedy się mylił, nie było tego słychać. Zresztą żył też szeptem, więc tu również dawał wielkie pole dla wyobraźni i dopowiedzeń. Tak, był mistrzem szeptu, pisał szeptem, tak cienko, że banał i sentymentalizm rwały czasami te subtelne nici, ale dla krzyku wojny ten półgłos był znakomity.

Byłem daleko gdy umarł, więc teraz korzystam, że jestem blisko i próbuję w tę śmierć uwierzyć. Stoję na chodniku i patrzę w okno, gdzie stoi wazonik. Znam ten wazonik dobrze od strony mieszkania, która teraz wydaje się stroną życia, patrzę nań jak na księżyc, bo wiem, że ta druga strona jest niedostępna. Idę po schodach, spłoszony, bo na razie wszystko jest jak zawsze. Ale na drzwiach przyklejone dwie papierowe plomby ze stemplem administracji. Stałem naprzeciw, nie sam, z Nim, bo wiedziałem, że zawsze chciał zajrzeć na drugą stronę własnej śmierci.

Dwie papierowe plomby, ot i wszystko.

Teraz powinienem zacząć swój polityczny lament, ale jakoś nie mogę. Jesteśmy wszyscy zatruci polityką. Nigdy nie miałem mocnego żołądka, a codzienna porcja naszych gazet zbić może z nóg nawet słonia. Próbuję więc balansować na granicy polityki i życia, ale siła przyciągania pcha nieubłaganie do polityki.

Wieszcz nasz wsłuchując się w ciszę na Krymie słyszał lecące żurawie, co teraz słychać, gdy się w ciszę wsłuchać? Szepty i szmery. To nasi politycy namawiają się w sprawie rządu. Kto nie pamięta radosnego dreszczu podniecenia, gdy namawialiśmy się przed zabawą w chowanego lub w ciuciubabkę.

Jak się nie zna kandydatów na kolejnych premierów, to jeszcze pół biedy. Najgorzej jak się zna. Porządni ludzie. Ale strach. Już lepiej nie znać. Zawsze można mieć złudzenie, że a nuż jakiś geniusz.

Dawny kierowca Wałęsy został pełnomocnikiem Prezydenta w sprawie formowania rządu. Wstyd o tym pisać, bo pewnie do czasu, kiedy tekst ukaże się w druku, ta niezwykła figura zostanie wycyckana w prasie do końca. A przecież nie znam nikogo,

kto znał Mieczysława Wachowskiego. Dziennikarze piszą, że jego biografia składa się głównie z dziur. Dlaczego w dziurach mają od razu siedzieć brzydkie gryzonie? Może on z tych szeregowców, których Napoleon awansował na generałów?

Prezydent sam powiedział, że ufa tylko Bogu, a na nim jak wiadomo oprzeć się nie da, a i pogadać trudno. Do intelektualistów Wałęsa zaufania nie ma, za bardzo się mądrzą i wywyższają. Przydupasami, którzy wchodzą na orbitę i wirują wokół, w gruncie rzeczy gardzi. Były kierowca i partner do ping-ponga Mieczysław Wachowski, teraz sekretarz Prezydenta, wydaje się logicznym rozwiązaniem. Co za ból dla ludzi z dworu. Jeden dwór wstrząśnięty i obrażony do kości odszedł, teraz tworzy się nowy. Jako że prawie na pewno ta świeża grupa Poloniuszy będzie po studiach i z pretensjami, więc były kierowca dla nich też stanie się źródłem upokorzeń.

Czy to tylko u nas tak się paskudzi, pyta młody człowiek, który jest, o dziwo, moim synem?

Gdzie indziej ludzie nie mądrzejsi, ale pokolenia budowały te mechanizmy, te ruchy i odruchy. My wszystko od samego początku. Dlatego groza.

Młodzież coraz bardziej gdzieś obok naszej rzeczywistości, jakby ta rzeczywistość nie była ich. Oto następne niebezpieczne skrzyżowanie na drodze ku...

Mówiliśmy kiedyś, że komuna nam włazi wszędzie, bo i właziła, ale jak się dobrze uszczelniło, jak się pogadało i popiło, to trzymała się z dala, jak drapieżnik co do ognia nie podejdzie. Teraz kiedy się popije i pogada, to tylko jakby dolać oliwy do ognia. Podziały idą przez rodziny, a nawet małżeńskie łóżka. Paskudztwo musi być w powietrzu. Niektórzy mówią, że złe powietrze wyszło z pomników, najpewniej z Dzierżyńskiego, kiedy mu się głowa oddzieliła od tułowia podczas egzekucji. Inni mówią, że dopóki nie wymyśli się trutki na komucha, nie będzie lepiej. Inni, całkiem liczni, są pewni, że... „jakby panie tych żydków, to by od razu było lepsze powietrze". Jeszcze inni, że prezydenta trzeba zmienić. To się ostatnio łatwo mówi, ale kto na to miejsce? Bardzo jest dziwny w Polsce ten fotel prezydencki, kogo się tam przymierzy, zupełnie nie pasuje.

Andrzej Drawicz, kochany człowiek, domaga się, by Prezydent podał się do dymisji. *Kultura* nr 11 chyba zbyt łaskawie ten apel przedrukowała. Ciekawe, dlaczego sam Drawicz nie podał się do dymisji, kiedy szefował telewizji. Czyżby ta instytucja tak przerosła jego siły, że nawet tego nie zauważył? Następca Drawicza też człowiek, no może nie kochany, ale porządny chłopak, prowadził telewizję jak pijany zając, i tak właśnie zakończył urzędowanie na komisariacie z powiewającym wesoło balonikiem. Wydaje się, że złe duchy nawiedziły nie tylko

telewizję, przecież to jest czas porządnych ludzi, a rodzi się jakiś koszmar. Bez złych duchów tego nie wytłumaczysz.

Nowym szefem telewizji został reżyser Janusz Zaorski (Zaorek dla kolegów), bardzo dobrze, bo spoza układów politycznych, za to z towarzyskich oczywiście, zresztą gdyby to nie był jakiś znajomy, nie mógłbym się pozbierać ze zdziwienia. Ciekawe, jak sobie nieszczęsny poradzi ze złymi duchami. Mało który reżyser na świecie ma szansę nie tylko kręcić, ale i być kręconym przez tak wielki *thriller*.

Już się odczepiłem od Terleckiego, w końcu on bardziej mi na ofiarę wygląda, niż na oprawcę. Ale sam do mnie nagle przyszedł. Gdy w łóżku próbowałem nakłonić sen, by mnie wziął w ramiona, pojawił się niespodziewanie Terlecki w postaci wywiadu w *Przeglądzie Tygodniowym*. Uderzyło mnie, że były Prezes jest w zasadzie z siebie zadowolony, głupio tylko wyszło z tym pijackim incydentem, nie zaprzecza, ale ma swój komentarz: „Znamy polskich polityków, którym gorsze incydenty jakoś w karierze politycznej nie szkodzą". Najbardziej jednak osobliwe pierwsze i ostatnie słowa tej rozmowy.

„Kiedy człowiek nagle odchodzi ze stanowiska, ma ochotę odkryć całą prawdę, ale najczęściej odsłania ją dopiero po latach, w pamiętnikach. Przez chwilę również uległem takiej pokusie, ale doszedłem do wniosku, że może lepiej pokusom nie ulegać". Ciekawe, co to za tajemnice, i ciekawe jak to nieuleganie pokusom koresponduje z balonikowym testem i z ostatnimi słowy rozmowy, które jakoś dziwnie są sprzeczne z jej początkiem. „Poza tym myślę, że cała ta historia jest dobrym materiałem na książkę".

Ogromnie niedojrzała emocjonalnie i mentalnie figura z tej rozmowy się wyłania. Ale ja czuję ją całym sobą i rozumiem, a nawet się utożsamiam. Bo ja też gdzieś tam jestem nadal dzieckiem, które lubi ciastka i konfitury. Więcej, myślę, że cały ten pęczek nowej władzy ma wspólny mianownik — to artyści! Nawet jeśli nie publikują i pokazują, to dusze mają artystowskie. Nowe role życiowe spadły na nas jak literacki deszcz, po którym nawet na wierzbach wyrosły pomarańcze i banany. I oto mężczyznom, tuż przed lub tuż po czterdziestce (co za niebezpieczny wiek dla samców) kroi się „niezwykła życiowa przygoda". Co nowy minister czy dyrektor, to mówi o nowej pracy jako o przygodzie. I to rozkosznie luksusowe poczucie, że nawet jak się wszystko skończy katastrofą, to nawet jeszcze lepiej, bo mocniejszy będzie temat, a oficyna BGW już czeka... (na tepecie Izabella Cywińska!, a w planach BGW zapewne cały odchodzący garnitur ministrów. Tworzy się seria z Biblioteki Ministrów, czyli pijani we mgle, albo przygoda człowieka myślącego w zbyt trudnych czasach).

A Prezydent mówi, że jest zmęczony, „jedzie do Papieża ładować akumulatory". Można teraz chodzić pod Belweder i oglądać, jak świecą mu się krzyże w oczach.

Choroby szaleją i wypadki. Jeżeli ktoś nie zginie w wypadku, to ma zawał. Coraz więcej znajomych. Straszny rok, mówią ludzie, jakby przyszłe miały być lepsze. Doprawdy czas uwierzyć, że wszyscy muszą umrzeć. Nie mieliśmy dotychczas czasu na takie głupstwa. Ludzie o tym za dużo gadają, i te upiorne szczegóły o znajomych. „Nawet morfina już nie działała", „umarł na jej rękach", „jedna nerka była cała w nowotworach, na drugą już przechodziły". Więc jak tu nie słyszeć, że zawały serca i nowotwory skradają się na kościanych paluszkach. Potwornym wynalazkiem jest Aids. Aż strach tę nazwę pisać. Skoro to paskudztwo tak długo się wylęga, to można nosić i przekazywać wokół wyroki śmierci, udając że się przynosi co innego. To, co najlepsze, zostało zainfekowane tym, co najgorsze. I rzec można, że zbliża się czas, kiedy źródła życia połączą się w jedno ze źródłami śmierci.

Niedawno rozmawiałem z jednym homoseksualistą, bardzo lubię homoseksualistów. I on przy okazji swej ustnej wypowiedzi niechcący mnie opluł, jedna kropla spadła na mą wargę dolną. „No tak, po mnie — pomyślałem, wargi mi pierzchną i pękają, jeśli ten jest zainfekowany to koniec. Podobno szklanka śliny jest konieczna do zakażenia, ale jak ktoś ma pecha, to i kropla wystarczy. Do dziś chodzę jak struty, mam ochotę zrobić test, ale strach. Kiedy ten miły homo... do mnie dzwoni, to zawsze pytam, jak się czuje? On mówi, że dobrze, ale co z tego, może sam nie wie.

Moja znajoma, ale nie bliska, test robiła w tym roku już trzy razy. Straszny czas dla ludzi z wyobraźnią.

Pytam pewnego ministra: Skoro u nas taka ciemnota i Aids się rozprzestrzenia szybciutko, nawet nikt nie wie jak szybko, to czemu narodu nie uświadamia telewizja? — „Panie, toż oni nam każą płacić tysiące dolarów za każdą informację, bo traktują to jako reklamę. A poza tym kto dzisiaj w naszej telewizji ośmieli się pokazać prezerwatywę i urządzenie, któremu ona służy. Kościół by wszystkich zagryzł".

Jak Kościół tak będzie gryzł, to sam się zarazi, pomyślałem. Kościół nasz uważa, że najlepszym lekarstwem jest wstrzemięźliwość płciowa. Ciekawe, bo właśnie ten front seksualny jest niewątpliwie najsłabszym w wielkiej wojnie, jaką Kościół toczy o ludzkie dusze. Tu jest miejsce, gdzie pozostałości futra i ogona są w naszej rodzinie najbardziej widoczne.

Nie ma już wątpliwości, że skoro tylko prezerwatywa może uchronić ludzkość od zagłady, to wchodzimy triumfalnie w epokę prezerwatyw. Była epoka kamienia łupanego, był czas Oświecenia i wiek, kiedy idea socjalizmu utopijnego zainfekowała sporą część planety, a teraz zaczyna się epoka prezerwatyw i należy to rozumieć nie tylko dosłownie. Plastik i komputer zabierają smak świata, wszystko staje się do jednorazowego użytku, wszystko do wymiany i szybkiego umycia. Czas praktyczny, czas gumowy.

Seks i zawiść. Tyle się pisze w literaturze o tym pierwszym, ale jakby zawsze obok. Jak się nie pisze obok, to wychodzi horror. A o zawiści jakoś naturalnie niewiele. A przecież świat stoi na jednym i na drugim. Z zawiścią kłopot, bo wystaje z błota tylko główka, jak główka dinozaura, a wielki tułów ukryty. A czy z seksem inaczej? O seksie mało komu łatwo mówić, ale o zawiści jeszcze trudniej. O tym piekielnie trudno nawet ze samym sobą. Zawiść — najbardziej zakłamany ludzki kontynent. U nas zawiść ma nie tylko wspaniałą pożywkę w chronicznie od wieku niezrealizowanych ambicjach. To również, niestety, na ogół słuszne przekonanie, że jak ktoś doszedł do pieniędzy, to w sposób śmierdzący.

Jesień osuwa się w zimę, jakby się błoto osuwało. Depresyjnie. Strasznie dużo rozwodów. Ludzie żyją ze sobą gorzej niż to się zdaje. Fasady jako takie, a za nimi pary spięte pazurami, nie odczepisz. To są te trwałe małżeństwa. A inne, wiadomo... Do tego dzieci robią, a sami nie są dorośli. Wstrząsające odkrycie, dzieci mają dzieci. Myślałem, że tak to się paskudzi tylko u nas, bo nas los doświadczył, a historia zgwałciła. Pojeździłem po świecie, wszędzie strach, płacz i zgrzytanie zębami. Tylko ładniej pachnie.

Co to będzie w naszej ojczyźnie? — pytam rodaków. Jeszcze niedawno mówili — będzie dobrze albo — będzie źle. Teraz kręcą włosy, paski, chusteczki, palce. Nie wiedzą, co rzec. Konsternacja. Jesteśmy diabelnie sobą skonsternowani.

Tenis ratuje mnie przed szaleństwem. Gram często z pewnym jasnowidzem. Pod prysznicem czasami się ofiaruje — chcesz, przepowiem ci przyszłość — i łypie okiem. Zasłaniam się — nie! ani się waż. — Skoro nic a nic nie wierzę w te przesądy, to czemu tak się boję?

List! Na początku było słowo, czyli list. A ja piszę do kraju oficjalne i prywatne listy. Odpowiedź jest rzadko, a jeżeli to po czasie. Nie ma państwa bez Instytucji, nie ma Instytucji bez pisania i odpisywania na listy. Jeżeli to nie działa, to znaczy, że umierają Instytucje, czyli państwo umiera. Piszę listy do kraju, jak zapuszcza się sondę w trzustkę czy wątrobę, martwa czy żywa? Ledwie żywa.

W listopadowej *Kulturze* kilka płotów od mojego jest tekst

Piotra Skórzyńskiego. I nagle strach, może ja też tak majaczę? W końcu on wydziela podobny gatunek jadu. Więc obawa, że gdyby ktoś za mnie napisał mój tekst, to też bym się oburzył. Nie zawsze udaje się ostatnio *Kulturze* oddzielić teksty bezkompromisowe od nawiedzonych, pisanych niekompetentnym gniewem i frustracją. W tekście S. wszystko jest mniej więcej bliskie prawdy, tylko niemal zawsze o jeden most za daleko. Jak wiadomo, to wystarczy do całkowitej klęski. Ale są też nonsensy ewidentne, np. słowa „jak można nazwać intelektualistą kogoś, kto niegdyś uwierzył w majaczenia Marksa i Lenina?". Właśnie zdolność do wiary w majaczenia, czy nawet samodzielne uprawianie majaczeń, potem często mocowanie się ze złudą, odkrywanie nowych czystych źródeł, lub nowe pomyłki a czasem i konformizmy — to wszystko jest przypisane kondycji intelektualisty.

Kariera KPNu mnie nie przeraża. Nawet, że Moczulski łypie okiem w kierunku buławy marszałkowskiej. Skoro Spychalski mógł być ministrem obrony i nie przegraliśmy od pół wieku żadnej wojny, to Moczulski nam nie zaszkodzi. Ta armia miała tylko jedną wielką bitwę, 13 grudnia. Zdobyli skrzyżowania naszych ulic, potem ustawili tam piecyki i grzali dłonie jak kurwy rzymskie (kto te kurwy wymyślił?)

Znajoma moja, bardzo niezwykła niewiasta, cudzoziemka, ale ze znajomością polskiego języka i w Polsce będąca, pisze piękne do mnie listy, w nich nawet błędy są piękne. Bo ona obserwuje Polskę z czułą trwogą. Np. pisze: „W radiu bełkocą o pierwszeństwach. Nic głupszego. Myślę, że system pierwszeństw prowadzi do katastrofy, dziecko rośnie całe stopniowo, nie tylko usta, ręce, jeżeli jest inaczej staje się potworem". Bardzo słusznie. Nam urosły zupełnie monstrualne dłonie i ambicje. W kilka tygodni po tym liście wielki targ o miejsca w nowym Sejmie, kto gdzie usiądzie. Byli tacy co zajęli nie swoje, ale już się przenieść nie chcieli. Ta wielka piaskownica ma na razie tylko swoje zagłębienie, piasku jeszcze nie przywieziono, a proszę popatrzeć, już pierwsi chłopcy ciągną się za włosy.

Jakie niezwykłe bogactwa niemożności obnaża dzisiejsza sytuacja. Kraj cierpi na jakieś gigantyczne zaparcie. Mogą tylko prywatni przedsiębiorcy, ale lepiej nie patrzeć jak mogą. Są wśród nich ludzie uczciwi, ale przygniatająca większość zrobiła pieniądze nielegalnie, lub siedząc okrakiem na granicy legalności. I nawet nie wstyd dzisiaj mówić o fundamentach fortuny — handelek walutą, handel samochodami.

Wrzód, który zrobił się niedawno premierowi Bieleckiemu na żołądku, jest wrzodem, który nie oszczędza żadnego organu i nikogo. I tych z bezradnej góry i tych z bezradnych dołów. I to właśnie u nas, jak w niezwykłym laboratorium, obserwować

można jak niemożność i bezradność w szumie reakcji chemicznej zamieniają się w agresję.

W *Konfrontacjach* jedno z licznych dzisiaj niezwykłych spotkań, sąsiadują ze sobą tekstami ks. Henryk Jankowski oraz Mieczysław Rakowski. Ten ostatni doznaje niezwykłych uniesień, bo teraz tak wszystko się paskudzi, społeczeństwo i władza. Ma taką z tego satysfakcję, że chętnie przyzna, że — Oni też... „Co się tyczy elity władzy, to jeśli wolno mi nie wystawiać zbyt pochlebnego świadectwa politykom mojej formacji, to mogę również powiedzieć, że na takie samo świadectwo zaczynają pracować ci, którzy obecnie rządzą Polską". A więc — ja jeszcze trochę poczekam i wtedy jednako uświnieni będziemy nie do odróżnienia.

A z drugiej strony ciekawe, czy Rakowski ma nadal takie dobre samopoczucie? Obawiam się, że ma. I nie chce rozumieć, co zapewne dobrze rozumie jego sprzątaczka, że wszyscy toniemy w błocie, które przez lat pięćdziesiąt produkowały fabryki zła i absurdu, gdzie M.R. od młodych lat był nadzorcą na coraz wyższych szczeblach, by w końcu jako inteligentny towarzysz zostać kierownikiem wentyla o nazwie *Polityka*. Teraz powinienem zmienić ton na poważny, bo ja podobnie jak Jerzy Giedroyc (patrz wywiad z nim w *Polityce*) uważam to pismo za bardzo dobre. I wielce mi niewyraźnie, że właśnie *Polityka* po odzyskaniu przez nas wolności jest pismem, przy którym *Tygodnik Solidarność* wydaje się biednym kuzynem z prowincji.

O tak, dostarczyliśmy i sytuacja dostarczyła ekskomunistom wiele goryczy kompletnej klapy ich sprawy, ale i niespodziewanie dużo satysfakcji. Nie jest to problem, który mi spędza sen z powiek. To tylko mały przypis do bardzo osobliwego rozdziału, który się dopiero rozpoczął i doprawdy nie starczy najbujniejszej wyobraźni, by dopisać część dalszą.

A co do księdza Jankowskiego, wydawało się, że gdy już nie jego ucho jest konchą, gdzie spływają grzechy Przewodniczącego, utracił znaczenie. A tu proszę, na jego prośbę zwalniają prezesa Narodowego Banku Polskiego z więzienia. Ksiądz oświadczył, że zna prezesa osobiście i zobowiązał się czuwać „nad jego prostolinijnością i zasadami moralnymi".

M., znana pisarka, jest kobietą wielkiej delikatności i wrażliwości, jest kobiecą kobietą, a ta kobiecość tworzy z literaturą pieszczotliwe sprzężenie zwrotne. Arcydzieła z tego nie powstają, ale kto powiedział, że twórca musi tworzyć arcydzieła. Zmierzam do tego, że dawno nie widziałem osoby tak wstrząśniętej i przerażonej własną ojczyzną. Jest to właściwie rodzaj szoku, jak po wypadku. A przecież zawodowo radzi sobie po prostu

znakomicie, czego zresztą dzisiaj w Polsce się nie wybacza. Co robią ci, którzy sobie nie radzą?

Jak te 10, 15 ostatnich lat szybko minęło, jak pociąg pośpieszny, podskakując okrutnie i okrutnie hałasując na naszych nędznych podkładach. Nawet pijani i chorzy na głowę nie przewidzieli takiego obrotu rzeczy. Ludzie tacy jak ja żyli jakby po drugiej stronie ściany, bez nadziei czy nawet chęci przechodzenia tam. A teraz tam jesteśmy. No i co? Jakoś dziwnie nijako. I gdzieś to przypomina powroty do miejsc, skąd wyjechało się będąc dzieckiem, a wraca się dorosłym. Wszystko teraz takie małe i bez smaku, tylko czasami jakiś zapach nagle przeniknie wspomnieniem do trzewi.

Bardzo osobliwe, jak się człowiek starzeje. Dla młodego jest to jakiś tajemniczy i obrzydliwy proces. A dzieje się to dosyć higienicznie i niepostrzeżenie. Człek jak gigantyczna cebula traci kolejne warstwy, ale na tyle powoli, że nie da się żadnej łuski zobaczyć. I nosi się obraz siebie, który jest obrazem młodości, i chociaż ten obraz nijak nie pasuje do obrazu zmienionego, to jednak one nadspodziewanie szczęśliwie ze sobą współżyją. Jesteśmy więc złożeni ze stanu rzeczy i stanu wyobrażonego. Czasami jak przez szczelinę daje się zobaczyć nagle tylko stan realny, i to budzi grozę, na szczęście krótką, bo imaginacja biegnie na pomoc.

Nie ośmieliłbym się zanurzać w tym podejrzanym płynie filozoficznych rozważań, gdybym nie czuł, że coś podobnego jest z widzeniem własnego kraju. I oto na skutek potężnego wstrząsu ujrzeliśmy obraz realny, a z powodu niebywałych zmian i ciśnień, obraz wyimaginowany czy wyidealizowany nie może sobie znaleźć miejsca i chęci współżycia z realnym.

Mówiąc prosto, krótko i młodzieżowo — Polska dzisiaj, czyli goli w pokrzywach.

SMECZ

Ziemia nieobiecana

Osiemsettysięczna dziś Łódź określana jest w kompendiach encyklopedycznych jako miasto o silnie rozwiniętym przemyśle włókienniczym, połączone elektryczną linią kolejową z Warszawą i leżące na falistej, urozmaiconej pagórkami wyżynie między Wartą a Pilicą. Znane są losy burzliwego rozwoju tego miasta w XIX stuleciu, stymulowane nieograniczonymi wręcz możliwościami wywozu łódzkich perkalików na Wschód. Władysław Reymont dał nam w „Ziemi obiecanej" (1899) najbardziej dojrzały artystycznie obraz drapieżnego dorobku różnej proweniencji lodzermentschów, a wdzięczni łodzianie upamiętnili krótkie bytowanie przyszłego noblisty na miejscowym bruku (1896) marmurową tablicą, umieszczoną na fasadzie obskurnej kamienicy przy ulicy Wschodniej. Sądzę, że w każdej łódzkiej rodzinie z tzw. miejscowymi tradycjami znane są losy, wprawdzie coraz bardziej oddalające się w czasie, pionierskich peregrynacji przodków do tej Ziemi. W moim przypadku, ze strony ojca, dziadek Jan Antoni opuścił praojcowiznę w Sieradzkiem, zadłużoną niegospodarnością i carskim ukazem uwłaszczeniowym po powstaniu, i przyjechał do Łodzi jako absolutny hołysz jedynie z wyobrażeniem herbowej tarczy i zdezelowaną dwururką. Został gajowym ponoć w widzewskim lesie. Na początku tego wieku zdążył spłodzić dwóch synów, po czym rychło umarł na suchoty. Z matki strony rzecz miała się barwniej. Pradziadkowie plebejsko-chłopskiego pochodzenia (Kalisz i okolice), wywędrowali do Ziemi Obiecanej w końcu ubiegłego wieku wiejskim wozem drabiniastym wymoszczonym słomą i załadowanym ruchomym dobytkiem oraz dziesięciorgiem dzieci. Jedenaste, najdorodniejszy syn, urodziło się już w drodze, gdzieś za Błaszkami, i ponoć dlatego nie zagrzało nigdzie miejsca, wędrując przez całe dziesięciolecia swego długiego żywota po Europie w poszukiwaniu szczęścia, aby ostatecznie spocząć na łódzkim Zarzewie. Wydaje mi się, że są to typowe korzenie współczesnej ludności miasta. Ale to wszystko działo się w odległych realiach, kiedy jeszcze na ulicy Piotrkowskiej były słupy telegraficzne, a szyldy i reklamy sklepów pisane były cyrylicą, dając świadectwo do dziś dobrej jakości farb na fasadach secesyjnych kamienic, nie odnawianych do tej pory. Było to jeszcze na długo przed rokiem 1913, kiedy to na Nowym Rynku (dzisiaj Plac Wolności) częstowano przygodnych przechodniów na koszt Imperium piwem czerpanym z ogromnych beczek, dodając po bułce i kawałku kiełbasy z okazji 300-lecia dynastii Romanowych.

Tę przeszłość Łodzi, barwną i dramatyczną, można prześledzić w sposób fragmentaryczny w kilku miejscowych muzeach, mających dotąd skromne zbiory i wyraźne obciążenia ideologiczne z niedawnej przeszłości. Brak w nich śladów kultury żydowskiej, niemieckiej, które na tle polskiego folkloru sielsko-plebejskiego nadawały temu miastu wymiar wielokulturowy. Żałować należy, że nie ma już wśród nas Jerzego Kosińskiego, który w sygnalizowanych przed śmiercią resentymentach polskich i łódzkich zamierzał tę monokulturę Łodzi jakoś odmienić, ożywić. Mamy wprawdzie ślady muzealne po Arturze Rubinsteinie, mniejsze po Julianie Tuwimie, w dobrym łódzkim Muzeum Sztuki (jeszcze nie przeniesione do Warszawy!) malarstwo Adlera, lecz nic nie ostało się po tych mnogich tysiącach istnień z gwiazdą Dawida w łódzkim getcie na Bałutach. Cmentarz żydowski na Dołach, podobnie jak w Warszawie przy uli-

cy Okopowej, przypomina w zdecydowanej większości dżunglę znad Amazonii, przez którą nie można się przedrzeć. Ślady niemieckie w tym mieście, ongiś tak znaczące ze względu na niemiecką przedsiębiorczość i pracowitość, a także na *Lodzer Zeitung* i hakatystyczne gimnazjum przy obecnej ulicy Tadeusza Kościuszki, dziś ledwie są widoczne na jedynym zachowanym cmentarzu przy ulicy Ogrodowej, gdzie najwynioślej strzela ku niebu ażurowa wieża neogotycka nagrobnej kaplicy Scheiblerów. Jest jeszcze ewangelicka katedra św. Mateusza, w sezonie letnim sporo samochodów z niemiecką rejestracją i niestrudzony polonofil, lodzermentsch, pan Dedecius, od niedawna doktor *honoris causa* miejscowego uniwersytetu. Tak więc, ostatecznie, za sprawą historii, żywioł polski stał się absolutnie dominujący w tym tyglu wielkomiejskim i jak lawa wypełnia brudne ulice oraz zdezelowane, bo deficytowe łódzkie tramwaje. Miasta polskie właściwie bez wyjątku robią wrażenie przygnębiające swym zaniedbaniem i infrastrukturą odbiegającą od standardów europejskich. Wydaje się, że szczególnie źle jest w tym względzie w Łodzi, tradycyjnie uznawanej za miasto biedy, tandety i kontrastów. Tak było i jest; no, może gorzej z tymi kontrastami. W końcu roku 1991 jest ponad sto tysięcy zarejestrowanych bezrobotnych, sto tysięcy ludzi czeka latami na mieszkanie. Według danych instytucji pomocy społecznej połowa łódzkich rodzin winna otrzymywać ze względu na swoje ubóstwo pomoc materialną. W wielu fabrykach robotnicy nie otrzymują pensji, tylko miesięczne zaliczki. W szkołach nauczyciele obserwują nasilające się kradzieże tzw. drugich śniadań przez głodne dzieci swym zamożniejszym rówieśnikom. Zamykane są żłobki i przedszkola w mieście o nadal największej w Polsce ilości kobiet pracujących, mimo kolejnych tzw. grupowych zwolnień. Mury starych i nowych fabryk nie tylko włókienniczych stopniowo pustoszeją. Z dniem 1 grudnia otrzymało wymówienie pracy tysiąc robotników w łódzkim Polteksie, dawnych zakładach I.K. Poznańskiego. W potężnym kompleksie fabrycznym przy ulicy Ogrodowej, podobnym do średniowiecznej twierdzy, zostało jeszcze ośmiuset pracowników. W roku 1992 ma nastąpić dalsze kurczenie się miejscowego rynku pracy. Są to zjawiska absolutnie szokujące generacje pracobiorców wyrosłe w realnym socjalizmie. Toteż troskę i zmęczenie widać na twarzach ulicznych przechodniów, ubranych źle i niegustownie, jak zwykle w Łodzi. Ten smutny obraz ulic ożywiają tylko trochę nowe sklepy, wypełnione standardowymi towarami najczęściej berlińskiej, albo dalekowschodniej proweniencji. Stąd też może wzięło się ostatnio absurdalne porównanie znanej ulicy Piotrkowskiej do paryskich Champs Elysées. Na tle wyzierającej zewsząd mizerii posunięcia zapobiegawcze władz ministerialnych wydają się nieskuteczne, a miejscowego samorządu wręcz oburzające. Z jednej strony mówi się o totalnej pustce w kasie miejskiej i ojcowie grodu zmuszeni są sprzedać w formie licytacji jeden ze stylowych pałaców pofabrykanckich, aby móc spłacić dług za oświetlenie miasta. Z drugiej, konsternację łodzian wywołują częste podróże,

raczej turystyczne, wysokich rangą dygnitarzy zarządu i rady miejskiej np. do obu Ameryk, Francji, Niemiec, czy listopadowa podróż zbiorowa rajców miejskich z prezydentem miasta i wojewodą na obchodzone przez cały tydzień dni Łodzi w Wilnie, co miało kosztować 200 milionów złotych. W odbiorze społecznym jest to interpretowane jako przejaw niegospodarności i arogancji. Pojawili się kolejni „oni", tylko że o kombatanckiej przeszłości. Tę politykę opierania się na „swoich" widać było po wyborach samorządowych na wiosnę 1990 roku, kiedy to kierownicze funkcje w zarządzie miasta powierzono ludziom, delikatnie mówiąc, o skąpych kwalifikacjach, niekiedy nie mającym nawet studiów wyższych. A w Łodzi, poza uniwersytetem i wyspecjalizowanymi agendami PAN, jest jeszcze sześć wyższych uczelni. Myślę więc, że to nie syndrom czerwonej Łodzi znany z podręczników historii, lecz cała, nazwijmy tak, społeczno-polityczna infrastruktura tego miasta zadecydowała o sukcesie postkomunistycznej lewicy w autentycznie wolnych wyborach parlamentarnych 27 października. Przypomnijmy w tym miejscu, że czerwony spadochroniarz z Warszawy, sekretarz generalny SdRP, otrzymał najwięcej głosów, gdzieś o 50% więcej, niż kolejny aspirant do ław poselskich XI kadencji Sejmu, mający wsparcie z krucht i ambon kościelnych. *Sic transit gloria mundi*! Łódź jest ciekawym laboratorium do badań socjologicznych. Z jednej strony jest wyspecjalizowane środowisko intelektualne, trzebione wprawdzie systematycznie na rzecz Warszawy, które na gruncie łódzkim jest hermetycznie zamknięte ze swoją mądrością i erudycją w gabinetach seminaryjnych. Z drugiej w masowym, społecznym odbiorze funkcjonują aintelektualne miejscowe *mass media*, prasa i periodyki. Łódzkie teatry przeżywają stan agonalny, a wiele koncertów i występów artystycznych na dobrym, europejskim poziomie nie dochodzi do skutku z braku publiczności. Miejscowy teatr operowy, zajmując wygodne *locum* o architekturze późnego socrealizmu, już przed kilku laty został *de facto* przez dyrektora Pietrasa (ostatnio przywołany do Warszawy) wyprowadzony na Zachód, chałturzy większość sezonów głównie w Niemczech, Turcji etc. Zamarła łódzka produkcja filmowa, świecąc pustymi kątami w atelier przy ulicy Łąkowej. Nieremontowane od dziesiątków lat świetne ongiś kina w śródmieściu są ruinami zabitymi deskami. Tym większą radością jest ostatni europejski Feliks' 91 dla młodego łódzkiego filmowca Macieja Drygasa za filmowy dokument, odnoszący się do roku 1968. Przykłady kulturalnej i intelektualnej degradacji tego pechowego pod tym względem miasta można mnożyć, lecz nie o to chodzi. Rzecz w tym, że kurczy się wartościowa warstwa kulturowa aglomeracji łódzkiej na rzecz tandety umysłowej, kiepskiego gustu wziętego z licznych bazarów, zawiści, pazerności, czy braku życzliwości. Jest rzeczą ewidentną, że bieda i brak widoków na powodzenie, szczególnie w warunkach kryzysu wartości, postaw moralnych, są kryminogenne. Widać to w przypadku Łodzi w lawinowym wzroście przestępstw, kradzieży, rozbojów, włamań, rozbitych

wystaw sklepowych. Wiele w tym prymitywizmu i niesłychanego tupetu, jak choćby fakt terroryzowania pasażerów miejscowego autobusu przez dwóch młodych bandytów, którzy przykładając nóż do szyi kolejnych podróżnych, domagali się okupu. Myślę, że nie ma możliwości, aby tę korespondencję z Łodzi zakończyć optymistycznie. Można jedynie postawić historiozoficzną konkluzję, iż lata przełomu wymagają przejściowej bessy cywilizacyjnej. Oby przejściowej!

Lesław GRUSZCZYŃSKI

KOMUNIKATY
FUNDACJI POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

Zapraszamy do nowo otwartej Księgarni FUNDACJI POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM (róg Hożej i Marszałkowskiej) z pierwszym w kraju stoiskiem firmowym Instytutu Literackiego w Paryżu, gdzie można nabyć bieżące numery *Kultury*. Również książki paryskiej LIBELLI, londyńskiego VERITASU i innych wydawnictw emigracyjnych, a także byłych wydawnictw podziemnych.

Nasz adres:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM
ul. Marszałkowska 74
00-524 WARSZAWA
tel. 21 70 75

●

Potwierdzamy otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w październiku i listopadzie 1991 r. Dziękujemy:

Pani Joannie Szczęsnej za 119 egz. książek,
Pani Teresie Boguckiej za 220 egz. książek i pism,
Pani Dorocie Cyngot za 550 egz. książek i pism,
Wydawnictwu SŁOWO za 450 egz. książek,
Wydawnictwu BAZA za 120 egz. książek,
Domowi Księgarskiemu Stowarzyszenia Wolnego Słowa za 300 egz. książek,
Dyrekcji i Radzie Pedagogicznej Liceum Ogólnokształcącego z Mławy za — 200.000 zł.
Pani H. Trzaska-Kalinowskiej za — 100.000 zł.
Panu Czesławowi M. Foksowiczowi za — 100 USD.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo ideę FUNDACJI podajemy numer naszego konta:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM
PBK III/Oddział w Warszawie
nr konta: 370015-975148-132-3

FUNDACJA zamieszcza potwierdzenia otrzymywanych darów rzeczowych paryskiej *Kultury* i *Ex Libris*.

*Niepodległa Ukraina i Polska**

Ukraińska wiosna w grudniu

Nad Kijowem wisiała szara kopuła grudniowej poświaty. Z Włodzimierzowej Góry trudno było dojrzeć złociste kopuły Ławry na przeciwległym pagórku Peczerska. Na dole, na Chreszczatyku, widać było jak ludzie idą do wyborów. Była niedziela 1 grudnia, plebiscyt o przyszłych losach Ukrainy i wybory prezydenta państwa. Ludzie szli do lokali wyborczych z powagą. Jakby na nabożeństwo.

Obawy niektórych dziennikarzy, że na Ukrainie może się powtórzyć polska klapa frekwencji, okazały się czczymi. Naród szedł ławą, mimo tego że jest piekielnie zmęczony nieustającą przepychanką z Gorbaczowem, rodzimą nomenklaturą, staniem w kolejkach i piciem podejrzanej wody z Dniepru po czarnobylskim nieszczęściu. Okazało się, że uchylenie drzwi wolnemu słowu dokonało cudów. Moi znajomi rozswarzeni pokoleniowo aż do białego żaru w kwestii prezydenta — plebiscyt zgodnie określili sprawą życia i śmierci Ukrainy.

Wbrew zapowiedziom nacjonalistów rosyjskich, którzy ogłosili oderwanie od Ukrainy Krymu, utworzenie odrębnych republik rosyjskich — Nowej Rosji nad Morzem Czarnym i republiki Donieckiej — ogromna większość Rosjan poparła ideę niepodległości Ukrainy. Zresztą wszystkie mniejszości narodowe nieomalże gremialnie oddały głosy na Ukrainę.

Tej samej niedzieli było jeszcze drugie głosowanie — na prezydenta. Na arenie wyborczej było najpierw siedmiu zawodników: dwóch byłych dysydentów — Czornowił i Łukjanenko, dwóch naukowców — fizyk Juchnowski i matematyk Griniow, dwóch działaczy — przedstawiciel kołchozów, minister rolnictwa i człowiek nomenklatury Tkaczenko oraz przedstawiciel powstającego biznesu, liberał Tuburianskyj. Siódmym matadorem był

---

* Wywiady przeprowadził i opracował Bohdan Osadczuk.

dotychczasowy przewodniczący parlamentu — Krawczuk. Wygrał solidną większością 57-letni Leonid Krawczuk, syn chłopa z Wołynia, z zawodu ekonomista, długoletni aparatczyk, zwolennik kompromisów, bardziej praktyk niż teoretyk, znakomity mówca, przebiegły i utalentowany gracz.

Wraz z niepodległością Ukraina wkracza w epokę nieznanego dotąd systemu prezydialnego pod egidą Krawczuka.

Kijów, 10 grudnia 1991 r.

Bohdan OSADCZUK

„Pragniemy ścisłej współpracy z Polską"

WYWIAD Z PREZYDENTEM UKRAINY LEONIDEM KRAWCZUKIEM

BOHDAN OSADCZUK: — *Panie Prezydencie, gratuluję Panu z okazji podwójnego zwycięstwa: referendum na rzecz niepodległości Ukrainy i Pańskiego, osobistego sukcesu w zdobyciu najwyższego urzędu państwa. Czy Pan oczekiwał takich wyników? I jak to się stało?*

LEONID KRAWCZUK: — Bardzo dziękuję za dobre życzenia. Co do referendum, to istotnie oczekiwałem dobrych wyników. Chyba gdzieś przed miesiącem mówiłem do grupy dziennikarzy, że oczekuję 85% poparcia dla niepodległości. Patrzyli na mnie jak na nawiedzonego. A ja doszedłem do takiego wniosku, jeżdżąc po Ukrainie wzdłuż i wszerz. Moi współpracownicy obliczyli, że w ostatnich tygodniach około 320 godzin przemawiałem do ludzi. Ale najważniejsze były bezpośrednie rozmowy z osobami z najrozmaitszych zawodów i pokoleń, przedstawicielami wielu narodów i mniejszości zamieszkujących Ukrainę. Stwierdziłem wówczas, że nasza polityka narodowościowa, polegająca na fundamencie absolutnej równości i maksymalnego narodowego i kulturalnego rozwoju wszystkich narodowości, niedopuszczaniu do najmniejszych przejawów szowinizmu, nacjonalizmu i dyskryminacji, wspaniale zaowocowała. Liczyłem z góry, że

poprą nas bez wyjątku Węgrzy, Polacy, Żydzi, Grecy i Bułgarzy, aby nazwać tylko najważniejsze i najbardziej przychylne nam narodowości. Ale w stosunku do Rosjan nie byłem stuprocentowo pewny. Była przecież agitacja z zewnątrz, apel Sołżenicyna, brużdżenie rozmaitych wysłanników rosyjskich ugrupowań szowinistycznych, krętactwa Gorbaczowa. Okazało się, że fakty są silniejsze niż propaganda. We wszystkich regionach, gdzie istnieje większość rosyjskojęzycznej ludności, głosowanie wypadło jednoznacznie na korzyść naszej niepodległości. Nawet na Krymie, gdzie sytuacja była najbardziej napięta, zwyciężyliśmy, chociaż nie było to tak imponujące zwycięstwo, jak gdzie indziej. Cieszę się też, że antyukraińska Rumunia doznała podczas plebiscytu sromotnej klęski. Bukareszt rozwinął ogromną akcję przeciwko utwierdzeniu naszej suwerenności na terenie Bukowiny. Myśmy się zachowali spokojnie. Nie przeszkadzaliśmy nawet wrogiej działalności wysłanników, przechodzących granicę z ulotkami przeciwko plebiscytowi. Nie chcieliśmy dopuścić do jakichkolwiek protestów lub twierdzeń o rzekomej manipulacji. I dzięki temu udało nam się zupełnie skompromitować nacjonalistów rumuńskich. Na terenie, do którego oni wysuwają pretensje terytorialne, 70% głosujących opowiedziało się za Ukrainą.

My nie mamy żadnych roszczeń terytorialnych. Uważamy zresztą takie rewindykacje za naruszenie *status quo* i tym samym wywoływanie akcji grożących naruszeniem pokoju w Europie. A z doświadczeń historycznych wiemy, do czego prowadzą takie roszczenia. Zamiast mrzonek o zmianach granic, należy te granice maksymalnie przekształcić w pomosty, a mniejszościom narodowym zapewnić maksymalne warunki rozwoju własnej tożsamości narodowej i kulturalnej. Wszelki ucisk narodowy prowadzi do konfrontacji, a my tego nie chcemy.

B. O.: — *Jakie są priorytety w Pańskich koncepcjach polityki zagranicznej?*

L. K. — Na pierwszym miejscu znajdują się stosunki z naszymi sąsiadami: Rosją, Białorusią i Węgrami. Pragniemy ścisłej współpracy z Polską. Fakt, że to właśnie Polska pierwsza dokonała pełnego uznania naszej niepodległości, napawa nas wdzięcznością i potwierdza naszą wolę ścisłej współpracy. Podpisaliśmy z Polską wiele umów międzynarodowych. Przygotowuje się podstawowy traktat w perspektywie historycznej. Obecnie musimy pomyśleć o wymianie wizyt na najwyższym szczeblu. Może odwiedzi nas prezydent Polski, może nasza delegacja uda się do Warszawy. Najważniejsze, aby istniejące i przyszłe traktaty wypełnić konkretną treścią.

Na dalszym planie są nasze stosunki z tymi państwami, w których istnieją duże skupiska ukraińskiego wychodźstwa, a więc z Kanadą i Ameryką. Dużą wagę przypisujemy stosunkom z Niemcami, choćby dlatego, że z dawnymi Niemcami wschodnimi utrzymywaliśmy bardzo żywe więzy gospodarcze. Bardzo nam zależy na przyjaźni z Izraelem. Przecież jedna trzecia tamtejszej ludności pochodzi z Ukrainy. Pragniemy rozwoju współpracy z Włochami. Mogą one przyczynić się do modernizacji naszych portów nad Morzem Czarnym i stworzenia strefy wolnocłowej w Odessie.

Jak Pan wie, w porozumieniu z Rosją i Białorusią dokonaliśmy wielkiego dzieła powołania do życia wspólnoty państw niepodległych, jako sukcesorów upadłego Związku Sowieckiego. Pan sobie zapewne przypomina, że w naszych poprzednich rozmowach, począwszy od wiosny, przedstawiałem konieczność zniesienia państwa unitarnego i likwidacji wszystkich centralnych władz wraz z prezydentem na Kremlu. Gorbaczow próbował rozmaitymi sztuczkami nakłonić mnie do przyjęcia jego najnowszego projektu. Zgodził się nawet na nadanie nam specjalnego statusu stowarzyszenia. Ale za tymi ofertami pozostawały wciąż sidła struktur unitarnych. Ostatecznie powiedziałem Gorbaczowowi, krótko przed spotkaniem w Brześciu, że Ukraina jego projektu nigdy nie podpisze. Zaczął potem publicznie wygrażać. Biedny człowiek, utracił zupełnie poczucie realności. Nowa wspólnota nie jest żadnym związkiem trzech państw słowiańskich. Tego rodzaju interpretacje są po prostu bzdurą. Wspólnota stoi otworem dla wszystkich państw i to nie tylko ze starego Związku Sowieckiego. Mam nadzieję, że przystąpią do niej z czasem również z dalszych regionów. Siedziba koordynacyjnych komisji i wydziałów w Mińsku jest kompromisem. Moskwa odpada ze względu na obciążenia historyczne, na Kijów wielu Rosjan by się nie zgodziło. A Mińsk to jak Bruksela pomiędzy Paryżem i Bonn czy Berlinem. Zawsze propagowałem ideę podobną do Wspólnoty Europejskiej.

B. O.: — *Niedawno opinię światową obiegła wiadomość, że Ukraina pragnie utrzymać kontrolę nad bronią atomową i dąży do utworzenia własnych sił zbrojnych w sile 460.000 żołnierzy. Jaki jest Pański punkt widzenia na to, Panie Prezydencie?*

L. K.: — Ukraina zobowiązała się nie produkować, nie posiadać i nie przekazywać innym państwom broni nuklearnej. Jest to decyzja nieodwołalna i ostateczna. Jesteśmy za tym, aby znajdujący się na terytorium Ukrainy potencjał rakiet z głowicami nuklearnymi uległ kompletnemu zniszczeniu pod kontrolą międzynarodową. Niestety nie posiadamy na to ani środków materialnych, ani urządzeń technicznych. Gdyby ta konwersja miała być połączona z groźbą spustoszeń ekologicznych, to należałoby tego dokonać na innych, mniej zagrożonych terenach.

Co do liczebności armii, to wojska obrony strategicznej będą kolektywne. Ukraińskie siły zbrojne powinny osiągnąć wraz z wojskami pogranicznymi maksymalny pułap 150.000 żołnierzy. Przytoczona przez Pana informacja na temat rzekomych 460.000 żołnierzy polegała na nieporozumieniu. Na ziemi ukraińskiej stoi obecnie 1 milion 200 tysięcy żołnierzy armii sowieckiej. Wszystkich ich posłać do cywila nie podobna. Chodzi więc o skomplikowaną redukcję. Jest to sprawa bardzo delikatna i skomplikowana z wielu względów — również w sensie polityki społecznej.

B. O.: — *Jak wiadomo, w dziedzinie wyznaniowej trwają ostre spory i to zarówno pomiędzy katolikami i prawosławnymi jak również pomiędzy samymi kościołami prawosławnymi. Czy ma Pan zamiar ingerować w te kłótnie, czy też zachowywać neutralność?*

L. K.: — Już się zaangażowałem w te sprawy, krótko przed wyborami, biorąc udział we forum międzywyznaniowym w Kijowie. Zwróciłem się do skłóconych między sobą wyznań z apelem o przywrócenie pokoju. Z ewangelikami, baptystami czy wyznawcami religii judaistycznej nie ma żadnych kłopotów, ale są to grupy wyznaniowe nieduże. No cóż, będę nieustannie nawoływał do religijnej tolerancji. Z drugiej strony będę ściśle przestrzegał absolutnego oddzielenia Kościoła od państwa. Mimo to jednak uważam, że ośrodek ukraińskiego Kościoła prawosławnego powinien się znajdować, podobnie jak w Armenii i Gruzji, wewnątrz państwa ukraińskiego, a nie za granicą, a w danym wypadku w Moskwie. Ale w ostatecznej konsekwencji jest to sprawa ukraińskiej hierarchii kościelnej i wiernych.

Kijów, 2 grudnia 1991

„To były najszczęśliwsze dni w moim życiu"

ROZMOWA Z AMBASADOREM POLSKI W KIJOWIE — JERZYM KOZAKIEWICZEM*

BOHDAN OSADCZUK: — *Jako tradycyjny już rzecznik porozumienia polsko-ukraińskiego, zainicjowanego przez* Kulturę, *pragnę Panu wyrazić moją satysfakcję, że Polska była pierwszym krajem, który uznał Ukrainę po plebiscycie z 1 grudnia.*

— *Chciałbym Pana zapytać, jak Pan zapatruje się na stan stosunków polsko-ukraińskich?*

JERZY KOZAKIEWICZ: — Oczywiście, że już od dłuższego czasu wiedziliśmy, że Związek Sowiecki nie utrzyma się i że prędzej czy później Ukraina stanie się wolnym państwem. W założeniu moim i moich przyjaciół politycznych było, żeby Polska była pierwszym państwem, które uznaje wolną Ukrainę. Tak powinno być i tak się stało. Myślę, że to, że jesteśmy pierwsi, przyniesie nam obopólnie wiele korzyści na wielu płaszczyznach, nie tylko zresztą politycznych; może nie doraźnych, ale na pewno na dłuższą metę. To było konieczne.

Natomiast jeśli chodzi o ocenę tych stosunków na dzisiaj, to są one bardzo rozmaite. Ja mam bardzo dobre stosunki z szeroko rozumianą opozycją ukraińską, tak parlamentarną jak i pozaparlamentarną. Szczęśliwie tak się składa, że środowiska opiniotwórcze są zarazem, jeżeli nie polonofilskie, to co najmniej sympatyzujące z Polską. To jest wielka szansa dla nas. Szczególnie w stolicy Ukrainy. Choć muszę powiedzieć, że nie demonizowałbym sytuacji w zachodnich regionach. To jest zupełnie inna sprawa, ale niekoniecznie tak groźna i tak bolesna, jak to niektórzy usiłują przedstawić. Natomiast tu, w centralnej

* Amb. Jerzy Kozakiewicz jest historykiem, do służby dyplomatycznej przeszedł z Polskiej Akademii Nauk przed dwoma laty. Urodził się w 1948 roku w Krakowie. Ukończył studia nauk historycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat uzyskał z dziedziny metodologii, a mianowicie wykorzystywania dokumentów osobistych dla opracowań historycznych. Zajmował się też historią szkolnictwa mniejszości narodowych w Polsce niepodległej. Włada biegle ukraińskim. W marcu 1991 został skierowany do Kijowa jako konsul do spraw naukowych i kulturalnych, jesienią został podniesiony do rangi specjalnego wysłannika, obecnie zaś ambasadora.

Ukrainie, nie mówiąc już o lewobrzeżnej, społeczeństwo jest nie tylko otwarte, ale zaciekawione. Poza tym wielu polityków ukraińskich widzi konieczność współpracy z Polską, i to nie tylko na płaszczyźnie politycznej lecz także w dziedzinie gospodarczej.

Jest to wyjątkowa szansa. Powtarzam przy każdej okazji, że jeżeli my tej szansy dzisiaj nie wykorzystamy, to następne pokolenia i polskie i ukraińskie będą nam to miały za złe, i słusznie. Ale to jest jedna płaszczyzna. Drugą są stosunki formalne z władzą. One też są różne, bo jeśli idzie o kwestie czysto formalne, to przecież podpisaliśmy szereg dokumentów, które stanowią doskonałą podstawę do dalszego działania, i mogą być bazą prawną czy koncepcyjną do rozwoju szczegółowych gałęzi współpracy. Mam na myśli deklaracje z zeszłego roku, następnie deklarację wrześniową z bieżącego roku o stałych konsultacjach między ministerstwami spraw zagranicznych, mam na myśli konwencję konsularną, i wreszcie umowę gospodarczą Fokin-Bielecki, protokół o współpracy kulturalnej, umowę o młodzieżowej kooperacji między naszymi krajami i bardzo liberalną, bardzo szeroką, na europejską miarę zakrojoną, umowę o współpracy w sferze nauki i szkolnictwa między ministerstwami oświaty obu naszych krajów.

B. O.: — *No dobrze, jest to niewątpliwie ogromny postęp, ale czy nie uważa Pan, że wszystkie te porozumienia nie znalazły należnego im echa w opinii publicznej polskiej? Zresztą dotyczy to też i ukraińskich środków przekazu.*

J. K.: — Poniekąd tak. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na element dość powszechny w systemach postkomunistycznych. To znaczy jakby naturalne odwrócenie się od Wschodu. Te kraje są zmęczone sobą, niepopularne, są nieatrakcyjne dla siebie. A Zachód stanowi jakby raj obiecany, ziemię obiecaną, dotychczas zamkniętą i nagle otwartą. Dobrze, że Pan o tym przypomniał. Kiedy tak postępują społeczeństwa, to oczywiste, ale gorzej jeśli to robią elity polityczne. Były takie symptomy i w polityce polskiej. Mam nadzieję, że stanowią one zamkniętą przeszłość z tym, że chciałbym zwrócić uwagę na fakt zbliżenia cywilizacyjnego bardzo szeroko w opinii publicznej, czy raczej świadomości naszego społeczeństwa, pojmowanego. Gdyby Pan był w Polsce w dniach puczu moskiewskiego, zobaczyłby Pan jak nagle, na powierzchni zachowań społecznych, dotąd zły czy odpychający stosunek Polaków do przybysza ze Wschodu się zmienił, i ci wszyscy handlarze, Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini czy Ormianie, nagle stali się czymś bliskim. To było zastanawiające i wyglada-

ło, że nagle poczuliśmy się na tyle Europą, że zaczęliśmy mieć świadomość jakiegoś obowiązku wobec tych narodów, które gdzieś tam leżą i trzeba im pomóc. Wydaje mi się, że nasza świadomość bardzo głęboko się zmieniła.

Ale wracając jeszcze do sprawy naszego stosunku do Wschodu, wydaje się sprawdzać taka tendencja, że wielką politykę przestają już robić elity polityczne, że wpływ społeczeństw, narodów na decyzje polityczne jest ogromny. Generalnie rzecz biorąc, musimy stwierdzić, że nie ma ukraińskiego *lobby* w Polsce. Przed wojną był np. Wasilewski, a na emigracji Mierosewski czy Giedroyc. Ale są też zjawiska pocieszające, jak na przykład przygotowywane spotkania ministrów kultury z przedstawicielami mniejszości narodowych, ukraińskiej w Polsce i polskiej na Ukrainie. Dobrze wygląda też sprawa traktatu o dobrym sąsiedztwie, który musi należeć do tak zwanych wielkich traktatów, jak z Francją czy Niemcami.

B. O.: — *Jakie widzi Pan trudności jeśli idzie o zbliżenie?*

J. K.: — Przede wszystkim kwestie mentalności. One są jeszcze głęboko zakodowane. Poza tym, według mnie, bardzo sprawnie były wykorzystywane, a może nawet sterowane przez ośrodek moskiewski. Musi minąć sporo czasu, zanim powstanie nowa klasa polityczna, która będzie inaczej myślała i działała. Niech Pan weźmie Ukrainę Zachodnią, czyli Galicję, którą Moskwa traktowała jako rezerwat; nawet rząd kijowski traktował tę ziemię jako coś wyobcowanego. Przecież nie musimy sobie tłumaczyć, ile jest tych „Ukrain", choćby tylko wyznaniowych. I jeśli te problemy są tak nabrzmiałe, jeśli te różnice są takie jakie są, cóż to za raj dla manipulatora politycznego. I na tym polegało władztwo komunistyczne. Jeśli konflikty nie były prowokowane, to ręka Moskwy tam na pewno była.

B. O.: — *Do tej sfery należy niewątpliwie antyukraińska twórczość takiego osobnika jak Edward Prus, szkalującego od lat Ukrainę i podsycającego nienawiść Polaków do Ukraińców. Postać odrażająca, straszna, miejmy nadzieję, że miniona.*

J. K. — Oczywiście, że on działał na zamówienie. Jest to jednak margines życia politycznego. Ale trzeba powiedzieć, że myśmy popełnili masę błędów, np. przy różnych przemyskich czy lwowskich sprawach, i robimy je nadal. Dla mnie najistotniejszą sprawą jest to, żeby w płaszczyźnie politycznej nie dopuścić do tego, by polityka robiona była przez ziomkostwa, by byle bzdurny artykuł gdzieś tam w jakiejś gazecie uważany był za stanowisko — już nie mówię rządu, ale nawet jakiejś poważnej grupy politycznej.

B. O.: — *Musimy zaczynać na nowo od fundamentów, od sojuszu Piłsudskiego z Petlurą. Jest Pan na pewno pierwszym ambasadorem wolnej Polski w wolnej Ukrainie. Zapomniałem, kto był wówczas ambasadorem polskim w Kijowie.*

J. K.: — Ja niestety też zapomniałem. Mogę tylko powiedzieć, że mój krewny, generał Wilczyński, był komendantem Kijowa, tu niedaleko na ulicy Czkałowa stoi stary dom, w którym według legendy Petlura spotkał się z Piłsudskim.

Wracając do moich zadań, ja nie mam specjalnych obaw co do losów mniejszości polskiej. Co do regulacji prawnej praw mniejszościowych już niczego więcej nie można powiedzieć w sferze prawa międzynarodowego. Wszystko już zostało powiedziane. Są ustalenia kompletne i tak całościowe, gwarantujące te prawa, że Ukraina chcąc wejść do rodziny europejskiej, musi w całości je przyjąć. Ukraina już je uznaje, zwłaszcza że ze strony grupy etnicznej czy społeczności polskiej stosunek do niepodległości Ukrainy jest jak najbardziej pozytywny. To się okazało na kongresie mniejszości w Odessie. Związek Polaków wręcz wsparł w sposób jasny i nie podlegający żadnym wątpliwościom sprawę niepodległości Ukrainy. Z całą pewnością można założyć, że Polacy na Ukrainie głosowali za niepodległością. Także w tym względzie nie widzę obaw.

Obawy powstają gdzie indziej, a są one związane z kwestią poziomu życia, konieczności pomocy Polakom, którzy stanowią jednak grupę najbiedniejszą, najmniej wykształconą, nie posiadającą inteligencji, wobec czego narażoną na spychanie jej na margines, nie ze względów politycznych, ale naturalnych. Nasz rząd musi to brać pod uwagę. Tu dużo dobrego mógłby zrobić Kościół katolicki, gdyby się zajął swoim pierwotnym powołaniem — miłosierdziem. W sytuacji, w której nie będzie tej machiawelistycznej ręki, która wykorzystuje różnice wyznaniowe dla manipulacji politycznej, działalność Kościoła polskiego nie musi wywoływać zaniepokojenia wśród Ukraińców. Zresztą Kijów jest pod tym względem miastem zdystansowanym, spokojniejszym, liberalnym. Jeśli sami Ukraińcy poradzą sobie z własnym rozbiciem wyznaniowym, to sądzę, że kwestia polskiego Kościoła katolickiego będzie marginesem. My w Polsce popełniamy często błąd, patrząc na Ukrainę przez pryzmat Galicji. A przecież to jest ogromne morze prawosławne. I to musi się zmienić.

B. O.: — *A co by Pan chciał powiedzieć do czytelników* Kultury *na zakończenie naszej rozmowy?*

J. K. — Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że te dwa dni, które w takim napięciu przeżywamy tutaj wspólnie, to wyjątkowo szczęśliwe dla mnie dni. Nie przyjechałem tutaj by zrobić karierę polityczną, nie przyjechałem dla pieniędzy, traktuję to jako misję. Kiedy człowiek widzi, że na jego oczach tworzy się historia i że ona tworzy się właśnie tak, jak powinna się tworzyć, no to czy może być większe szczęście dla historyka? Gdy widzę tych ludzi, którzy są nagle zupełnie inni, piękni, działający w jakiejś euforii, a jeszcze niedawno widziałem ich stłamszonych, przemykających się, to naprawdę jest wspaniałe. No czego więcej trzeba?

Kijów, 2 grudnia 1991

„Polska ma dla nas szczególne znaczenie"

FRAGMENTY WYPOWIEDZI AMBASADORA UKRAINY W WARSZAWIE, TEODOZJUSZA STARAKA*

„Polska ma dla nas szczególne znaczenie. Moim głównym zadaniem będzie dążenie do usunięcia tych wszystkich nieporozumień i nawarstwień, będących rezultatem długoletniej komunistycznej propagandy, której głównym celem było rozpalenie ognisk nienawiści pomiędzy naszymi narodami. Z tym trzeba będzie radykalnie walczyć. Krzewienie i pogłębianie nienawiści było zawsze i jest nadal jedynie w interesie trzecich sił. W dotychczasowych rozmowach z ministrem Skubiszewskim roztrząsaliśmy całokształt sprawy stosunków polsko-ukraińskich. We wszystkich zasadniczych kwestiach jesteśmy podobnego zdania. Pozycje naszych rządów odnośnie stosunków politycznych, gospodarczych i kulturalnych są nieomal identyczne. Moim specyficznym zadaniem było wyjaśnienie stanowiska rządu ukraińskiego w sprawie broni nuklearnej. Stało się to przede wszystkim dlatego, że środki masowego przekazu rozdmuchały tę sprawę w jednostronny i tendencyjny sposób, pomijając systematycznie urzędowe interpretacje władz ukraińskich. Nawet oświadczenie parlamentu Ukrainy nie ukróciło tej pogoni za sensacjami i prób straszenia świata ościennego rzekomym zagrożeniem nuklearnym ze strony Ukrainy. Jest to dość grubymi nićmi szyte, zwłaszcza kiedy się zważy, że Ukraina jak najwyraźniej opowiedziała się za statusem państwa wolnego od broni atomowej. Rząd ukraiński stoi na stanowisku, że broń znajdująca się na terytorium państwa ukraińskiego winna ulec całkowitemu zniszczeniu, a nie procedurze przekazania jakiemuś innemu państwu. Tego rodzaju rozwiązanie jest nie do przyjęcia, gdyż nie wiadomo, co by się z tą bronią stało i w jakich celach mogłaby być użyta. Ukraina nie może dopuścić do tego, aby ten potencjał nuklearny mógł się stać elementem szantażu, obojętne wobec kogo. My nie chcemy trzymać palca na osławionym guziku, ale musimy mieć kontrolę nad tym palcem, aby nikt nie nacisnął na guzik. Ukraina jest gotowa przystąpić do wszystkich układów międzynarodowych, zapobiegających rozprzestrzenianiu się broni nuklearnej. Celem Ukrainy jest osiągnięcie pełnego statusu państwa bez broni atomowej. Wydaje mi się, że minister Skubiszewski przyjął ze zrozumieniem tę interpretację, choć muszę generalnie rzecz biorąc jeszcze raz podkreślić, że istnieją poszlaki, według których mimo naszych not, komunikatów, rezolucji istnieją jakieś ukryte kanały, które systematycznie pomawiają Ukrainę o rzekome pretensje do zawładnięcia potencjałem broni nuklearnej przy pogwałceniu zobowiązań i systemów kontroli międzynarodowej.

Wyjaśniłem jednocześnie ministrowi Skubiszewskimu nasz punkt widzenia w kwestiach polityki obronnej i tworzenia ukraińskich sił zbrojnych. Starałem się podkreślić, że nam chodzi o to, aby Polska naprawdę zrozumiała, że celem polityki ukraińskiej jest ścisłe partnerstwo, polegające na pokojowych zamiarach państwa ukraińskiego. Można już dzisiaj stwierdzić, że jeśli chodzi o Ukrainę, to Polska będzie miała na wschodzie sąsiada naprawdę wyznającego tylko politykę pokoju.

Minister spraw zagranicznych Ukrainy Złenko stale podkreśla, że Polska w koncepcji ukraińskiej polityki zagranicznej posiada priorytet. Nasz minister podkreślił to raz jeszcze na audiencji inauguracyjnej dla specjalnego wysłannika rządu polskiego, Jerzego Kozakiewicza. Chodzi nie tylko o dialog — to jest

* Amb. Teodozjusz Starak pochodzi z Łemkowszczyzny, spod Sanoka. Urodził się w 1931 r. W 1947 został przesiedlony do Lwowa, tam uczęszczał do szkoły. W 1949 r. aresztowano go i zesłano na 10 lat katorgi do Kazachstanu. Po amnestii wrócił do Lwowa, ukończył polonistykę na Uniwersytecie Lwowskim i pracował w wydawnictwie polskich podręczników szkolnych. Najpierw nielegalnie, a ostatnio jawnie redagował czasopismo greckokatolickie *Wira Batjkiw* (Wiara Ojców).

rzecz sama przez się zrozumiała. Chodzi nam o coś większego, o podjęcie takich inicjatyw, które z czasem zmieniłyby sytuację w środkowej i wschodniej Europie. Gdyby nie wyczekiwanie na wyniki referendum w sprawie niepodległości, to tempo otwarcia ambasad i rozszerzania sieci konsularnej byłoby szybsze, ale po tej dacie, czyli po 1 grudnia 1991 mam nadzieję, że sprawy pójdą raźniej. Oprócz ambasad w Kijowie i w Warszawie będą otwarte po trzy konsulaty w obydwu państwach. Polska będzie miała konsulat generalny w Kijowie, następnie konsulat we Lwowie i taką samą placówkę w Charkowie lub w Odessie. To jeszcze wymaga wyjaśnienia. Natomiast Ukraina otwiera konsulat generalny w Warszawie, dalej konsulat w Krakowie, no a trzeci będzie albo w Gdańsku, albo we Wrocławiu".

Radio Swoboda, 25.11.1991

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Sprawy i troski

Komisja Likwidacyjna Skarbu Narodowego

Ostatnie plenarne posiedzenie Głównej Komisji Skarbu Narodowego odbyło się 3 grudnia 1991 roku. Aczkolwiek Skarb Narodowy zakończył działalność na mocy Dekretu Prezydenta R.P. na Uchodźstwie, Ryszarda Kaczorowskiego, z dn. 20 grudnia 1990 roku — to jednak wszystkie Ogniwa Skarbu Narodowego zostały upoważnione do przedłużenia pracy do 30 czerwca 1991 z obowiązkiem nadesłania do Głównej Komisji ostatecznych sprawozdań finansowych i sum zebranych: a) w latach ubiegłych — zaległości, jeżeli istniały i b) w pierwszym półroczu 1991 r. Zadanie to zostało wykonane.

W wyniku zakończenia działalności Główna Komisja S.N. zamknęła swe księgi finansowe i zlikwidowała rachunki w banku dnia 27 września 1991 r.

Główna Komisja Rewizyjna Skarbu Narodowego przeprowadziła kontrolę kasy i rachunków bankowych dn. 23 października 1991 r. i po stwierdzeniu zgodności zapisów księgowych ze stanem faktycznym wystąpiła z wnioskiem do Rady Narodowej R.P. o udzielenie Gł. Komisji S.N. absolutorium za działalność od 1.I.1991 do 30.IX.1991.

Operacje finansowe Skarbu Narodowego za okres od 1.I.1991 do 30.IX.1991 przedstawiały się jak następuje:

WPŁYWY	£	WYDATKI	£
Saldo z 1990 roku	325.228,72	Rząd R.P., zaległe za 1990 rok	26.306,06
Otrzymano z Ogniw	46.830,65	Koszty admin.	5.691,92
Odsetki z inwestycji	10.836,37	Koszty propag.	305,80
Ze sprzedaży remanentu	4.961,71	Kom. Likwid. Rządu RP na Uchodź.	352.000,00
		Rezerwa na wydatki likwid. Kom. SN.	3.553,67
	387.857,45		387.857,45

Na sumę przekazaną Komisji Likwidacyjnej Rządu R.P. na Uchodźstwie składa się:

I. pozostałość z „Rezerwy S.N.", pochodzącej ze składek i darów za ubiegłe 41 lat £210.503,29

II. z dochodów inwestycyjnych wygospodarowanych przez czynniki administracyjne Gł. Kom. SN. 136.535,00

III. Ze sprzedaży remanentów biur Gł. Kom. S.N. 4.961,71

352.000,00

Różnica pomiędzy sumą rezerwowaną na wydatki likwidacyjne Skarbu Narodowego (£3.553,67) a rzeczywistymi wydatkami administracyjnymi zostanie przekazana do dyspozycji Komisji Likwidacyjnej Rządu R.P. na Uchodźstwie zgodnie z „Zarządzeniem Prezydenta R.P. na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego z dn. 21.XII.1990". Zwiększy to kwotę dotychczas przekazaną, wynosząca £352.000,00.

Reasumując stronę materialną działalności Skarbu Narodowego w ciągu przeszło 41 lat istnienia: od 14.X.1949 do 27.IX.1991 przedstawiamy następujące obliczenia:

Wpływy ze składek i darów polskiego żołniersko-emigracyjnego środowiska zebrane przez sieć Ogniw Skarbu Narodowego wyniosły £1.945.155

Wydano: zgodnie z ustawowym obowiązkiem na pracę niepodległościową Rządu R.P. na Uchodźstwie £1.424.294
na propagandę i koszty admin. Ogniw i Gł. Komisji S.N. £310.358
zatrzymano na „Rezerwę Skarbu Narodowego" £210.503

£1.945.155

Komisja Likwidacyjna Skarbu Narodowego przekazuje wszelkie akta wartości historycznej i finansowej do Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, co zostanie zakończone w grudniu 1991.

Biuro Gł. Komisji S.N. zakończyło swą działalność 3 grudnia br. Pewna ilość medali S.N. jest jeszcze w posiadaniu firmy „J.J. Krasnodębski" 19 Boileau Rd. London W5 3AL. (tel. 998-3353).

[...]

Sąsiedzi

Polska a Czechy

DALSZY CIĄG DYSKUSJI

Czechosłowacja względnie Czechy, bo w chwili obecnej nie bardzo jeszcze wiadomo, z jakim tworem politycznym w przyszłości będziemy mieli do czynienia, ze względu na swe położenie geograficzne, stopień rozwoju techniczno-gospodarczego i powszechnie wysoki poziom cywilizacyjno-kulturalny ogółu ludności jest potencjalnym partnerem Polski o pierwszorzędnym znaczeniu. W przeszłości potencjał ten był z wielu powodów niewykorzystany. Opublikowany w *Kulturze* nr 7-8/526-527 wywiad, mający między innymi wyjaśnić powody takiego stanu rzeczy, nie ujmuje wszystkich aspektów powyższego zagadnienia. W świadomości Czechów głównymi wydarzeniami w stosunkach polsko-czeskich pozostają zajęcie w 1938 roku przez Polaków Zaolzia oraz udział w interwencji komunistycznej w 1968 r. Ogół czeskiej opinii publicznej nic nie wie o okolicznościach aneksji Zaolzia przez Czechów w 1919 r. ani o tym, że Polska oferowała Czechom dwukrotnie w 1921 i w 1925 r. różne formy sojuszu przeciwko Niemcom, które zostały odrzucone, oraz o denuncjacjach Beneša na Polaków do Stalina w 1943 r., ani o szeregu drobniejszych zadrażnień, które razem wzięte stworzyły niekorzystny klimat do współpracy tych dwóch krajów.

Bezstronne opracowanie tych tematów w czeskiej historiografii byłoby ważnym przyczynkiem do zrozumienia stanowiska polskiego i do pogłębienia wzajemnego zaufania[1].

1. Autor ukończył w l. 1951-1956 politechnikę w Pradze. Od tego czasu interesuje się sytuacją i wydarzeniami w Czechosłowacji i pozostaje w stałym kontakcie z licznymi czeskimi i słowackimi przyjaciółmi w i poza Czechosłowacją.

SPRAWA CIESZYŃSKA

Sprawa cieszyńska była w okresie międzywojennym miernikiem całości stosunków polsko-czechosłowackich. Obecnie, chociaż jest już historią, posiada ciągle jeszcze ze względu na niezadowalającą pozycję Polaków na Zaolziu, duże znaczenie.

Preliminaria

Okręg cieszyński dnia 12 października 1918 r.[2], jako pierwszy z ziem polskich[3] ogłosił swoją niezależność (od monarchii Austro-Węgierskiej) i zgłosił akces do państwa polskiego. 1 listopada z inicjatywy *Zemského národního výboru pro Slézko* rozpoczęły się rokowania z Radą Narodową reprezentującą społeczność polską, które zakończyły się 5 listopada 1918 r.[4] podpisaniem umowy o administracyjnym rozdzieleniu terenów pod administrację polską i czeską w oparciu o kryteria etnograficzne.

Jeden z czternastu punktów prez. Wilsona domagał się utworzenia w powojennej Europie państw narodowych w oparciu o kryteria etnograficzne. W związku z tym Polska uważała za swój obowiązek stanąć w obronie ludności polskiej okręgu cieszyńskiego, która przez wieki przebywania pod obcą administracją zachowała poczucie narodowe i jako pierwsza opowiedziała się za Polską.

Hipokryzję państw dyktujących w Wersalu powojenny porządek europejski, głównie Anglii i Francji, ilustruje fakt, że Polsce starano się narzucić granice oparte na zasadach etnograficznych, Czechosłowacji natomiast przyznano granice historyczne, nie zwracając uwagi na fakt, że granice te obejmowały liczne mniejszości narodowe, między innymi Niemców sudeckich i cieszyńskich Polaków. Zgodnie z twierdzeniem Beneša[5] — Francja podpisując 28 września 1918 r. umowę uznającą czeskie granice historyczne, została wprowadzona w błąd, nie biorąc pod uwagę możliwości sporu granicznego pomiędzy Polską a Czechosłowacją. Udzieliwszy jednak raz tej obietnicy, czuła się tym związana i do końca popierała stanowisko czeskie.

Swoje pretensje terytorialne do całego okręgu cieszyńskiego

2. Zofia Kirkor-Kiedroniowa. „Wspomnienia". T.2, str. 269. Wyd. Lit. Kraków 1988.

3. Polska Komisja Likwidacyjna w Krakowie została utworzona 28 października 1919 r. W. Witos „Moje wspomnienia", T. 2, str. 181. Inst. Lit. 1964 r.

4. *Cesi a Poláci v minulosti*, T. 2, str. 439 i 440. Academia, Praha 1967.

5. E. Beneš. *Problémy nové Evropy a zahraniční politika československá. Projevy a úvahy z let 1919-1924*, Praha 1924, s. 62.

aż do Wisły i Bielska opierali Czesi na prawach historycznych, których odmawiali Polakom, o ile chodzi o ziemie wschodnie, oraz na twierdzeniu, że przez Cieszyn przechodzi linia kolejowa łącząca ich ze Słowacją. Argument ten był jednym z pretekstów, bo istniały jeszcze inne połączenia kolejowe ze Słowacją. Głównymi powodami były kopalnie węgla[6] i przemysł hutniczy tego okręgu. Poza tym Czesi chcieli dać Polakom swego rodzaju „nauczkę"[7].

Agresja

Na początku listopada czechosłowacki rząd w Pradze oświadczył, że *Zemský národní výbor pro Slézko* nie był upoważniony do podpisywania umów w sprawie granic. Nastąpiła po tym gorączkowa wymiana protestów, gróźb i dementi, oraz nadchodziły wiadomości o koncentracji wojsk czeskich po drugiej stronie granicy. Polska, która znajdowała się wtedy w bardzo trudnej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej (nieuregulowana sprawa reprezentacji Polski na Konferencji Pokojowej w Paryżu, słaba pozycja rządu Moraczewskiego, „zamach" stanu płk. Januszajtisa, walki z bolszewikami na froncie północnym, Powstanie Wielkopolskie, zbliżające się wybory) nie chciała wierzyć w akcję militarną Czechosłowacji, opierając się na zapewnieniach Koalicji[8], że ta nie będzie uznawać faktów dokonanych, osłabiła dodatkowo siły wojskowe na Śląsku Cieszyńskim, wysyłając pewną liczbę żołnierzy do obrony Lwowa[9].

Czechosłowacja, czując poparcie Francji i Anglii[10] i widząc trudności, w których znajdowała się Polska, postanowiła działać. Charakterystyczne dla całego omawianego okresu stosunków polsko-czeskich jest postępowanie dyplomacji czeskiej, wykorzystującej chwile kiedy Polska była pogrążona w trudnościach zewnętrznych lub wewnętrznych. W dyplomacji jest to rzeczą normalną, Polacy uważali to za „nierycerskie". Kiedy jednak w okresie kryzysu monachijskiego Polska postąpiła podobnie, dyplomacja czeska wykorzystała wszystkie możliwości propagandy

6. T.G. Masaryk pisał do Beneša dnia 9 stycznia 1919 r., że uzyskanie Zagłębia Karwińskiego pozwoli Czechosłowacji wspierać węglem Austrię, Węgry i Bawarię i dzięki temu uzyskać wpływ na te kraje. *Dokumenty o protilidové a protinárodní politice T.G. Masaryka*, s. 91. Praha 1953.

7. T.G. Masaryk pisze w listach do Beneša: „Polakom nie zaszkodziłoby bicie, przeciwnie, przyniosłoby korzyść, zlikwidowałoby niebezpiecznych szowinistów". K. Kierski, „Masaryk a Polska", wyd. 2, Poznań 1935 r.

8. A. Szklarska-Lohmanowa, „Polsko-czechosłowackie stosunki dyplomatyczne w latach 1918-1925". Str. 32.

9. Zofia Kirkor-Kiedroniowa, „Wspomnienia", T. 2 str. 329. Wyd. Lit. Kraków 1988.

10. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op.cit.*, str. 33.

zewnętrznej i wewnętrznej, aby udowodnić „nieetyczność i zdradzieckość" czynu polskiego.

Akcja czeska zaczęła się 23 stycznia 1919 r. fortelem godnym Zagłoby. Otóż płk Snejdárek[11] występujący w mundurze francuskim zażądał od płk. Latinika rzekomo w „imieniu Ententy" wycofania wojsk polskich do wschodniej granicy Śląska, dając mu 2-godzinne ultimatum na rozpoczęcie ewakuacji. Płk Latinik odrzucił to żądanie, co spowodowało ofensywę sił czeskich. Pierwotnie Czesi zamierzali zająć cały obszar byłego Księstwa Cieszyńskiego po Wisłę i Bielsko, jednak ze względu na silny opór Polaków pod Skoczowem zaproponowali zawieszenie broni.

Akcja dyplomatyczna

Natychmiast po tych wydarzeniach rozpoczęła się gorączkowa akcja dyplomatyczna, zakończona 1 lutego 1919 r. podpisaniem porozumienia paryskiego, które ustalało, że płn. część spornego terytorium pozostanie pod ochroną armii czechosłowackiej, a płd. z Cieszynem pod ochroną armii polskiej. Podział administracyjny miał zostać przywrócony do stanu zgodnego z umową z 5 listopada 1918 r. Wykonanie tego ostatniego punktu umowy zostało przez Czechosłowację uniemożliwione. Nie nastąpiły także przewidziane tym układem dostawy węgla dla Polski.

Sprawa okręgu cieszyńskiego stała się przedmiotem niekończących się przetargów dyplomatycznych, przy czym Czechosłowacja po raz pierwszy sięgnęła do szantażu, kiedy Beneš oświadczył, że jeśli nie dojdzie do ugody z Polakami, to „Czesi znajdą drogę do porozumienia z Niemcami[12]".

Na terenach zajętych przez Czechów rozpoczął się natychmiast terror bojówek czeskich przeciwko działaczom polskim, przy przyzwalającej roli policji czeskiej. Prowadziło to do licznych pogróżek, wypadków pobicia, a nawet prób morderstwa[13]. Akty obronne ludności polskiej były przez Czechów kwalifikowane jako równorzędne działania terrorystyczne, stawiające bijącego i broniącego się na tej samej płaszczyźnie. Oczywiście w takiej sytuacji przeprowadzenie plebiscytu było niemożliwe, tym bardziej, że Czesi, nie będąc pewni wyniku, zdecydowanie się takiemu rozwiązaniu sprawy przeciwstawiali.

Ocenę ówczesnych stosunków z polskiego punktu widzenia ilustruje dobrze wypowiedź W. Witosa, który pisząc swoje wspomnienia w czasie swego azylu politycznego w Czechosłowacji, wyraził się w następujący sposób: „W walce o posiadanie Śląska rząd czeski posługiwał się nie tylko przemocą, ale także zdradą, połamawszy wszystkie dobrowolnie zawarte umowy[14]".

11. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op.cit.* str. 34.

12. K. Dłuski, „Wspomnienia z Paryża od 4.I. do 10.VII.1919", Warszawa 1920. Str., 52-53.

13. Zofia Kirkor-Kiedroniowa, „Wspomnienia", T. 2, str. 427-475. Wyd. Lit. Kraków 1988.

Ostateczna decyzja

Alianci nie mieli zupełnie ochoty dochodzić „słuszności" racji poszczególnych stron w sporze cieszyńskim i pragnęli jedynie szybkiego załatwienia sprawy. Okazja nadarzyła się, kiedy w trakcie ofensywy Tuchaczewskiego i Budionnego armia polska znajdowała się przez cały czerwiec 1920 r. w odwrocie i zaistniała obawa, czy Polska bez pomocy Aliantów potrafi obronić swoją niepodległość.

Premier Wł. Grabski przybył dnia 8 lipca 1920 r. do miejscowości belgijskiej Spa, gdzie odbywała się konferencja Aliantów, z prośbą o udzielenie pomocy. Sytuacja ta była na rękę Aliantom, dając im możliwość do „załatwienia" szeregu spraw z Polską, która w polityce zagranicznej uchylała się od dyktatu Anglii i Francji. Czechosłowacja także, widząc Polskę w kłopotach, naciskała na załatwienie sprawy cieszyńskiej. W rezultacie upokarzających rokowań Wł. Grabski zmuszony był do podpisania zgody na arbitraż Rady Ambasadorów w sprawie cieszyńskiej oraz do przyjęcia pośrednictwa Anglii w krokach rozejmowych z bolszewikami. Odmowa podpisania zgody na arbitraż groziła natychmiastowym zatrzymaniem przez Czechów dużego transportu pieniędzy drukowanych w Wiedniu, a potrzebnych do prowadzenia wojny[15], oraz dalszymi trudnościami w przepuszczaniu transportów broni z Francji.

Arbitraż został rozstrzygnięty na korzyść Czechosłowacji i złożenie przez J.I. Paderewskiego dnia 31 lipca 1920 r. podpisu pod dokumentem końcowym, jako konsekwencja zgody Wł. Grabskiego, było już tylko formalnym przyjęciem do wiadomości wyniku arbitrażu. Sukces dyplomatyczny Czechosłowacji przyniósł w świadomości polskiej poczucie krzywdy wyrządzonej Polsce przez Czechosłowację w chwili, kiedy ta znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. To zapewne miał na myśli Paderewski, oświadczając po złożeniu podpisu na dokumencie arbitrażowym, że decyzja ta wykopała „pomiędzy dwoma narodami przepaść, której nic wypełnić nie zdoła". Świadomość tej krzywdy była także przyczyną tego, że zajęcie Zaolzia w 1938 r. spotkało się z aprobatą większości Polaków.

14. Wincenty Witos, „Moje wspomnienia", Tom II, str. 250. Instytut Literacki, Paryż 1964.

15. Wł. Grabski, „Wspomnienia ze Spa", str. 27. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1973.

CZECHOSŁOWACJA A WOJNA POLSKO-BOLSZEWICKA

Wojna bolszewicka nie była dla Polski jedynie zatargiem o uzyskanie pewnego obszaru granicznego, ale walką na śmierć i życie w obronie zdobytej po 125-ciu latach walk niepodległości. Stanowisko „nieżyczliwej neutralności", jakie zajęła Czechosłowacja, przerywane ciągłymi groźbami zatrzymania transportów z bronią, wtedy kiedy bolszewicy zbliżali się do Warszawy, było dla Piłsudskiego i Becka, który później starał się kontynuować politykę Marszałka, sprawdzianem elementarnej lojalności Czechów względem sąsiada. Taki sprzymierzeniec w okresie wojny może w każdej chwili zmienić linię frontu, jak to właśnie uczynił Beneš w czasie II wojny światowej.

W czasie wojny bolszewickiej Czechosłowacja[16] i republika Weimarska[17] urządziły w stosunku do Polski, która była uzależniona od transportów broni z Francji, formalną blokadę. Przy czym Czechosłowacja stosowała zasadę elastyczności, już to tłumacząc się stanowiskiem robotników[18], już to używając blokady jako środka nacisku w sprawie Cieszyna.

Wyraźną oznaką złej woli ze strony Czechosłowacji było zatrzymanie dnia 24 czerwca 1920 r. pociągu gen. Weyganda i jego delegacji zdążającej do Warszawy, aby pomóc Polsce w pracach sztabowych. W czasie rozmów Masaryk odradzał delegacji dalszą jazdę, twierdząc, że upadek Warszawy jest kwestią dni, a poza tym troszczył się, że Alianci przez wplątanie się w „polską awanturę" stracą swój autorytet moralny[19].

Nie bez znaczenia było też stanowisko czeskiej prasy[20], która oskarżała Polskę o zaborczość na wschodzie i podburzała w ten sposób czechosłowacką opinię publiczną, przy czym sama Czechosłowacja, podobnie jak Polska, była państwem wielonarodowym i jak pokazała historia, do dnia dzisiejszego nie potrafiła zaspokoić aspiracji narodowych swych mniejszości, jak Słowacy, Węgrzy, Polacy, Niemcy Sudeccy i Ukraińcy.

16. „Sąsiedzi wobec wojny 1920 roku", Pol. Fund. Kult., Londyn 1990, str. 263-266.

17. G. Wagner, *Deutschland und der polnisch-sowjetische Krieg 1920*, Franz Steiner Verlag GmbH, Wiesbaden 1979, str. 45-83 i dalsze.

18. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op. cit.*, str. 65.

19. Z. Musialik, *Gen. Weygand and the battle of the Vistula — 1920*, Józef Piłsudski Institute of Research, Londyn 1987, str. 39.

20. „Sąsiedzi wobec wojny 1920 roku". *Op. cit.*, str. 263.

PRÓBY NAWIĄZANIA WSPÓŁPRACY POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ

Potencjalne zagrożenie Polski i Czechosłowacji przez Rosję i Niemcy narzucało logicznie koncepcję partnerstwa i przymierza tych dwóch sąsiadów. Rozumieli to nawet tacy ludzie jak inż. Kiedroń, który osobiście wyniósł z kontaktów z Czechami jak najgorsze doświadczenia[21,22].

Piłsudski w czasie wojny bolszewickiej przekonał się o bezwartościowości przymierza z Czechosłowacją, dlatego możliwość pewnego zbliżenia możliwa była tylko w okresie przed zamachem majowym, kiedy znajdujący się u władzy przeciwnicy Piłsudskiego myśleli, że odrzucając uprzedzenia potrafią doprowadzić do współpracy pomiędzy tymi dwoma krajami.

Zasady polityki zagranicznej Polski i Czechosłowacji w okresie międzywojennym

Zasady i cele polityki zagranicznej Polski i Czechosłowacji w okresie międzywojennym różniły się pomiędzy sobą zasadniczo. Polska czuła się zagrożona przez Republikę Weimarską, która otwarcie dążyła do rewizji polskich granic zachodnich i prowadziła wyniszczającą dla polskiej gospodarki wojnę celną. Ulgę w tym względzie przyniosło dopiero podpisanie przez Polskę 26.1.1934 r. układu o nieagresji z Niemcami hitlerowskimi[23]. Drugim zagrożeniem dla Polski było ZSSR, z którym sytuacja wyjaśniła się dopiero po podpisaniu paktu o nieagresji w 1932 r.[24].

Czechosłowacja natomiast, która powstała z masy spadkowej byłej monarchii Austro-Węgierskiej, nie miała z Rep. Weimarską żadnych sporów terytorialnych[25], posiadała natomiast

21. Zofia Kirkor-Kiedroniowa, *Op. cit.*, t. 2, str. 464. Inż. J. Kiedroń został w 1920 r. napadnięty i zmasakrowany przez bojówkę czeską.

22. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op. cit.*, str. 154. Tenże inż. Kiedroń, minister przemysłu i handlu w rządzie Wł. Grabskiego, był gorącym zwolennikiem współpracy polsko-czechosłowackiej oraz architektem umowy podpisanej w 1925 r.

23. H. Batowski, „Między dwiema wojnami 1919-1939", Wyd. Lit., Kraków 1988, str. 203.

24. H. Batowski, *Op. cit.*, str. 208.

25. Wybuch trzeciego powstania śląskiego został przyjęty nieprzychylnie przez rząd czechosłowacki. Aczkolwiek Beneš poparł potem Polskę w Genewie, jednak oficjalnie w wywiadzie dla *Berliner Tagblatt* zaprzeczał, jakoby działał na rzecz Polski, oraz zapewnił, że nie zamierza zmienić polityki lojalności względem Niemiec. Zapewnił także przedstawiciela Niemiec w Pradze, że Czechosłowacja nie zamierza zawrzeć z Polską umowy wojskowej. A Szklarska-Lohmanowa, *Op. cit.*, str. 77 i 78.

ożywione kontakty handlowe. Z ZSSR łączył ją znany rusofilizm Czechów oraz perspektywy korzystnej wymiany handlowej.

W ten sposób, kiedy Polska szukała sobie sprzymierzeńców na wypadek wojny lub ewentualnego nacisku polityczno-gospodarczego, Czechosłowacja, pewna swego sojuszu z Francją i swej dyplomacji, nie czuła się zagrożona przez nikogo. Interesowały ją głównie układy handlowe i tranzytowe. Jak złudne było to wrażenie bezpieczeństwa, miała pokazać niedaleka przyszłość.

Układ polsko-czechosłowacki w 1921 r.

Polska podjęła pierwsza inicjatywę ożywienia stosunków polsko-czechosłowackich. Dnia 16 czerwca 1921 r. ukazał się na ten temat w *Rzeczypospolitej* wywiad premiera W. Witosa, a minister spraw zagranicznych K. Skirmunt potwierdził konieczność zbliżenia z Czechosłowacją w swym *exposé* sejmowym (30.6.1921).

Rokowania były trudne. Czechosłowacja chciała zawrzeć przede wszystkim umowę gospodarczą gwarantującą jej prawo tranzytu do ZSSR, gdzie chciała wybudować sobie dogodne pozycje dla przyszłej rywalizacji z Niemcami. Polska stała na stanowisku, że umowie handlowej musi towarzyszyć umowa polityczna, która powinna między innymi zawierać: uznanie suwerenności Polski w Galicji wschodniej, uznanie traktatu ryskiego i gwarancję prawa tranzytu materiałów wojskowych w przypadku wojny z Niemcami (na zasadzie wzajemności). Polska miała się z kolei zobowiązać, że nie uzna prób Habsburgów do odzyskania tronu w Austrii, lub na Węgrzech.

Beneš zastrzegł się, że umowa ta nie może przewidywać obronnej akcji zbrojnej przeciwko Niemcom, gdyż mogłoby to wywołać sprzeciw socjaldemokracji czeskiej. Ponadto zastrzegał się przed zaangażowaniem się po stronie Polski w jakąkolwiek politykę antyrosyjską[26].

Po długich rokowaniach uzyskano zgodę co do wszystkich postulatów obu stron, aczkolwiek z różnymi zastrzeżeniami w umowie i w protokole tajnym. Rezultatem tych rokowań był układ handlowy podpisany 20 października i umowa polityczna podpisana 6 listopada 1921 r. Niestety obie te umowy nie zostały ratyfikowane i nie weszły w życie w związku ze sporem o Jaworzynę Spiską, który to spór Polska przegrała decyzją Komisji Ambasadorów 26 marca 1924 r.[27]

Poza sporem o Jaworzynę Spiską, który najbardziej podniecił umysły, nie brakowało innych zadrażnień. Czechosłowacja

26. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op. cit.*, str. 80.
27. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op. cit.*, str. 89 do 120.

udzielała schronienia Ukraińcom walczącym o niepodległość Zachodniej Ukrainy na terenie Wschodniej Galicji i stosowała drobne szykany w stosunku do polskiej mniejszości w okręgu cieszyńskim. Polska z kolei popierała separatystów słowackich. Ta ostatnia akcja była błędna z punktu widzenia polskiej racji stanu, ponieważ zatruwała atmosferę pomiędzy obydwoma krajami i uniemożliwiała zawarcie kompromisów w innych sprawach.

Układ polsko-czechosłowacki w 1925 r.

W międzyczasie nieratyfikowany układ z 1921 r. stał się przestarzały, a bieżące interesy państw wymagały traktatowego uporządkowania. Polska chciała zapewnić sobie tranzyt materiałów wojskowych na wypadek wojny i polepszyć sytuację polskiej mniejszości narodowej na Śląsku Cieszyńskim. Czechosłowacji chodziło o zdobycie rynków zbytu w Polsce oraz o ułatwienia tranzytowe do ZSSR. Francja doradzała Polsce zawarcie sojuszu z Czechosłowacją w celu zabezpieczenia się przed Niemcami.

Po obustronnych sondażach, które trwały ponad pół roku, rząd czechosłowacki wystąpił w listopadzie 1924 roku z oficjalną propozycją podjęcia rokowań. Postanowiono zawrzeć jedynie układ handlowy, jednak największą trudność sprawiało przyjęcie przez Czechosłowację polskiego żądania, aby zagwarantowano tranzyt materiałów wojskowych na wypadek wojny. W rezultacie tranzyt miał być ograniczony do wypadków, kiedy Polska stałaby się ofiarą niezawinionej agresji[28]. Beneš uważał to za ogromne ustępstwo na rzecz Polski. Układ o tranzycie z zastrzeżeniem, dającym możliwości dość swobodnej interpretacji, posiadał wątpliwą wartość tym bardziej, że politycy czechosłowaccy starali się przez liczne oświadczenia przekonać tak Niemcy jak i ZSSR, że ta już i tak ograniczona umowa nie jest zwrócona przeciwko żadnemu z tych dwóch państw. Należałoby tu przypomnieć, że w danym okresie zachodnie granice Polski były zagrożone rewizjonizmem Republiki Weimarskiej, a w czasie niedawnej wojny bolszewickiej Polska znalazła się o krok od klęski[29].

Główna część układu została podpisana 23 kwietnia 1925 r. i została ratyfikowana przez Sejm w czerwcu i w lipcu 1925 r. Czechosłowacja ratyfikowała poszczególne części układu w grudniu 1925 r., oraz na początku 1926 r.

28. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op. cit.*, str. 151.
29. Gen. Ludendorff, podówczas najwyższy autorytet wojskowy w Niemczech, twierdził na przełomie czerwca/lipca 1920 r., że siła uderzeniowa Armii Czerwonej jest wystarczająca dla osiągnięcia linii Renu. G. Wagner, *Op. cit.*, str. 84.

OSTATNI AKT

Okres od zamachu majowego do zajęcia Zaolzia

Okres po przewrocie majowym nie sprzyjał dalszemu pogłębianiu stosunków polsko-czechosłowackich, tym bardziej, że Polska zawarłszy układ o nieagresji z Hitlerem i pakt o nieagresji z ZSSR, pogrążyła się w złudnym poczuciu bezpieczeństwa.

Minister A. Zaleski starał się utrzymywać z Czechosłowacją poprawne stosunki. Niemniej powody pewnych starych zadrażnień nie zostały usunięte, a powstały nowe. Polska mniejszość narodowa na Śląsku Cieszyńskim była nadal poddawana ograniczeniom, a Czechosłowacja tolerowała na swym terenie istnienie ośrodków organizacyjnych ukraińskich nacjonalistów i polskich komunistów, którzy organizowali i przeprowadzali akcje skierowane przeciwko państwu polskiemu. Płk J. Beck po objęciu (2.11.1932) urzędu Ministra Spraw Zagranicznych postanowił prowadzić „energiczną" politykę. 19.1.1934 przeprowadził on w Genewie z Benešem dłuższą rozmowę, jednak ten nie okazał chęci rozwiązania wspólnych problemów ani nie szukał możliwości wspólnego zabezpieczenia się przeciwko Niemcom[30]. W konsekwencji tego stosunki uległy dalszemu ochłodzeniu.

Niewątpliwie Beck nie był przyjazny względem Czechosłowacji, w której widział twór państwowy niezdolny do życia, ze względu na swoje stosunki etnograficzne[31], nieprzychylny Polsce, którą w 1920 r. ciężko zawiódł. Trudno udowodnić, że chciał on Czechosłowacji celowo szkodzić, ale miał niewątpliwie satysfakcję z jej rozpadnięcia się w 1938 r. Była to dla Polski okoliczność niepomyślna, bo wzmacniała dodatkowo potencjał niemiecki i stawiała Polskę w nader niebezpiecznym położeniu strategicznym. W takim momencie należało porzucić wszystkie stare urazy i zaproponować Czechosłowacji, pomimo układu o nieagresji z Hitlerem, bezwarunkową pomoc. Tego kroku nie uczyniono i w tym właśnie punkcie spoczywa błąd polityki zagranicznej Becka. Nie wiadomo jednak, czy taka oferta zostałaby w ogóle przez Czechosłowację przyjęta, bo ogólnie panuje

30. J. Beck, „Ostatni raport", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987, str. 63 do 65.

31. Historia potwierdziła częściowo poglądy Becka. Czechosłowacja utraciła Ruś Zakarpacką w 1945 r. na rzecz ZSSR, a w chwili obecnej dalszy związek ze Słowacją nie jest pewny. Problem Niemców Sudeckich został rozwiązany w 1945 r. na fali powojennej euforii przez masowe wysiedlenia. Polacy cieszyńscy i Węgrzy także nie są zadowoleni ze sposobu ich traktowania.

przekonanie, że w 1938 r. Czechosłowacja nie chciała o swą niepodległość walczyć, a Beneš chciał tę sprawę załatwić jak dotychczas na drodze dyplomatycznej.

Zajęcie Zaolzia

Czesi przedstawiają zajęcie Zaolzia jako bezprecedensowy akt agresji, przemilczając, jak do tego doszło. Wyjaśnienie takie jest sprawą uczciwości historycznej i pozostaje wyłącznie sprawą Czechów.

Polska zajęła w 1938 r. tereny, które zostały przez Czechów podstępnie zaanektowane w 1919 r., z pogwałceniem zasady etnograficznej, w chwili gdy Polska toczyła równocześnie kilka wojen. Różnica pomiędzy agresją czeską w 1919 r. a zajęciem polskim w 1938 roku polega na tym, że agresja czeska była czynem pierwotnym, a zajęcie przez Polskę czynem wtórnym. Dalsza różnica polega na tym, że w 1919 r. Polska znajdowała się w trakcie walki o niepodległość, a w 1938 r. Czechosłowacja o swą niepodległość walczyć nie chciała, względnie nie walczyła.

Twierdzenie p. Valenty, że sprawa zajęcia Zaolzia została „...bezsprzecznie zgrana z Berlinem..." należy uznać za nieprawdę, dopóki p. Valenta nie przedstawi odpowiednich dokumentów. Dokumentów takich dotychczas nie znaleziono, a nawet nie natrafiono na ich ślad. Gdyby sprawa miała być zgrana z Berlinem, to Polska byłaby obecna w Monachium, lub natrafiono by na protesty, że Niemcy tam Polski wbrew wcześniejszym ustaleniom nie zaprosili. Cała akcja Polski w 1938 r. sprawia wrażenie prowizorium i działania pod wpływem zaskoczenia, a nie realizowania uprzedniej „zmowy". Oczywiście w ostatniej chwili Polska musiała uprzedzić Niemcy, które wykrawały sobie z terytorium Czechosłowacji to, co chciały, w przeciwnym razie mogłoby dojść do starć, jak w przypadku konfliktu o węzeł kolejowy w Boguminie.

Trudno się także dziwić, że Polska — poznawszy w przeszłości metody dyplomatyczne Beneša, które polegały na przewlekaniu rokowań i wymuszaniu rozstrzygnięcia w chwili, kiedy Polska znalazła się w trudnościach — nie zgodziła się na rokowania. 12-godzinne ultimatum postawione przez Polskę można uznać za wspaniałomyślne w porównaniu z 2-godzinnym ultimatum postawionym przez płk. Snejdárka płk. Latinikowi w 1919 r.

W Polsce akt zajęcia Zaolzia był zaakceptowany przez większość narodu jako „akt sprawiedliwości dziejowej". Nawet Paderewski, będący w ostrej opozycji do rządów sanacyjnych, wystosował w związku z tym telegram gratulacyjny do gen. Sławoj-Składkowskiego[32]. Natomiast Z. Kirkor-Kiedroniowa zaję-

32. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op. cit.*, str. 68, przpis nr 171.

ła godniejszą postawę, wychodząc jednak także z założenia, że Zaolzie powinno wrócić do Polski[33].

Polska popierała odrodzenie się Czechosłowacji, o czym świadczyć może mało znany fakt, że 30 kwietnia 1939 r. powstał w Krakowie Legion Czechosłowacki liczący 3000 osób[34]. Komendantem tej jednostki był płk Svoboda (późniejszy komunistyczny prezydent Czechosłowacji). Jednocześnie tak ciężko obwiniany „reżim sanacyjny" umożliwił ucieczkę przez swoje terytorium na Zachód tysiącom Czechów, pragnących walczyć przeciwko Niemcom.

Pobici nigdy nie mają racji. W związku z bezprzykładną klęską Polski w 1939 r. sprawa zajęcia Zaolzia została celowo, zręcznie i jednostronnie rozpropagowana przez Czechów, a także przez Churchilla, który jako Anglik miał podwójnie nieczyste sumienie tak względem Czechosłowacji jak i Polski. W propagandzie tej przedstawiono Polskę jako sojusznika Niemiec w rozbiorze Czechosłowacji, co było oczywistą nieprawdą i której resztki pokutują w różnych źródłach historycznych do dnia dzisiejszego. Jedno jest pewne, zaniechanie akcji zajęcia Zaolzia przez Polaków nie uratowałoby i tak niepodległości Czechosłowacji, a o to tu głównie chodzi.

EPIZOD WOJENNY

Współpraca Beneša z Sikorskim, który był wybitnym przeciwnikiem Piłsudskiego i jego następców w czasie wojny w Londynie, dała okazję do zrzucenia winy na „sanację" i *beckovské Polsko*.

Polska i Czechosłowacja postanowiły rozwiązać swoje problemy poprzez utworzenie nieokreślonej unii. Wspólne oświadczenie rządów emigracyjnych Polski i Czechosłowacji z 11 listopada 1940 r. konsekwentnie pomija zagadnienie, czy wspólny związek państwowy miałby być „federacją", „konfederacją", czy „unią"[35] i posiada wszystkie cechy wyczekującej dyplomacji Beneša. Sielanka trwała do chwili uderzenia Niemiec na ZSSR i przystąpienia ich do koalicji antyhitlerowskiej. Beneš — zorientowawszy się, że Stalin nie życzy sobie żadnej „federacji", że jest nastawiony do Polaków wrogo i że wpływy polskie w Wielkiej

33. Zofia Kirkor-Kiedroniowa, *Op. cit.* str. 500, przypisy. Relacja syna autorki St. Kirkora: „...Matka moja zawsze pragnęła powrotu Zaolzia do Polski, ale nie w takich warunkach, jak to nastąpiło w r. 1938. Gdy wtedy przyszło do naszego domu w Warszawie dwu nieznajomych z butelką wina, by w ręce mojej Matki wypić za powrót Zaolzia, moja Matka wstała od stołu (siedzieliśmy przy kolacji) i ze słowami: 'Będziecie pić to wino beze mnie, dla mnie jest to dzień smutku, nie radości' — wyszła z pokoju".

34. *Ceši a Poláci v minulosti*, t. 2, *Op. cit.*, str. 618.

35. *Ceši a Poláci v minulosti*, t. 2, *Op. cit.*, str. 646.

Brytanii topnieją z dnia na dzień — odwrócił się stopniowo od idei planowanego sojuszu i federacji z Polską, oddając się całkowicie służbie Stalina.

Jest to chyba jedna z najmniej chlubnych kart z czechosłowackiej polityki zagranicznej, niestety pozostaje ona dziedzictwem Czechów, którzy ponownie zdradzili Polskę dla mirażu Rosji. Beneš, dufny w swą dyplomację, wyliczył sobie, że będzie dla ZSSR pierwszym sojusznikiem, tak jak Wielka Brytania była pierwszym sojusznikiem USA, a płacić będzie swą służalczością i donosicielstwem na Polskę, Słowaków i innych swych sąsiadów. W swych rozmowach ze Stalinem sugerował np., jak należałoby odbudować powojenną Polskę (w żadnym przypadku w jej przedwojennym kształcie) oraz dostarczał Stalinowi charakterystyki swoich wczorajszych przyjaciół, polityków polskich. Denuncjacje i złośliwości Beneša pod adresem Polaków szły tak daleko, że aż sam Stalin musiał go hamować[36]. Oczywiście, że sprawy te należą do przeszłości, ale jeśli p. Valenta zamierza dyskutować na temat etyczności postępowania płk. Becka, który na pewno popełnił szereg błędów, to mamy prawo oczekiwać, że to bezprecedensowe donosicielstwo Beneša do Stalina znajdzie odbicie w oficjalnej czeskiej historiografii na tematy polskie.

PODSUMOWANIE

Czesi w swej historiografii, jak zresztą każdy naród, uwzględnili przede wszystkim swoje zasługi i swoje martyrium. Polska przedstawiona jest tam głównie jako eksponent polityki porozumienia z Niemcami i zaborczości wobec ZSSR, jako uczestnik rozbioru Czechosłowacji w 1938 r., oraz jako uczestnik inwazji komunistycznej w 1968 r., a płk Beck jest synonimem wszelkiego zła.

Z polskiego punktu widzenia sprawa ta przedstawia się wręcz odwrotnie. To Czechosłowacja była do 1938 r. wiernym zwolennikiem Niemiec i dwukrotnie odrzuciła polskie oferty różnych form sojuszu (w 1921 i w 1925 r.), zapewniając równocześnie Niemcy o swej względem nich lojalności. Nawet zgodę na tranzyt materiału wojskowego na okres wojny uzyskała Polska po długich rokowaniach i pod specjalnymi warunkami. Jeszcze w 1925 r. Czechosłowacja żywiła zastrzeżenia co do trwałości ówczesnych granic Polski, prezydent Masaryk wyrażał się krytycznie o przymierzu wojskowym polsko-francuskim, a Beneš

36. Vojtěch Mastný, Columbia University, New York, *The Beneš-Stalin-Mołotow Conversation in December 1943: New Documents.* Całość opracowania.

uważał istnienie „korytarza" gdańskiego za absurd[37]. Przeciwko polskiej mniejszości narodowej na Zaolziu Czesi stosowali politykę asymilacji i dyskryminacji narodowościowej do tego stopnia, że nadejście rządów komunistycznych w 1948 r. tamtejsi Polacy powitali z pewnego rodzaju ulgą[38]. Nawet z okazji spotkania z Beckiem w 1934 r. Beneš nie był skłonny do przezwyciężenia wzajemnych sprzeczności w celu uzyskania jakiegokolwiek porozumienia przeciwko Niemcom.

Jeśli p. Valenta zarzuca Polakom egoizm i nieustępliwość, to trzeba powiedzieć, że Polacy mają zdanie wprost przeciwne, a jeśli mówimy o współpracy, to trzeba uwzględnić także pogląd partnera. W historii wzajemnych stosunków, do 1938 r. Czesi byli zawsze stroną silniejszą, jeśli nie militarnie, to dyplomatycznie. W okresie tym Czesi nie ustąpili Polakom ani na krok, nawet w tak błahej sprawie jak Jaworzyna Spiska, chociaż Polacy na taki gest czekali. Przeciwnie, czekali na okazję, kiedy Polska znalazła się w trudnościach, aby wtedy przeprowadzać swoje cele. Negatywne uczucia w stosunku do Czechosłowacji były tak powszechne, że podzielali je w Polsce zarówno piłsudczycy, jak i przeciwnicy reżimu tacy jak Witos i Paderewski. Takie zantagonizowanie sobie najbliższego sąsiada można nazwać ślepotą polityczną. Kiedy nadszedł r. 1938 o żadnym przymierzu nie mogło być mowy, zresztą Czechosłowacja ani wcześniej, ani wtedy przymierza takiego z Polską wcale nie szukała.

PERSPEKTYWY

Oczywiście kiedyś dojdzie do współpracy polsko-czechosłowackiej, ale nie będzie to przyjaźń serdeczna, tak jak to chcieliby widzieć Polacy, ale współpraca dwóch kontrahentów. Czesi mają zupełnie inny charakter narodowy od Polaków. W ich polityce zagranicznej nie ma miejsca na sentymenty, nie zrobią oni nic takiego, co nie leżałoby w ich bezpośrednim interesie i ten fakt Polacy muszą zaakceptować.

W czeskiej polityce zagranicznej, tak jak dawniej, na pierwszym miejscu pozostaną zawsze Niemcy, a na drugim Rosja. Polska przy dużej dozie szczęścia może być najwyżej trzecia i to tylko ze względu na bezpośrednie położenie, w przeciwnym razie byłyby to USA, Wielka Brytania, Francja lub inne kraje. Przedsmak takiego postępowania mogliśmy już zauważyć. Np. pierwsza podróż Havla prowadziła do Niemiec, a nie do Polski, a min. Dienstbier proponował Polakom (1989 r.) aby wspólnie

37. A. Szklarska-Lohmanowa, *Op. cit.*, str. 68, przypis nr 160.
38. Zofia Kirkor-Kiedroniowa, *Op. cit.*, str. 501, przypisy.

wprowadzić ZSSR (w jego ówczesnej formie) do „Europy". W czasie wizyty Havla w Warszawie Polacy przeprosili spontanicznie Czechów za Zaolzie i za 1968 r., a Havel ani nie pomyślał, aby przeprosić Polaków za zdradę i donosicielstwo Beneša z 1943 r. Nie można także nie brać pod uwagę tego, że bezwizowy ruch graniczny z Czechosłowacją Polska osiągnęła dopiero po przyznaniu jej tego przez Niemcy i wszystkie ważniejsze kraje zachodnioeuropejskie. Pokazuje to stopień nieufności Czechów w stosunku do Polaków oraz potencjalne trudności związane z przyszłą współpracą.

Last but not least twierdzenie p. Valenty, że teraz Polacy na Śląsku Cieszyńskim mogą wystawiać w wyborach swoich kandydatów i tylko od nich zależy, czy będą reprezentowani w parlamencie, jest po prostu jedną z dalszych „nieścisłości" *pro domo sua* zawartych w wywiadzie. Jak wiemy z wywiadu z Wł. Niedobą, swoje miejsce w parlamencie zawdzięcza on nie liberalnym prawom narodowościowym w Czechosłowacji, ale uprzejmości Węgrów[39]. Z innych wywiadów wiemy, że na Zaolziu nadal prowadzona jest polityka asymilacji i ograniczenia żywiołu polskiego. Mamy nadzieję, że nie przyjmie to tak drastycznych form jak przed 1938 r.

Spędziłem w Czechosłowacji pięć lat, zyskałem tam wielu dobrych i wiernych przyjaciół. Jest to kraj o wysokiej kulturze, cywilizacji, rozwiniętej technice i infrastrukturze, bogaty w zabytki i piękny turystycznie. Tak jak Józef i Zofia Kiedroniowie, życzyłbym sobie bliższej współpracy pomiędzy Polską a Czechosłowacją, na której obie strony mogłyby wiele skorzystać. Należałoby zacząć już dzisiaj i od małych celów. Jestem ostrożnym optymistą i myślę, że potrzeba jeszcze wiele czasu, aby oba narody zaczęły doceniać nie tylko materialne, ale także i niematerialne korzyści z takiej współpracy. W tym celu trzeba starać się zrozumieć w pierwszym rzędzie swego partnera.

Kazimierz KARNKOWSKI

39. *Orzeł Biały*, Londyn, lipiec/sierpień 1991, str. 73.

W sowieckiej prasie

Wydawałoby się, że pora już przywyknąć do niezwykle szybkich zmian na wschód od Brześcia. Wciąż jednak wydarza się coś zdumiewającego i niewiarygodnego. W ubiegłym miesiącu odnotowałem dwa zdarzenia szczególnej wagi, które niespodziewanie okazały się ze sobą związane. Pierwsze to referendum, wybory prezydenta i ogłoszenie niepodległości Ukrainy. Waga powstania niezawisłej Ukrainy jest oczywista. Walka między Polską i Moskwą o tereny zwane dziś Ukrainą trwała wieki. Historia pokazuje, że w XVIII w., kiedy Polska władała ukraińskimi ziemiami, była ona potężnym mocarstwem. W 1654 r., kiedy w Perejesławiu Bohdan Chmielnicki oddał się wraz ze swoją republiką w wysokie ręce Moskwy, Rosja stała się imperium. Druga ukraińska republika powstała w 1917 r. i przetrwała równie krótko, co pierwsza. 2 grudnia 1991 Leonid Krawczuk obwieścił: „Narodziła się Ukraina". Mógł też powiedzieć — trzecia ukraińska republika.

Nie zdążył jeszcze wyschnąć atrament i farba drukarska pierwszych komentarzy, jak drugie wydarzenie kazało inaczej spojrzeć na pierwsze. 8 grudnia prezydenci Rosji i Ukrainy oraz przewodniczący Rady Najwyższej Białorusi ogłosili koniec ZSSR i zjednoczenie trzech wyżej wymienionych republik w federację niezależnych państw. Najbardziej chyba zdziwili się Francuzi, którzy 8 grudnia oglądali między siódmą a ósmą wieczór telewizyjny wywiad Gorbaczowa. Zdarzało mu się już udzielać Francuzom wywiadów — odbywały się zawsze w paradnych salach Kremla. Tym razem rozmowa toczyła się w małym biurowym pokoju. Nie przeszkodziło to prezydentowi ZSSR dumnie odpowiedzieć na pytania dziennikarzy: Centrum — to ja!

Kilka godzin później Michaił Gorbaczow dowiedział się, że Borys Jelcyn, Leonid Krawczuk i Stanisław Szuszkiewicz podpisali komunikat, że państwo, którego był prezydentem, przestało istnieć. Po puczu sierpniowym dokonał się pucz grudniowy. Trzej słowiańscy wodzowie nie mieli żadnego prawa do rozwiązywania Związku Sowieckiego. W komunikacie twierdzą, że mieli prawo, bo Rosja, Ukraina i Białoruś założyły Związek Sowiecki, podpisując w lutym 1922 stosowną umowę. Jest to prawda, ale do założycieli należała też Federacja Zakaukaska, tzn. wówczas Gruzja, Armenia i Azerbejdżan. Gdyby więc wystarczała decyzja założycieli, należało zaprosić republiki kaukaskie. Problem praworządności jest ważny, bo wszyscy działacze *pierestrojki* bezustannie powtarzają, że ich celem jest „praworządne państwo".

Za grudniowym puczem (podobnie jak za sierpniowym) kryje się wiele zagadek. Pierwsza dotyczy Ukrainy. Ponieważ trudno sobie wyobrazić, że spotkanie w lesie pod Brześciem odbyło się przypadkiem, łatwo dojść do wniosku, że pertraktacje trwały od dawna, najprawdopodobniej od chwili kiedy Krawczuk został prezydentem Ukrainy. To znaczy, że potajemnie umówił się z Jelcynem i Szuszkiewiczem, nie zawiadamiając o tym swoich wyborców. Mój przyjaciel Alain Besançon, gorący zwolennik niezawisłości Ukrainy, zatelefonował do mnie po komunikacie o stworzeniu federacji trzech i powiedział: „Niezależność Ukrainy trwała 24 godziny". Po czym dodał: „Krawczuk został Bohdanem Chmielnickim". Być może jest to sąd pochopny. Postępowanie prezydenta Ukrainy upoważnia do wątpliwości.

Jaki był cel grudniowego puczu? O ile można sądzić po gorących jeszcze śladach, głównym celem było usunięcie Gorbaczowa z areny politycznej. Jego obecność na Kremlu przeszkadza dziś światu poważnie traktować przywódców młodych niezależnych republik. Polityka zagraniczna (o ile taka jeszcze istnieje) znajduje się w rękach prezydenta ZSSR, świat uważa go za gwaranta bezpieczeństwa nuklearnego, człowieka, który zapobiegnie użyciu przeciwko ludzkości 27 tysięcy głowic nuklearnych. We wspomnianym wyżej wywiadzie w telewizji francuskiej Gorbaczow podkreślał: to ja trzymam palce na guziku atomowym! Dziś już tylko broń masowego rażenia pozwala sowieckiemu przywódcy liczyć na uwagę Zachodu. Odsunięcie Gorbaczowa robi z przywódców-założycieli federacji trzech nuklearnych potentatów.

Dowodem, że pucz był wymierzony przeciwko Gorbaczowowi jest fakt, że podstawowe klauzule umowy trzech są powtórzeniem klauzul umowy związkowej, o której podpisanie tak walczył Gorbaczow. Narodziny „wspólnoty słowiańskiej" są podarunkiem dla ludności republik, której niczego innego dziś zaofiarować nie można. Nowy, słowiański związek ma oznaczać początek normalizacji, uspokojenia nastrojów, porządku. Zgoda trzech przywódców na założenie stolicy wspólnoty w Mińsku oznacza z jednej strony zerwanie Moskwy z sowiecką przeszłością, a z drugiej strony równość trzech bratnich republik. W ten sposób Gorbaczow znowu przestaje być potrzebny — tym razem jako pośrednik między silną Rosją a słabymi republikami.

Słowiański charakter federacji nie jest oczywiście bez znaczenia. W ten sposób staje się ciałem wyłożona w „Oświadczeniu" Aleksandra Sołżenicyna idea rozwiązania imperium i zjednoczenia narodów słowiańskich. Kijów, Moskwa, Mińsk — ogniska dawnej państwowości słowiańskiej — stają się ośrodkami odrodzenia nowego państwa. Sowiecki rozdział historii został zamknięty — zaczyna się nowy, na czystej, białej karcie.

Należy oddać sprawiedliwość Gorbaczowowi, że pozostał sobie wierny. Dowiedziawszy się o puczu, postanowił swoim zwyczajem przeczekać, niczego nie robić. Nie wystąpił nawet osobiście w telewizji: jego odpowiedź na komunikat o utworzeniu wspólnoty i likwidacji Związku Sowieckiego odczytał lektor. Michaił Gorbaczow przyznał, że deklaracja mińska zawiera też elementy pozytywne, ale pod-

kreślił, że sygnatariusze nie mają prawa do rozwiązywania Związku Sowieckiego. Z prawniczego punktu widzenia ma rację, jednak zadowolić się powołaniem na prawo, którego nikt nie przestrzega, zakrawa na śmieszność. Ale prezydentowi byłego ZSSR nic innego nie pozostaje. Zgodził się na likwidację partii, więcej, sam wezwał KPZS, aby się rozwiązała. Utracił ostatnie molekuły władzy nad armią i KGB (których jest obecnie trzy), kiedy prezes Banku Narodowego oświadczył 29 listopada, że nie zostaną wypłacone pensje urzędników, tzn. także wojskowych i milicjantów. Na odsiecz pospieszyła Rosja. 5 grudnia Rada Najwyższa Federacji Rosyjskiej postanowiła wyasygnować 43,5 mld rubli na pensje urzędników byłego ZSSR. Od tego dnia prezydent ZSSR Gorbaczow otrzymuje wypłatę z kasy prezydenta Jelcyna. Co ważniejsze, z kasy Jelcyna opłacani są też oficerowie, generałowi i żołnierze sił zbrojnych.

Armia jest dziś decydującą siłą. Od postępowania generałów zależy sukces albo porażka akcji przywódców republik słowiańskich. Powstała niezwykła sytuacja: armia szuka państwa. Co z tego może wyniknąć, widać na przykładzie Jugosławii: armia federalna chce mieć federację! Przeciwników wyciąć ogniem i mieczem. W ostatnich miesiącach — po krótkiej euforii, jaka nastąpiła po wydarzeniach sierpniowych — w Moskwie oczekiwano puczu. Wydawał się jedynym wyjściem z katastrofy ekonomicznej, pogłębionej polityczną bezsiłą. Do puczu potrzebny jest jednak przynajmniej inicjator, organizator. Krótko mówiąc — Bonaparte. Poszukiwania sowieckiego Bonaparte'a nie ustają. Ostatnim kandydatem jest Aleksander Ruckoj, generał lotnictwa, bohater wojny w Afganistanie, wiceprezydent Rosji. Bohaterską przeszłość wojskową ma nie tylko on, za to kwalifikacje polityczne ma, zdaje się, on jeden. Deputowany ludowy generał Ruckoj po rozbiciu komunistycznej większości stworzył w Radzie Najwyższej frakcję „komunistów demokratów". W ten sposób pomógł Borysowi Jelcynowi zostać przewodniczącym Rady Najwyższej, co było stopniem na drodze do prezydentury. Jelcyn wynagrodził go za to stanowiskiem wiceprezydenta. Kiedy komuniści wyszli z mody, frakcja Ruckiego nazwała się „Nową Rosją". Podczas sierpniowego puczu wiceprezydent Rosji był bardzo czynny u boku Jelcyna. Potem ich stosunki ochłodły. Wiadomo, że Ruckoj był zwolennikiem zdławienia buntu Czeczeńców: z jego inicjatywy w Groźnym ogłoszono stan wyjątkowy, zniesiony następnie przez Jelcyna.

W dniu, w którym piszę niniejszy przegląd, wystąpienia wojska są dopiero spodziewane, a wystąpienie przywódców słowiańskich już miało miejsce. W komunikacie poświęcili armii kilka słów, które brzmią wyjątkowo mętnie. Oświadczyli mianowicie, że należy zachować wspólną przestrzeń „wojenno-strategiczną", co być może oznacza kolektywne kierownictwo sił zbrojnych ZSSR. Jak to kierownictwo ma działać w praktyce — nie wiadomo. Nawiasem mówiąc nie powiedziano niczego o politycznej strukturze wspólnoty. Czy będzie miała prezydenta wybieranego w głosowaniu powszechnym, czy też — jak w Jugosławii — zmieniającego się co rok, czy jeszcze coś innego?

Rady Najwyższe Ukrainy i Białorusi natychmiast ratyfikowały umowę o wspólnocie, rosyjska ma to zrobić 12 grudnia. W toku pierwszych kilku dni zainteresowanie nową, rodzącą się strukturą wyraziły Armenia i Kirgizja. Nie zajął jeszcze stanowiska prezydent Kazachstanu, obrażony o to, że jego, człowieka który ma na swoim terenie rakiety nuklearne, nie zaproszono do brzeskiego lasu. Można jednak przepowiedzieć, że i Ałma-Ata, i inne środkowoazjatyckie republiki przyłączą się do wspólnoty: w pierwszych słowach deklaracji wspólnoty powiedziano, że jest ona otwarta dla wszystkich chętnych.

Pertraktacje, które z ministrem obrony, marszałkiem lotnictwa Szaposznikowem, prowadzili najpierw Gorbaczow, a potem Jelcyn, są skończone: armia zgodziła się poprzeć „oś słowiańską". Prezydent Rosji obiecał zatroszczyć się o poprawę materialnej sytuacji żołnierzy i oficerów. Piszą o tym gazety. Obiecał (razem z Krawczukiem i Szuszkiewiczem) zachować jedność armii, nie rozbijać jej na republikańskie. O tym także się mówi. Należy sądzić, że generałów uspokoiły — niewypowiedziane głośno — zapewnienia, że zachowane zostanie jądro byłego państwa sowieckiego. Po podpisaniu umowy mińskiej Leonid Krawczuk zgodził się na pozostanie w Związku, który od 8 grudnia nazywa się wspólnotą niezawisłych państw.

W cytowanym już dwukrotnie wywiadzie telewizyjnym Michaił Gorbaczow dumnie zapewnił, że nie przyłoży ręki do rozpadu Związku Sowieckiego. Świadomie albo przypadkiem powtórzył słynne słowa Churchilla: zostałem premierem Wielkiej Brytanii nie po to, aby dowodzić rozpadem imperium brytyjskiego. Imperium brytyjskie zniknęło. Znika i sowieckie, niezależnie od woli Gorbaczowa. Jego słowa raz jeszcze dowiodły, jak słabo orientuje się w sytuacji człowiek, który powinien by mieć pełną informację. Zresztą Gorbaczow odkąd został generalnym sekretarzem KC KPZS aż po dziś dzień nie miał pojęcia o tym, co właściwie robi i do czego jego działania prowadzą.

W przeddzień spotkania w lesie brzeskim mer Moskwy Gawriił Popow w odpowiedzi na pytania o przewrót wojskowy, którego spodziewają się i obawiają wszyscy mieszkańcy stolicy, powiedział: „Główne niebezpieczeństwo, które nas czeka, to nie tyle pucz, ile bunt nędzarzy, lumpów, których zechcą wykorzystać inne siły". Gawriił Popow wie co mówi: jako ekonomista stara się rozwiązać problem zaopatrzenia w żywność stolicy byłego związku, budując kapitalizm w jednym mieście. W rezultacie sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Dylemat, przed którym stoją Popow i Jelcyn, znany jest wszystkim przywódcom byłych krajów komunistycznych: potrzebne są reformy, ale każda — nim poprawi sytuację — znacznie ją pogarsza. W byłym ZSSR dylemat ten rysuje się wyjątkowo ostro. Najpierw Gorbaczow, a teraz Jelcyn rozwiązują go ostrożnie,

odwlekając, odkładając decyzje na później. W poprzednim przeglądzie pisałem o programie radykalnej reformy ekonomicznej, który ogłosił Jelcyn. Zwróciłem uwagę, że prezydent Rosji powiedział „a", ale nie decyduje się na powiedzenie „b": waha się, przeczekuje. Zwolnienie cen zapowiedziano na 16 grudnia. W przeddzień powiadomiono, że odkłada się je do 2 stycznia.

Na razie w Moskwie i innych miastach wszechwładnie panuje dolar. Rubel z dnia na dzień traci wartość. Coraz więcej widać sklepów, restauracji z wywieszką: „tylko za twardą walutę". Obywatele, którzy nie posiadają zielonych banknotów, czytają to jak „psom i Rosjanom wstęp wzbroniony".

Nowe państwo rodzi się mękach. Na razie widać pewne znajome rysy. Być może dlatego, że są znajome, a nieznajome pojawią się później. Przysięgę Leonida Krawczuka można uznać za symbol. Prezydent niezawisłej Ukrainy przysięgał na dwie książki: konstytucję Ukraińskiej SSR i Biblię. Jest to — jeśli można się tak wyrazić — idealny zestaw dla nacjonał-komunisty. Symboliczna była też niedawna wypowiedź ministra spraw zagranicznych Rosji, Kozyriewa. Na pytanie, co stanie się z Gorbaczowem po rozwiązaniu ZSSR, dyplomata i szef polityki zagranicznej Rosji odpowiedział z żołnierską prostotą: zakażony nie jest, znajdziemy mu robotę. Jak tu nie wspomnieć francuskiego powiedzenia: im bardziej się wszystko zmienia, tym bardziej pozostaje po staremu...

12.12.1991

Adam KRUCZEK

Kronika litewska, białoruska i ukraińska

12 października rząd Litwy postanowił, „że byli pracownicy i informatorzy KGB ZSSR nie będą mogli przez okres lat pięciu piastować urzędów ministerialnych Republiki Litewskiej, stanowisk dyrektorów departamentów i innych państwowych służb i inspekcji, jak również stanowisk kierowniczych w podstawowych jednostkach struktury ministerialnej (departamentach) oraz w zarządach miejskich i rejonowych (stanowisko kierownika i zastępcy). Byli pracownicy i informatorzy (agenci) KGB ZSSR pełniący obowiązki wymienione w tym punkcie, muszą ustąpić z zajmowanych stanowisk do dnia 1 stycznia 1992 roku". Rząd postanowił także „zwrócić uwagę osób współpracujących ze strukturami KGB ZSSR, że taka

działalność będzie oceniana jak przestępstwo państwowe i osoby te będą pociągane do odpowiedzialności karnej zgodnie z ustalonym porządkiem prawnym". Wszyscy współpracownicy KGB powinni się zgłosić do organów bezpieczeństwa i wówczas będą amnestionowani. W przeciwnym wypadku nie tylko utracą swe stanowiska, ale ich nazwiska zostaną także podane do wiadomości publicznej. Choć archiwa centralne w Wilnie są w sporej części zdekompletowane, na prowincji co najmniej część archiwów KGB wraz z pełnymi wykazami tajnych współpracowników została zabezpieczona przez władze litewskie i komisję sejmową zajmującą się badaniem działalności KGB. ■ Na początku grudnia parlament zaczął omawiać projekt poprawek do ustawy o statusie posła; miałyby one pozwolić na usunięcie z Rady Najwyższej deputowanych współpracowników KGB. ■ Sajudis zaproponował projekt małej konstytucji i ustawy wprowadzającej urząd prezydenta republiki na miejsce dotychczasowego przewodniczącego Rady Najwyższej. W wypadku gdyby parlament nie przyjął ustaw o prezydenturze i niezwłocznym wyborze prezydenta, Sajudis zapowiedział zorganizowanie referendum w tej sprawie. Projekty przewidują, że prezydent za zgodą parlamentu mianuje premiera, a na jego wniosek ministrów, może też odrzucić lub zawiesić decyzje lub rozporządzenia rządu, akty prawne wydawane przez ministerstwa i inne instytucje kierownicze oraz decyzje i rozporządzenia rad samorządowych. Przyjęcie projektu pozbawiłoby wpływów w RN większościowej grupy dawnych komunistów, występujących obecnie w przebraniu labourzystów, bezpartyjnych, centrystów i liberałów. ■ Pod koniec listopada *Respublika* i *Mażoji Lietuva*, pisma związane z komunistami i KGB, opublikowały dokumenty świadczące o tym, iż Vergilijus Czepaitis, przyjaciel i współpracownik przewodniczącego RN V. Landsbergisa, jeden z założycieli Sajudisu i przywódca Partii Niepodległości, był od wielu lat tajnym współpracownikiem KGB. Czepaitis, pseudonim Juozas, pisał m. in. donosy na swego przyjaciela Tomasa Venclovę. Czepaitis zajmował nieprzejednane stanowisko w konflikcie litewsko-polskim i był jedną z osób po stronie litewskiej odpowiedzialnych za zaostrzenie się stosunków litewsko-polskich. ■ 10 grudnia komunistyczna opozycja zażądała ustąpienia m. in. prezydenta Landsbergisa, wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych Z. Vaiszvili oraz szefa Ochrony Parlamentu Skuczasa, oskarżając ich, iż wspólnie z V. Czepaitisem przygotowali w styczniu 1991 roku w celach prowokacyjnych masakrę pod wieżą telewizyjną. ■ 7 listopada przyjęto ustawę o nacjonalizacji mienia byłych organizacji komunistycznych. Zgodnie z nią rząd zaproponował, by *Tiesę* wykupił jej kolektyw lub aktualny wydawca, Demokratyczna Partia Pracy (kontynuatorka kompartii), wpłacając połowę nominalnej ceny akcji na fundusz poparcia prasy niezależnej oraz podzielił akcje *Valsticzu laikraszczio* głównie między organizacje chłopskie. 2 grudnia 5 byłych pism komunistycznych (*Lietuvos rytas, Tiesa, Vakarines naujienos, Valsticzu laikrasztis, Mażoji Lietuva)* oraz *Respublika*

(dziennik ten powstał jako organ Sajudisu, ale został zawłaszczony przez prywatną spółkę swego redaktora V. Tomkusa) rozpoczęły strajk, żądając m. in. pozostawienia dzienników ich aktualnym wydawcom i zniesienia dla prasy 25% podatku od wartości dodanej, który wprowadzono 1 grudnia. ■ W grudniu 1991 roku przewidywano uruchomienie bezpośredniego połączenia autobusowego między Wilnem i Warszawą. ■ Nadal parlament nie wyznaczył daty nowych wyborów samorządowych w rejonie Wileńskim i Solecznikach. Według administratora rejonu Wileńskiego Merkysa, wybory mają się odbyć po dekolektywizacji. Prawo do uzyskania ziemi — rodzinnej lub z nadziału — będą mieli tylko obywatele litewscy. Aby uzyskać obywatelstwo należało podpisać deklarację następującej treści: „Przyjmując zaświadczenie stwierdzające, że jestem obywatelem Republiki Litewskiej, zobowiązuję się przestrzegać Konstytucji Republiki Litewskiej, szanować niepodległość mego państwa i jego integralność terytorialną". Rada miejska Wilna zwróciła się do parlamentu z prośbą o powiększenie granic miejskich Wilna o 11 gmin zamieszkałych przez Polaków, co uniemożliwiłoby rolnikom odzyskanie gospodarstw rolnych na tym terenie, gdyż w granicach miejskich można posiadać tylko działkę budowlaną. Po demonstracjach polskich rolników parlament postanowił nie zajmować się tym projektem. Powiększenie Wilna rozbiłoby obszar polski. Strona litewska nadal obiecuje połączenie tych terenów w jeden okręg administracyjny w ramach nowego podziału kraju, ale odmawia nadania mu autonomii narodowej. Nacjonalistyczne i antypolskie towarzystwo „Vilnija", korzystające z subwencji państwowych, prowadzi akcję przeciw „ludobójstwu kulturalnemu i narodowemu", którego — jej zdaniem — dokonują Polacy na Litwinach.

●

W oświadczeniu z 9 listopada 1991 roku Białoruski Front Narodowy „Adradżennie" stwierdza: „deklaracja niepodległości pozostała na papierze. Republika nie posiada własnej polityki państwowej, nie wprowadza się własnej waluty — jedynego środka obrony przed falą pustych rubli napływającą z obszaru byłego ZSSR, granice nie są chronione i nie tworzy się sił zbrojnych. Dawna zależność od imperium sowieckiego przekształca się na naszych oczach w zależność od Rosji, gdzie rośnie niestabilność polityczna i ekonomiczna... Przewodniczący Sowietu S. Szuszkiewicz odmawia podjęcia kroków nawet celem obrony suwerenności Republiki i ochrony jej rynku żywnościowego. Przewodniczący Sowietu poprzez swoją bierność dostarcza alibi rządowi. Szuszkiewicz dezorientuje ludzi, rozważając sytuację rzekomo bez wyjścia dla Białorusi, która musi przystąpić do związku gospodarczego i politycznego, stanowiącego przecież jedynie formę odnowionego imperium. Ratunkiem politycznym dla Białorusi jest natomiast całkowita niepodległość i zawarcie dwustronnych układów z dawnymi partnerami ZSSR". ■ Front

żąda natychmiastowej dymisji rządu Kebicza, przyjęcia nowej ordynacji wyborczej, pozwalającej na wielopartyjne wybory i samorozwiązanie się Rady Najwyższej. W przeciwnym wypadku, korzystając z ustawy o referendum, która nabiera mocy z dniem 1 stycznia 1992 roku, Front zorganizuje referendum na temat nowej ordynacji wyborczej, dymisji rządu, nowych wyborów i nacjonalizacji majątku partii komunistycznej. Działacze Frontu spodziewają się, że będą potrafili skierować narastające niezadowolenie społeczne, wywołane pogarszającą się sytuacją gospodarczą, przeciwko obcemu promoskiewskiemu kierownictwu Republiki i doprowadzą do nowych wyborów, dzięki którym zyskają znaczną reprezentację w parlamencie (obecnie Front ma 22 posłów na prawie 400 wybranych). ■ W dniach 12-13 października miała miejsce w Mińsku konferencja założycielska Związku Wojskowych Białoruskich. 120 delegatów reprezentowało grupy białoruskie w Armii Sowieckiej z terenu całego ZSSR. Celem Związku jest doprowadzenie, przy użyciu środków konstytucyjnych do utworzenia Białoruskich Sił Zbrojnych oraz obrona demokracji i suwerenności państwowej Białorusi. Przewodniczącym Związku wybrano ppłk. Mikałaja Statkiewicza. Organizacje polityczne i społeczne mogą również być członkiem kolektywnym ZWB. ■ Rada Najwyższa republiki zniosła podporządkowanie KGB rządowi i uzależniła KGB od samej siebie. Ma to być pierwszy krok na drodze do zreformowania służby bezpieczeństwa. 29 października w Mińsku byłe republiki sowieckie, w tym Białoruś, podpisały porozumienie o współpracy w dziedzinie wywiadu i kontrwywiadu. ■ Rada Najwyższa przyjęła w pierwszym czytaniu projekt nowej konstytucji, która wprowadza na Białorusi ustrój prezydencki, czemu sprzeciwia się „Adradżennie". ■ I. Pyrch, przewodniczący komisji Rady Najwyższej badającej działalność osób zajmujących wysokie stanowiska państwowe podczas puczu, oskarżył przewodniczącego RN o utrudnianie prac komisji. ■ 16 listopada Szuszkiewicz zaproponował, by zezwolić na działalność partii komunistycznej (po puczu KPB została zawieszona) w zamian za jej majątek. Komuniści zgodzili się oddać 90% mienia partii, ale odpowiedniej ustawy Rada Najwyższa nie mogła uchwalić z powodu braku quorum. ■ Według sekretarza Frontu, Wiktora Iwaszkiewicza, po puczu do „Adradżennia" wstąpiło wielu oficerów, natomiast inteligencja nadal pozostaje bierna. W samym Froncie silniejszy jest nurt narodowy, poprzednio zaś dominował nurt antykomunistyczny. ■ Toczą się przygotowania do odrodzenia Białoruskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej. Założycielem Komitetu Inicjatywnego jest przewodniczący Narodowo-Demokratycznej Partii Białorusi A. Astapenka. Jednocześnie rozwija się ruch unicki, ale w Mińsku wspólnotę greckokatolicką władze zarejestrowały dopiero 14 listopada 1991 roku. Dotychczas nie posiada ona swego kościoła; taka sama sytuacja jest jeszcze w ponad 10 miastach i miasteczkach Białorusi. Białoruscy grekokatolicy podporządkowali się ukraińskiej metropolii z obawy przed polonizacyjnym wpływem kleru polskiego.

W dalekosiężnych planach rozważana jest unia Białoruskiej Cerkwi Greckokatolickiej z Autokefaliczną. W kościołach rzymskokatolickich Białorusi powoli wprowadzany jest język białoruski.

●

1 grudnia prezydentem Ukrainy wybrano większością 61% głosów Leonida Krawczuka, byłego sekretarza d/s ideologii KPU. Wiaczesław Czornowił, kandydat Ruchu i przewodniczący Sowietu obłasti lwowskiej uzyskał 23% głosów, zaś Ławko Łukjanenko, przewodniczący Ukraińskiej Partii Republikańskiej — 4,52. W jednoczesnym referendum wzięło udział 83,7% wyborców, z których za niepodległością Ukrainy opowiedziało się 90,85%. Od 95% do 98% głosów za niepodległością oddano w obłastiach: Kijowskiej, Chmielnickiej, Wołyńskiej, Czerkaskiej, Lwowskiej, Stanisławowskiej i Ternopilskiej. Najmniej w Autonomicznej Republice Krymu — 56% (28,5% Ukraińców), w obłasti Ługańskiej — 72,6% (51,9% Ukraińców) i w Donieckiej — 80% (50,7% Ukraińców). ■ 2 grudnia Polska jako pierwsza uznała nowe państwo. Komunistyczna niepodległość Ukrainy trwała tydzień, gdyż 9 grudnia L. Krawczuk, który zdaniem opozycji ukraińskiej, będzie „umacniać niepodległość państwową Ukrainy", podpisał z Jelcynem i Szuszkiewiczem umowę o powołaniu Wspólnoty Słowiańskiej. Przewiduje się, że wkrótce przystąpią do niej wszystkie byłe republiki sowieckie, może z wyjątkiem państw bałtyckich. Premier Ukrainy i najbliższy współpracownik Krawczuka, Witold Fokin, porównał rolę nowej umowy do tej, którą spełnił układ z 1922 roku. ■ Od 1 stycznia 1992 roku rozliczenia Ukrainy z zachodnimi partnerami będą prowadzone przez bank w Kijowie. Roczna wartość eksportu ukraińskiego oceniana jest na 7-8 mld dolarów, którą to sumę dotychczas odsyłano do Moskwy. W 1992 roku wprowadzone zostaną na Ukrainie kupony wielokrotnego użytku, które początkowo będzie się dodawało do zapłaty w rublach. Ukraińska hrywna zostanie wprowadzona nie wcześniej niż w 1993 roku i będzie oparta na rublu. ■ Zgodnie z ustawą o obywatelstwie wszyscy mieszkańcy Ukrainy zostali jej obywatelami z dniem 10 października. Wojskowi przebywający na terenie Ukrainy, jeśli przyjmą obywatelstwo ukraińskie będą mogli służyć w armii ukraińskiej. Wojskowi, którzy nie przyjmą obywatelstwa mają być zwolnieni i odesłani do swych republik. Trwa proces przechodzenia oddziałów Armii Sowieckiej pod jurysdykcję ukraińską. Jako pierwsze podporządkowano sobie wojska ochrony pogranicza. Naczelnym dowódcą Armii Ukraińskiej jest prezydent L. Krawczuk, który dysponuje także Gwardią Republikańską powstałą z dawnych wojsk MSW; mają one teraz zostać uzupełnione ochotnikami podpisującymi 3-letnie kontrakty. W ten sposób nie dopuszczono do utworzenia całkowicie ochotniczej Gwardii Narodowej, której obawiała się Moskwa. Zgodnie z koncepcją wojskową przyjętą przez Radę Najwyższą, na terytorium Ukrainy będą stacjonowane jednostki kolektywnej obrony strategicznej, dysponujące bronią nuklearną i podporządkowane prezydentowi nowego związku politycznego. Związek Oficerów Ukrainy domaga się jedynie, by żołnierze jednostek obrony strategicznej byli rekrutowani wyłącznie spośród obywateli Ukrainy, ale nie neguje zasady ich podporządkowania. ZOU domaga się też jak najszybszego odesłania z garnizonów (np. w Sumach) wojskowych, którzy nie są obywatelami Ukrainy. ■ Republikańskie KGB rozformowano a jego Wydział V lub Z, zajmujący się sprawami politycznymi, zlikwidowano. Specjalna komisja RN, złożona w połowie z posłów opozycji, prowadziła rozmowy kwalifikacyjne w poszczególnych obłastiach z funkcjonariuszami KGB na temat ich przydatności do pracy w nowopowstałej Narodowej Służbie Bezpieczeństwa Ukrainy — SNBU. Obwodowe SNBU formowane jest więc na bazie obwodowych zarządów KGB.

Józef DARSKI

SESJA KU CZCI MYCHAJŁY HRUSZEWSKIEGO

W dniach 23-25 października 1991 roku odbyła się w Warszawie międzynarodowa konferencja naukowa „Mychajło Hruszewski — postać, spuścizna naukowa, związki z Polską", zorganizowana przez Polskie Towarzystwo Ukrainoznawcze i Katedrę Filologii Ukraińskiej Uniwersytetu Warszawskiego.

Zagaił obrady prezes Polskiej Akademii Nauk prof. Aleksander Gieysztor, podkreślając wagę tego rodzaju spotkań nie tylko dla celów poznawczych, lecz również jako drogę do przezwyciężenia szkodliwych stereotypów myślenia o sprawach ukraińskich.

Zostały wygłoszone następujące referaty:

Władysław Serczyk — „Mychajło Hruszewski: postać i dzieło".

Petro Kononenko (Kijów)) — „Mychajło Hruszewski jako historyk literatury ukraińskiej".

Stefan Kozak — „Hruszewskiego koncepcja intelektualnych przesłanek Nowej Ukrainy".

Mirosława Papierzyńska-Turek — „Prawosławie i Unia w filozofii dziejów Ukrainy Mychajły Hruszewskiego".

Jerzy Okulicz-Kozaryn — „Mychajły Hruszewskiego wizja najstarszych dziejów Ukrainy".

Stefan Zabrowarny — „Ekonomiczne poglądy Hruszewskiego".

Rostysław Radyszewski (Kijów) — „Hruszewski jako organizator życia literacko-naukowego".
Bazyli Nazaruk — „Mychajło Hruszewski i Chełmszczyzna".

Mychajło Hruszewski był najwybitniejszym historykiem ukraińskim, wielkim mężem stanu, animatorem życia naukowego i kulturalnego. Urodził się w 1866 r. w Chełmie, ukończył uniwersytet w Kijowie, tam też rozpoczął pracę jako historyk, a od 1894 został profesorem zwyczajnym i kierownikiem Katedry Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Lwowskim. Jest on autorem fundamentalnych prac historycznych: „Historia Ukrainy-Rusi" (w 10 tomach, 1898-1936), „Zarys historii narodu ukraińskiego" (Spb., 1904), „Historia literatury ukraińskiej" (w 5-ciu tomach, Kijów-Lwów, 1923-27), a ponadto szeregu wydań źródłowych, a także monografii o rozwoju religijnej i społeczno-politycznej myśli na Ukrainie oraz o ruchu reformacyjnym a nadto odrodzeniowym. Dorobek naukowy Hruszewskiego to ponad dwa tysiące prac.

●

25 października 1991 odbyły się uroczystości w Chełmie. W cerkwi Ioana Bohosłowa nabożeństwo żałobne — panachyda — odprawione przez biskupa prawosławnego diecezji chełmskiej i lubelskiej. Biskup Abel wygłosił homilię o życiu i twórczości Hruszewskiego. Biskup poświęcił również tablicę pamiątkową na domu, w którym się on urodził. Na tablicy, ufundowanej przez Ministerstwo Kultury, umieszczono w obu językach napis: „W tym domu 17.IX.1866 r. urodził się najwybitniejszy ukraiński historyk i pierwszy prezydent Ukraińskiej Republiki Mychajło Hruszewski".

Tatiana HOŁYŃSKA

Jesień w Niemczech

„Od dziesięciu lat uważam na to, żeby nie siedzieć samotnie w przedziale pociągu, aby po godzinie 23 nie korzystać z przejścia podziemnego, żeby robić duży łuk wokół knajp i nie jechać tramwajem tuż po zakończeniu meczu piłkarskiego", napisał żyjący w Niemczech na terenie byłej NRD ciemnoskóry Sudańczyk. Cóż, może to tylko subiektywne poczucie zagrożenia. Indywidualne doświadczenia jednostki nie uprawniają do żadnej tezy ogólnej. I można by Sudańczyka posądzić o przesadę, gdyby podobnej rady na zachowanie zdrowia i życia mieszkającym w Dreźnie 2.500 cudzoziemcom nie udzieliła odpowiedzialna z urzędu za obcokrajowców w tym mieście Marita Schieferdecker-Adolph. Jak inaczej ocenić jej apel z kwietnia br., w którym zaleciła mieszkającym tam obcokrajowcom, „żeby w nocy pozostawali w domu, do tramwajów wsiadali tylko przodem przy kierowcy, a po mieście przemieszczali się możliwie grupowo"? Przy tym wartość jej rady poddana została w tym czasie sprawdzianowi, kiedy osiemdziesięciu młodych neofaszystów przepędzało ulicami centrum miasta grupę rumuńskich azylantów, obrzucając ich kamieniami i wyzwiskami na oczach mieszkańców i policji. A co powiedzieć, kiedy władze miasta Hoyerswerda kapitulują przed brutalnością młodych nacjonalistów i nakazują policji jedynie osłaniać wywożonych z miasta dla ich bezpieczeństwa cudzoziemców. Cała ta scena odbywa się przy aplauzie niemieckich mieszkańców miasta, w akompaniamencie haseł faszystowskich, brzęku tłuczonych szyb w hotelu robotniczym i wywożących bezbronnych cudzoziemców autobusów.

Skojarzenia przychodzą do głowy, jakby czarno-biały film zaczął się nagle cofać; równocześnie rozsądek i świadomość szerszych ram sytuacji zaprzeczają tej mimowolnej manipulacji obrazów, relatywizując jej wymiar. To przecież nie sytuacja Anny Frank, nie pogrom z *Reichskristallnacht*, nie zamiana żółtej gwiazdy Dawida na kolor skóry i włosów. Przy tak mocno obciążonej przeszłością tematyce wskazany jest umiar w porównaniach. Stąd też słowa jednego z popularniejszych moderatorów niemieckich programów telewizyjnych, Stefana Austa, który zjawiska te określił mianem „zwyczajnego faszyzmu", należy uznać raczej za przestrogę, niż za trafną ocenę rzeczywistości. Lecz z drugiej strony, czy kilkanaście już ofiar śmiertelnych, czy dziesiątki pobitych i ciężko rannych w wyniku kilkuset napadów na cudzoziemców i ich kwatery, jakie miały miejsce w ciągu ostatniego roku w zjednoczonych Niemczech, nie wydają się wystarczająco uzasadniać strachu ciemnoskórego Afrykańczyka? Czy brutalne wyrzucanie cudzoziemców z dyskotek, kawiarń, lub też z okien domów i jadących tramwajów to tylko skutek trudnego okresu dojrzewania młodych Niemców do poczucia duchowej jedności narodu? „Niemcy dla Niemców", „Cudzoziemcy precz", „Polaken raus", „Sieg Heil", „Juden raus", to tylko kilka przykładów nowych haseł na powojennej scenie politycznej Niemiec. Ten ruch próbowano początkowo ignorować i zbagatelizować, ale aktualnie tak się rozwinął, że zapanowanie nad nim możliwe jest już tylko przy użyciu radykalnych działań i środków.

Jeszcze kilka miesięcy temu duża część polityków niemieckich zaprzeczała istnieniu rasizmu i neofaszyzmu w Niemczech. Prasa codzienna donosiła o wybrykach antycudzoziemskich przeważnie w rubrykach drobnych wydarzeń lokalnych i kronikach policyjnych. Jedynie wykroczenia i przestępstwa ze strony obcokrajowców, w tym również Polaków, sąsiadowały niekiedy z ważniejszymi doniesieniami agencji prasowych i komentarzami redakcyjnymi. Równocześnie co niektórzy prawicowi i skrajnie prawicowi politycy niemieccy publicznie bili na alarm przed zagrożeniem dla czystości rasy niemieckiej przez mieszkających tu cudzoziemców. Po raz pierwszy od roku 45 padły słowa o „wyrasowionym społeczeństwie", a do dyskusji na temat „społeczeństwa wielokulturowego" dorzucili własną wizję „społeczeństwa wielokryminalnego". Stąd też falę krytyki ze strony większości polityków niemieckich wywołaną w roku 1989 wejściem do parlamentu Berlina Zachodniego przedstawicieli skrajnie prawicowych „republikanów" należało uznać raczej za ćwiczenia obowiązkowe polityków w demokracji parlamentarnej, niż za wyraz prawdziwego zaskoczenia i wstrząsu.

Wspólną cechą sytuacji politycznej w podzielonych Niemczech pod koniec lat osiemdziesiątych był, jakkolwiek z różnych powodów, wzrost napięcia społecznego. W Republice Federalnej niepowstrzymany napływ setek tysięcy przesiedleńców z Polski, Rumunii i imperium sowieckiego oraz uciekinierów i przesiedleńców z NRD wywołał poczucie zagrożenia osiągnięć socjalnych i gwarancji miejsc pracy. Ustawiczne doniesienia o kolejnych falach przybyszów szły w parze z pogłębiającym się deficytem wolnych mieszkań, wzrastającymi czynszami oraz stagnacją na rynku zatrudnienia. Równocześnie za punkt docelowy Republikę Federalną obrały też setki tysięcy uchodźców z krajów Europy Wschodniej, Azji i Afryki. Tak ogromna fala przybyszów nadwerężyła budżety i możliwości kwaterunkowe władz komunalnych i wywołała krytykę polityki imigracyjnej rządu RFN. Nie pozostało to bez wpływu na kulturę życia politycznego Republiki. Wkrótce też do standardowych argumentów w kampaniach wyborczych i dyskusjach doszły odrzucane dotychczas hasła populistyczne. Kierowały się one w dużej mierze przeciwko imigrantom, przy czym partie lewicowe krytykowały politykę tolerowania i protegowania imigracji osób pochodzenia niemieckiego, podczas kiedy partie prawicowe bezlitośnie piętnowały zbyt liberalne, ich zdaniem, przepisy azylowe. Dla podkreślenia swych racji obydwa obozy rysowały przerażające obrazy sytuacji i najbliższej przyszłości. W ogromnych masach społeczeństwa wywołało to niechęć do wszystkich grup przybyszów, niezależnie od ich statusu czy kraju pochodzenia. Głównym wzorcem identyfikacji i akceptacji wśród dużej części społeczeństwa zachodnioniemieckiego stał się fakt bycia Niemcem, w miarę możności o wyglądzie europejskim, a przy tym obywatelem RFN, nie NRD.

Zgoła odmienna sytuacja panowała w Niemczech komunistycznych. Ogromna większość żyjącego w swych niszach zabezpieczonego bytu drobnomieszczan „społeczeństwa państwowego" NRD nie poddawała się wpływom przemian politycznych w krajach ościennych. W zamian za posłuszeństwo oczekiwano na dalsze akty łaski ze strony reżimu komunistycznego, w tym głównie wolność podróży do RFN i na Zachód. Równocześnie lata osiemdziesiąte stanowiły okres kształtowania się tam specyficznego poczucia tożsamości narodowej. Permanentne odżegnywanie się od wspólnoty państwowej przez reżim SED traciło wymowę w obliczu coraz mocniejszych związków gospodarczych i politycznych z RFN i coraz bardziej szło w parze z konstatacją i akcentowaniem wspólnych korzeni kulturowych i narodowych. Równocześnie wyższa stopa życiowa niż w pozostałych państwach bloku — możliwa przede wszystkim dzięki olbrzymim dotacjom z RFN — wywołała w NRD poczucie wyższości w stosunku do innych narodów i kompensowała frustrację z powodu braku swobód demokratycznych. Fakty te komuniści niemieccy z powodzeniem wykorzystali m.in. przy krytyce przemian politycznych w Polsce lat 80-81. Po raz pierwszy od czasów nazistowskich sięgnęli wtedy w swej oficjalnej propagandzie do arsenału starych haseł antypolskich. I tak np. winę za stan gospodarki polskiej i trudności w zaopatrzeniu położyli na karb rzekomych polskich cech narodowych, jak notoryczne lenistwo i nieumiejętność gospodarowania, a w tonie artykułów propagandowych przebijała nuta o niższości Polaków jako narodu. Hasła te trafiły na podatny grunt w społeczeństwie NRD, które po raz pierwszy od czasów wojny mogło oficjalnie wyrazić się negatywnie o swych „socjalistycznych braciach" zza Odry i Nysy.

Zmiany polityczne w Niemczech komunistycznych znalazły finał w faktycznym przyłączeniu NRD do Republiki Federalnej. Już wkrótce po pierwszej fali euforii i radości społeczeństwa w obu częściach Niemiec zaczęła przybierać na sile fala wzajemnych oskarżeń i antypatii. Przyczyną niechęci po stronie zachodnioniemieckiej były związane ze zjednoczeniem koszty, którymi obarczono podatników, oraz rosnąca inflacja i wizja dalszych poświęceń finansowych na rzecz rodaków zza wschodniej strony Łaby. Z kolei rosnące niezadowolenie mieszkańców byłej NRD wywołane było koniecznością pogodzenia się na najbliższe lata z ogromną różnicą poziomów życia w obu częściach Niemiec.

Miary goryczy i zawodu z niespełnienia się oczekiwań finansowych dopełniał fakt utraty pracy przez około 10% zatrudnionych oraz konieczność rezygnacji z istotnych niekiedy przywilejów socjalnych, jak. np. bezpłatnych niemal przedszkoli czy symbolicznych tylko czynszów. W tej nowo powstałej hierarchii społecznej Niemcy z terenów byłej NRD czuli się obywatelami drugiej, a nawet trzeciej klasy, nawet w stosunku do żyjących i pracujących w RFN od lat cudzoziemców. Zawód mieszał się z poczuciem niższości i spowodował erupcję wrogości pod adresem żyjących od kilkunastu lat na terenie byłej NRD robotników cudzoziemskich oraz obywateli polskich.

Już wkrótce okazało się, iż wśród wszystkich istniejących różnic i animozji jedną z pierwszych wspólnych tendencji i płaszczyzn wzajemnego zrozumienia dla części Niemców stanowiły nastroje antycudzoziemskie. Lansowanym głównie przez istniejące już w całych Niemczech ugrupowania i organizacje nacjonalistyczne i neofaszystowskie hasłom „Niemcy dla Niemców", „Cudzoziemcy precz" przyszły w sukurs napady na obcokrajowców, przypadki mordów, ciężkich pobić czy też regularnych nagonek, szczególnie na ciemnoskórych. We wrześniu i październiku zanotowano ponad 500 tego rodzaju przestępstw, które jak fala rozlały się po terenie całych Niemiec. Zaalarmowani biegiem wydarzeń politycy, organizacje i ludzie kultury zaczęli sobie wreszcie zdawać sprawę z rozmiaru tego zjawiska i apelować do społeczeństwa niemieckiego o przeciwdziałanie tym aktom oraz aktywne okazywanie solidarności mieszkającym w Niemczech cudzoziemcom. W czerwcu br. kanclerz Niemiec, Kohl, po raz pierwszy w tak dobitny sposób upomniał społeczeństwo, żeby „nie zamykać oczu przed niebezpieczeństwem odradzania się w niektórych miejscach starych demonów — nacjonalizmu, wrogości w stosunku do obcokrajowców i antysemityzmu". Kohl wyraził przy tym zadowolenie, iż przedstawiciele tego kierunku politycznego nie znajdują oparcia wśród ludności. Dane przedstawione przez policję i ekspertów zaprzeczają jednak słowom kanclerza.

W roku 1986 badania przeprowadzone wśród młodzieży lat 16 przez uniwersytet w Bielefeld (Niemcy Zachodnie) wykazały, iż 15% ankietowanych reprezentowało orientację skrajnie prawicową. Szczególne poparcie znalazło hasło „Niemcy dla Niemców", które poparło 43% respondentów. Natomiast według danych opublikowanych we wrześniu br. przez instytut badania opinii publicznej „Emnid", „zrozumienie dla ugrupowań i działaczy organizacji skrajnie prawicowych" ma co trzeci obywatel zjednoczonych Niemiec. Wyniki te oddają rzeczywisty stan nastrojów i świadczą o zwrocie części społeczeństwa w stronę haseł skrajnie prawicowych i antycudzoziemskich. To ma być panaceum na panujące trudności. Aktualnie największy liczbowo zorganizowany potencjał stosujących przemoc neofaszystów występuje na terenie byłych Niemiec wschodnich. Już w roku 1989 oceniano, iż liczba zorganizowanych tam w grupy neonazistów wynosiła kilka tysięcy, nie licząc wielokrotnie większej liczby sympatyków. Aktualne szacunkowe dane policji niemieckiej oceniają tamtejszy potencjał skrajnej prawicy na od 10.000 do 15.000 osób. Liczbę ich sympatyków tylko wśród tamtejszej młodzieży ocenia się na 50.000. „Nastrój w Niemczech Wschodnich jest dziś podobny do czasu kryzysu gospodarczego w roku 1929, kiedy hitlerowska NSDAP i SA spotkały się z nagłym masowym poparciem w Niemczech", powiedział jeden z opozycjonistów byłej NRD, Walter Jens.

Przedstawione powyżej liczby nie zawierałyby może tak istotnego przesłania, gdyby nie zmiany jakościowe sytuacji. Za publiczne pozdrowienie hitlerowskie (*Hitlergruß*), *Sieg Heil*, jeszcze nie dawniej niż dwa lata temu w Niemczech zachodnich groziła i była egzekwowana surowa kara pieniężna, a niekiedy nawet więzienie. Odnosiło się to również do śpiewania lub nucenia pieśni hitlerowskich, czy propagowania literatury narodowo-socjalistycznej. Nie mniejsze sankcje groziły nominalnie również w NRD, gdzie według wersji oficjalnej nie występował problem faszyzmu i neofaszyzmu. Dziś prasa niemiecka w spokojnym, rzeczowym tonie donosi niekiedy o spotkaniach czy marszach organizowanych przez setki neofaszystów, z zadowoleniem rejestrując fakt ich pokojowego charakteru. Obrazuje to cytat z *Berliner Zeitung*: „Zorganizowana z okazji czwartej rocznicy śmierci zastępcy Hitlera, Rudolfa Hessa, demonstracja w Bayreuth dobiegła do końca bez spodziewanych starć między siłami skrajnie prawicowymi i lewicowymi. Według oświadczenia policji udało się zapobiec spotkaniu demonstrantów spektrum prawicowego i lewicowego" (19.08.91). Ponad rok temu, w październiku 1990, doszło w Dreźnie do zezwolonej przez władze miasta demonstracji 500 neonazistów, którzy pod eskortą policji przemaszerowali ulicami miasta z flagami, emblematami i insygniami, za których propagowanie groziły wcześniej wspomniane sankcje prawne. „Demonstracja (...) była przepisowo zameldowana i zezwolona" — wyjaśniła przedstawicielka zarządu miasta oburzonym obywatelom, dziennikarzom i politykom. W roku 1990 doszło do 33 tego rodzaju spotkań i przemarszów z udziałem do 500 uczestników, przypadających na każdy tego rodzaju *meeting* polityczny.

Dezorganizacja i zbyt mała liczba policji na terenie nowych

Landów wyjaśniają częściowo rozzuchwalenie neofaszystów. Ich pewność siebie i przeświadczenie o bezkarności znajdują też wyraz w fakcie wynajmowania dużych sal kinowych czy lokali gastronomicznych i klubów na spotkania organizacyjne, wieczory przy piwie, wiece czy rocznice. O dużej bezradności organów wykonawczych świadczy równocześnie fakt, iż np. w 102-ą rocznicę urodzin Adolfa Hitlera za główne zadanie prewencyjne obrano ochoczo ochronę ośrodków komunalnych i prywatnych zamieszkałych bądź odwiedzanych przez cudzoziemców. Jakościową zmianę sytuacji dostrzec można najwyraźniej w liczbie powstających organizacji neonazistowskich, powołujących się bezpośrednio na tradycje SS czy NSDAP. To już nie grupki wykorzenionej socjalnie i zdezorientowanej duchowo młodzieży, lecz organizacje świadomych swych celów i czynów ludzi w młodym i średnim wieku. Analizy przynależności wykazują, iż ponad połowę spośród nich na terenie byłej NRD stanowią robotnicy wykwalifikowani, podobnie jak w Landach zachodnich, oraz byli członkowie FDJ, policji i armii oraz potomkowie byłych funkcjonariuszy wschodnioniemieckiego reżimu SED.

Wgląd w charakter współczesnych ugrupowań i organizacji neofaszystowskich w Niemczech daje choćby pobieżna tylko lektura ich nazw i programów. I tak np. założona przez nieżyjącego od roku neofaszystę zachodnioniemieckiego, Michaela Kühnena, organizacja „Niemiecka Alternatywa" (*Deutsche Alternative*, DA) za swe motto przyjęła slogan: „Nadchodzi Czwarta Rzesza". Posiada ona obecnie ośrodki w miastach Rostock, Schwerin, Cottbus i Drezno. Jej charakter i cele najlepiej określił sam Kühnen, który powiedział: „Za wszelką oficjalną działalnością publiczną stać ma twarda jak stal, posiadająca umocniony światopogląd grupa kadrowa". Konkuruje z nią prowadzona przez Friedhelma Busse, lat 60, organizacja o nazwie „Wolnościowa Niemiecka Partia Robotnicza" (*Freiheitliche Deutsche Arbeiterpartei*, FAP). Obydwie te organizacje zwerbowały już liczne rzesze nowych zwolenników na terenie nowych krajów związkowych RFN. Oprócz nich występują tam rodzime organizacje neofaszystowskie, jak np. „Partia Towarzyszy Walki" (*Kameradschaft*) z Drezna-Goerlitz, która liczy 300 aktywnych członków, „Front Nacjonalistyczny" (*Nationalistische Front*, NA) czy też mała organizacja o nazwie *SS-Division Walter Krüger*. Liczba zadeklarowanych członków tych organizacji sięga kilku tysięcy, przy czym niektóre liczą kilkaset, inne kilkadziesiąt czy kilkanaście osób, jak np. wymieniona na ostatnim miejscu grupa. W wyniku procesu sądowego wobec jej członków na kary od dziesięciu do 22 miesięcy więzienia skazano kilkunastu z nich za „utworzenie wrogiej państwu organizacji oraz rozpowszechnianie i gloryfikowanie faszyzmu, rewanżyzmu i militaryzmu". Istnieją też organizacje, których idee osadzone są w pragermańskich kultach pogańskich, jak np. „*Heil Odin*" czy też „Grupa Bojowa Priem" (*Kampfgruppe Priem*) z Berlina. Odin był germańskim bogiem śmierci i wojen, a nawiązujące do tego faktu hasło ugrupowania brzmi odpowiednio: „Świat ten opanuje żelazo i panować chcemy nad światem".

Obok wymienionych ugrupowań neofaszystowskich swą działalność z obszaru Niemiec Zachodnich na teren byłej NRD rozwinęły skrajnie prawicowe partie polityczne, posiadające reprezentantów w parlamentach krajowych, jak „Republikanie" (*Die Republikaner*, „Reps") pod przywództwem Franza Schoenhubera, czy też „Niemiecka Unia Ludowa (*Deutsche Volksunion*, DVU). Ta ostatnia działa pod przywództwem wydawcy monachijskiego Gerharda Freya i liczy 26.000 członków. Czyni ją to najliczniejszą partią skrajnej prawicy w Niemczech. Mniejszą rolę odgrywa obecnie „Narodowo-Demokratyczna Partia Niemiec" (*National Demokratische Partei Deutschlands*, NPD), której część członków przeszła do wymienionych powyżej partii konkurencyjnych. Swoistą ciekawostką historyczną jest fakt, że NPD nawiązała już kontakty i uzyskała wielu zwolenników wśród działającej oficjalnie w NRD „Narodowo-Demokratycznej Partii Niemiec" (NDPD), którą założono tam w roku 1948 w celu przyciągnięcia i zaangażowania w budowę Niemiec komunistycznych byłych członków NSDAP.

W dniu 5.11.91 roku kanclerz RFN, Kohl, oświadczył ponownie, iż napady na cudzoziemców w RFN „są hańbą dla Niemiec". Podkreślił też raz jeszcze, iż mimo tych wszystkich faktów nie uważa rozwoju sił skrajnie prawicowych za zagrożenie dla państwa. Spoglądając na całokształt sytuacji, można przyznać mu rację — w skali globalnej. Dla osób narażonych osobiście na utratę zdrowia i życia, jak to ma miejsce w przypadku cudzoziemców, jego słowa pozostają pustymi hasłami dopóty, dopóki nie zostanie zlikwidowane realne zagrożenie w postaci ugrupowań neofaszystowskich. Ich zwiększający się stale potencjał stanowi bowiem wyraz tendencji, która może nagle zyskać na sile np. w przypadku destabilizacji gospodarczej czy pogorszenia się nastrojów społecznych. Coraz częstsze wybieranie przedstawicieli ugrupowań skrajnie prawicowych do parlamentów krajów związkowych świadczy o przekroczeniu istniejącego do niedawna „progu wstydu" wśród części wyborców.

Andrzej STACH

PRENUMERATA „KULTURY" W POLSCE

Tak jak pisaliśmy, mamy nadzieję, że w r. 1992 *Kultura* będzie ukazywała się w Polsce regularnie.

Od 1 stycznia 1992 r. krajowe wydanie *Kultury* można zamawiać w prenumeracie w Wydawnictwie PoMOST.

Cena prenumeraty na rok 1992 wynosi obecnie w Polsce 100.000 zł (wraz z przesyłką). Wydanie krajowe może być sprzedawane wyłącznie w Polsce.

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Wydawnictwo PoMOST, spółka z o.o.
PBK III, Oddział w Warszawie, nr 370015-973548-136
z zaznaczeniem: prenumerata *Kultury*.

Sprzedaż hurtową prowadzą:

Dom Księgarski Stowarzyszenia Wolnego Słowa, Al. Ujazdowskie 13, Warszawa, tel. (0 2) 628 23 82;

Alfabet-O, ul. Żurawia 45, 00-680 Warszawa, tel. (0 22) 29 99 29;

BOOKSERVICE, ul. Wierzbięcice 31, 61-559 Poznań, tel. (0 61) 79 19 39.

Bieżące numery można będzie również kupić w stoisku firmowym Instytutu Literackiego w księgarni Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim, ul. Marszałkowska 74, 00-524 Warszawa, tel. 21 70 75.

O religii bez namaszczenia

Bez euforii

Synod europejski biskupów

Kiedy Jan Paweł II zapowiedział w kwietniu 1990 r. w Velehradzie zwołanie specjalnej sesji Synodu biskupów, poświęconej Europie, Związek Sowiecki stanowił jeszcze jednolity blok, aczkolwiek ostatnie imperium kolonialne na świecie przestało już istnieć. Panowało wówczas jeśli nie przeświadczenie, to w każdym razie nadzieja, że załamanie się sowieckiego systemu totalitarnego umożliwi wspólną z prawosławnymi akcję na rzecz nowej ewangelizacji w celu wypełnienia powstałej ideowej próżni. Okazało się, że były to oczekiwania wygórowane i aspiracje przedwczesne. Przeważyły jednak realistyczne rachuby, pozwalające na wstępne przygotowanie strategii nastawionej na potrzeby Kościołów w wyzwolonych krajach Europy środkowo-wschodniej, wymagających przywrócenia wartości chrześcijańskich w życiu społecznym i jednocześnie skierowanej na uodpornienie Kościołów zachodnich przeciwko zakażeniu indyferentyzmem i pewnym znużeniem religijnym. Bezstronnego obserwatora, nie tylko zaangażowanego katolika (którego nieraz podejrzewa się o stronniczy subiektywizm) musiała uderzyć w przebiegu obrad synodalnych atmosfera pozbawiona wszelkiego triumfalizmu, a nacechowana świadomością, że nie tylko wschodnia, ale i zachodnia część naszego kontynentu „jest zraniona, zdezorientowana i wstrząsana kryzysami etnicznymi, politycznymi i ekonomicznymi". Ta diagnoza papieska była już wyrażona w czasie ostatniej pielgrzymki do Polski, kiedy papież konstatował potrzebę uczenia się współżycia ze współczesnym zjawiskiem sekularyzacji społeczeństw oraz stwierdzał, że „trzeba uwzględnić krytykę i przyjmować to, co może być w niej słuszne". Jest rzeczą znamienną, że w synodalnej deklaracji końcowej koncepcja nowej ewangelizacji, a więc uzdrowienia całej Europy, odbiega wyraźnie od tzw.

„restauracji" średniowiecznej Europy chrześcijańskiej. Kładzie natomiast nacisk na odkrywanie i dowartościowanie korzeni kultury chrześcijańskiej. Inaczej mówiąc, obecna koncepcja, dostosowana do potrzeb współczesnych, nie oznacza bynajmniej automatycznej zbieżności pomiędzy Europą i chrześcijaństwem.

Synod nie stanowił jakiegoś uświęconego obchodu zwycięstwa Kościoła nad złym (czytaj: ideokratycznym), ateistycznym państwem. Biskupi uznają bez żadnej euforii, że wyzwolenie europejskiego Wschodu (do czego przyczynił się opór Kościoła i wiernych) stanowiło rezultat splotu wielorakich czynników o charakterze kulturowym, ekonomicznym i politycznym. Przeważa dziś sąd, że totalitarny komunizm zawierał od samego zarania zalążki autodestrukcji, a Kościół i „ludy pielgrzymujące do wolności" przyspieszyły ten w gruncie rzeczy samobójczy proceder.

Nieobecni nie mają racji?

Niewątpliwą sensację wywołał nie tyle brak przedstawiciela rosyjskiego patriarchatu prawosławnego wśród „delegatów bratnich Kościołów chrześcijańskich", ile wystąpienie w jego imieniu (i nieobecnych, solidaryzujących się prawosławnych Cerkwi: rumuńskiej, bułgarskiej i greckiej) metropolity Spirydona, wysłannika patriarchy ekumenicznego Konstantynopola. Nb. również patriarcha Serbii odmówił wysłania swego przedstawiciela jako protest przeciwko trosce okazywanej przez Watykan o los katolików chorwackich. Sama w sobie kłopotliwa nieobecność delegata rosyjskiej Cerkwi, wiadoma jednak już wcześniej, nie wywołała takiego wrażenia jak fakt, że nawet patriarcha Konstantynopola, uważany przecież za *primus inter pares*, zaprzyjaźniony z Rzymem tak jak i jego poprzednicy i notoryczny antagonista Moskwy, wydelegował drugorzędnego przedstawiciela (Spirydon, rezydujący w Wenecji, pełni funkcje arcypasterza dla kilkunastu tysięcy prawosławnych we Włoszech) w celu wygłoszenia mowy oskarżycielskiej. Odmowa przyjęcia zaproszenia papieskiego przez patriarchę Aleksieja II i wystąpienie Spirydona oparte były na dwóch zasadniczych zarzutach: prozelityzmu katolickiego na obszarach europejskiej i azjatyckiej Rosji (m.in. mianowanie trzech biskupów na terenach uważanych za domenę prawosławia) i „podsycania rewanżyzmu" ukraińskich grekokatolików. Trzeba przypomnieć, że na poprzedzającym Synod sympozjum europejskim w Santiago de Campostella w Hiszpanii, na zarzuty metropolity Juvenalija, przedstawiciela patriarchatu rosyjskiego, biskup Duprey, sekretarz papieskiej Rady dla Jedności Chrześcijan, przyznał, że ze strony Kościoła „też popełnione były błędy". Co miał na myśli? Prawdopodobnie fakt, że utworzenie

trzech administracji apostolskich (nie diecezji) i nominacje odnośnych biskupów, administratorów apostolskich w Moskwie dla części europejskiej Republiki Rosyjskiej oraz w Karagandzie i Nowosybirsku nastąpiły bez konsultacji z patriarchatem rosyjskim. Wprawdzie Stolica Apostolska nie jest bynajmniej zobowiązana do takiej konsultacji — przecież tenże patriarchat też nie uzgadnia z odnośnymi Kościołami nominacji dokonywanych w krajach o większości katolickiej — argument formalny, choć nie do podważenia, w sytuacjach delikatnych i wyjątkowych nie zawsze bywa całkowicie przekonywający. Nominacje biskupów w Rosji nastąpiły po przeszło 60-ciu latach przerwy w trybie takim, jakby chodziło o normalne warunki i normalne państwo, kiedy wystarczy poinformowanie władz państwowych. W tej zaś materii mamy do czynienia nie tylko z wrażliwością prawosławnych, ale przede wszystkim z ich poczuciem słabości i pochodzących stąd trudności odbudowy autorytetu. Świeża jest pamięć podporządkowania Cerkwi sowieckiej władzy państwowej. Architekt watykańskiej polityki otwarcia na Wschód, kardynał Casaroli, były nieodżałowany Sekretarz Stanu, zwykł był mawiać (i zgodnie z tą maksymą — działać), że w analogicznych warunkach nie należy wykorzystywać słabości przeciwnika i trzeba brać pod uwagę jego wrażliwość i kompleksy. Jeśli nawet błędy, takie czy inne, były przez dyplomację watykańską faktycznie popełnione, nie dotyczą one istoty sporu, z czego zresztą sam Aleksy II zdaje sobie zapewne sprawę, skoro nie zatrzasnął drzwi do dialogu. Arcybiskup Kondrusiewicz zapowiedział, że 23 lub 24 grudnia spotka się wreszcie z patriarchą, który do tej pory pod rozmaitymi pretekstami unikał tego spotkania. Kondrusiewicz, który dał się poznać w czasie swojej misji na Białorusi jako zwornik zespalający wraz z polską trzy tradycje kulturowe[1], uważa, iż razem z Cerkwią prawosławną trzeba uczyć ludzi używania odzyskanej wolności w oparciu o zasady religijne i wartości moralne. Niełatwo zapewno przyjdzie mu przekonać hierarchów prawosławnych, że rzekoma „inwazja"[2], czyli misja Kościoła katolickiego (odnosząca się nb. głównie do wiernych pochodzenia polskiego, niemieckiego i litewskiego) nie musi bynajmniej podważać racji istnienia rosyjskiego patriarchatu. Zamiast widzieć w tym Kościele groźnego konkurenta, czyż nie da się przekształcić go we wspólnika na rzecz pracy nad wypełnieniem duchowej pustki, zwłaszcza u młodych pokoleń? Bez twórczej utopii, o czym świadczy również treść niektórych wystą-

1. „Szlachetność białoruską, dyscyplinę litewską i otwarcie rosyjskie wobec bliźnich", jak się sam wyraził (*30 Giorni* 1989 r, Nr 11, po konsekracji biskupiej 20.XI.89 r.).

2. Rzecz znamienna, nie mają pretensji do faktycznego prozelityzmu uprawianego przez baptystów i różne sekty.

pień na Synodzie, nie ma mowy o prawdziwym postępie. „Nowa ewangelizacja" na rozległych obszarach Rosji zależy w dużej mierze od rozważnego zachowania kapłanów. Ich rola rozstrzyga nieraz o powodzeniu nie tylko samej misji duszpasterskiej, ale i o dalekowzrocznej pracy wychowawczej i kulturalnej. Na pewno nie do takich światłych kapłanów jak obecny arcypasterz rezydujący w Moskwie — mowa o arcybiskupie Kondrusiewiczu — skierowany jest zarzut, jaki ostatnio kilkakrotnie tu usłyszałem pod adresem niektórych polskich duchownych. Formułowany przez kapłanów ukraińskch i litewskich, brzmi on: niepotrzebnie zaznaczają swoją przewagę kulturową, przybierają ton wyższości, nie potrafią nieraz wyjść naprzeciw spotykanym trudnościom. Jest chyba jakieś jądro racji w tej krytyce. Konieczna jest zarówno rozwaga, jak i więcej pokory chrześcijańskiej.

Kilka słów o drugiej pretensji prawosławnych, tzn. o udzielanie przez Watykan poparcia ukraińskim katolikom obrządku bizantyjskiego w „zabieraniu" kościelnych nieruchomości. Napięcia, które powstały wokół zwrotu kościołów, przejętych przez prawosławnych w roku 1946, być może znikną wraz z niepodległością Ukrainy. Dotyczą one zresztą terenów dawnej Galicji wschodniej, gdzie prawosławie było bardzo słabe i podlegało dotąd rosyjskiemu patriarchatowi, a nie silnej na terenie wschodniej Ukrainy autokefalicznej Cerkwi. Na oskarżenia prawosławnych biskup Dmyterko z Iwano-Frankiwska (Stanisławowa) replikował w sposób wyważony: nie szukamy odwetu, dążymy do przywrócenia prawdy i sprawiedliwości. A biskup Martyniak z Przemyśla, ordynariusz dla ukraińskich grekokatolików zamieszkałych w Polsce, podobnie jak kardynał Lubaczivsky, zdobył się nie tylko na przebaczenie popełnionych przez nich win, lecz i wezwanie, by zamiast lękać się o „łowienie wiernych", podjęli wspólne zadanie misyjne w krajach postkomunistycznych. Kardynał Todea, głowa rumuńskiego Kościoła obrządku wschodniego, stwierdził bez ogródek: „nie można kontynuować dialogu z Kościołem, który pogardza drugim Kościołem". I oświadczył, że od roku 1989 trwa „trzecia faza prześladowań... jesteśmy zmuszeni celebrować nabożeństwa na otwartej przestrzeni i w domach", rząd bowiem i prawosławni nie chcą zwrócić kościołów zabranych w roku 1948. Oficjalnej odpowiedzi nieobecnym na Synodzie prawosławnym udzielił kardynał Sodano, Sekretarz Stanu. Nie macie wprawdzie racji — do tego sprowadzała się ta replika — bo działamy w dobrej wierze i czynimy jedynie zadość potrzebie naprawienia wyrządzonych krzywd. Jesteśmy jednak wciąż gotowi do wspólnego z Wami korzystania z odnalezionej wolności. Jedyny cel jaki nam przyświeca to nie żaden prozelityzm, lecz działalność pasterska zgodnie z obowiązkiem papieża zapewnienia opieki duchowej nad wspólnotami pozbawionymi jej od kilkudziesięciu lat. Z tej wypowiedzi, niezwykle wyważonej i pełnej umiaru, jak również z innych sygnałów pod adresem prawosławnych, wynika jasno, że papieżowi zależy bardzo na możliwie jak najszybszym naprawieniu „rozdarcia", jak dziennik watykański *L'Osservatore Romano* określił konflikt z patriarchatem rosyjskim. Także z drugiej strony widać dążenie do zlikwidowania impasu w stosunkach z Watykanem. Zaistniały zgrzyt należy interpretować raczej jako *accident de parcours*, wypadek na wyboistej drodze dialogu ekumenicznego i poprawy wzajemnych stosunków, które niespodziewanie wkroczyły do samej stolicy dawnego imperium.

Wielka szansa, nie wolno jej zmarnować!

„Abyśmy byli świadkami Chrystusa, który nas wyzwolił" — tak brzmiało motto specjalnej sesji Synodu. A na zakończenie jej papież podkreślił, że liczne „niepokoje, zagrożenia i napięcia w Europie, która aspiruje do jedności, pchają w przeciwnym kierunku niż ten, jakiego pragnął Chrystus". Papież miał na myśli wojnę bratobójczą w Jugosławii i rozmaite odradzające się nacjonalizmy oraz konflikty etniczne i religijne. Świadectwo przekazane przez przedstawicieli Kościołów wyzwolonych Litwy, Ukrainy, Rumunii, Węgier, Czech, Słowacji, nie odwoływało się jedynie do doznanych krzywd i prześladowań, do wyłożenia listy potrzeb materialnych. Z wielką godnością ci „świadkowie" wypełnili jedno z naczelnych zadań Synodu: „wymianę darów", tzn. doświadczeń. Arcybiskup praski Vlk zwrócił uwagę zachodnim kolegom, że nie wystarczą wspaniale nieraz działające struktury, jeśli nie są przeniknięte duchem Bożym, entuzjazmem i wiarą również w człowieka nieraz zgubionego, któremu trzeba przyjść z pomocą. Jak należy walczyć dziś ze złą spuścizną pozostawioną przez komunizm w dziedzinie moralnej i kulturalnej? Przykładem konkretnej i dobrze pomyślanej pomocy jest radiostacja „Błagoviest" w Moskwie, nadająca programy religijne. Jak ujawnił na Synodzie jej organizator, O. Werenfried van Straaten, legendarny już założyciel *Kirche im Not* (Kościół w Potrzebie), radiostacja ta odegrała znaczną rolę w czasie zamachu stanu 19 sierpnia br. Organizacja kierowana przez ojca Werenfrieda (siedziba centralna w Koenigstein w Niemczech) zasłynęła w ciągu minionych lat z ogromnej pomocy w postaci remontów kościołów i klasztorów, podręczników i literatury, stypendiów itp. na rzecz krajów „za żelazną kurtyną". I nadal działa, choć w innych warunkach, uznając swoją misję za niezakończoną. Ta wspaniała inicjatywa stanowi wciąż za mało doceniany przejaw tego, co może zdziałać wybitny, energiczny człowiek, by

przeznaczyć środki finansowe na prawidłowo określone cele.

„Jest już czas, by przyjąć nowe postawy, nie powtarzać błędów przeszłości. Musimy przezwyciężyć bariery nienawiści, otwierając serca na nowość jaką przyniósł Chrystus". Te słowa papieża zaczerpnięte z wypowiedzi na kanonizacji Rafała Kalinowskiego, przyświecały jako motto braterskiemu spotkaniu katolików litewskich, ukraińskich i polskich. Odbyło się ono na „neutralnym terenie" w rzymskim „Centro Russia Ecumenica" nieopodal Watykanu z okazji sesji synodalnej. Jezuita O. Hieronim Fokciński, kierownik Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych, zauważył, że pomiędzy życiem kościelnym na Białorusi, Ukrainie czy w Polsce nietrudno dostrzec istotne dość różnice. Konieczność ich uwzględniania nie oznacza jednak, iż muszą one utrudniać porozumienie. „Nie ma bowiem prostych rozwiązań dla skomplikowanych spraw — powiedział — tyle jeszcze wciąż dyskusji nabrzmiałych emocjami, a przemilczanie niewygodnych faktów uznaje się niekiedy za mniej groźne od psucia atmosfery mówieniem przykrych prawd". I przestrzegał przed „amatorskimi" próbami wypracowywania nowych postaw („proces ich przenikania jest bardzo powolny"), które mogą więcej zaszkodzić niż pomóc. Trudno faktycznie mówić o teraźniejszości i zamiarach na przyszłość odrywając się od przeszłości. Tego zdania byli uczestnicy spotkania, jak rektor Papieskiego Kolegium Ukraińskiego, O. S. Mudryj. Wiadomo mu, że powracający ze Lwowa ziomkowie z ubolewaniem nieraz stwierdzają: „wolą tam teraz nawet Rosjan od Polaków". I zgodził się, że trzeba szybko zabrać się do roboty, do podjęcia pracy nad przezwyciężeniem wzajemnych resentymentów i antagonizmów, nad kształtowaniem rozumnej przyszłości. Wystąpił nawet z propozycją, by episkopat polski zwołał naradę przedstawicieli wszystkich episkopatów krajów uwolnionych z ucisku totalitarnego w celu ustalenia wspólnych zadań, zwłaszcza na tych obszarach, gdzie czeka nas wyzwanie ze strony rosyjskiego prawosławia. Zarówno biskup Martyniak, jak i biskup Michelevicius z Kowna poparli tę propozycję, odnosząc się z wielkim szacunkiem dla roli pomostu, jaką spełnia Kościół polski. Nowy rozdział w życiu naszych pobratymczych narodów wymaga nie tyle odrzucenia wszystkiego co dzieliło nas, ale i obalenia w nas samych murów niekomunikatywności. Trzeba jednak najpierw oczyścić atmosferę i zlikwidować węzłowe punkty napięć. Biskup Martyniak nie ukrywał żalu, że po wiosennej nieszczęsnej aferze w Przemyślu, mimo petycji ks. Prymasa, władze wojewódzkie uchylają się od zwrotu siedziby biskupiej i budynku seminarium. Ta „nowa nomenklatura", jego zdaniem, „bywa nieraz gorsza od poprzedniej". Analogicznie poniekąd wygląda sytuacja we Lwowie, gdzie miejscowe władze odnoszą się dziś gorzej do polskiej mniejszości

(ok. stu tysięcy na obszarze całej b. Galicji wschodniej) aniżeli pierwotna nomenklatura — zauważył dominikanin O.A. Hauke-Ligowski. Ta niechęć, a nawet czasem wręcz wrogość, pozbawiona jest wszelkich podstaw rzeczowych, a odwoływanie się do przeszłości nie ma żadnego sensu, jeśli nie służy budowaniu współżycia na nowych zasadach. Trzeba brać pod uwagę, że wszelkie zbędne nieporozumienia i dezinformacja wyrządzają nie tylko szkodę nowokształtującym się stosunkom polsko-ukraińskim, ale działają na korzyść wielkorosyjskich, skrajnych tendencji antypolskich i zarazem antykatolickich. Ujawniają się one coraz silniej pod znakiem prawosławnego panslawizmu, o czym świadczy m.in. treść ukazującego się od stycznia br. pisma *Russkij Wiestnik*. W jednym z ostatnich numerów główna teza brzmi: „katolicyzm jest bardziej niebezpieczny od komunizmu i ateizmu". Wypada tu sprostować szereg często powtarzających się nieścisłości[3] odnoszących się do aktualnej obecności Kościoła obrządku łacińskiego: biskupi na Ukrainie nie podlegają Prymasowi Polski, lecz zgodnie z prawem kanonicznym Stolicy Apostolskiej; nie odpowiada prawdzie, że odbudowane (rzekomo „nowe") diecezje rzymskokatolickie „przecinają granice państwowe". W rzeczy samej wszystkie te odtworzone diecezje pokrywają się z granicami Republiki Ukraińskiej (była administracja apostolska w Lubaczowie, stanowiąca część byłej metropolii lwowskiej, stanie się wkrótce odrębną diecezją, podobnie jak już się stały administracje w Drohiczynie i Białymstoku, stanowiące skrawki diecezji pińskiej i archidiecezji wileńskiej). Spotykamy zarzut „pogwałcenia suwerenności Ukrainy przez powierzenie zwierzchnictwa metropolii lwowskiej obywatelowi polskiemu": arcybiskup Jaworski urodził się jednak we Lwowie i podobnie jak obywatel amerykański kard. Lubacziwsky, ma prawo do obywatelstwa ukraińskiego (o co już się zwrócił).

W czasie omawianego spotkania poruszono również kwestie dotyczące Białorusi. Zdaniem rektora Mudryja, ale również i ks. Żylisa, proboszcza spod Grodna (przyznającego się do podwójnej tożsamości litewskiej i polskiej), Białorusini powróciliby chętnie do tradycji unijnych. Tam przecież była kolebka Unii. Trzeba się liczyć z potencjałem kulturowym, a więc i z obrządkiem wschodnim, a obrządek łaciński — zdaniem ojca Mudryja — na terenach tych „nie zapuści korzeni". Sedno rzeczy polega jednak na tym, że przynajmniej tymczasem brak tam nie tylko kapłanów, znających ten obrządek, ale i wiernych znających język białoruski, który był świadomie i konsekwentnie eliminowany. Abp Kondrusiewicz uważa, że będzie to możliwe w przyszłości kiedy dojdzie do rozbudzenia poczucia narodowego, obec-

3. M.in. również w *Kulturze*, nr 9/1991 (art. „Nie tylko Lwów i Przemyśl").

nie jednak jest to nieaktualne, nie ma wręcz zapotrzebowania. Biskup Michelevicius, mówiący bardzo dobrze po polsku (ale w żartobliwym tonie powiedział innym razem, że nie wypada mu przyznawać się do tej znajomości, bo wyrzuciliby go z Kowna!), przyznał, że czas skończyć z lękiem przed polonizacją, zarówno na Litwie, jak i na Białorusi, co zależy jednak w dużej mierze również od rozsądnego postępowania polskich współbraci. Wyraził radość, że prezydent Landsbergis w czasie niedawnej wizyty w polskiej ambasadzie w Wilnie przemawiał po polsku i tekst jego wypowiedzi był podany również do wiadomości w tym języku. Uznał to za dobry prognostyk. Uczestnicy rzymskiego spotkania rozstali się w przekonaniu, że każde takie zbliżenie i szczera wymiana poglądów oznaczają krok naprzód i trwały znak pokoju, który trzeba stawiać, choćby miał kosztować niejedną korektę zastarzałych uprzedzeń. Należy poważnie potraktować papieskie wezwanie do „umiejętności różnienia się, co powinno służyć wzajemnemu uzupełnianiu się". Nie możemy dopuścić do tego, by nam w przyszłości zarzucono grzech zaniechania, niewywiązania się z danej szansy przypadającego nam udziału w budowie „wspólnego domu europejskiego", domu godnego chrześcijan, ludzi wierzących i rozumnych. Niestety doświadczenie uczy nas, że w imię wiary można popełniać niebylejakie głupstwa. Inaczej po wyjściu z ideologicznej i politycznej Jałty doprowadzimy do religijnej Jałty, dzielącej nową Europę.

Rzym, 18 grudnia 1991 r.

Dominik MORAWSKI

P.S. Czy można uratować coś z marksizmu? „Była to wschodnia odmiana faszyzmu" — brzmiała odpowiedź biskupa Józefa Życińskiego. Demaskując chorobliwy „stan zachwytu nad marksizmem" wielu zachodnich intelektualistów (wymienił Sartre'a i Simone de Beauvoir) przypomniał, że „babuszki" były bliższe prawd teologicznych. I przytoczył aż dwukrotnie — na sali synodalnej i na konferencji prasowej — jako przykład marksistowskiego zaćmienia umysłów losy książki „Inny świat" Herlinga-Grudzińskiego, która przez przeszło 30 lat nie mogła na Zachodzie ujrzeć światła dziennego. Czy istnieje coś takiego jak „marksizm o ludzkim obliczu", głoszony przez Garaudy'ego? Zdaniem biskupów Życińskiego i Seregely'ego, przewodniczącego episkopatu węgierskiego, nie jest to możliwe. Brak miejsca nie pozwala na zajęcie się tym wątkiem, który wywołał tu ożywioną debatę.

D.M.

Kronika kulturalna

Na marginesach „Kultury polskiej po Jałcie"*

Kronika lat 1944-1981 — jak brzmi jej podtytuł — miała liczne omówienia, wskazano na wielką przydatność i zalety księgi, powytykano nieuniknione usterki; tę część pracy sprawozdawczej mamy już za sobą. Mogę co najwyżej dodać, że wolę prace jednego autora od zespołowych: nie przeszkadza mi, że tam, gdzie autorką jest Marta Fik, sprawy teatru sprawiedliwiej będą potraktowane niż inne — i aż mnie bawi, gdy profesor Marta Fik niewiele się przejmuje szczegółami z historii nauk humanistycznych! Wolę pamiętać, że pomysł napisania swego kalendarium powzięła, kiedy zawodowi kronikarze naszego życia literackiego robili wiele innych rzeczy i że robotę wykonała w warunkach jeszcze konspiracyjnych. To również trochę zaważyło na proporcjach wciąganych pod roczne i dzienne daty: polityka nad kulturą ciążyła.

Przy czytaniu książki takiej, jaka ona jest — nie wylizana, czasem wręcz roztrzepana — lepiej widać (także zresztą wskutek presji politycznej) te rzeczy, które mnie najmocniej zajęły i które tu sobie po marginesach usiłuję wynotować.

---

* Artykuł ten został zamówiony przez miesięcznik *Res Publica* i odrzucony przez p. Marcina Króla. Maszynopis zechciano mi zwrócić z głosami członka redakcji, p. Barbary N. Łopieńskiej, która kilkakrotnie uznała za stosowne do autora skierować słowo „Nieprawda!". W ciągu kilkudziesięciu lat moich starań wydawniczych i publicystycznych po raz pierwszy spotkałem się z tego rodzaju potraktowaniem gościa, zaproszonego do współpracy.

Uwagi wywołane książką Marty Fik *Kultura polska po Jałcie. Kronika lat 1944–1981*, Londyn 1989, Polonia Book Fund, str. 835, pozostawiam bez zmian, nie licząc kilku drobiazgów stylistycznych; dodałem przypisek o prywatnej uczynności Jerzego Borejszy.

1.

Uderzające z miejsca spostrzeżenie: brak prawnej kultury współczesnego społeczeństwa i jego od tej strony bezradność.

Ci, co się przyszykowali pod protektoratem Stalina, by przejąć w Polsce władzę, są od samego początku traktowani przez obce mocarstwo zupełnie bezceremonialnie. Potulnie się na to godzą i wcale nie kryją ani swojej marnej roli, ani działania w złej wierze. W czerwcu 1944 roku Stalin obiecuje dać poparcie „ośrodkowi wykonawczemu, którego podstawą powinien być kraj". Ulegli polscy „patrioci" tworzą „Delegaturę KRN dla Terenów Wyzwolonej Polski": dzieje się to na drugi dzień po aresztowaniach przez NKWD sztabu Armii Krajowej Wilna i Nowogródka oraz tamtejszego delegata wciąż uznawanego przez naszych zachodnich sojuszników Rządu R.P. To właśnie peszy nie Polaków, lecz Rosjan! Już następnego dnia „Delegatura" zostaje rozwiązana, bo jej nazwa jednak psuje Mołotowowi jego zagraniczne szyki. Potulni Polacy moskiewsko-lubelscy nie takie już znosili afronty. Za dwa dni — osławiony Manifest PKWN i od razu nazajutrz drugi dekret tego Komitetu: przekazanie spraw Armii Krajowej kompetencji sądów wojskowych Armii Czerwonej. Ani śladu bodaj prostego zdziwienia ze strony Polaków przybyłych do Lublina z terenów *Generalgouvernement*, akceptacja nowej „władzy" bez zastrzeżeń! A są to przecież na ogół literaci i aktorzy dosyć lub nawet bardzo znani.

Wzmianka, od której się nasza kronika zaczyna zajmować kulturą *sensu stricto*, nosi datę 21 lipca 1944 r.: oto w ustawie o utworzeniu PKWN powołano resort Kultury i Sztuki pod kierunkiem Wincentego Rzymowskiego. Pierwszym tedy rzecznikiem interesów literatury i teatru został człowiek, na którym ciążył nieuchylony zarzut plagiatu.

Spójrzmy faktom w oczy: Wszyscy przystępujący do KRN i PKWN działali z niczym nie przyćmioną świadomością, że się przeciwstawiają oczekiwaniom większości społeczeństwa polskiego, która to większość dobrze pamiętała, że naszego prawowitego rządu nie uznaje tylko ZSSR. Manifest PKWN z mocy prawa był nieważny, tak też winien być i dzisiaj traktowany.

Wtedy najdalekowzroczniejszy okazał się — za słaby, iżby się oprzeć sprzymierzonym mocarstwom — generał de Gaulle. Póki mógł, nie chciał się nawet zobaczyć z Bierutem, a kiedy go osobiście poznał, pisał o nim i o jego poplecznikach nader dosadnie. W swych pamiętnikach wypowie słynne słowa, że być może postąpienie zgodnie z poczuciem honoru okazałoby się dobrą lokatą polityczną na przyszłość. Nikt go nie chciał słuchać. Barbarzyńca (w rozumieniu kultury) — prezydent Truman datę uznania przez Amerykę tak zwanego Rządu Jedności Narodowej w Polsce wyznaczył na dzień 4 lipca 1945. Dopiero Churchill na gwałt depeszuje — i Truman opowiada o tym bez najmniejszego skrępowania! — że może byłoby niezbyt zręcznie dokonywać tego wiarołomstwa akurat w dniu święta narodowego USA, w Dniu Niepodległości. Stąd przesunięcie aktu dyplomatycznego o jedną dobę.

Tak wyglądają początki.

2.

Cofnięcie uznania przez państwa zachodnie rządowi polskiemu przebywającemu na emigracji zrobiło w kraju wrażenie; dał się uczuć — wśród młodzieży akowskiej zwłaszcza — nastrój olbrzymiego zawodu. Na tym to zmęczeniu wojną i rozgoryczeniu faktem, że sojusznicy się od nas odwrócili, komuniści żerowali z całą przyjemnością. Kościół oceniał sytuację właściwie i — jak zwykle — na długą metę, ale wystąpienia prymasa Hlonda i księdza metropolity Sapiehy, tłumione, docierały raczej tylko do tych, którzy je chcieli usłyszeć; dziś zresztą także historycy (na przykład pani Kerstenowa) za mało o tym mówią. Prędko też były ofiary, wśród nich *Tygodnik Warszawski*. Jednak pamięć społeczna jest krótka, zwłaszcza w odniesieniu do osób o przekonaniach prawicowych. Prałat Kaczyński (jeśli nie liczyć ostatnio artykułu biskupa Romaniuka) jest omal zapomniany — on, który przed swą śmiercią w więzieniu w roku 1953 ułożył najpiękniejszą, jaką mamy, modlitwę za naszych współczesnych prześladowców.

Jasno wynika z książki Marty Fik, że w świecie kultury ci, co mogli byli mieć wpływ na tworzenie opinii, ci, co pospieszyli do Lublina kumać się z nową władzą, skwapliwie przyjęli zasadę Manifestu PKWN, że „demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji". W kwietniu 1948 r. recenzent teatralny *Tygodnika Powszechnego* zapytywał (retorycznie) reżysera Bronisława Dąbrowskiego o przyczyny fałszowania Lope de Vegi: „Nie wiem, czemu mieszczan, mieszkańców Owczego źródła, nazywano uparcie chłopami, nie wiem również, dlaczego Sędzia Królewski, prowadzący tortury, nosił habit zakonny". Recenzent ów, Tadeusz Kudliński, w grudniu tegoż roku został aresztowany. I dopiero pod datą 27.II.1957 czytam w kronice Marty Fik: „rehabilitacja więzionych w latach stalinowskich pisarzy: Jerzego Brauna, Tadeusza Kudlińskiego, Janusza Krasińskiego, Antoniego Madeja". A przez te kilka lat — ani śladu protestu ze strony literatów, ani jednej interpelacji poselskiej (pani Zofii Nałkowskiej na pewno nic by nie groziło!), najmniejszej chociażby próby ulżenia doli więzionych. Albo skazanie

Teofila Sygi: wydawcę dywersyjnego *Kennst du die Wahrheit?*, kawalera orderu Virtuti Militari — prowadzono do więzienia w Rawiczu przez miasto... w mundurze niemieckim, wedle bowiem aktu oskarżenia współdziałał z hitleryzmem. Nie pamiętam, aby się ktoś obruszył, ktoś ze szczycących się staniem na straży praw człowieka. I nawet się wolno nie dziwić, bo ten, który może przede wszystkim winien był głośno wołać — Słonimski — wolał pogodnie nucić „Ale pół świata idzie z nami / Pod czerwonymi sztandarami" oraz w *Trybunie Ludu* (4.XI.1951) dawać Miłoszowi zaiste mało liberalną „Odprawę".

Nie wydziwiam tedy, ale i nie próbuję zrozumieć, bo nic tu do zrozumienia nie ma. W takich chwilach przypomnień mam tylko zawsze przed oczyma profesora Bohdana Marconiego, który mi kiedyś opowiadał, że Niemcy podczas okupacji mu raz zaimponowali: wyłuszczając swoje jakieś nie do przyjęcia propozycje — wyciągnęli dokumenty, z których niezbicie wynikało, że dociekli iż Marconiowie nie mieli w żyłach ani kropli krwi polskiej. Otóż italiańcami, *Volksdeutsch*'ami, pezetpeerowcami czy białymi (z wiersza Szpotańskiego) gnidami na czerwonej szmacie — stać się mogli i stawali tylko ludzie do profesora Marconiego ani trochę niepodobni.

3.

Motywem głównym, chociaż nie jedynym, powiada autorka we wstępie, było danie w tej kronice przeglądu „zależności między polityką a sztuką, literaturą, nauką". Znaczna część pracy ułożona jest z pewną — mimo wszystko — skłonnością do ukazania oporu wobec komunistycznych zapędów totalitarnych. Ja wszakże jestem Marcie Fik szczególnie zobowiązany za wszystkie ślady, które dokumentują polską wersję zdrady klerków; rozmiary jej są — niestety — znaczne.

Zdrady nade wszystko w stosunku do tych, co się o wolną Polskę bili. Myślę o generałach pozostałych na emigracji, którym odebrano obywatelstwo; o wyższych oficerach, którzy do kraju wrócili na więzienie, na tortury, na śmierć; myślę o wszystkich członkach Armii Krajowej — prześladowanych i poniżanych. Żyją i chodzą wśród nas w oficjalnej randze osób zasłużonych ówcześni posłowie do Sejmu, sędziowie, dozorcy więzień: to jest również zdrady klerków rozdział drugi.

Tu mi pamięć podsuwa przykład i chyba wymowne zestawienie faktów. Wyrok na Witolda Pileckiego! Ten bohater — uznany za jednego z sześciu na świecie najwaleczniejszych bojowników w czasie II wojny światowej — został stracony 25 maja 1948 r. Równo w trzy miesiące później we Wrocławiu odegrano szopkę pod nazwą Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju; była to impreza, którą część delegacji zachodnioeuropejskich — pojąwszy, w czym rzecz — demonstracyjnie opuści. Ale nikt spośród intelektualistów polskich... Spokojnie zasiadają Kotarbiński i Ajdukiewicz, Wacław Sierpiński, Leon Schiller, są nie tylko Dąbrowska i Nałkowska, ale również Parandowski. Na czele niby stoi Iwaszkiewicz, lecz naprawdę wszystkim zawiaduje Borejsza, o którym przecież dokładnie wiedziano, że jest rodzonym bratem, a od czasu do czasu współpracownikiem słynnego sadysty ze służby bezpieczeństwa — grozę budzącego pułkownika Różańskiego.*

Nie tylko zatem groza — lecz i zgroza. Na emigracji dostrzegano więcej. Aleksander Janta za zbyt lekkie potraktowanie działalności resortu Bezpieczeństwa w swym reportażu z Polski musiał odbyć srogą pokutę wobec opinii publicznej. W kraju — sprawiedliwych, którzy zabierali głos, policzyć można na palcach jednej ręki. Tylko na przykład Zofia Starowieyska-Morstinowa przypomni w *Tygodniku Powszechnym* Juliana Bendę i jego słynną *Zdradę klerków*, tylko Stefan Kisielewski będzie na różne sposoby wychwalać klerkowskie postępowanie Karola Irzykowskiego.

Tak zwane zjednoczenie partii, czyli wchłonięcie oportunistów z PPS do PZPR, pozostaje sprawą do teraz wstydliwą, świadectwem upodlenia się jakże wielu twórców znakomitych ze starszej generacji, która dobrze wiedziała, czym był socjalizm i jakie przyświecały mu dążenia — nie sowieckie przecież. I te podlizywanki! Rekord pobił Xawery Dunikowski: „Odtąd będzie jedna głowa, tęga głowa, mocna głowa". Zaraz też dostał pierwszą państwową nagrodę artystyczną, w niecały zaś rok później — ustanowiony właśnie order Budowniczego Polski Ludowej!

O literackim zjeździe w Szczecinie napisano już bardzo wiele. Nie napisano bodaj tylko jednej rzeczy istotnej: Nie ma się obowiązku być z zawodu pisarzem — tak jak się może chcieć obrać zawodową służbę wojskową. Zawsze się wolno — dzieje literatury aż nadto poświadczają taki wybór — wycofać z życia wydawniczego, nikt nie zabrania (o ile się ma w sobie potrzebę wyrazu) pisać do szuflady; potomni odkryją i docenią

* Jerzy Lisowski, sekretarz Jarosława Iwaszkiewicza podczas Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu, zwrócił mi uwagę na fakt, że duże zakulisowe role, jakie odgrywał był Jerzy Borejsza, komunista zapiekły (por. artykuł „Ludzie za mgłą" w *Odrodzeniu*, na przełomie listopada i grudnia 1949 r.), pozwalały mu także pomagać niektórym prześladowanym przez ustrój ludziom, np. zatrudniać ich w wydawnictwie „Czytelnik". — Na temat Józefa Różańskiego doradzam przeczytanie jego (opracowanego przez Redakcję) życiorysu w „Polskim Słowniku Biograficznym", t. XXXII z. 4 (1991).

geniusza, takie jest prawo kultury. Znowu przykład, *pars pro toto*: Doskonale wykształcony polonista i germanista, dr Mieczysław Jastrun, wcale nie musiał redagować deklaracji szczecińskiej (zachował się brudnopis z poprawkami jego ręką, wystarczy zajrzeć do protokołu zjazdu), nie musiał też owej deklaracji, proponując jej uchwalenie, odczytywać. Co prywatnie myślał — trochę (też chyba nie wszystko) widać z jego *Dzienników*. Wtedy — mógł był przecie udzielać korepetycji, uczniów i to wdzięcznych by mu nie zabrakło (jak Iłłakowiczównie). Ale ówczesna rzeczywistość była inna: Blisko siedemdziesięcioletni obrońca Warszawy z roku 1939, generał Juliusz Rómmel, był w tejże Warszawie lat stalinowskich — wozakiem; o przeszło dwadzieścia odeń lat młodszy autor *Mickiewicza* wolał się wysługiwać Ważykowi i Bermanowi, byle nie podpaść pod zakaz druku. Co tu zostało powiedziane o Jastrunie, mogę rzec bez trudu o stu innych — ale może nikt nie miał tylu, co Jastrun danych, by się stać naszym Borysem Pasternakiem; żal mi, że się to nie zdarzyło.

4.

Przełom roku 1956 jest o wiele mniejszy niż tego sobie życzy uparta legenda. Otwarły się — też nie od razu wszystkie — drzwi więzień, ale porządek prawny był ten sam. Dyskusje w Klubie Krzywego Koła pozostały bez większego echa — tyle, że były; chwała ich inicjatorom. Gomułka nikomu zresztą nie czynił złudzeń, złudzenia na jego temat miewali lub przyczyniali się do tworzenia ich — inni. Likwidację instytucji rozgromionych po roku 1948 utrzymano w mocy. Pozaprawna władza PZPR stała się nawet jawnym tematem przechwałek wyższych funkcjonariuszy tej (nigdzie nie zarejestrowanej!) organizacji.

Już najpóźniej po dwóch latach, w roku 1958, program Gomułki stał się jasny. Nieubłagany ten doktryner wolał nawet podtrzymywać kłamstwo o Katyniu (odrzucając propozycję Chruszczowa, by odsłonić tajniki zbrodni) — niż porozumieć się z własnym narodem. Od dojścia Hitlera do władzy po zakończenie II wojny światowej mniej upłynęło czasu niż go miał „towarzysz Wiesław" dla swoich *de facto* jednoosobowych rządów. Czternaście zmarnowanych lat — i to w okresie niebywałego powodzenia gospodarczego w wolnej części Europy! Może nigdzie na świecie „Czekając na Godota" nie było milionom ludzi tak bliskie, jak Polakom. Znowu — jedyny Kisielewski, który wszystko to publicystycznie jako Kisiel oraz literacko (w powieściach Tomasza Stalińskiego) na żywo uchwycił, opisał.

Bo poza tym: drobne intrygi, mała stabilizacja, nieśmiały (a

jakież robi wrażenie!) List 34, niegodna palinodia dziesięciu spomiędzy podpisanych, kilkaset kompromitujących podpisów pod tak zwanym Anty-listem... wprost wstyd wymieniać, tyle się tam przyzwoitych nazwisk wplątało. A przez cały ten czas — mistrzunio Cyrankiewicz i jego sprytnie układane (oraz stopniowane) nagrody państwowe, ministerialne, przemyślne kompozycje osób dekorowanych orderami, odznaczeniami. Prawie bez wyjątku grzeczniutko przyjmowane te wstęgi, te czeki, te dyplomy. Chyba jedna tylko Zofia Kossak-Szatkowska nagrodę literacką odrzuciła (ale się o tym nie pisało).

I raz jeszcze przykład, w moim poczuciu jeden z obrzydliwszych. Jerzy Zawieyski, pamiętny z sejmu mówca, który w kwietniu 1968 wystąpił demonstracyjnie z Rady Państwa, odważny mimo wrodzonej płochliwości, więc tym godniejszy podziwu — popełnia samobójstwo 18.VI.1969 r. Na 22 lipca tegoż roku przypadła wielka administracyjna feta: dwudziestopięciolecie bezprawia; zjeżdża do Warszawy Breżniew, przybywają wszyscy jego akolici. A panowie z Koła Poselskiego „ZNAK" — niepomni, jak ich lżono, jak szydzono z ich właśnie zmarłego kolegi — ryczałtem przyjmują ordery. Docent Stanisław Stomma (jak o nim pisze prasa) — krzyż komandorski Odrodzenia Polski, Konstanty Łubieński — Sztandar Pracy II klasy, nie mówiąc o osobistościach innych — wówczas mniej, dziś nierównie bardziej znanych, nie mówiąc też o różnych szaraczkach, dla pokazu wyciągniętych z kąta, bo w społeczeństwie szanowanych. Wszyscy oni pozwolili z siebie Gomułce po prostu zakpić, bo jak na pozycję tych panów, jak na ich słuszny prestiż — ordery to były uwłaczająco niskiej klasy. Prawnik i gentelmen przedwojenny — Stanisław Stomma — nie mógł był nie wiedzieć, że w niepodległej Polsce dwudziestolecia posłowie oraz senatorowie nie przyjmowali odznaczeń państwowych przed upływem ich parlamentarnej kadencji. Była więc świetna wymówka i była sposobność odmowy udziału w poniżającym widowisku ; wybrano uległość.

5.

Mało kto o bytowaniu pod Gomułką wyraził się równie ściśle jak Stefan Kisielewski, który po przeczytaniu fragmentów „Miazgi" Andrzejewskiego w październikowej z roku 1966 *Twórczości* napisał, że łączy się tu „organiczna opozycyjność z organicznym wszechoportunizmem".

Zmienił to początek roku 1968. Do tej pory miło jest myśleć, że na dobre zaczęło się od zakazania przez Gomułkę właśnie „Dziadów".

Od tego momentu kronika Marty Fik wyraźnie się ożywia. Bo też — nareszcie — wracają do życia publicznego w jawnej już opozycji politycznej osoby, które przedtem robiły swoje, ale się nie wdawały w efektowne protesty. Kursowanie rozmaitych napominań władz, odezw, listów otwartych ujednolica opinie domagające się poszanowania podstawowych praw ludzkich; zarazem jednak sprawia, że na tej samej liście podpisów spostrzegamy osoby nieposzlakowane obok takich, których dojście do wypowiedzenia posłuszeństwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej odbywało się drogą więcej niż krętą. Coraz też więcej widać, jak się włączają ludzie młodzi, duchowi wychowańcy komunizmu — ale już zbuntowani.

Dzikie podskoki Władysława Gomułki, jego (gdyby nie paskudne skutki) wręcz śmieszna mowa z 19 marca 1968, kiedy je dzisiaj rozpatrywać — pozwalają na dwa co najmniej uogólnienia. Pierwsze, bardzo ważne: że antysemityzm w Polsce ma podłoże nie narodowe, lecz wybitnie partyjne. I drugie: że społeczeństwo się od tego manewru Gomułki odwróciło. Trwale pozostał tamtych wydarzeń skutek pośredni: dość spontaniczny odruch delikatności w stosunku do tych, którzy właśnie wtedy z komunizmem zerwali; jakiś rodzaj zgody na darowanie im tego, co ewentualnie robili przez poprzednie lat dwadzieścia. Oczywiście — po to są nauki historyczne, aby wszystkie wydarzenia zapisać i badać. Ale fakt socjologiczny pozostaje: w obecnej Polsce taka zwyczajowa granica roku 1968 się utarła. Marta Fik dobrze spełniła podjęty obowiązek kronikarza. Nie jest koteryjna, co powinna wiedzieć — to i do swojej dokumentacji wprowadza: tyleż na przykład udział Artura Międzyrzeckiego (w doborowym, jak zwykle towarzystwie) w czczeniu rocznicy śmierci Dzierżyńskiego, co i podpis pod Memoriałem 101. Pamięta również — bo i po prawdzie zapomnieć trudno — co potrafiła w latach zwanych stalinowskimi wypisywać Wisława Szymborska, nie młódka już wtedy i najgorszy może, jaki istnieje w swoim rodzaju typ: zacietrzewionej utopistki.

6

Tu wchodzę, wiem o tym, na dość grząski grunt. Mam na myśli na ogół złe — moim zdaniem — zachowanie kobiet wobec polskiego bolszewizmu. W naszej wielkiej tradycji i z czasu zaborów, i z okresu II wojny światowej, przechowujemy a nawet czcimy wspaniałe wzorce zachowań polskich pań. Rewolucja społeczna, niwelując wiele z rozwarstwienia społecznego, zatarła ostry wymóg postępowania nacechowanego bojkotem wobec nowego okupanta. To, że panna z obywatelskiej rodziny,

sama znana ze swych talentów aktorskich i poetyckich, mogła była zostać żoną Józefa Cyrankiewicza, daje obraz znieprawienia. Model realizmu socjalistycznego przewidywał, że się opuści dom rodzinny i będzie składać donosy na swoich najbliższych; opozycja nie wytworzyła wzoru przeciwstawnego: że się wypowie dom chłopcu, który wstąpił do służby bezpieczeństwa, że się nie przyjmuje u siebie partyjnego zięcia.

W przerażającej masie kobiet udających, że nie wiedzą, jaki proceder uprawiają ich mężowie czy synowie, zachowała się pamięć o — damach. Do nich to garnęła się młodzież, potrzeba tych właśnie domów (rzeczowiej mówiąc mieszkanek) była aż nadto widoczna. Byle chcieć widzieć. Honor Polek ratowały takie wielkie postaci jak Izydora Dąmbska, jak Hanna Malewska, jak Maria Ossowska. Ich rozmówcy i słuchacze, ich uczniowie i uczniowie uczniów — niech mówią, niech piszą, niech tę pamięć przekażą jak najdalej.

7

Może najzabawniejszym dowodem z książki Marty Fik, jak pozorna bywa sława ludzi wyniesionych wysoko, ale bez prawdziwych zasług, jest kontaminacja, która się dokonała w jakiejś młodej głowie sporządzającej do tej kroniki indeks nazwisk; mamy tam mianowicie hasło Rola-Żymierski Marian!

Ale istnieje i odwrotna poniekąd strona medalu, na którym jakże niesłusznie wypisano, że nieobecni nie mają racji. Za najmniej udaną cechę wielkiej i szacunek wzbudzającej pracy Marty Fik uważam przemilczenie tych, których właśnie komuniści chcieli pogrążyć w zapomnieniu. Są to z grubsza dwie kategorie osób: „Niepożegnani" (jak to pięknie nazywał Adam Grzymała-Siedlecki) oraz ci wszyscy, którzy odmówili współdziałania z komunistycznym ustrojem, ale którzy nie przestali w sposób wytężony pracować — bez rozgłosu, toteż ulegając przeoczeniu.

Zaczyna się nasza Kronika od Rzymowskiego, tedy logicznym następstwem będzie, że jego zgon jest odnotowany. Ale że w nędzy żył za tych czasów i odszedł zapomniany prezydent R.P. Stanisław Wojciechowski — ani słowa. Uniwersytet Warszawski z całą świadomością nie dał zawiadomienia i nie wywiesił żałobnej flagi, gdy życie zakończył jego dawny rektor, wielki mówca i doskonały pisarz — arcybiskup Antoni Szlagowski (nie ma on do teraz pamiątkowej tablicy w archikatedrze warszawskiej!) Któż dziś wspomni o śmierci i niewznawianiu prac Zygmunta Wasilewskiego, z którym się mało kto zgadza, ale krytyk literacki był to wybitny i co za styl w zakresie portretu literackiego. Czyżby już też nic średniemu pokoleniu humanistów

nie mówiło nazwisko Adama Szelągowskiego?

Gdzieś jakoś — spośród żyjących dłużej po wojnie — zapodział się Adam Krokiewicz, uczony o bardzo mocnym systemie etycznym, który mawiał, że nic nie chce mieć wspólnego „z tym łajdactwem" i nieomal chyłkiem wydawał swoje bardzo ciekawe książki. Poza polem widzenia pozostał Bronisław Gębarowicz, który dobrowolnie znosił liczne upokorzenia we Lwowie, byle móc złodziejom naszych dóbr kultury patrzeć na ręce; a przecież jego ważne rozprawy, przemycane do Polski, były wydawane i słusznie cenione. Przepadł Manfred Kridl, prawdziwy demokrata, więc emigrant — ale nie tracący łączności z polską kulturą. A wszyscy ci, co uciekli w edytorstwo naukowe? A tłumacze? Mieli swoje niskie powody założyciele samozwańczego Związku Literatów Polskich, gdy przy weryfikacji początkowo zamknęli drzwi przed tłumaczami — tą klasą ludzi pióra, których głosami przepadali w wyborach kandydaci partyjni.

O nich wszystkich Marta Fik — co do tego nie ma wątpliwości — podświadomie wie i stoi po ich stronie. Tylko że przy przepatrywaniu stosów prasy trzeba się wciąż mieć na baczności, by nie ulec komunistycznemu preparatowi. Odtrutką dla tamtych lat jest *Tygodnik Powszechny* i — chyba za rzadko cytowany — *Znak*, tyle że w tej grupie, która zresztą przechowuje i ceni Mieczysława Pszona, rzadko można (gdy już nie żyją Konopczyński i Pigoń) trafić na dobre słowo o kimś, kto nie całkiem się odżegnał od narodowej demokracji! Ostoja, dzięki której przetrwaliśmy najgorsze, paryska *Kultura* — też miewa swoje wyraźne fobie.

No i co może najistotniejsze — komuniści zaradnością w szerzeniu o sobie dobrych wieści (także lub zwłaszcza byli komuniści) znacznie przewyższają nie-komunistów. Przez zbyt długi czas, aby w zachodniej części świata zyskać wiarę — trzeba było być co najmniej lewicowcem, no może rozczarowanym członkiem radykalnej społecznie partii. Z dużym spokojem i kompetencją pisuje o tym pan Herling-Grudziński. Otrzeźwienie przebiega powoli. U nas wciąż na przykład szerzony jest mit Ochaba: popatrzcie, zrezygnował z tego-a-tego. Kim był, ile złego zrobił — głucho o tym; któż by czytał jędrny dokumentarny przypis pani Marii Wojciechowskiej w jej opowieści o powojennych perypetiach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk!

O Januszu Groszkowskim mówi się nierównie mniej. Ten bardzo wybitny uczony i człowiek ogromnych zasług w Armii Krajowej, o których pisano na świecie, a o których on sam wypowiadał się z ujmującą nieśmiałością — w pewnej chwili odmówił zgody na pełnienie bezpartyjnych funkcji, mających służyć za przykrywkę rzeczywistych działań zawsze mu obcych. Ustąpił z Rady Państwa, z FJN, odesłał ordery. Wdzięczny jestem Marcie Fik, że zacytowała, co profesor Groszkowski — prezes Polskiej Akademii Nauk — powiedział podczas zgromadzenia ogólnego tej korporacji uczonych w dniu 23 października 1980 r.: „Nikt wśród nas nie jest bez winy, bośmy nie wykorzystali swych autorytetów, aby przeciwdziałać niekompetencji, nieuctwu i nieuczciwości rządzącej kliki".

Przypadkiem jestem w możności dopowiedzieć tu wymowny szczegół z własnego wspomnienia. Osiemdziesięcioletni przeszło pan profesor Groszkowski zechciał był przyjąć zaproszenie dosyć małego i niewpływowego koła związku zawodowego „Solidarność", którego jestem członkiem. Temat spotkania określony nie był, wywiązała się bardzo szczera rozmowa w kilkanaście osób. W pewnej chwili, wcale o to nie pytany, z własnej chęci i — widocznie — potrzeby gość nasz powiedział dosłownie tak: Staram się, ile mogę, wciąż pracować, ale żebym nie wiem ile jeszcze żył lat, nigdy nie zdołam odkupić tego, że się dałem komunistom wciągnąć do kolaboracji.

Zapisałem to na gorąco — i przechowuję. Nigdy poza tym nie dane mi było na własne uszy słyszeć takiego wyznania.

Andrzej BIERNACKI

Trzy epizody tożsamości

Notatka Ciorana: „Gotowałem się do wyjścia i chcąc poprawić szelki, spojrzałem do lustra. Nagle to niewysłowione przerażenie: kto to? Niemożność rozpoznania siebie samego. Nadaremnie sprawdzałem swój płaszcz, krawat, kapelusz, wciąż nie wiedziałem kim jestem, bo to nie byłem ja. Trwało to pewną ilość sekund, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści? Kiedy zdołałem się odnaleźć, strach pozostał. Trzeba było po prostu odczekać, aż się zgodzi ustąpić".

Chyba każdy to przeżywa, od czasu do czasu. Życie odpada płatami, kurczy się z każdą chwilą, jak Balzakowska *peau de chagrin*. (Po francusku brzmi to wyraziściej, bo *chagrin* znaczy równocześnie i zmartwienie i skórę jaszczura, szagryn.) Jak Cioran przed lustrem, ze zdumieniem szukam definicji — bo naraz się wydaje, że jest ona już niemożliwa, że już za późno

na autodefinicję. „Tyle wspomnień wyłaniających się bez widocznej potrzeby — do czego one służą, chyba tylko do tego, aby nam uzmysłowić, że wraz z wiekiem coraz bardziej stajemy na zewnątrz życia... *Avec l'âge nous devenons extérieurs à notre vie.*

Uzmysłowiłem sobie trzy fragmenty własnej biografii, trzy odsłony z różnych epok, które przyświadczają tej gorzkiej uwadze. Ale dla mnie mają także inne znaczenie: jakby kolejnych odbić od dna. Od dna czy od ściany. Są wykresem ruchu, zresztą możliwa jest wszelka inna interpretacja. Co do mnie, jestem przekonany, że wspomnienia do czegoś służą, mają sens, który wchodzi w skład kultury chwili obecnej.

Poznałem Surowicza jeszcze w 1948, przyjechawszy do Polski na parę miesięcy. W Warszawie chętnie się bawiono, nie oglądając się na posępne tło polityczne. Moi znajomi dalecy byli od naiwności, za to wciąż mieli w sobie dużo luzu i tego, co Sienkiewicz zwie folgą. Folgowaniu towarzyszyło, ma się rozumieć, wielkie picie, ale nie w tym tkwi wyróżnik ówczesnego życia towarzyskiego. Był nim styl. Jakiś istotny wdzięk, rodem — oczywiście — z czasu minionego, który stał jeszcze tak niedaleko za naszymi plecami: przetoczyło się ledwie osiem czy dziewięć lat. Panny w jasnych bluzkach i granatowych spódnicach, szarmanccy chłopcy w krochmalonych kołnierzykach, tango i walc angielski, tradycyjny odbijany, bodaj i chór rewelersów się produkował. Istniało wciąż w tym środowisku pojęcie flirtu, w formie żywcem przeniesionej z przedwojennych studniówek czy akademickich balów. Dziś to wszystko zabytki! Mówiliśmy też własnym, osobliwym językiem, był to mianowicie język polski w literackiej odmianie. Niesłychane. Aby ten *behaviour* nieistniejącej już epoki lepiej zademonstrować, wspomnę jeden incydent.

W kołyszącym się pod muzykę tłumie wpadłem na mego kolegę z tego samego plutonu Baszty. — Jak się masz, Wiewiór! — krzyknąłem w jego stronę. Taki miał pseudonim, żeby było do pary z pseudonimem jego dziewczyny, która kazała nazywać się Wiewiórką. Wiewiór poczerwieniał, przeprosił swoją pannę i odciągnął mnie w kąt. — Zapomnij, Hubert, że mnie znałeś. Żadnych Wiewiórów! I podawszy nazwisko, które nosił, krótko opowiedział o co chodzi. Był poszukiwany od czasu pewnej strzelaniny z ubekami, w Krakowie. Wtedy pierwszy raz się dowiedziałem, że w tym roku 1948 podziemie ma swój rozpaczliwy ciąg dalszy.

Bawiliśmy się na Konopnickiej, w lokalu działającej jeszcze przez rok YMCA. Nie wszyscy dawni koledzy kryli się ze swoją tożsamością. Wspominaliśmy nieobecnych, którzy w Powstaniu opuścili kompanię na zawsze: Piotrusia Szucha, długiego jak Podbipięta, uosobienie rzetelności, Jurka Skarżyńskiego i innych...

W tym wirze grał pewną rolę Kazik Surowicz, przystojny student warszawskiej ASP. Później, gdy definitywnie wróciłem do kraju, moje stosunki z Surowiczem miały charakter sporadyczny. Był grafikiem, krzątał się w Związku, póki nie przepadł w kolejnych wyborach. Nie bez powodu. Surowicz okazywał pewną odwagę, ograniczoną obiektywnymi warunkami, ale niemiłą dla tzw. działaczy. Byłem świadkiem, gdy całkiem obcemu osobnikowi burzliwie dowodził, że polskie wydania Marksa i Engelsa zostały ocenzurowane i zmitologizowany jest Gorki. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to głupstwem. Słynna „dzisiejsza perspektywa" nieźle fałszuje rzeczywistość. Bezpieka w czapkach z niebieskimi otokami zatrzymywała ludzi na ulicy, ale gorsi byli dwaj cywile dzwoniący w nocy do mieszkań. Facet, który tych rewelacji Surowicza musiał wysłuchać, zdębiał, dostał wytrzeszczu. Nie oskarżał Surowicza o kłamstwo, po prostu nie mógł mu uwierzyć.

Ktoś słusznie zauważył (Gide bodaj), że w literaturze wszystko można powiedzieć, łącznie z rzeczami najintymniejszymi, byle nie używać formy „ja". To jest szkopuł tej relacji, ale nie mam wyjścia. W drugi dzień Bożego Narodzenia, w 1968, Surowicz w tonie wielce przyjacielskim (nigdy nie byliśmy przyjaciółmi) spytał mnie telefonicznie, czy nie przyszedłbym do niego jutro na Wiejską. Będzie Ciepły. Nie zna pan Ciepłego? Rzeźbiarz z Gdańska, druga nagroda w konkursie na pomnik Heweliusza. — O czym mielibyśmy rozmawiać z tym Ciepłym? — W końcu zgodziłem się przyjść. Mieszkał naprzeciw „Czytelnika", w porządnie zmurszałej kamienicy z oficyną, dzięki takim budynkom Warszawa może się upierać przy swojej autentyczności. Przedstawił Ciepłego. Jerzy Waldorff przy każdej okazji oznajmia swoim wielkim przeciągłym głosem: — Jestem tak stary, że pamiętam Pana Boga kiedy jeszcze nie nosił brody. — Zwalisty mężczyzna, którego oglądałem, choć wcale stary nie był, miał taką brodę, jak Bóg Ojciec i pooraną twarz. Wciąż nie było wiadome, jaki cel ma to zebranie. Trochę czasu straciliśmy na wzajemne obmacywanie się oczami. Aż mina strzeliła. To Ciepły nagle się zdecydował i spytał, czy się orientuję, że środowisko opanowali Żydzi?

Zaskoczony, zadałem głupie pytanie:

— Jakie środowisko?

Odpowiedział mi, z całą powagą, Surowicz. Plastyczne. Tak. Żydzi są tu siłą decydującą, a to nie wszystkim odpowiada. — Na przykład nam — mruknął Ciepły, w swoim i Surowicza imieniu, po czym zaczęli mi się przypatrywać. Nie wiedzą (dodali), czy i mnie ta sytuacja wydaje się niedorzeczna.

Mało tego, że komuchy... — Nie! Tak wyrazić się nie mogli, bo słowo powstało w późniejszych czasach. Powiedzieli:

— Wystarczy komuny, mieć jeszcze Żydów na karku, to już doprawdy za dużo. A co za dużo, to niezdrowo — dorzucił basem Ciepły. Surowicz spojrzał na niego z wyrzutem, ale Ciepły bynajmniej nie zamierzał dowcipkować. Zachował poważną, wielką jak tarcza twarz człowieka, który nie zna się na żartach. Surowicz przystąpił do metodycznego uzasadniania.

Pierwiastek żydowski wynaturza sztukę. Nie, nie! — podniósł ramiona. To żaden antysemityzm. Można naukowo dowieść, że umysł żydowski ma wrodzone dyspozycje do rozcinania włosa na czworo. I ten spekulatywny sposób myślenia zapędził sztukę w ślepą uliczkę, aż do negacji. Niech pan spojrzy, co się dzieje dookoła! W Londynie taki Gustaw Metzner (na pewno Żyd) rzucił niedawno hasło samodewastacji i przy pomocy kwasu solnego unicestwia swoje obrazy. A Tinguely! W ogrodzie nowojorskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej skonstruował maszynę, która niszczy samą siebie. Z drugiej strony — ta infantylizacja formy, wiadomo przez kogo inspirowana. Wie pan, co Picasso powiedział Readowi na jakiejś wystawie rysunków dzieci? Że kiedy był w ich wieku, to rysował jak Rafael, ale potem trzeba było całego życia, aby nauczyć się rysować tak, jak one.

— Ani Tinguely, ani Picasso nie są Żydami! — zaprotestowałem odruchowo, jeszcze nie dostrzegając że nie tędy droga.

— Kto to może wiedzieć. Oni sobie poprzybierali różne pseudonimy, a jakie nazwiska pod spodem, tego się już nie pamięta. Żyd lubi paradoks, lubi absurd. Ładu i zdrowia intelektualnego nie znosi. Żyd Einstein wymyślił prawo względności, no i zaczęło się!... U Chagalla nie działa prawo ciążenia, krowy i ludzie latają ponad dachami. Czy Kandinsky to nie Żyd? Ten naród jest anty-twórczy, to robak w jabłku. Sam mam przyjaciół Żydów, więc antysemitą nie jestem. Jednak tu chodzi o duchową kondycję całej grupy społecznej.

Ja też miałem kilku przyjaciół Żydów. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że są jak robaki w jabłku. Ciekawość, mądrość, wiedza należały od wieków do etosu żydowskiego. Pielęgnują oni tradycję słowa pisanego i książki. Moi przyjaciele każdą rozmowę rozgrzewali do temperatury wrzenia. Nie mogłem w tej chwili oglądać samego siebie, ale musiałem zmienić się w oczach, bo tamten drugi, Ciepły, sięgnął szybko po arkusz peluru na stole i podetknął mi pod nos. — Co to jest? — Aaa, to, powiedział, jest lista. Lista polskiego oddziału AICA. Zaznaczyliśmy nazwiska Żydów. Sami najważniejsi, od prof. Starzyńskiego zaczynając. Michał Walicki. Stefan Morawski. Ignacy Witz. Toeplitz... Niech pan policzy.

Chciałem spytać: — No to co? O co wam chodzi, zacni panowie? Ale już wiedziałem. Chodziło o zmontowanie antysemickiej akcji, a mnie zaszczycono wyborem na tego, kto dzieło rozrusza. Wtedy bardzo dużo pisywałem o sztuce. Nie potrafiłbym dziś określić sensacji, jaką w sobie wówczas poczułem. Straszne zażenowanie. Nie tylko. Moja tolerancja nie obejmuje jednego gatunku ludzkiego: antysemity. Dialektycznym nawykiem zrobiłem w głowie przegląd prostych argumentów. Przycisnąć tych panów nie było trudno. Co by zrobili, na przykład, z absolutną, zagadkową wielkością Mickiewicza, którego matka miała krew żydowską? Tak, jak matki Prousta i Montaigne'a. Również Klaczkę należałoby skreślić z listy mistrzów pióra. I jednego z najlepszych znawców Renesansu włoskiego, Bernarda Berensona, też polskiego Żyda z Litwy, jak Klaczko. Czy z polskiej nauki należałoby wyrugować ludzi tak wybitnych, jak Leon Lichtenstein czy Kazimierz Fajans, Julian Kleiner, Feldman, Handelsman... Rachunek byłby długi.

Już było jasne, że do dyskusji nie dojdzie. Rok wcześniej pilnie zwiedziłem wystawę światową w Montrealu, Expo 67. Jednym z najciekawszych, najbardziej angażujących był pawilon Izraela. Eksponowano tu, w cyklu plansz, makiet i portretów, historię genialności Żydów, w sumie kilkadziesiąt nazwisk, ze wszystkich dziedzin. Każda odmiana pychy etnicznej wzbudza odrazę, jednak ze względu na zagładę i wciąż trwający antysemityzm w różnych krajach, w Rosji, w Polsce, to izraelskie memento demonstrujące skalę ich umysłowości wydało mi się godne podziwu. Towarzyszył mi dziewięcioletni syn. Wpisałem się do księgi pamiątkowej i nakłoniłem chłopca, żeby także swój dziecinny podpis obok położył.

Antysemityzm nie mieści się w żadnych regułach dyskusji. To stan zdrowia. Antysemita, tak samo jak komunista, używa myślenia po zewnętrznej stronie logiki. Nie pamiętam jak się wydostałem z Wiejskiej i czy padły jakieś słowa. Coś z tego zostało na trwałe, dlatego owo nieudane zebranie na Wiejskiej zaliczam do jednego z kryzysów tożsamości. Teraz musiałem sobie gruntownie uświadomić, czym jest dla mnie antysemityzm, obrzydzenie nie wystarczało. Jest on odrzuceniem idei rozszerzonej kultury narodowej, na którą się składa wielkie bogactwo różnorodnych czynników etnicznych. Idei Rządzącej Rzecząpospolitą Obojga, właściwie Wielu Narodów. W tej kompozycji Żydzi byli znakomitą tkanką łączną, roznosicielami dóbr gospodarczych, ale także — informacji o świecie i dóbr kulturalnych. Postawa Surowicza i Ciepłego, z wciąż zmartwychwstającym legionem akolitów, była nie tylko wyrazem tępoty umysłowej, także wyrazem odwrotnego rozumienia narodu, objawem etnicznego fundamentalizmu, któremu służy wszystko, co w ludzkiej naturze samolubne i ciemne.

Drugi epizod miał sens bardziej prywatny. 16 marca 1989 miałem wizytę, jakiej już się nie należało spodziewać: był szczytowy moment Okrągłego Stołu, a Wałęsa ugadywał się z Kiszczakiem. Na inwigilację wydawało się za późno, a jednak odwiedził mnie oficer z SB. Ubek-hobbysta. Telefon u nas nie działał, więc pod zmyślonym nawiskiem (jako redaktor PAP) skomunikował się z moim synem i „w pilnej sprawie" zapowiedział się u mnie już na drugi dzień. Nie mając nigdy żadnych spraw z PAPem, zacząłem podejrzewać, że tak czy owak chodzi tu o politykę. Zjawił się. Około czterdziestki, w pstrokatej ocieplanej kurtce. Wygląd kontrolera tramwajowego, czy inkasenta elektrowni. Pokazał legitymację: porucznik Gałuszko z MSW. Zaprowadziłem go do swego pokoju. Normalnie byłbym bardzo ciekaw tego rodzaju rozmowy i silnie reagowałbym nerwowo. Od paru dziesiątków lat tyle razy forsowałem wyobraźnię rozważaniami, jak by takie spotkanie wyglądało. Jednak była tego dnia pewna okoliczność tłumiąca napięcie. Wstałem bardzo rano, prawie w nocy, żeby jechać na drugi koniec miasta do spółdzielni lekarskiej i w obowiązkowej kolejce wystać dla żony tzw. numerek. Niewyspanie wprawiło umysł w jakiś irrealny nastrój, rodzaj apatii, neutralizującej nerwowość. W tej nierzeczywistej aurze odbyłem nieprawdopodobny dialog z ciekawskim funkcjonariuszem SB, który przedstawił się jako hobbysta, nie chciał zdjąć pstrego waciaka (bo tylko „na chwilkę") i siedział przeszło godzinę.

Był nadzwyczaj rozmowny i uprzejmy, dużo opowiadał o sobie i swoich podróżach. To, z czym się do mnie wybrał, było grubo opakowane w słomę i trociny, kołował, jak Cziczykow gotujący się do swojej propozycji kupienia martwych dusz. Sama tylko uprzejmość ileż miejsca zajmowała w tej kunsztownej strukturze. Więc nie od razu zdradził, na czym jego hobby polega.

— Ja, widzi pan, chciałbym skompletować listę pseudonimów osób, które pisywały w paryskiej *Kulturze* i zamknąć akta sprawy. To już zupełnie prywatnie. Moje hobby, wie pan.

— Pan mnie zwiódł mówiąc synowi, że jest z PAPu — rzekłem obojętnie.

— W naszej pracy... Wie pan, jak to jest.

Nie byłem jego kolegą i nie wiedziałem, jak to jest. Znowu zaczął w bawełnę owijać. Dowiedziałem się, że właśnie kupił album kolekcji Porczyńskich, choć taki drogi. Wybulił jednak te pieniądze. Spojrzał na moje regały z książkami, stojące z przodu i z tyłu, prawie wszędzie. Kiedy ubek decyduje się na używanie uprzejmości, rezygnując ze swoich naturalnych środków i sposobów, jak wytwarzanie aury przymusu, to doprawdy niewiele mu z jego rzemiosła pozostaje. Musiał być wysportowany, jeżeli na takie strome podejście się zdecydował. Siedziałem i czekałem, a on się wspinał. Po albumie zaczął snuć o swoim pobycie w Chinach, wciąż licząc na pytanie, na zaciekawienie, które bardzo by mu się przydało w jego przedsięwzięciu. Mówił nawet jakie są koszty utrzymania w Chinach, a także ile się płaci za wódkę miejscową i zachodnią. Nie chcę w tym miejscu por. Gałuszki urazić, ale nie robił wrażenia orła.

— Domyślam się — powiedziałem — że w pewnej chwili powie mi pan o celu wizyty. A może jednak zdjąłby pan kurtkę?

— Nie, nie. Proszę pana — zaczął — pan przecież jesienią 1987 był w Paryżu. I na pewno pojechał pan do Maisons-Laffitte, prawda?

— Załóżmy, że w Maisons-Laffitte nie byłem.

Ucieszył się.

Załóżmy! Chciałem się dowiedzieć... Bo pan na pewno jest zorientowany.

Jeszcze nie spytał, czy wiem, kim jest PELIKAN — jak w tym momencie sądziłem gromadząc w sobie zimną krew, która nie zawodziła. Błogosławiony brak snu, działa jak zastrzyk. Teraz zrobił, wspólnie ze mną, przegląd wszystkich piszących pod pseudonimami. Zaczynając od Cata, Kisiela, Najdera, Woroszylskiego i innych — aż do Charłampa. Pytanie o PELIKANA ustawiło się w kolejce.

Ale raz jeszcze por. Gałuszko spłynął pod powierzchnię. — Czy nie mógł by mi pan poradzić — zagadnął — co powinienem dać do czytania swojemu synowi, jeżeli chodzi o dzieje Polski międzywojennej? Oni tam w szkołach wszystko poprzekręcali.

Przyniosłem mu z półek Stanisława Kutrzeby „Polskę odrodzoną", którą ZNAK akurat wydał. Zrobiłem to z satysfakcją, uważając, że trafne zagranie — na cienkiej granicy obłudy i prawdy — tym lepsze, że z mojej strony całkowicie szczere. Niech tę prawdziwę historę Polski kupi swojemu synowi: w końcu nie jest zupełnie pewne, że jej nie kupi. Zmarkotniał jakby, że i ta kwestia nie przybliżyła go do celu, po czym, jak sądzę, machnął ręką na ogródki i taktykę.

— A nie wie pan — spytał tonem jakbyśmy ciągnęli temat edukacji synów — a nie wie pan, kto to jest PELIKAN?

Wtedy jeszcze na moim subiektywnym zegarze nie wybiła godzina samorozszyfrowania, z poczuciem bezpieczeństwa jest tak, jak z poczuciem humoru, każdy ma swoje. W tamtym czasie wielu już zdradziło swoje pseudonimy, ale ja swojego broniłem. Nieproszony gość nie wydał mi się partnerem do konfidencji. Nie wiem, odpowiedziałem. Owszem, przypominam sobie artykuły PELIKANA, które zawsze mnie odstręczały przygnębiającą tonacją. Ale dawno to czytałem, wrażenia są zamazane...

To już drugi raz zdarzała mi się tego rodzaju konfrontacja z PELIKANEM — za pośrednictwem trzeciej osoby. Przyjechała z Montrealu starsza pani, i przypominam sobie, kiedy jechaliśmy wśród głębokich borów Pojezierza Drawskiego, w stronę starego Połczyna, padło pytanie: A nie wiesz kim jest PELIKAN z *Kultury*? Ja nie mogę go czytać, to takie rozpaczliwe. — Był to chyba rok 1972: nie wolno mi było powiedzieć prawdy, kobiety zbyt chętnie dzielą się nieswoimi sekretami. Poczułem się wtedy, jakbym był przedmiotem, lusterkiem odbijającym skośne światło.

Porucznik musiał się zgodzić na moje milczenie, bo takie sam sobie stworzył reguły gry, wybitnie dlań niekorzystne, a to był znak czasu. Wprosił się do mnie rzekomo prywatnie, pochwalił ducha Okrągłego Stołu — nie mógł teraz na mnie wrzasnąć: — My wiemy, kto to jest PELIKAN! Mamy analizę jego stylu. Może by w takim wypadku zaczął mnie tykać. Ale nie mógł. Gdy odchodził, poczułem nawet coś w rodzaju współczucia. Spytałem serio: — Proszę mi jedno powiedzieć. Czy dowiedział się pan tego, co pozwoli zamknąć akta?

— Tak — rzekł z ociąganiem. — Ale nie całkiem.

Doprawdy, to wyglądało na szczerość. Niemal chciałem go klepnąć po plecach i powiedzieć, że mi przykro, *sorry*. Teraz od dwóch lat ob. Gałuszko ma już swoje akta zamknięte (może gdzieś schowane, na wszelki wypadek). Po tej wizycie zapanował w domu nastrój jakby uroczysty, nie bez — przez kilka tygodni — nudy oczekiwania na ciąg dalszy. Liczyłem się z tym, że mogą przyjść jeszcze inni hobbyści, tym razem we dwóch, jak każe regulamin. Od dwudziestu lat nieraz się zastanawiałem, jak funkcjonowały grypsy PELIKANA w papierach pracowników SB i tyle się dowiedziałem, że funkcjonowały. Mojej osobistej biografii przybyło punktów odniesienia.

Jak niezręcznie jest operować w literaturze pierwszą osobą. Wciąż ten szkopuł. Chcę przyznać się do domowego przesądu. U mnie w rodzinie każdego 18-tego ważniejsze działania odkłada się na potem. Nie bierzemy samochodu. Rzeczywiście, co pewien czas, zawsze 18-tego zdarzają się nam kraksy, fatalne pomyłki, a wszystko zaczęło się od autentycznego nieszczęścia — pewnego 18-tego w trzecim roku okupacji. Doszło wtedy do tragicznej strzelaniny, aresztowań i obozu koncentracyjnego. Gdy 19 sierpnia tego roku, z rana, dowiedziałem się o puczu w Moskwie, pomyślałem natychmiast, że musiał się zacząć w przeddzień, 18-tego sierpnia — i rzeczywiście tak było. Jak opowiada sekretarz osobisty Gorbaczowa, historyk Anatolij Czerniajew, willa na Krymie została obstawiona wojskiem już w niedzielę, 18-tego. Wtedy też zjawili się tam Bołdin, Bakłanow i Szenin, namawiając Gorbaczowa do udziału w zamachu. W nocy

18-tego redagowano w Moskwie Dekret nr 1, o wprowadzeniu stanu wyjątkowego, po czym szef telewizji, Krawczenko, zaniósł to do studia. Wiadome grono, Janajew, Pugo, Jazow, Pawłow i Kriuczkow, raczyło się równocześnie koniakiem. Na pierwsze posiedzenie rządu premier Pawłow zjawił się pijany. Przed aresztowaniem Janajewa trzeba go było najpierw wytrzeźwić.

Mnie z rodziną wiadomość trzepnęła w pięknej i w owych dniach słonecznej Juracie, nad Bałtykiem. Co tu mówić: zwalił się na nas strach — coraz większy w ciągu dnia i powoli ustępujący nazajutrz. Według normalnego w Sowietach porządku rzeczy można się było spodziewać najgorszego. Fatalna 18-tka dawała znać o sobie, jednak w innej niż przedtem skali, uniwersalnej. Jak to jest z tym swoistym, niemal domowym strachem w Polsce, który, jak można było sądzić, po 45 latach wycofał się na zasłużony spoczynek? Nie, wciąż jest w nas obecny potencjalnie, płytko ukryty pod skórą, gotów każdej chwili. Parokrotnie schodziliśmy z plaży, żeby w domu nastawić przenośny telewizorek.

Trzeba było coś zrobić. Jeszcze nie zdecydowani wracać do Warszawy, pomyśleliśmy o uzupełnieniu paliwa. Najbliższa stacja benzynowa znajduje się w Jastarni. Otóż o 13-tej już tam paliwa nie było. Kolejka ustawiła się od rana i wykupiono co do kropli. Również olej napędowy, o który nam chodziło. Więc jednak większość właścicieli samochodów uznała, że półwysep leży zbyt blisko granicy sowieckiej i Kaliningradu. W miasteczku przerzedziło się. Zajrzałem do kasy na stacji kolejowej. — Nie, nie ma biletów, zresztą wszystkie były od dawna zarezerwowane. Dziś ludzie przychodzili, więc wywiesiłam kartkę — rzekła urzędniczka o fizjonomii młodej Ćwiklińskiej z lat trzydziestych.

Ciekawym psychologicznie współczynnikiem paniki (*nota bene*, nie objęła ona sklepów) było słońce. Powietrze nie przestawało falować niewidzialnym pyłem, w dalszym ciągu gładził twarze wiatr słoneczny. Była w tym wielka, zadziwiająca niestosowność. Jak tu się pogodzić z tym jawnym paradoksem! Spoglądałem z pretensją na biały piasek na plaży. Tego rodzaju obojętność słońca na nieszczęście kłóciła się z jego radosną naturą, z samą istotą światła. Ale to było po prostu mylne równanie, ustalone w chwili beztroski. Należało wycofać się ze starego hasła permanentnej czujności, które obowiązywało przez dziesięciolecia. Katastrofa najchętniej się zbliżała w czasie odpoczynku.

Ale nie chodzi mi tutaj o analizę i opis strachu, tylko o to, czym on — niespodziewanie — zaowocował. Na popłoch się nałożyło, nie od razu może uświadamiane, uczucie nie do zniesienia: żal za tym, co katastrofa zlikwiduje, za życiem dotychczasowym, takim, jakie było od dwóch lat. Za jednym zamachem

upadły wszystkie negatywne oceny tego życia i traciły sens urągliwe sądy na jego temat. Nie ma skuteczniejszego katalizatora poglądów na otaczającą rzeczywistość, niż lęk przed zapadnięciem się tej rzeczywistości, przed jej anulowaniem. W tym specyficznym polskim strachu zawarte więc było polskie *katharsis*. Otworzyły się oczy, przypuszczam, nawet ludziom najgorliwiej wyznającym koncepcję klęski i niemożności. Przynajmniej na te dwa dni odzyskali oni normalne funkcje wzrokowe, bo trzeciego dnia impuls lęku przestał działać, farsowe elementy zamachu w Moskwie stały się nazbyt jawne. Można wystąpić z tezą, że gdyby poroniony pucz został tam zmajstrowany nie w sierpniu, tylko tuż przed 27 października, to byłaby u nas inna frekwencja i inne rezultaty wyborów. Widmo katastrofy, do której w końcu nie doszło, miało swoje cechy i wymiary, można je zbilansować. Bo za czym, w istocie, byliśmy wtedy gotowi rozpaczać? Za tą Polską spartaczoną przez własnych polityków, za tą polityką bez charakteru i wielkości, za niedostatkiem i moralną biedą?

To nie są urojenia. Jeszcze raz zróbmy szacunek. Rzuca się w oczy brak sił i woli społecznej konsolidacji wokół spraw najważniejszych, wokół kanonu wartości. Albo inaczej, idąc za André Glucksmannem, z jego ostatniej książki: niedostrzeganie konieczności skonsolidowania się przeciw oczywistemu złu. „Jasna i zbiorowa świadomość tego, czego się nie chce, jest źródłem ogromnej siły". Nawet tej negatywnej siły u nas nie widać. Co aż za dobrze widać, to groteskowe zapały amatorskich polityków do władzy, choćby do powąchania władzy. Te gęby za lud krzyczące! — jak się wyraziła pewna dziennikarka. Kłamstwo i oszczerstwo jako główne filary retoryczne tzw. języka politycznego, który nie powinien mieć nic wspólnego z polityką, jeżeli tego pojęcia i zajęcia nie utożsamiać ze zwykłym nadużyciem. Co tkwi takiego w polityce, że wciąga ludzi jak spust zlewu mętną wodę? Odnosi się wrażenie, że setki osób tylko czekają, aby się pozbyć wyuczonego zawodu i zaciągnąć się do polityki, założyć partię, czy raczej imitację partii. Czyżby zamiłowanie do wyuczonej pracy było tylko pobożnym życzeniem belfrów, którzy nas tym nudzili w szkołach? Wielu z tych ochotników ma piękne profesje zdobyte drogą żmudnego kształcenia: są to profesorowie, historycy, prawnicy, lekarze, absolwenci politechniki, ekonomiści, ale i aktorzy, publicyści i pisarze, jest nawet polityk, którego można uznać za najlepszego, w skali światowej, znawcę Conrada. Co ten fatalny pęd oznacza? Pewien jestem, że ma to socjologiczne związki z miłym nam kultem niekompetencji i z zakorzenionym dyletantyzmem.

Szokuje w tym kraju *quasi*-powszechna niezaradność w nowych warunkach — uzyskanej w końcu wolności, dramatyczna

nieumiejętność jej wykorzystania. Chłop chce, aby nim — bez mała — po staremu sterowano, żąda kontroli cen i gwarancji zbytu, w ogóle szczelnej opieki. Reprezentanci chłopscy, choć hasła antykomunistyczne z gąb im nie schodzą, uparcie kwestionują każdy sposób odchodzenia od mechanizmów bolszewickich. Na swoim podwórku to samo czyni przedstawicielka robotników, „Solidarność", domagająca się utrzymania rujnujących fabryk-kolosów. „Solidarność" uwolniona od ciążących jej wysokich celów państwowych macha sztandarami rewindykacji. Zewsząd słychać aksjomat logicznie karkołomny: to my obaliliśmy komunę, a nic z tego nie mamy! Dla wszystkich grup społecznych państwo — jak za komunistów — pozostaje przeciwnikiem. To najbardziej przygnębiająca okoliczność w obrazie otaczającego nas stanu rzeczy.

Mimo to wszystko — jakże szokowała wtedy w Juracie myśl, że wskutek prawdopodobnego obrotu rzeczy w Moskwie ta karykaturalna demokracja polska mogłaby być odwołana, jak fałszywy alarm, jak kurs waluty. Mimo wszystkich swoich wierutnych głupstw i pomyłek! Skóra cierpła wobec perspektywy znalezienia się znowu w sytuacji, kiedy już nie będzie kogo oskarżać o błędy i winy, nie będzie komu wygrażać za jego nieudolność, bo znikną, by tak się wyrazić, gramatyczne warunki wszelkiej krytyki: jej podmiot i przedmiot. Słowem, pojawiło się wtedy nowe i jasne jak dzień kryterium osądzania polskiej szamotaniny o przyszłość. Stało się nagle jasne, że nie brakuje powodów do żałowania tej Polski, również w jej formach nieudanych — że to rzecz bezcenna, dokładnie jak zdrowie: ile je trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto je stracił. W zaalarmowanej wyobraźni ukazały się znajome koszmary. W miastach i wsiach znowu tłumy w kolejkach, które są przywilejem bolszewizmu pod każdą szerokością geograficzną i w każdym kontekście narodowym. Które są fenomenem nie mniej upokarzającym, niż wykrzywiająca świat nowomowa pism i przemówień, a zniewalającym tak samo skutecznie, jak cenzura i hegemonia politycznej policji. Czy życie jeszcze raz ma się skurczyć wedle tamtych norm powszechnej degradacji, które umniejszają człowieka w każdym jego wymiarze, w całej jego wewnętrznej i zewnętrznej przestrzeni!?

Trzeciego dnia przestaliśmy się bać. Wielka ulga. W moim rodzinnym kalendarzu pechowa 18-tka zmieniła sens. Przecież, gdyby nie ten pucz, w Rosji sowieckiej na pewno jeszcze przez następną dekadę reperowano by socjalizm, z całą beznadziejnością tego programu i złą wolą. Szkoda, że nie mam wpływów w radzie pokojowej nagrody Nobla: zaproponowałbym przyznanie

tej nagrody alkoholikom z Komitetu Stanu Wyjątkowego, którym pucz (wciąż niejasne dlaczego?) tak zupełnie nie wyszedł. Nastrój wielkiej ulgi sprzyjał paradoksom.

Gdy tożsamość przestaje być zagrożona — jak dobrze jest znowu zająć się jej skomplikowaną istotą. W chwilach wątpliwości otwieram Ciorana, co może zakrawać na kolejny paradoks. Nie. Jego perfekcyjny pesymizm, wyrażony w doskonałej francuszczyźnie Pascala czy Chamforta, ma właściwości lecznicze, tak jak dozowana trucizna. Cioran to stan, rodzaj bycia, a nie pogląd na byt. Chciałoby się dodać, że tak, jak natura, Cioran nie znosi przymiotników. Pustelnik, asceta deprecjacji. Ale lektura jago aforyzmów stanowi wyprawę do niezmiernie oddalonego punktu, skąd powrócić można tylko do równowagi.

Tout ce qui nous incommode permet de nous définir. Sans indispositions, point d'identité. Chance et malchance d'un organisme conscient. To w gruncie rzeczy pozytywne, pozbawione pierwiastka deprecjacji. „Wszystko, co nam dolega, pozwala się nam określić. Bez niedomagań nie ma tożsamości. Szczęście i nieszczęście organizmu świadomego".

Tą myślą posługując się pośrednio, przekładając ją na język polityki, który Cioran uznałby za trywialny, co mnie już nie obchodzi — sądzę, że tożsamość jest sprawą kluczową nie tylko dla jednostek, ale w tym samym stopniu dla narodu i państwa. Poczucie tożsamości uzyskuje się za cenę niepowodzeń i niedomagań. W takim razie w Polsce było za mało tych niepowodzeń, tych nieszczęść — bo z identycznością Polski jest coraz gorzej. Jest to społeczeństwo rozbite i rozkołysane, jakby się czuło nie na miejscu i nie na czasie. W głowach jałowy szum, jak w muszli. Co trzeci ankietowany Polak nie wie, co znaczy data 11 listopada. Nastąpiło zmętnienie tego społeczeństwa. Miało ono twarz w 1980 i w 1981. Miało ją w 1989. Widocznie nie można było zbyt długo zachować twarzy, bo od tego czasu zaczęła się zacierać.

Dziś największym zadaniem jest zbudowanie cywilizacji — w miejsce zamętu. Zaczynając od samej idei cywilizacji, przy czym nie chodzi o jej słownikowe znaczenie. Rozumiem cywilizację jako siłę tworzącą godność i rozum społeczeństwa autentycznie demokratycznego. Społeczeństwo dopiero wtedy staje się cywilizacją, gdy już się zdobędzie na wychowanie jednostek zdolnych je krytykować, nawet je porzucić. Ale to jest jeden brzeg tego pojęcia. Z drugiej strony — społeczeństwo staje się cywilizacją wtedy, gdy adoptuje wiarygodną ideę państwa, które przestało być jego przeciwnikiem, bo jest już jego formą.

Wielu rzeczy w Polsce brakuje, ale najsilniej odczuwam brak powszechnej akcji edukacyjnej. Nie ma potrzeby dowodzić jej niezbędności i pilności. Po wyjściu z tamtej nieprawdziwej

struktury, jaką była PRL, po wydostaniu się z tamtej kolosalnej fałszywki — jeszcze nie weszliśmy w inną, autentyczną strukturę, znajdujemy się w interfazie, bez równowagi i bez konsystencji. Planowa, troskliwa, na wielu poziomach (szkoły, uniwersytety, środki masowego przekazu) edukacja mogłaby umocnić społeczeństwo, zaradzić jego rozkołysaniu i spowodować jego krystalizację. Współczesna technika informacji daje pracom wychowawczym szansę jakich kiedyś nie było. Połowa czasu radiowo-telewizyjnego, poświęcona dziś na rzeczy bez wartości, powinna być oddana w ręce ludzi inteligentnych i dalekowzrocznych, a dobrze rozumiejących patos tego okresu: wzorcem takiej osobowości jest Jan Nowak-Jeziorański. Niech ci ludzie wytłumaczą, kim jesteśmy i gdzie jesteśmy, a kim i gdzie powinniśmy być. Dla tego programu wychowawczego należałoby znaleźć styl i całą dramaturgię, taktykę, strategię i logistykę. Tradycja KORu może pomogłaby w znalezieniu sposobów szerokiego docierania do ludzi. Jak stary Baryka o Szklanych Domach marzę o Wszechnicy, gdzie wykładano by, jaką siłą może być odzyskane, zrewaloryzowane poczucie tożsamości.

Zbigniew FLORCZAK

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE JÓZEFA MACKIEWICZA

Ostatnio znów powtarzają się publiczne wystąpienia osób, które zniesławiają dobre imię pisarza Józefa Mackiewicza (sygnowane m.in. przez: Władysława Bartoszewskiego, Cezarego Chlebowskiego, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Grzegorza Mazura, Adama Michnika, Mariana Stępnia, Romana Koraba-Żebryka — *Polityka* nr 35 i 39/91, *Więź* nr 6/91, *Nowe Książki* nr 9/91). Powtarzane są oskarżenia o rzekomą kolaborację z Niemcami w czasie wojny — nie bierze się jednak pod uwagę dowodów i zeznań świadków broniących Mackiewicza. Zmarłego pisarza znów stawia się „pod pręgierzem" nie unikając języka inwektyw. Znamienna jest wypowiedź Adama Michnika (*Nowe Książki*, nr 9): „I kiedy kilka lat temu w podziemiu okazało się, że Mackiewicz jest najbardziej poczytnym pisarzem, to pomyślałem, że ci, którzy go gloryfikują, którzy intelektualizują jego tępy zoologiczny antykomunizm, biorą na siebie jakąś odpowiedzialność za barbarzyńskie schamienie, które teraz nadchodzi".

Protestujemy przeciwko podobnym przejawom braku kultury polemicznej.

Zainteresowanych rzetelną polemiką w obronie Mackiewicza odsyłamy do dwóch książek: „Rok myśliwego" Czesława Miłosza — Instytut Literacki, Paryż, 1990 i „Ptasznik z Wilna" Jerzego Malewskiego (Włodzimierza Boleckiego) — „Arka", Kraków, 1991.

Zwracamy jednocześnie uwagę, że ataki na Józefa Mackiewicza zaciem-

niają obraz kolaboracji z okupantem sowieckim — w różnych okresach ostatnich kilkudziesięciu lat, począwszy od 17 września 1939 roku, do ostatnich dni PRL. Negując postawę moralną człowieka, który za cel życia postawił sobie walkę z komunizmem — zarzucając mu „zoologiczny antykomunizm" i zdradę — oponenci Mackiewicza uchylają się od rzeczowej polemiki z poglądami pisarza. Zapominają o postawach Polaków, którzy współtworzyli i wspierali system dyktatury komunistycznej w naszym kraju.

Warszawa, listopad 1991 r.

Marek NOWAKOWSKI, Jarosław Marek RYMKIEWICZ, Jacek TRZNADEL, Janusz SŁAWIŃSKI, Janusz ANDERMAN, Czesław BIELECKI, Włodzimierz ODOJEWSKI, Kazimierz ORŁOŚ, Jerzy GIEDROYC

W OBRONIE ŚP. BRONISŁAWA PRZYŁUSKIEGO

Są książki, do których czytelnik się nie spieszy i dopiero przez przypadek, po latach, trafiają do jego rąk. Tak się stało ze wspomnieniami Czesława Bednarczyka z londyńskiej Oficyny Poetów i Malarzy („W podmostowej arkadzie", 1988), które nie zachęcały do czytania, choćby dlatego, że p. Bednarczyk, emigrant „geograficzny" nie ideowy, znany był z nieżyczliwości wobec ludzi, a zwłaszcza wobec emigracyjnych „niezłomnych" tak źle kiedyś widzianych przez reżim.

Gdy teraz zwrócono nam uwagę na pewne ustępy w tej książce, potwierdziły one, że autor rzeczywiście prawie wszystkich nie lubi, co budzi pewne podejrzenia: czyżby tak trudno było komukolwiek utrzymywać z nim dobre stosunki?

Ci, co żyją, jakoś stosunkowo łatwo poradzili sobie ze złośliwościami, oskarżeniami czy prostackimi impertynencjami p. Bednarczyka. Nie można jednak pozwolić, by korzystając z tego, że pisze o zmarłym, który sam nie może się bronić, stawiał mu on zniesławiające zarzuty.

Bronisław Przyłuski, żołnierz i poeta, człowiek szlachetny, prostolinijny, o prawdziwie chrześcijańskiej skromności, określony został przez Bednarczyka jako „rozrabiacz i intrygant prawie w każdym środowisku, w którym się tylko pojawił".

Na próżno by szukać świadków na potwierdzenie tych zarzutów, czy wśród współmieszkańców Przyłuskiego w sławnym Domu Pisarza w Londynie, gdzie tuż po wojnie znaleźli się młodzi pisarze po wyjściu z obozów i z wojska, czy potem w polskim szpitalu dla nerwowo chorych w Mabledon, gdzie przez parę lat pracował z pacjentami jako terapeuta, czy wśród kolegów w Radio Wolna Europa, czy w pismach emigracyjnych, z którymi współpracował.

Za swoją opinię o Przyłuskim mógłby p. Bednarczyk odpowiadać przed sądem, gdyby Przyłuski żył. Dzisiaj, gdy go już nie ma, obowiązkiem przyjaciół i tych, co go dobrze znali, jest wziąć go w obronę przed kłamliwymi i małodusznymi zarzutami wspominkarza OPiM.

Lidia CIOŁKOSZOWA, Stefania KOSSOWSKA, Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI, Jerzy GIEDROYC

Nagrody „Kultury" za r. 1991

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: TADEUSZ WYRWA

Tadeusz Wyrwa urodził się w 1926 roku w Warszawie. Podczas okupacji niemieckiej bierze udział w ruchu podziemnym na terenie woj. kieleckiego, początkowo jako łącznik w placówkach organizowanych przz Furgalskiego z ramienia majora Hubala, później jako członek dywersji i następnie jako partyzant oddziału „Starego", który — w 1944 roku — wszedł w skład 25 pułku AK.

W styczniu 1945 zostaje rozbrojony przez wkraczające wojska sowieckie i uwięziony najpierw w Końskich a później w Łodzi, skąd — po sześciu miesiącach — ratuje się ucieczką. W marcu 1947 opuszcza Polskę i przedostaje się do Niemiec Zachodnich.

Po dwuletnich studiach prawa w Kilonii wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, skąd udaje się następnie, w 1952 roku, do Madrytu, gdzie kończy studia uniwersyteckie, w 1958 roku otrzymuje stopień doktora nauk politycznych (specjalizacja prawa międzynarodowego). W 1960 roku zostaje doktorem nauk politycznych P.U.N.O. w Londynie; w 1963 doktorem prawa Uniwersytetu Paryskiego, a w 1968 roku doktorem „Lettres et Sciences Humaines" na Sorbonie.

Pracuje w Centre Nationale de la Recherche Scientifique — odpowiednik Polskiej Akademii Nauk — w charakterze dyrektora studiów, status profesora uniwersytetu.

Jest autorem następujących książek:

„W cieniu legendy Majora Hubala", Oficyna Poetów i Malarzy (OPM), Londyn 1974, str. 126.

„Prasa konspiracyjna w imieniu Polski Walczącej 1940–1945", OPM, Londyn 1984, str. 137.

„Historyk na obczyźnie a najnowsze dzieje Polski", OPM, Londyn 1986, str. 31.

Współautor:

„Wybór prac nadesłanych na Konkurs imienia Józefa Wyrwy (pseudonimy Furgalski, Stary), ogłoszony dla uczczenia 30-tej rocznicy zakończenia działań oddziałów partyzanckich", OPM, Londyn 1977.

„Le Mexique", Librairie Générale de Droit et de Jurisprudence (L.G.D.J.), Paryż 1969, str. 367.

„La Gestion de l'entreprise socialiste. L'Expérience polonaise", L.G.D.J., Paryż 1970, str. 220.

„Les Républiques andines (Bolivie, Chili, Colombie, Equateur, Pérou, Venezuela", L.G.D.J., Paryż 1972, str. 644.

„La Pensée politique polonaise à l'époque de l'humanisme et de la Renaissance (Un apport à la connaissance de l'Europe moderne", Księgarnia Polska w Paryżu i OPM 1978, str. 684.

„La Résistance polonaise et la politique en Europe", France-Empire, Paryż 1983, str. 590.

„L'idée européenne dans la Résistance à travers la presse clandestine en France et en Pologne 1939-1945", Nouvelles Editions Latines, Paryż 1987, str. 237.

T. Wyrwa od lat współpracuje z *Zeszytami Historycznymi.*

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: WŁODZIMIERZ BOLECKI (JERZY MALEWSKI)

Czterdziestoletni Włodzimierz Bolecki (używający także pseudonimu Jerzy Malewski) jest absolwentem Wydziału Filologii Polskiej UW i pracownikiem Instytutu Badań Literackich PAN. Zadebiutował książką o Berencie, potem napisał książkę o prozie międzywojennego dwudziestolecia. Dał się szerzej poznać, jako Jerzy Malewski, dzięki dwóm niewielkim książkom, *Widziałem wolność w Warszawie* oraz *Jedynie prawda jest ciekawa.* Zwłaszcza druga, szkice do portretów kilku współczesnych pisarzy polskich, była bardzo poszukiwana przez czytelników (ukazała się w drugim obiegu nakładem Oficyny Wydawniczej Pokolenie). Prócz świetnej i żywej inteligencji, Bolecki odsłonił w niej swój pazur polemiczny w szkicach o Konwickim i Zagajewskim. Książkę otwierał szkic tytułowy *Jedynie prawda jest ciekawa*, o

Józefie Mackiewiczu. Dziś można go uznać za „wprawkę", za przygotowanie do *opus magnum* Boleckiego, czyli do *Wyroku na Józefa Mackiewicza* (w skróconej wersji *Pulsu*) i do *Ptasznika z Wilna* (w pełnej, pięćsetstronicowej wersji *Arki*).

Wyrok na Józefa Mackiewicza jest owocem długoletnich, także archiwalnych w Wilnie i we Lwowie, poszukiwań Boleckiego. Teza książki pokrywa się w dużej mierze z wnioskami, do jakich doszedł Miłosz w swoim pięknym eseju o Mackiewiczu *Koniec Wielkiego Xięstwa*, drukowanym przed dwoma laty w *Kulturze.* Bolecki napisał pełną pasji i pasjonującą mowę obrończą, za którą przed wojną przysługiwałby mu tytuł „księcia palestry". Ale nie jest to mowa obrończa stuprocentowo apologetyczna; nie brak w niej uwag krytycznych i sumiennie wyrażonych wątpliwości. Boleckiemu chodzi przede wszystkim o wyrwanie Mackiewicza z rąk fanatyków „patriotycznego lynczu", o zrozumienie racji i pobudek postępowania — choćby wysoce kontrowersyjnych, a niekiedy nawet niemożliwych do przyjęcia — jednego z najwybitniejszych współczesnych prozaików polskich. Dobrze wiadomo jakie Mackiewicz miał przywary i jakie popełniał błędy, nie przeszkadza to jednak potrzebie wymierzenia mu sprawiedliwości autentycznej, dalekiej od pochopnego wyroku śmierci najpierw, a później nieustannego ostracyzmu ze strony jego przysięgłych wrogów. To właśnie zrobili Bolecki-Malewski na dużą skalę, Miłosz na mniejszą.

Ostatnią wydaną (w *Plejadzie*) pozycją Boleckiego, wnikliwego i subtelnego krytyka literackiego, jest niewielki objętościowo tom *Ciemny Staw — Trzy szkice do portretu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.*

Ci, co odeszli

Wspominając Kisiela

Najpierw ustalmy sytuację:

W ostatnich plus minus piętnastu latach Kisiel w czasie swych podróży na Zachód, gdy znalazł się w Monachium, mieszkał regularnie u mnie. Włóczyliśmy się wtedy także po Alpach i po różnych miastach RFN i Austrii. Nie było to odnowienie przelotnej znajomości przedwojennej, ale raczej w niekończących się rozmowach wspominanie wspólnych przyjaciół z owych zamierzchłych lat. Niepostrzeżenie a szybko Kisiel stał się jednym z kilku moich najbliższych przyjaciół. Co nie znaczy, aby było odwrotnie, abym ja stał się jednym z jego najbliższych. Byłem mu po prostu bliski, wiedział, że może na mnie liczyć, że może opowiadać mi na gorąco o swoich bezpośrednich wrażeniach z rozmów z ludźmi z Radia Wolna Europa, formułować o nich na gorąco pierwsze oceny, robić kawały. Była to — jakby o dobre sześćdziesiąt lat spóźniona — przyjaźń sztubaka. Chodziliśmy po knajpach i piwiarniach, a także schroniskach w okolicy Garmisch-Partenkirchen. Najczęściej on fundował mnie — względnie skromnie zarabiającemu „wolnemu strzelcowi" w radio — ze swoich nagród zagranicznych i zagranicznych honorariów w prasie czy radio szwajcarskim lub niemieckim. Chodziliśmy oczywiście w Alpy już niewysokie, bo przecież obaj byliśmy po siedemdziesiątce.

Przez lata organizowałem dla Kisiela spotkania z redaktorami Wolnej Europy i różnymi działaczami emigracyjnymi. Najczęściej u mnie, w mieszkaniu przy Hompeschstrasse nad Izarą, gdzie w mojej wielkiej piwnicy była też centrala wysyłania zakazanych książek i czasopism do Polski. Czasami budziło to niepokój radiowych kolegów, ale nigdy Kisiela.

Na jednym z takich spotkań był także nasz dawny kolega redakcyjny, profesor Wiktor Sukiennicki, wybitny sowietolog, współpracownik słynnego Hoover Institute kalifornijskiego uniwersytetu w Stanford. Sukiennicki miał zawsze ze sobą taśmy magnetofonowe i nagrywał wszystkie swoje ciekawe spotkania. Zbiór ponad

pół tysiąca tych kaset przekazał w testamencie Instytutowi Hoovera. Może on być także bezcennym źródłem poznania wielu poglądów Kisiela.

Kisiel mówił wtedy u mnie o stosunkach polsko-rosyjskich, dyskusja była bardzo zagorzała. Wykładał powstającą wtedy swoją głośną koncepcję konieczności bezpośredniego porozumienia się społeczeństwa polskiego z decydentami na Kremlu, ponad głowami biurokratów partyjnych. Sukiennicki — zawsze antyendecki — powiedział, że Kisiel stał się endekiem, powtarza czy przerabia na swoją modłę Dmowskiego. Kisiel oponował mówiąc, że trzeba być realistą, szukać konkretnych rozwiązań trudnych sytuacji politycznych bez utraty twarzy ani interesu narodowego.

Jak później opowiadał mi Kisiel, jego koncepcją, dość głośną wtedy w Polsce, zainteresował się minister Kiszczak. Kiedy Kisiel — po ósmej bodajże — kolejnej odmowie paszportu na wyjazd na Zachód napisał do Kiszczaka, iż rezygnuje z dalszego składania podań, minister wezwał go do siebie i zawiadomił, że polecił wydać mu paszport. No i dłuższa rozmowa na temat porozumienia polsko-sowieckiego ponad głowami obu partii. Kiszczak — tak mi opowiadał Kisiel — powiedział: „Pański pomysł jest bardzo ciekawy, ale cała trudność leży w tym, że nie zna Pan numeru właściwego telefonu na Kremlu". Kisiel przyznał, że była to najbardziej trafna krytyka jego pomysłu.

Chyba też w tej rozmowie Kiszczak powiedział Kisielowi, że on i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wiedzą doskonale, że na Zachodzie Kisiel jak zwykle będzie spotykał się z ludźmi z Wolnej Europy czy rządu londyńskiego. A Kisiel: „A z kim mam się tam spotykać, z PZPR-owcami? Widuję ich dosyć w Polsce i nie mamy już o czym rozmawiać". Na to Kiszczak: „Wiemy, że Pan jest dostatecznie wyrobiony politycznie, aby wiedzieć, co mówić, a czego nie, a przynajmniej uprzedzać, czego Pańscy przyjaciele nie powinni powtarzać na falach Wolnej Europy".

Dzięki dziesiątkom spotkań z Kisielem w naszych mieszkaniach i restauracjach, radiowcy w Monachium, pracownicy *Kultury* w Paryżu, przedstawiciele rządu emigracyjnego w Londynie znali doskonale atmosferę codziennego życia publicznego w PRL, śmiesznostki i słabostki działaczy politycznych zarówno partyjnych, jak opozycyjnych. I chyba nikt nigdy nie ucierpiał z powodu tych niedyskrecji Kisiela.

Przez długie lata Kisiel ogłaszał w *Kulturze* paryskiej i Instytucie Literackim Giedroycia swoje artykuły i książki pod różnymi pseudonimami. Powieści Stalińskiego (tak brzmiał jeden z jego pseudonimów) odtwarzały bieżącą rzeczywistość PRL. Materiał Kisiel czerpał głównie z obserwacji. Ale w jednej powieści uzupełnił ją — jak mi powiedział — także fantazją. W „Przygodzie warszawskiej" postać protagonisty Antoniego, który z uczciwego człowieka po paru pobiciach, prowokacjach, leczeniu psychiatrycznym itd. podpisuje zgodę na donoszenie do UB — Kisiel uzupełnił wyobraże-

niem sobie, jak bym ja, gdybym żył w PRL, został przemielony przez UB. Chciał pokazać, że w nienormalnych warunkach prawie każdy normalny człowiek musi się jakoś załamać.

Kisiel bardzo głęboko przeżył tragiczną śmierć ukochanego syna Wacka. Wkrótce potem będąc u mnie przeczytał głośną książkę Ojca Bocheńskiego „Sto zabobonów". Ojciec Innocenty — jak wynika z uważnej lektury — nie podziela poglądu wielu teologów i ogromnej większości zwykłych wierzących, że życie pośmiertne będzie jakby kontynuacją życia doczesnego, że odżyją w niebie dawne miłości — małżeńska, rodzicielska czy synowska. Wstrząsnęło to boleśnie Kisielem, chociaż sprawa nie jest tak jednoznaczna.

Może dlatego po śmierci swej żony, pani Lidii, mawiał że ich związek opierał się nie tylko na wzajemnej miłości, lecz przede wszystkim na Jej wyrozumiałej dobroci. Kiedy pani Lidia opuściła go na zawsze, po paru tygodniach Stefan Kisielewski odszedł, aby przekonać się, czy więzy rodzinne odżywają w zaświatach.

Włodzimierz SZNARBACHOWSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Książki

„Memuary" wirują po planecie

Ująłem słowo memuary w cudzysłów, bo mam na myśli wspomnienia sowieckich działaczy politycznych. Malowniczy zwrot „wirują po planecie" zaczerpnąłem z gazet sowieckich. Odpowiada on rzeczywistości: ostatnia (tzn. ostatnia wydana) książka Michaiła Gorbaczowa ukazała się równocześnie w dwudziestu krajach. Zacznijmy od stwierdzenia, że wspomnienia Edwarda Gierka cieszyły się w Polsce ogromnym powodzeniem, a nie widziałem jeszcze (może przeoczyłem) ani jednego ich tłumaczenia na język obcy. Książki Gorbaczowa, Jelcyna, Szewardnadze i in. nie budzą niczyjego zainteresowania w b. ZSSR, natomiast tłumaczone są na wszystkie języki świata. Jest to objaw syndromu Monizy Clavier, że pozwolę sobie posłużyć się tytułem proroczego opowiadania Sławomira Mrożka. Jeśli przybysz ze Wschodu ma zdobyć powodzenie, musi pochodzić z Sowietów (albo post-Sowietów).

Zdarzały się oczywiście i wcześniej sensacyjne książki z „krainy wiecznych lodów". Na przykład wspomnienia Chruszczowa. Ale nie odnosiły prawdziwego sukcesu czytelniczego. We Francji np. po pierwszym tomie, który nie wzbudził zainteresowania, drugiego już nie przetłumaczono. Pierwszym „pamiętnikarzem", który natychmiast po wydaniu trafił na listę *best-seller*'ów był Leonid Breżniew. On pierwszy sporo zarobił na korzystnej sprzedaży „swojej" twórczości zagranicznym wydawcom. Ale to była oczywiście kaszka z mlekiem w porównaniu z honorarium za znane na całym świecie *opus Pieriestrojka. Nowe myślenie polityczne dla kraju i świata* Michaiła Gorbaczowa, którym uszczęśliwił ludzkość w 1987 roku. Na roku 1990 wycisnęły piętno *Wspomnienia* Borysa Jelcyna, które zaznajomiły czytelników (też na całym świecie, bo Jelcyn przedstawił się jako przeciwnik Gorbaczowa, co było zachęcające) z biografią autora od dnia narodzin do objęcia funkcji przewodniczącego Rady Najwyższej RSFSR, ostatniego stopnia przed szczytem, czyli fotelem prezydenta Rosji.

Przede mną leży urodzaj 1991 roku. *Moja żyzń* Raissy Gorbaczowowej, *Muki procztienija byt'ja* Aleksandra Jakowlewa, *Chożdienije wo włast'* Anatola Sobczaka, a także całkiem nowy (październik 1991) utwór Michaiła Gorbaczowa *Awgustskij pucz: prawda i uroki.* Ludzie piszą pamiętniki w przekonaniu, że przeżyli ciekawe życie, widzieli historyczne wydarzenia, mogą czegoś nauczyć czytelników. Piszą też dla usprawiedliwienia się albo dlatego, że chcą wytłumaczyć przed historią, dlaczego działali tak a nie inaczej. Ci, którzy nadal działają politycznie, piszą by szerzyć swoje poglądy i znaleźć sojuszników.

Pomińmy wspomnienia żony prezydenta ZSSR. Żony powinny dobrze mówić o mężach — to należy do ich obowiązków. A jeśli jeszcze sowicie za to płacą, to tym lepiej. Podkreślam i przypominam, że wymienieni wyżej autorzy zarobili dużo pieniędzy nie dlatego, bym uważał, że autorom nie należy płacić. Przeciwnie. Wydawcy powinni płacić jak najlepiej. Piszę o pieniądzach, bo zachodni wydawcy płacą za zgniły towar, za nazwisko, i dlatego, że wszyscy wciąż jeszcze boją się potęgi nuklearnej byłego supermocarstwa. Nie żądam od Raissy Maksimownej (czyli od dziennikarza, który z jej słów spisał opowieść żony prezydenta) talentu pisarskiego. Chciałbym się jednak czegoś dowiedzieć o „Miszy", choć trochę więcej niż już sto razy powiedzieli jego przyjaciele i znajomi. Niestety, spomiędzy okładek zieje pustka.

Edward Szewardnadze cieszył się jeszcze przed wydaniem książki wielkim powodzeniem na arenie dyplomatycznej. *Wspomnienia* jego poświęcone są oczywiście przede wszystkim *pieriestrojce* sowieckiej polityki zagranicznej. I rzeczywiście — z punktu widzenia wyzwolonych byłych satelitów i narodów, które ujrzały kres zimnej wojny — można mówić o sukcesach. Imperium sowieckie, nad którym nie zachodziło słońce, kiedy Szewardnadze został ministrem spraw zagranicznych, pod jego kierownictwem zaczęło się szybko rozpadać. To dobrze, zapiszmy mu to na plus. Chociaż nie on był inicjatorem tej polityki, trudno mu odmówić zasług dla rozpadu imperium.

Znaczna część wspomnień poświęcona jest dyplomatycznej działalności autora, co zrozumiałe — był to jego czas chwały. Główna myśl, którą chce przekazać czytelnikom: wszyscy ludzie są braćmi, toteż Związek Sowiecki powinien zostać dopuszczony do międzynarodowej wspólnoty i wspólnego europejskiego domu. Ponieważ dyplomacja sowiecka postanowiła położyć kres zimnej wojnie, należy ją pokochać, pieścić i wspierać. Przyszłość należy do wolności, podkreśla (poczynając od tytułu) Szewardnadze, dlatego trzeba zapomnieć o przeszłości. Mógłby właściwie zatytułować swoje wspomnienia „Kto patrzy w przeszłość, temu oko wykol". Autor nie chce wspominać, a jeśli mu się to zdarza, to tylko po to, żeby zwrócić uwagę, że zawsze był jeśli nie dysydentem, to w każdym

razie nonkonformistą, liberałem i demokratą. Mimo że jego wielka kariera zaczęła się za Breżniewa i trwała za jego następców. Szewardnadze zawsze — na stanowisku przewodniczącego gruzińskiego Komsomołu, ministra spraw wewnętrznych Gruzji i pierwszego sekretarza KC Gruzji — myślał tylko o tym, jak by zwiększyć prawa człowieka, wprowadzić gospodarkę rynkową, demokrację itp. Szczególną wesołość czytelnika budzi życzliwy stosunek Breżniewa do inicjatyw Szewardnadze. Jak wiadomo (niektórzy jeszcze pamiętają), na XXIII zjeździe partii przywódca gruzińskich komunistów wygłosił mowę pochwalną na cześć Breżniewa, zapewniając m.in. — cytuję w przybliżeniu — że Gruzini budząc się wypatrują nie słońca, tylko uśmiechu Breżniewa. Szewardnadze wspomina o tym w pamiętnikach: chwaliłem Breżniewa w dobrej wierze. Generalny sekretarz zawsze mnie popierał: „Dla mnie — tym razem cytuję dosłownie — nie było zastoju".

Edward Szewardnadze liczy, że odegra jeszcze czynną rolę w polityce — chwilowo pozostaje w rezerwie. Nie wiadomo tylko, w czyjej: nie istnieje partia, nie istnieje nawet Związek Sowiecki. Komu będzie służył wielbiciel „wolności"? Trudno mu wrócić do ojczyzny, bo w swoim czasie sadzał do więzienia obecnego prezydenta Gruzji, Zwiada Gamsachurdię. Z Gorbaczowem się pokłócił. Nazwisko Borysa Jelcyna we wspomnieniach nie pada.

Książka Aleksandra Jakowlewa, który w pierwszych latach *pieriestrojki* podrzucał myśli Gorbaczowowi i był jego doradcą, nosi dramatyczny tytuł: „Męki rewizji istnienia. Pieriestrojka: nadzieje i rzeczywistość". Aleksander Jakowlew opisuje swoją „drogę do Damaszku" jako drogę przez mękę: rewizję idei i poglądów, którym hołdował przez całe życie. Urodził się w 1923 r., walczył z Niemcami, po wojnie zaczął pracować w jarosławskim komitecie partyjnym, w 1953 r. przeszedł do wydziału propagandy KC KPZS i tam zrobił karierę, pewnym krokiem przechodząc ze stanowiska na stanowisko, wciąż wyżej i wyżej. Był bardzo płodny, wydawał jedną za drugą książki o wymownych tytułach: „Nicość ideowa apologetów 'zimnej wojny'" (1961); „Rozkaz zabijać. Amerykańscy fałszerze problemów wojny i pokoju" (1965) itp. W 1972 r. ukazało się pod jego redakcją zbiorowe dzieło pt. „Podstawy nauk politycznych. Podręcznik dla szkół politycznych partyjnej sieci nauczania". Z tego podręcznika wykładali „marksizm-leninizm-breżniewizm" nie tylko sowieccy propagandyści, ale też działacze partyjni wszystkich krajów socjalistycznych — książkę przetłumaczono m.in. na języki hindi, singaleski i inne. Pod koniec 1972 r. Aleksander Jakowlew popełnił błąd: przestrzegał przed grożącym nacjonalizmem rosyjskim, który może rozbudzić nacjonalizm innych sowieckich narodów. Za wcześnie było o tym mówić i Jakowlewa ukarano zesłaniem do ambasady do Kanady. Kiedy Michaił Gorbaczow został generalnym sekretarzem, wezwał go do Moskwy. Zaczęły się próby „ulepszenia komunizmu". Autor „Mąk rewizji istnienia" przemyka się

nad swoją produkcją literacką lat 1960-1970. Nie wspomina nawet o tym, że jeszcze w 1985 r. w przedmowie do swojej kolejnej książki pt. „Na skraju przepaści: od Trumana do Reagana" uparcie twierdził, że wszyscy powojenni prezydenci Stanów Zjednoczonych — w liczbie ośmiu — uciekali się do tych samych metod: siali strach przed zagrożeniem z zewnątrz, wzniecali rozpasany szowinizm, popierali wzrost militaryzmu i agresji itd.

Potem spłynęła na niego łaska Boska. Nie wątpię w moc Pana Boga, ale za dużo niedawnych sług diabła znienacka zamieniło się w anioły, którym tylko skrzydeł brakuje do tego, by mogły wznieść się w niebiosa. Jest ich tak dużo, że budzą zasadne wątpliwości co do szczerości nawróceń: odnosi się stale wrażenie, że spod anielskich szat wystają kopyta.

Wśród niedawnych „nawróconych" figuruje też mer Leningradu, Anatol Sobczak. Jego biografia nie zawiera tak czarnych kart, jak biografia „męczennika" Jakowlewa. Z wykształcenia prawnik, profesor i adwokat, Anatol Sobczak ma cechę, której brak wielu obecnym działaczom: dobrze mówi. Inną cechę — żądzę władzy — dzieli z wieloma kolegami z życia politycznego epoki *pieriestrojki*. „Droga do władzy" to opowieść o parlamentarnej działalności Sobczaka, o pracy zjazdów deputowanych ludowych i Rady Najwyższej ZSSR, o narodzinach zjawiska, które nazywa „ludowładztwem". Krótko mówiąc, jest to opowieść o wydarzeniach lat 1988-1990. Dziś nie interesują one nawet historyków — fakty, które opisuje Sobaczak, są od dawna znane, jego relacja nie wnosi niczego nowego. Co więcej „sowiecki parlament", w którym pokładano nadzieje dwa lata temu, stracił wszelkie znaczenie, ponieważ zniknął przedmiot jego władzy — Związek Sowiecki. Anatol Sobczak mógłby prawdopodobnie opowiedzieć więcej o swojej pracy na stanowisku przewodniczącego Rady Miejskiej Leningradu, a potem mera Sankt-Petersburga, ale najwidoczniej zostawia ten temat na następną książkę. W jego poglądach trudno się zorientować. Jest oczywiście zwolennikiem demokracji, ale zachowuje się w Sankt Petersburgu jak wszechwładny władyka. Przemawiając w telewizji 3 listopada 1991 na temat sytuacji w kraju, opowiedział się za zachowaniem — oczywiście w zmienionej formie — Związku Sowieckiego. „Najpierw reformy, a potem niezawisłość narodowa" — sformułował swoje *credo*.

Najłatwiej streścić książkę Gorbaczowa. Przede wszystkim dlatego, że jest najkrótsza, liczy — w rosyjskim rękopisie — 74 strony, z tego 8 dotyczy puczu. Po drugie dlatego, że autor z góry uprzedził, że nie o wszystkim będzie pisał. Całkowity brak informacji w tym dziele Gorbaczowa potwierdza wszystkie wiadomości prasowe, zwłaszcza te, że Amerykanie uprzedzali go o możliwości puczu. Na uwagę zasługuje tylko jeden fragment książki. Najpierw ukazało się wydanie francuskie. Widniało w nim zdanie: „W Foros rozmawiałem z prezydentem Bushem (w czasie, kiedy rzekomo był odcięty od świata). Miał zatelefonować François Mitterrand. Nie zrobił tego, nad czym do dziś ubolewam". Zdanie to wzbudziło popłoch w Paryżu, ponieważ prezydent Francji zrobił *faux-pax*, mówiąc w dzień zamachu o puczystach jako o zwycięzcach. W drodze z Madrytu do Moskwy Gorbaczow zatrzymał się we Francji i złożył w związku z nieszczęsnym zdaniem oświadczenie, które zasługuje na uwagę. Wytłumaczył mianowicie, że jeśli zdanie figuruje w książce, to nie on je napisał.

Wypada naturalnie zapytać, czy to on napisał pozostałe zdania. Jest to pytanie czysto retoryczne, bo książka „Sierpniowy pucz: prawda i wnioski" nie przedstawia żadnej wartości. Prawdy w niej nie ma, a więc wniosek może być tylko jeden — że nie należy kłamać. To jednak napisano, zanim Michaił Gorbaczow pojawił się na scenie historii.

Michał HELLER

Trzecia straż Jurija Szewelowa

Książka Jurija Szerecha (pseudonim Jurija Szewelowa) *Trietia storoża* (Trzecia straż)*, tytułem nawiązująca do Ewangelii, pomyślana została jako zbiór esejów literackich. Esej jednakże jest gatunkiem dość niejednorodnym, co znakomicie wykorzystał autor i dzięki temu otrzymaliśmy książkę nie tylko niezmiernie interesującą i głęboką, ale równocześnie bardzo urozmaiconą.

* Jurij Szewelow jest znanym językoznawcą i literaturoznawcą ukraińskim, od 1943 roku przebywającym na emigracji. Jest emerytowanym profesorem Columbia University, autorem wielu prac z dziedziny językoznawstwa. Czytelnikom znany jest przede wszystkim jako znakomity eseista. Publikuje swe eseje głównie na łamach emigracyjnej prasy ukraińskiej. Jest autorem wielu przedmów do emigracyjnych wydań zakazanej literatury ukraińskiej, by wymienić choćby najważniejsze ostatnie eseje poświęcone twórczości Vasyla Stusa i nieco wcześniejszy o Mykole Chwylowym. Dwie jego książki, *Ne dla ditej* i *Druha czerha*, wydane w latach 1964 i 1978, miały duży rozgłos, nie wszędzie jednak spotkały się z przychylnym odbiorem. Niektóre środowiska emigracji ukraińskiej potraktowały je jako wyraz skomunizowania autora. Rzecz jasna władze sowieckie były całkiem odmiennego zdania, Szewelow bowiem jako językoznawca był obiektem ostrej krytyki na sowieckiej Ukrainie; uważano go za wroga nr 1, bo w swych językoznawczych pracach niejednokrotnie zwracał uwagę na mechanizmy administracyjne, kulturowe i językowe, sprzyjające błyskawicznemu postępowaniu rusyfikacji na Ukrainie.

Trietia storoża to trzeci zbiór esejów Szewelowa (prawie wszystkie były już publikowane na łamach ukraińskiej prasy emigracyjnej). Od dwóch pierwszych dzieli go długi okres milczenia, wywołanego wrogą reakcją czytelników. Być może właściwsze byłoby określenie — brak zrozumienia, ale pociągnął on za sobą wrogość. Pomimo, że Szewelow (Szerech) jest postacią bliżej nieznaną polskiemu czytelnikowi, uważam te szczegóły, dziś już niemal historyczne, za istotne, bo oddają klimat charakterystyczny dla każdej emigracji politycznej. Cóż było przyczyną takiej reakcji? Autor, mówiąc o konflikcie sprzed lat, nie bez autoironii stwierdza, że spowodował go on sam swoim „młodzieńczym" zapałem oraz złudzeniami co do intelektualistów nowej emigracji — chciał ich zjednoczyć w wysiłku odradzania ukraińskiej kultury.

Tretia storoża dowodzi, że autor kontynuował wysiłki. Różni się ona jednak znacznie od poprzednich książek nie tylko podejściem do przedmiotu, znacznie bardziej wyważonym, z dystansu, ale i wyraźną grą z czytelnikiem. Autor wręcz mówi o swoich wątpliwościach co do znaczenia jego krytyczno-literackich publikacji, powątpiewając jednocześnie w zrozumienie czytelników oraz ich znajomość poprzednich dwóch zbiorów. A jest to sprawa w tym przypadku niebagatelna, bowiem w pierwszym z nich, *Ne dla ditej*, Jurij Szewelow powiadomił czytelników o śmierci Jurija Szerecha, postaci, która narodziła się jesienią 1941 roku i przestała istnieć w 1956 roku. Szewelow mówił wtedy o samobójczej śmierci tej postaci, do której doprowadzili jej prymitywni oponenci. Musiał jednak dodać, że postać, a raczej idee przez nią proponowane, wyczerpały się. Drugi zbiór esejów, *Druha czerha*, składał się niemal wyłącznie z tekstów napisanych przed 1956 rokiem, a więc jeszcze przed śmiercią postaci Jurija Szerecha. Czyżbyśmy więc musieli ujrzeć cud zmartwychwstania? To pytanie stawia i odpowiada na nie we wstępie do zbioru *Tretia storoża* Szerech-Szewelow. Od razu jednak dodaje, że ta nowina („Jurij Szerech żyje! On żyje! Nie umarł!"), choć ważna dla samego autora, większości czytelników będzie raczej obojętna; część zmartwi się, garstka ucieszy. Niech jednak ironia i dystans nie zwiodą czytelnika — autor traktuje swą pracę (nie zadanie!) bardzo serio. Łatwo to zrozumieć, gdy przypomnimy słowa Ewangelii, które zostały postawione jako motto książki:

„A była godzina trzecia, kiedy go ukrzyżowali". (Mk, 15, 25)

„Błogosławieni owi słudzy, których pan, kiedy przyjdzie, zastanie czuwających. Zaprawdę powiadam wam, iż się przepasze i posadzi ich przy stole, i przystąpiwszy będzie im usługiwał. Czy przyjdzie o drugiej, czy o trzeciej straży, a zastanie ich tak, błogosławieni oni". (Łuk., 12, 37-38)

Książka jako całość stanowi próbę konceptualizacji historii ukraińskiej kultury, podejmuje tematy z rzadka jedynie poruszane przez historyków literatury. Autor nie koncentruje się na czołowych postaciach ukraińskiej literatury, niemalże demonstracyjnie pomija w swych rozważaniach Szewczenkę. Pierwsza część książki nosi wprawdzie

tytuł „Wokół Szewczenki", lecz nie mówi się w niej o Szewczence, a o romantykach, których postać Szewczenki zaćmiła. Przyczynili się do tego niewątpliwie krytycy i historycy literatury, traktując Szewczenkę jak symbol nowej Ukrainy.

Szewelow pragnie ukazać inne, niestereotypowe oblicze ukraińskiej literatury XIX wieku, wywodząc z cienia Szewczenki postacie Kulisza, Petrenki, Mowy, Franka. Czyni to wbrew utartym na Ukrainie i na emigracji szablonom, wyraźnie ukazując złożoność ukraińskiej literatury. Poezja Szewczenki, którą jedni utożsamiają z ukraińskim odrodzeniem narodowym, a inni uważają za wyraz rewolucyjnych dążeń mas, stała się dominantą literatury i, szerzej, kultury ukraińskiej. Szewelow w swoich esejach przedstawił inną wizję procesu historyczno-literackiego, znacznie bardziej skomplikowanego, i niewątpliwie prawdziwszego. Pokusił się o nakreślenie intelektualnego portretu ukraińskich pisarzy XIX i XX wieku, nie unikając przy tym historycznych odniesień. Wydaje się, że na takie spojrzenie na historię własnej kultury nieprędko jeszcze zdobędą się intelektualiści z Ukrainy. Nie chodzi o brak źródeł czy niedostatki metodologiczne, ale właśnie o dystans wobec obowiązujących szablonów w myśleniu o przeszłości, a co za tym idzie i teraźniejszości. Być może dystans ten można było osiągnąć tylko przez oddalenie od ziemi ojczystej.

Eseje wiele mówią również o biografii intelektualnej autora. Nie przypadkiem większość z nich, nawet tych będących wspomnieniami, ogniskuje się wokół relacji Europa-Ukraina-Rosja, nie tylko w znaczeniu geograficznym czy politycznym, ale i w odniesieniu do tradycji historycznych i kulturalnych. Centralnym z tego punktu widzenia wydaje się esej *Lit Ikara* (Lot Ikara), poświęcony Mykole Chwylowemu, wybitnemu pisarzowi lat dwudziestych. Tytuł eseju znakomicie odzwierciedla stosunek autora do postaci. Chwylowyj zawdzięcza sławę nie tylko twórczości prozaicznej (był autorem znakomitych nowel, opowiadających o czasach wojny domowej, najbardziej znane z nich to *Redaktor Kark* oraz *Ja. Romantica*), ale również, a może przede wszystkim cyklowi pamfletów, które zapoczątkowały literacką dyskusję w 1925 roku, zakończoną samobójstwem Chwylowego w 1933. Przed samobójczą śmiercią Chwylowyj odżegnał się od swych poglądów, zmuszony do tego przez Stalina i Kaganowicza. Łatwo stąd wywnioskować, że dyskusja, trwająca z różnym natężeniem przez ponad pięć lat, miała tylko pozornie charakter literacki. Jak udowadnia Szewelow, od samego początku jej podtekstem były sprawy polityczne, w szczególności niezależność Ukrainy. Hasło Chwylowego orientacji na Europę i odwrócenia się od Moskwy, choć dotyczyło literatury, nie mogło być odczytane (ani rzucone, rzecz jasna) w tym tylko, ciasnym sensie.

Analizując cykl pamiętników Szewelow prześledził losy Chwylowego w tym okresie, jego wzlot i upadek. Pokazał jednocześnie wzlot i upadek nadziei Ukraińców na niepodległy byt oraz, co niemniej ważne, na przynależność do Europy. Temat Europa-Ukraina-

Rosja wciąż powraca w dyskusjach toczonych przez Ukraińców w przełomowych momentach ich dziejów. Europa była dla pokolenia Szewelowa najpierw niezniszczonym marzeniem, potem zaś, gdy znalazło się na emigracji — wyzwaniem. Nie wszyscy to wyzwanie podjęli, o czym pisze Szewelow w esejach o charakterze wspomnieniowym oraz w eseju umieszczonym zaraz po „Locie Ikara", podejmującym między innymi temat tolerancji Rosjan wobec Ukraińców (czego świetnym przykładem jest Sołżenicyn) i odwrotnie. Drugim ważnym czynnikiem, który sprawił, że Szewelow podjął trud interpretacji pamfletów Chwylowego, był zapewne moment biograficzny. Autor w latach dwudziestych uczęszczał do charkowskiego uniwersytetu, był uczniem Zerowa, głównego sprzymierzeńca Chwylowego w owej dyskusji (Chwylowyj uważał Zerowa, jego literacką i naukową działalność za symbol Europy) i, jak wspomina sam autor we wspomnianym eseju *Z powisty pro dwoch Jurkiw*, samobójstwo Chwylowego zrobiło na nim wielkie wrażenie. Podobnie jak wielu mu współczesnych, przyjął je jako kres nadziei. Osobowość Chwylowego oraz hasła przez niego głoszone miały niewątpliwy wpływ również na konstrukcję postaci Szerecha, nie tylko od strony formalnej, ale i na idee przez niego propagowane, szczególnie w okresie istnienia MUR-u, tj. w latach czterdziestych (MUR to skrót nazwy *Mystećkyj Ukrajinśkij Ruch* — Ukraiński Ruch Artystyczny). Koncepcja „organicznego narodowego stylu", proponowana przez Szerecha, miała wiele wspólnego z sowiecką rzeczywistością i sposobem myślenia. Była równie idealistyczna i niekonkretna, jak styl „romantycznego witalizmu", o którym pisał Chwylowyj w swych pamfletach. Symboliczne samobójstwo Szerecha, wówczas odczuwane jako tragiczne niepowodzenie, krach idei, popełnione zostało nie bez wpływu prototypu tej postaci.

Pisząc o pamfletach Chwylowego, nieprzypadkowo wspomniałam nazwisko Zerowa, literaturoznawcy i poety. Wydaje się, że Szewelow wyraźnie nawiązuje ukierunkowaniem swych prac krytyczno-literackich do działalności Zerowa. Szczególnie wiele wspólnego w niezwykle wyważonym podejściu do podejmowanych tematów można znaleźć właśnie w recenzowanej książce oraz w zbiorze prac krytyczno-literackich Zerowa *Ad fontes*. Zerow stał się w kulturze ukraińskiej symbolem intelektualisty. Dla Chwylowego i jego współczesnych — symbolem europejskości ukraińskiej kultury.

Na zakończenie pozwolę sobie opowiedzieć o pewnym wydarzeniu, charakterystycznym dla postawy Szewelowa. Podczas swojej pierwszej po wojnie podróży na Ukrainę Szewelow wziął udział w I Międzynarodowym Kongresie Ukraińców. Obradom przewodniczył autor najbardziej niewybrednych paszkwili na Szewelowa, znany propagator (językoznawca!) rusyfikacji. W przepełnionej sali znajdowało się zapewne tyleż samo zwolenników Szewelowa, co jego wrogów. Swe wystąpienie rozpoczął on od zwrócenia się do słuchaczy: „Drodzy moi przyjaciele i szanowni wrogowie".

Ola HNATIUK

Nadesłane nowości wydawnicze

KUROŃ (Jacek). *Gwiezdny czas. „Wiary i winy" dalszy ciąg.* Str. 256. (Wyd. Aneks, Londyn 1991).

MORAWSKI (Dominik). *Pomost na wschód. Obserwacje i refleksje watykanisty.* Str. 241 i 3 nlb. oraz fotografie. (Wyd. Odnowa i Norbertinum, Londyn-Lublin 1991).

Tajne dokumenty Biura Politycznego. Grudzień 1970. Opr. Paweł Domański. Str. 474. (Wyd. Aneks, Londyn 1991).

Chrześcijańska myśl społeczna na emigracji. Red. naukowy Zygmunt Tkocz. Str. 430 i 4 nlb. (Opr. Polski Instytut Naukowy w Ameryce, Nowy Jork, wyd. Odnowa-Norbertinum, Londyn-Lublin 1991).

ZAGAJEWSKI (Adam). *Dwa miasta.* Str. 161 i 7 nlb. (Wyd. Zeszyty Literackie-Oficyna Literacka, Paryż-Kraków 1991).

KROK-PASZKOWSKI (Jan). *Mój bieg przez XX wiek.* Str. 257 i 1 nlb. (Wyd. Odnowa-Norbertinum, Londyn-Lublin 1990).

BĄCZKOWSKI (Włodzimierz). *Karta z historii stosunków polsko-ukraińskich. Biuletyn Polsko-Ukraiński. (Zakończenie).* (Nadbitka z *Niepodległości*, t. XXIV, str. 133-147).

IV rocznik Instytutu Polsko-Skandynawskiego. Rok 1988/1989. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Polsko-Skandynawski, Kopenhaga 1990).

DANOWSKI (Marek). *Emigracja. Nowe powikłania polsko-polskie.* Str. 26. (Wyd. Brigitte Kohler Verlag, Zurych 1991).

PLATTER (Dana). *Piekło nosisz w sobie.* Wiersze. Str. 66. (Wyd. Foreningen for Internationella Musiker och Artister i Sverige, Haninge, Szwecja 1991).

TROJAŃSKA (Helena). *Erato namiętna.* Str. 69 i 2 nlb. (Wyd. Foreningen for Internationella Musiker och Artister i Sverige, Haninge, Szwecja 1990).

BIELOBRADEK (Joanna). *Liryki amerykańskie i inne.* Str. 38 (Wyd. Alfa Publishing Corp., Chicago 1991).

Panufnik o sobie. Przekład z angielskiego Marty Glińskiej. Str. 376. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1990).

Lincoln o demokracji. Opracowali i wstępem poprzedzili Mario M. Cuomo i Harold Holzer. Str. 460. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1990).

UHNAK (Dorothy). *Śledztwo.* Przeł. Zofia Uhrynowska-Hanasz. Str. 365 i 3 nlb. (Wyd. Supernowa Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1991).

WERNER (Andrzej). *Pasja i nuda.* Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

DAHRENDORF (Ralf). *Rozważania nad rewolucją w Europie.* Przeł. Maja Gottesman. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

KONWICKI (Tadeusz). *Rojsty.* Str. 177 i 1 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

NUROWSKA (Maria). *Postscriptum.* Str. 149 i 3 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

MICHNIK (Adam). *Z dziejów honoru w Polsce. Wypisy więzienne.* Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

FREDRO-BONIECKI (Tadeusz). *Zwycięstwo księdza Jerzego. Rozmowy z Grzegorzem Piotrowskim.* Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

MILLER (Judith), MYLROIE (Laurie). *Saddam Husajn. Wojna w Zatoce.* Str. 220 i 20 nlb. (Wyd. Supernowa, Warszawa 1991).

GRASS (Günter). *Niemieckie rozliczenia. Przeciwko tępemu nakazowi jedności.* Przeł. M. Łukasiewicz i A. Konopacki, wiersze J. St. Buras. Str. 112 i 2 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1990).

SAWINKOW (Borys). *Koń wrony. Autobiograficzna powieść terrorysty wszechczasów.* Przeł. J. Gondowicz. Str. 106 i 6 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

Czy koniec historii? Konfrontacje nr 13. Str. 112. (Wyd. IDEE i PoMOST, Nowy Jork-Warszawa 1991).

BUGAJSKI (Ryszard). *Przesłuchanie.* Str. 130 i fotografie. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1990).

SIMON (Claude). *Zaproszenie.* Przeł. H. Igalson. Str. 68. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1990).

RYMKIEWICZ (Jarosław Marek). *Baket.* Str. 252 i fotografie. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

BOCHEŃSKI (Jacek). *Stan po zapaści.* Str. 210 i 2 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1990).

STYRON (Willam). *Wybór Zofii.* Przeł. Z. Batko. Str. 517 i 3 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

RUDNIAŃSKA (Joanna). *Rok smoka.* Str. 67 i 3 nlb. (Wyd. Małanowa, Warszawa 1991).

KOFTA (Krystyna). *Istota.* (Wyd. Małanowa, Warszawa 1991).

JUREWICZ (Aleksander). *Dopóki jeszcze... i inne wiersze.* Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Gord, Gdańsk 1991).

TATARKIEWICZ (Władysław). *O doskonałości.* Str. 65 i 3 nlb. (Wyd. „Daimonion", Lublin 1991).

Bałtyckie Forum Ekologiczne 90,91. Str. 152 i 4 nlb. (Wyd. Franciszkański Ruch Ekologiczny, Wydawnictwo Gdańskie, Darłowo Gdańsk 1991).

PRUSZYŃSKA (Anna). *Między Bohem a Słuczą.* Opr. Mieczysław Pruszyński. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1991).

KOLBERG (Krystyna Róża). *Po wszystkim.* Wiersze. Str. 48. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1988).

Nautologia, nr 1-4 1990. Str. 85 i 3 nlb. (Wyd. Polskie Towarzystwo Nautologiczne, Gdynia 1990).

NUROWSKA (Maria). *Panny i wdowy. Zniewolenie.* Str. 200. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

TURLEJSKA (Maria). *Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie.* Str. 476 i 2 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1991).

DROZDOWSKI (Marian Marek). *Polskie środowisko literackie we Francji w latach 1939-1940.* Str. 168. (Wyd. Polska Fundacja Kościuszkowska, Warszawa 1991).

SZYPER (Adam). *Z poddasza snów.* Str. 64. (Wyd. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1991).

AKAVIA (Miriam). *Ma vigne à moi.* Traduit de l'hebreu par Sylvie Cohen. Str. 295 i 9 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1991).

WYRWA (Tadeusz). *Les relations de l'Etat et de l'Eglise catholique en Pologne (1945-1955) vues par les Français.* (Nadbitka z *Revue d'études comparatives est-ouest*, septembre 1990, vol. 21, nr 3).

WYRWA (Tadeusz). *La liberté de conscience en Pologne à la charnière des XVIe et XVIIe siècles.* (Nadbitka z *La liberté de conscience XVIe-XVIIe siècles*, Librairie Droz, Genewa 1991).

MAREK (Edmond). *La Constitution du 3 Mai 1791 dans la littérature polonaise et française (1791-1991).* Str. 25 i 3 nlb. (Wyd. Université catholique de Lille, Lille 1991).

JEGOUZO (Joël). *Histoire du fonctionnement de la réception de l'oeuvre de Witold Gombrowicz en France 1953-1971.* (DEA „Histoire et civilisations", Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales, Paryż 1991, str. 171 i bibliografia nlb.).

Wolna trybuna

Dialog i kapitał

ODPOWIEDŹ EWIE THOMPSON

Muszę przyznać, że z mieszanymi uczuciami czytałem artykuł Ewy Thompson o dialogu polsko-rosyjskim. Jest to artykuł-pułapka, ponieważ stwarza wrażenie myślenia trzeźwo pragmatycznego, a oparty jest na argumencie pozornie racjonalnym i równocześnie trudnym do odparcia. A mianowicie, że potęga militarna mocarstwa sowieckiego stworzyła popyt na kulturę rosyjską na Zachodzie: „Dzięki, powtarzam, rakietom Breżniewa i zbrodniczej chytrości Stalina Rosja zdobyła sobie miejsce w świadomości Amerykanów, Anglików, Niemców". To dzięki rosyjskiej potędze militarnej, powiada autorka, kształci się na Zachodzie specjalistów od Czechowa, Tołstoja i Dostojewskiego, a trzeciorzędni pisarze, tacy jak Jurij Trifonow czy Anatolij Rybakow, są tłumaczeni i dyskutowani. Trudno mi się z tym pogodzić, i chyba nie tylko dlatego, że od wielu lat zajmuję się kulturą rosyjską. Pomińmy już fakt, że wymienieni klasycy rosyjscy zawsze będą czytani na Wschodzie i Zachodzie, niezależnie od ilości sowieckich głowic atomowych; to nie dzięki Stalinowi i Breżniewowi stało się tak, że powieść Dostojewskiego, teatr Czechowa, muzyka Strawińskiego, obrazy Kandyńskiego, czy poezja Mandelsztama zdobyły sobie miejsce w kulturze europejskiej. Nie jestem również przekonany, że niejednoznaczna i wielowymiarowa twórczość Trifonowa należy do literatury trzeciego rzędu.

Zajmując się od wielu lat literaturą rosyjską na kopenhaskim uniwersytecie, dawno zauważyłem, że znajomość twórczości literackiej epoki sowieckiej w Europie jest zaskakująco znikoma. Podczas gdy Dostojewski momentalnie znika z półek księgarskich, nikt prawie nie chce czytać pisarzy epoki sowieckiej, choćby nawet bardziej utalentowanych od Trifonowa, takich jak Zamiatin, Olesza, Pilniak, Bułgakow. „Mistrz i Małgorzata" nie pozostawiła niemal żadnego śladu w świadomości literackiej europejskiego czytelnika, a tak oryginalny pisarz jak Płatonow dotychczas nie jest przetłumaczony na

wiele europejskich języków. Wydawcy nie mają odwagi, bo wiedzą, że zainteresowanie sowiecką epoką, jej językiem i mentalnością jest niewielkie. Nawet tak błyskotliwa, ale łatwa w odbiorze powieść jak „Moskwa-Pietuszki" Wieni Jerofiejewa, przetłumaczona niedawno na język francuski, nie wywołała większego zainteresowania. Można śmiało powiedzieć, że nowa i współczesna literatura rosyjska przegrała na rynku europejskim — wydaje się ją w małych nakładach i bardzo niechętnie, w przeciwieństwie do literatury południowoamerykańskiej, włoskiej czy hiszpańskiej. Nazwiska tak interesujących rosyjskich współczesnych pisarzy jak Jurij Dombrowski, Sasza Sokołow, Lidia Pietruszewskaja, nic nie mówią europejskiemu czytelnikowi, podczas gdy Kundera cieszy się ogromnym powodzeniem, mimo że Czesi czołgów mają niewiele. Wbrew pani Thompson uważam zatem, że kulturalne koniunktury nie są wprost proporcjonalne do kapitału potęgi militarnej. Piszę o tym wszystkim dość niechętnie, bo nie wydaje mi się, że o kulturze jakiegokolwiek kraju można powiedzieć coś sensownego używając pojęć pani Thompson: korzyść, kapitał, profit, procenty. Gdy autorka ubolewa, że „na Maszę i Iwana długo jeszcze będzie zapotrzebowanie", to słyszę w tym język rynku, a nie kultury, która jego prawom przecież nie całkiem podlega, lecz zachowuje pewną autonomię. Autorka używa słowa kultura, jak gdyby chodziło o sprzedaż komputerów i lodówek. W jej nowym „postindustrialnym świecie" kultura nie pozostaje niczym więcej niż towarem do sprzedania, który trzeba reklamować i na który jest, albo nie ma popytu. Jakże to postindustrialne spojrzenie przypomina zakurzone schematy marksistowskie, w których kultura jest bądź nadbudową ekonomicznej bazy, bądź funkcją ideologii i propagandy.

Pytanie o cierpienia ofiar bolszewizmu. Cierpienie nie jest według pani Thompson „kategorią, którą można się posługiwać w dyskusji że tak powiem świeckiej". Dotyczy to zresztą według niej cierpienia w ogóle, a szczególnie w sferze historii. Zostawmy więc, jak chce autorka, cierpienie dla moralistów. Jeżeli ma na myśli takich, jak Schopenhauer, Dostojewski, Gombrowicz, to osobiście nie mam zastrzeżeń. Pani Thompson proponuje w zamian naukowe „kategorie pojęciowe", używane przez historyków. Nie jest dla mnie jasne, o jakie „kategorie" tu chodzi, jasne natomiast i bardzo proste jest pytanie zadane przez panią Thompson: kto skorzystał na zbrodniach bolszewików? Ze zdumieniem dowiaduję się, że skorzystał naród i kultura rosyjska: „Jeżeli spojrzymy na sprawę w ten sposób, okaże się, że komunizm był największym katem, ale i największym dobroczyńcą narodu rosyjskiego".

Komunizm jako dobroczyńca całego narodu rosyjskiego! Skądinąd znane? Nie, bo według pani Thompson tylko i wyłącznie Rosjanie „skorzystali" na komunizmie, tylko oni byli i są „jedynymi beneficjentami" komunizmu, a zapomnieć o tym „jest dla nie-Rosjan bardzo niekorzystne". Nie będzie tu chyba na miejscu moralizatorskie przypomnienie o zamordowanej przez bolszewizm kulturze,

o tysiącach zgnojonych, rozstrzelanych, zakneblowanych poetów i kompozytorów, pisarzy i filozofów. Byłaby to bowiem, mówiąc językiem pani Thompson, świętoszkowatość, hipokryzja, szkółka niedzielna. Patrząc trzeźwo i przez pryzmat „historycznych" kategorii korzyści i strat, okazuje się że komunizm, a więc sowiecka potęga mocarstwowa, owocuje „korzyściami dla kultury dzięki jej popularyzacji i możliwości kontaktów, otwarciem trybuny międzynarodowej dla artystów i pisarzy zwycięskiego kraju". Nie jest to odkrycie oryginalne, chociaż źle sformułowane, bo zakłada że dobrze wiemy, co to jest kultura rosyjska, kto ją tworzy i kto reprezentuje. Jeżeli ktoś tu na czymś korzysta, to propaganda raczej niż kultura, która niewiele ma wspólnego z pisarzami zwycięskich krajów na międzynarodowych trybunach. Tymczasem okazuje się, że nie tylko rosyjska kultura, pisarze i artyści w Rosji, lecz również emigracja czerpie korzyści z reżymu. Czy sprawiedliwe i sensowne jest stwierdzenie, że „tysiące literaturoznawców i pisarzy rosyjskich pobierały i pobierają procent z kapitału rosyjskiej potęgi"? Autorka daje przykład Nabokowa, zarabiającego na życie nauczaniem („oczywiście") rosyjskiego. Lecz czy język korzyści, kapitału, profitu jest na miejscu w stosunku do emigrantów, wśród których tak wielu przeszło piekło łagrów, prześladowań, słowem takich cierpień, które do rozmów świeckich się nie nadają? Czy dotyczy to również Sołżenicyna, Maksimowa, Amalrika, Lubarskiego, Wojnowicza, Bukowskiego, Brodskiego? A jeśli tak, to czy były więzień obozów koncentracyjnych również pobiera procenty z kapitału Trzeciej Rzeszy wydając swe książki? I dlaczego język ten przypomina mi retorykę rosyjskich patriotów i „nacjonałbolszewików"? — „Siedział w obozach, a teraz w Ameryce na tym korzysta" — mówili o Sołżenicynie duńscy komuniści. Czy według tej logiki pasożytem nie jest każdy emigrant, który zajmuje się kulturą, literaturą, historią społeczeństwa swojego starego kraju? A więc Miłosz, Kundera, Gombrowicz? Nie, powie autorka, dotyczy to wyłącznie Rosjan.

Jedną z głównych korzyści dla Rosjan, czytamy, jest „absorpcja pewnego procentu ludności podbitych krajów". Nie wiadomo doprawdy dlaczego, ale jako jedyny przykład tych zaabsorbowanych procentów wymieniona jest tu Irina Ratuszynskaja — „poetka pochodzenia polskiego". Procentów niewiele, ale szkoda, bo Polska straciła poetkę? Gdyby nie „kapitał", to pisałaby sobie po polsku o Polakach, a nie po rosyjsku o Rosjanach? Zbliżamy się więc do sfery absurdu, niestety typowego dla nowej nacjonalistycznej retoryki. Jakaż przepaść oddziela nas od rozmyślań o kulturze polskiej Gombrowicza, który wypowiedział prostą myśl, że istotna jest nie polskość Szopena, a muzyka szopenowska. Nie na wiele zdało się ostrzeżenie Gombrowicza, że nie powoływanie się na polskie pochodzenie twórców, a otwartość wobec kultury światowej potwierdza siłę kultury polskiej.

W innym miejscu dowiadujemy się (o zgrozo!) że „Malewicz i Niżinskij w świadomości amerykańskiej istnieją jako Rosjanie". A więc „nasze" malarstwo i balet też już zaabsorbowali.

Czytałem niedawno w prasie ukraińskiej, że Rosjanie okradli kulturę ukraińską, zabierając jej najlepszych ukraińskich pisarzy: Gogola i Korolenko. A w rosyjskim piśmie patriotycznym *Nasz sowriemiennik* od dawna już czytam, że Żydzi są niemal wszechmocni. Ich wpływ na kulturę światową jest ogromny, bo rządzą wydawnictwami, instytutami naukowymi, a przez prasę i literaturę również opinią publiczną. Nie dość, że kradną rosyjską sztukę z Ermitażu i rosyjskie dzieła z Biblioteki Lenina, ale do tego „absorbują" żony czystych duszą, lecz naiwnych rosyjskich pisarzy, którzy z rozpaczy zaczynają pić wódkę zamiast pisać książki. Dla rosyjskiej kultury jest to bardzo niekorzystne, a kto na tym korzysta, wiadomo.

Przyjaźń polsko-sowiecka była do niedawna bezwstydnym, fałszywym, cynicznym frazesem. Dzisiaj możliwości autentycznego polsko-rosyjskiego dialogu są bardziej realne. Jest szansa przezwyciężenia odwiecznej niechęci i wzajemnego niezrozumienia. Czy ta ledwie zaczęta rozmowa zostanie przerwana?

Nieuświadomiony konserwatyzm myślenia, niezrozumienie tego, że żyjemy w radykalnie nowej sytuacji, która wymaga nowych koncepcji i rozwiązań, prowadzi do utrwalania i powielania starego obrazu wroga. A więc braku dialogu, braku zainteresowania, niezrozumienia, zamknięcia. Niedobry jest ten Rosjanin, sportretowany przez panią Thompson, choć prawosławny, to gorszy od komisarza. Nie ma najmniejszego poczucia winy wobec Polaków, katolicyzmu się boi i nie lubi, więź wspólnoty słowiańskiej odczuwa tylko w stosunku do prawosławnych. Przeżytkiem jest myśleć, że do Polski będzie kiedykolwiek nastawiony przyjaźnie. Płacić odszkodowania wszystkim narodom podbitym przez carów i komisarów ani mu się śni.

Mimo że autorka zapewnia nas, że nie nawołuje do niechęci do Rosjan, trudno jej uwierzyć. Nie wiem ile w tym prawdy, a ile nieżyczliwości. Wiem natomiast, że pani Thompson żyje we wczorajszym świecie. Bo nie ma już narodu zwycięskiego i narodu podbitego. Jest naród rosyjski, który dziś w przerażającym tempie toczy się w otchłań krańcowej nędzy, klęski głodowej i wojny domowej, jest naród polski, który również boryka się z potwornymi trudnościami, próbując realizować ideał demokratycznego społeczeństwa. Dlatego mam zaufanie do moralistów, gdy mówią o wspólnocie cierpienia, a nie mam zaufania do pani Thompson, gdy pyta, kto na tym skorzystał.

Aleksiej FRYSZMAN

NOTA BIOGRAFICZNA

Aleksiej Fryszman, urodzony w Moskwie w 1950 r. Od roku 1960 do 1969 zamieszkały w Warszawie. W roku 1969 emigracja do Danii. Magister filologii rosyjskiej i historii religii. Współpracownik Inystytutu Slawistyki na Uniwersytecie Kopenhaskim. Jeden z redaktorów slawistycznego kwartalnika *Svantevit*. Szereg publikacji na tematy literatury, religii i filozofii rosyjskiej w dziennikach i miesięcznikach duńskich.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

2.9.91
Z inicjatywy młodych historyków z Warszawy, Krakowa i Poznania powstała Fundacja „Historia pro futuro", której zadaniem jest: gromadzenie środków finansowych i zasobów materialnych na rozwój badań historycznych i wspieranie statutowej działalności Polskiego Towarzystwa Historycznego; organizowanie badań naukowych i ich finansowanie; rozwijanie kontaktów z zagranicznymi środowiskami historycznymi oraz z zagranicznymi instytucjami naukowymi działającymi w dziedzinie historii; popularyzacja wiedzy historycznej; własna działalność wydawnicza i dotowanie edycji o tematyce historycznej; przyznawanie na zasadach konkursowych stypendiów na badania historyczne; przyznawanie nagród za wybitne osiągnięcia naukowe w dziedzinie historii.

10.9.91
Przedstawiciele Północno-Amerykańskiego Studium w Chicago — Piotr Święcicki, prof. Jerzy Wojciechowski i Stanisław Bask-Mostwin — wzięli udział w 4-godzinnym seminarium na temat „Polska w układzie międzynarodowym", które odbyło się w Biurze Studiów Międzynarodowych przy Senacie RP.

15.10.91
W Muzeum Sztuki w Łodzi odbył się wernisaż wystawy Edwarda Krasińskiego.

21.10.91
Instytut Wydawniczy „Daimonion" w Lublinie rozpoczął wydawanie nowej serii pod nazwą „Wszechnica myśli etycznej". Jako pierwsza pozycja ukazała się książka Władysława Tatarkiewicza pt. „O doskonałości". W najbliższym czasie ukażą się: Karola Wojtyły „Osoba a miłość", Alberta Schweitzera „Moje życie" i Marii Ossowskiej „Wzór demokraty. Cnoty i wartości".

23.10.91
Książę Adam Carlos Czartoryski y Bourbon d'Orléans ustanowił Fundację Książąt Czartoryskich, która obejmuje zbiory muzeum i biblioteki Czartoryskich, a także nieruchomości, w których znajdują się te zbiory, oraz scedował prawa do rewindykacji pałacu w Sieniawie. Zbiory obejmują dzieła sztuki, pamiątki historyczne i zabytki piśmiennictwa (ponad 42 tys. przedmiotów, około 90 tys. druków i 13 tys. rękopisów). Od 1949 roku zbiory znajdowały się pod przymusowym zarządem państwowym. Administratorem Fundacji jest Muzeum Narodowe w Krakowie. W skład zarządu Fundacji wchodzą obok przedstawicieli rodziny Czartoryskich m.in. Marek Rostworowski, Adam Zamoyski, Andrzej Ciechanowiecki (założyciel ustanowionej już przedtem Fundacji Ciechanowieckich).

8.11.91
Na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się inauguracja rocznego cyklu wykładów o Ukrainie z referatem Mirosława Werbowego, redaktora naczelnego ukraińskiego tygodnika *Nasze słowo*, pt. „Aktualny stan stosunków

polsko-ukraińskich". W ramach tego cyklu (pierwszy semestr) są przewidziane następujące wykłady: 15.XI.1991 r. — red. Adam Bajcar: Geografia Ukrainy; 22.XI.1991 r. — prof. Hanna Dylągowa: Unia Brzeska i jej aktualne znaczenie; 29.XI.1991 r. — doc. Roman Lipka (Ukraina): Oblicze architektoniczne Lwowa dawniej i dziś; 6.XII.1991 r. — prof. Aleksander Gieysztor: Chrzest Rusi Kijowskiej; 13.XII.1991 r. — prof. Henryk Samsonowicz: Między Bałtykiem a Morzem Czarnym w Średniowieczu; 10.I.1992 r. — doc. Halina Petryszyn (Ukraina): Miasta historyczne w Galicji Wschodniej; 17.I.1992 r. — mgr Ryszard Załuska: Polska — Ukraina, współpraca czy unia gospodarcza?; 24.I.1992 r. — dr Włodzimierz Sereda (Ukraina): Akcja przesiedleńcza Ukraińców w latach 1945-46.

11.11.91
Koło Polonistów studentów Uniwersytetu Lubelskiego zorganizowało II Tydzień Polonistów — Metafizyka w literaturze XX wieku. Wygłoszono m.in. następujące referaty: Andrzej Sulikowski „Poszukiwania metafizyczne Aleksandra Wata", Maria Jasińska-Wojtkowska „Metafizyka w literaturze — literatura metafizyczna", Stefan Sawicki „Granice sakralnych interpretacji", Andrzej Stoff „Czy *science fiction* może pomóc w rozumieniu rzeczywistości", Ryszard K. Przybylski „Gombrowicz a metafizyka", Metafizyczne zainteresowania G. Herlinga-Grudzińskiego — dyskusja prowadzona przez Zdzisława Kudelskiego, Władysław Stróżewski „Metafizyka Leśmiana", Aleksander Fiut „Czesław Miłosz jako 'ojciec' nurtu metafizycznego w poezji lat 80-tych".

1.12.91
Ukazał się ostatni numer *Tygodnika Gdańskiego*, pisma „członków i sympatyków NSZZ „Solidarność". *Tygodnik Gdański* zaczął się ukazywać w sierpniu 1989 r.

2.12.91
W nr 291 *Gazety wyborczej* ukazał się komunikat o powstaniu Fundacji „Dla Polski":

„2 grudnia br. odbyło się w Warszawie inauguracyjne posiedzenie Rady Nadzorczej FUNDACJI DLA POLSKI.

Fundacja ta założona została w Warszawie 10 kwietnia 1990 r. pod patronatem Fondation de France. Jej celem jest wspieranie niezależnych stowarzyszeń i organizacji działających na rzecz rozwoju demokracji, lokalnych inicjatyw gospodarczych i innych przedsięwzięć społecznie użytecznych. FUNDACJA DLA POLSKI współpracować będzie z instytucjami sektora non profit obejmującego trzy główne obszary: pomocy społecznej, kultury i edukacji oraz samorządu lokalnego.

Pokaźne środki, jakimi dysponuje Fundacja „Dla Polski" (roczny budżet wynosi ok. 5 mln franków franc.) pochodzą z Fondation de France oraz Caisse des Depots et Consignations. W przyszłości dojdą do tego fundusze otrzymane z darowizn osób prawnych i dotacji prywatnych.

Fundacja zamierza uniezależnić się finansowo. Coraz większy udział w budżecie będą stanowiły środki uzyskane od polskich instytucji, przedsiębiorstw i prywatnych sponsorów.

Fundacja „Dla Polski" rozpatrzyła z górą dwadzieścia poważnych projektów pomocy społecznej i rozwoju inicjatyw lokalnych.

Przyznane zostały dotacje w wysokości ponad miliona franków francuskich (blisko 200 tys. dolarów) m.in. na budowę ośrodka dla dzieci upośledzonych umysłowo (Kołobrzeg) oraz wyposażenie 9 Agencji Inicjatyw Lokalnych.

Rada Nadzorcza kieruje działalnością Fundacji, określa cele i zakres zainteresowań, decyduje o wyborze zgłaszanych projektów. W skład Rady wchodzą wybitni politycy, przedstawiciele świata kultury i nauki z Polski: Zbigniew Chłap, Marek Edelman, Bronisław Geremek, Witold Lutosławski, Adam Michnik, Stefan Meller, Józef Ślisz, Jerzy Turowicz, Andrzej Wajda oraz z Francji: Jacques de Chalendar, François Geze, Pierre Giraudet, Bernard Holzer, Jacques Le Goff, Robert Lion, Michel Mollat du Jourdin, Henri Nouyrit, Pierrette Rosset, Piotr Słonimski, Alain Touraine.

Sekretarz Generalny Fondation de Pologne w Polsce
Anne Duruflé-Łozińska
Sekretariat Generalny we Francji
Anne-Marie Seydoux (Fondation de France)

Dla usprawnienia działalności Fundacji „Dla Polski" Fondation de France otworzyła swe biuro w Warszawie przy ul. Flory 9 (w siedzibie Fundacji im. Batorego). Fondation de France reprezentuje w Polsce również Europejskie Centrum Fundacji z siedzibą w Brukseli.

7.12.91
Agnieszka Osiecka została laureatką Warszawskiej Premiery miesiąca za najlepszą książkę listopada. Dotyczy to zbioru jej poetyckich piosenek „Śpiewające piaski".

ZACHÓD — EMIGRACJA

24.11.91
W Londynie odbyło się doroczne walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Wprowadzono zmiany w statucie Związku, a mianowicie: do Związku mogą się obecnie zapisywać pisarze z Kraju, a członkowie dotychczasowi Związku mogą indywidualnie wstępować do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Polsce. Prezesem Związku po raz 18-ty został wybrany Józef Garliński. ■ Zmarł w Gainesville (Floryda) w wieku lat 71 Paweł Mayewski, autor zbioru opowiadań pt. „Rzeka" i powieści „The Journey and the Pity". Opublikował wiele przekładów poezji angielskiej i amerykańskiej na polski (m.in. antologię „Czas niepokoju") oraz powojennej prozy polskiej na angielski („The Broken Mirror"). W latach 1962-69 był redaktorem wydawanego w Nowym Jorku kwartalnika *Tematy*.

26.11.91
We Francji 1.446 Polaków uzyskało w 1991 obywatelstwo francuskie. Jest to o 141 osób mniej niż w 1990 r. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu odbyła się prezentacja telewizyjnego magazynu „Paris — Warszawa". Program ten będzie się ukazywał raz w miesiącu w kanale 7 telewizji francuskiej we współpracy z telewizją polską. Redaktorami programu są: Andrzej Wolski, Krzysztof Rutkowski, Hervé Lahize. 28 listopada 1991 w tymże Instytucie odbył się wieczór poetycki Leszka Szarugi. Poematy w języku francuskim i polskim były czytane przez autora i przez p. Jadwigę Korzeniewską. Wprowadzenie wygłosili Maria Rodowicz i Maciej Niemiec.

29.11.91
W ośrodku naukowym Polskiej Akademii Nauk w Paryżu odbył się wieczór

dyskusyjny pod przewodnictwem dyrektora ośrodka, Jerzego Borejszy, na temat „Instytut Żydowski w Warszawie i jego stosunki z organizacjami francuskimi" z udziałem Daniela Grinberga, dyrektora Instytutu Żydowskiego w Warszawie i Daniela Tollet, dyrektora ośrodka Studiów Żydowskich na uniwersytecie Paris Sorbonne. 5 grudnia 91 r. odbyła się dyskusja pod przewodnictwem Jacqueline Bonnamour, profesora na uniwersytecie Paris I, z udziałem prof. Marcina Rościszewskiego z Instytutu Geograficznego PAN w Warszawie na temat „Geografia polityczna Polski współczesnej", zaś Ryszard Stemplowski, minister i szef Kancelarii Sejmu R.P., mówił na temat „Polski Parlament 1989-1991" (prelekcja w języku angielskim), a Hubert Izdebski, profesor UW, na temat „Ostatnie wybory w Polsce".

6.12.91
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się zebranie zorganizowane przez Towarzystwo Polsko-Ukraińskie, na którym Aleksander Flipczenko, minister pełnomocny i stały delegat Ukrainy w UNESCO, mówił o sytuacji na Ukrainie w chwili obecnej. Następnie Olivier Bragoni, przewodniczący Stowarzyszenia Francusko-Białoruskiego, mówił o więzach między Francją a Białorusią.

8.12.91
W Londynie odbyło się ostatnie posiedzenie Rady Narodowej, na które przybyło z kraju wielu dygnitarzy. Przywieźli oni listy od prezydenta Wałęsy oraz marszałków Sejmu i Senatu. *Dziennik Polski* podał *in extenso* list prezydenta Wałęsy, odkładając na później zamieszczenie sprawozdania z tego posiedzenia. Nie możemy więc podać szczegółów posiedzenia w tym numerze. Uważamy za nieprzyzwoity tego rodzaju stosunek *Dziennika Polskiego* do najważniejszego wydarzenia w życiu emigracji londyńskiej.

9.12.91
W Bibliotece Polskiej w Paryżu, staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miał miejsce odczyt prof. Romana Dudy, wiceministra Edukacji Narodowej R.P., pt. „Sytuacja oświaty w Polsce".

11.12.91
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się kolokwium zorganizowane przez Ośrodek Cywilizacji Polskiej na Sorbonie wraz z Towarzystwem Historyczno-Literackim na temat „Polskie środowisko literackie w Paryżu wrzesień 1939 — czerwiec 1940". Tadeusz Wyrwa wygłosił referat na temat „Wizja niepodległej Polski w prasie emigracyjnej we Francji 1939-1940 r.", Jadwiga Czachowska mówiła o „Polsce walczącej (Coëtquidan - Paryż)", a Jan Winczakiewicz mówił na temat „*Wiadomości polskie* w Paryżu".

17.12.91
W Domu Kombatanta w Paryżu prof. Eugeniusz Zaleski wygłosił odczyt pt. „Polski program gospodarczy". Prof. Zaleski jest redaktorem naczelnym pisma *Revue d'Etudes Comparatives Est-Ouest*.

19.12.91
Jury nagrody Fundacji im. Kościelskich w Genewie przyznało za rok 1991 dwie nagrody literackie wysokości 4 tys. franków szwajcarskich każda. Otrzymali je: Andrzej Bart za powieść *Rien ne va plus* oraz Marian Stala za zbiór esejów pt. *Chwile pewności*.

20.12.91
W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Stanisława Stommy pt. „Refleksje nad nową sytuacją w Polsce".

30.12.91
Fundacja Jana Pawła II oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski organizują w dniach 22 czerwca — 22 lipca 1992 r. w Domu Polskim Jana Pawła II, via Cassia 1200 w Rzymie Uniwersytet Letni Kultury Polskiej. Program: historia Polski, myśl religijno-moralna Jana Pawła II, analiza życia społeczno-religijnego polskiego społeczeństwa, społeczno-gospodarcza sytuacja Polski, literatura polska, sztuka polska, polski film i teatr, muzyka polska, polska literatura i sztuka na emigracji, Kościół na emigracji, panorama Polonii świata. Wykłady odbywać się będą w języku polskim i angielskim. Studenci mogą uzyskać 5 punktów (*credits*). Koszt uczestnictwa łącznie z mieszkaniem i wyżywieniem w Domu Polskim oraz wycieczkami wynosi 800 dolarów US (studenci Dol. 650.-), przejazd do Rzymu na koszt uczestnika. Przy zapisie obowiązuje wpłata wysokości 300 dolarów (lub równowartość w innej walucie). Pozostałą część kosztów uczestnicy wpłacają po przyjeździe do Rzymu. Zgłoszenia kierować należy w terminie do 31 marca 1992 r. wraz z czekiem lub M.O. wystawionym na adres: POLSKI INSTYTUT KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ, Via di Porta Angelica 63, I OO193 ROMA — Italie (tel./fax 39 6 686 18 44).

KRONIKA KANADYJSKA

Fundacja im. Adama Mickiewicza jest najstarszą a zarazem najuboższą z polonijnych fundacji. Kapitał jej wynosi zaledwie 278.210 dolarów US a zgodnie ze statutem i państwowymi przepisami może wydatkować wyłącznie dochody z kapitału. W ostatnim roku sprawozdawczym zakończonym w październiku 1991 r. Fundacja ofiarowała na stypendia 17.585 dolarów US, na książki-podręczniki dla szkół polskich 2.987 dolarów i na pomoc dla szkół w Polsce 3.427 dolarów. Ogółem wydano 23.660 dolarów US. ■ Kanada zaostrza politykę imigracyjną, ściślej postanowienia odnośnie uchodźców politycznych. Aplikacje osób znajdujących się w Kanadzie są rozpatrywane, natomiast nie uwzględnia się żadnych zgłoszeń o statut uchodźcy na kontrolnych punktach granicznych. Rząd kanadyjski — podobnie zresztą jak niektóre europejskie — uważa iż postanowienia konwencji genewskiej o uchodźcach wymagają co najmniej zawężenia, gdyż znaczna ilość migrantów opuszcza swoje państwa z różnych powodów — głównie ekonomicznych — a nie politycznych. Aplikacje o status uchodźcy i prośby o azyl polityczny będą skrupulatnie badane. Ministerstwo Imigracji przygotowuje projekt odnośnych zmian ustawy imigracyjnej, które będą rozpatrzone i uchwalone w Parlamencie. ■ Zarząd główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej przedstawił rządowi swoje stanowisko odnośnie dyskutowanych zmian konstytucji. W zwięzłym memoriale KPK zaznacza, iż pragnie zachowania jedności i całości terytorialnej Kanady. Po 124 latach konfederacji, pokojowego i zgodnego współżycia powstał ostry spór między obu grupami językowymi: francuską i angielską, a istnieje także trzecia grupa licząca ponad 1/3 ludności kraju i stanowiąca nieodłączną część państwa. Postulaty Quebecu można i należy wziąć pod uwagę w ramach zmian konstytucji. System federalny pozwala na

uregulowanie i załatwianie wszystkich problemów politycznych, socjalnych i gospodarczych, należy jednak ustanowić podział i rozdział uprawnień i kompetencji między rządem federalnym a rządami prowincjonalnymi. Ustawa konstytucyjna winna uznać dwa oficjalne języki: angielski i francuski, które będą dostępne we wszystkich urzędach i instytucjach państwowych, zasada wielokulturowości ma być uznana, a każda grupa ma prawo zachować swój język i dziedzictwo, prawa tubylców, wszystkich plemion indiańskich winny być chronione i uznane. KPK wypowiada się za zreformowaniem Senatu, powiększeniem liczby senatorów do 120, z tym, iż ilość mandatów przypada prowincjom wg. stanu ludności. Memoriał został złożony w Ottawie 22 listopada 1991 r. ale planowana w związku z tym rozmowa z prem. Malroney nie odbyła się, gdyż był w Paryżu na konferencji państw francuskojęzycznych. Przybył natomiast na spotkanie z reprezentacją Polonii wicepremier i minister finansów Don Mazankowski, który wygłosił obszerne przemówienie prezentując rządowy punkt widzenia na problematykę konstytucyjną i na przyszłość Kanady. Zaznaczył, iż rad jest ze spotkania z przedstawicielami Polonii, wspomniał o swoim polskim pochodzeniu. Spotkanie miało miejsce 22.11.91 r. w czasie obrad Rady Kongresu. Prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Malicki, przedstawiając Radzie główne problemy i zadania zaznaczył, że Kongres jest instytucją reprezentującą Polonię na zewnętrz i rzecznikiem jej spraw, że dba przy tym o interesy narodu polskiego „bo te interesy są reprezentowane przez nas jako obywateli kanadyjskich. Sprzeciwiamy się tworzeniu jakichkolwiek grup, które byłyby moralnie, finansowo i prawnie związane z obcym rządem: w tym wypadku rządem polskim". Prezes Malicki jeszcze raz podkreślił stanowisko KPK wobec Polski, która jest i będzie obiektem najżywszego zainteresowania. Im silniejsza będzie pozycja społeczności polskiej w Kanadzie, tym skuteczniejszy będzie jej udział w życiu publicznym. ■ W wyborach w prowincji Saskatchewan zwycięstwo odniosła Nowa Partia Demokratyczna. Na czele rządu stanął syn ukraińskich imigrantów Romanow a wicepremierem i ministrem finansów jest syn polskich imigrantów Ed Tchorzewski.

Toronto 3.12.1991 r.

B.H.

KRONIKA NORWESKA

14.10.91. Laureatką Pokojowej Nagrody Nobla za 1991 r. została Aung San Suu Czi z Birmy, przywódczyni opozycji birmańskiej. Od dwóch lat przebywa ona w areszcie domowym o bardzo ostrym rygorze. Do nagrody Nobla zgłosił ją prezydent Czechosłowacji, Vaclav Havel. Nagroda spotkała się z pozytywnym odbiorem wszędzie poza Birmą, gdzie potraktowano ją jako mieszanie się w wewnętrzne sprawy kraju. W uzasadnieniu nagrody napisano: „Działalność Suu Czi jest najwartościowszym przykładem cywilnego oporu w Azji w ostatnich dziesięcioleciach". ■ 21.10.91 norweskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych na wniosek kontrwywiadu usunęło ośmiu dyplomatów sowieckich. Podstawą do uznania tych dyplomatów za *persona non grata* są przede wszystkim informacje dostarczone Norwegom przez zbiega sowieckiego, Michaiła Butkowa. Od czasu zakończenia drugiej wojny światowej

określenie *persona non grata* zastosowano w Oslo do 39 dyplomatów sowieckich. ■ 4.11.91 rozpoczęła się kolejna sesja KBWE, po raz pierwszy na terenie Norwegii. Uczestniczyło w niej 39 państw. Tematem zasadniczym były instytucje demokratyczne i umacnianie młodych demokracji. 9-osobowej delegacji polskiej przewodniczył doc. Roman Kuzniar z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Równolegle odbywały się imprezy towarzyszące, w których uczestniczyli m.in. reprezentanci Polaków z Wileńszczyzny i Zaolzia oraz Łużyczanie. ■ 27.11.91. Przebywający w Oslo minister obrony Litwy, Audrius Butkevicius, zwrócił się do władz i organizacji oficerów rezerwy o pomoc w tworzeniu litewskich sił zbrojnych. Okazją do wizyty była konferencja państw nordyckich dotycząca bezpieczeństwa w rejonie Bałtyku. Litewski minister obrony rozmawiał m.in. ze swym norweskim kolegą, Johanem Jorgenem Holstem.

Paweł GAJOWNICZEK

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.
Chicago, IL 60618

tel. (312) 489-2554

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

●

Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czasopisma emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

Listy do Redakcji

18.11.1991

Drogi Panie Redaktorze,

Jestem zaalarmowany artykułem p. Pospieszalskiego („Religijna zimna wojna", *Kultura* 11/530, str. 60). Autor wyrządza krzywdę katolickim Ukraińcom, domaga się bez ogródek, aby papież poświęcił ich na ołtarzu ekumenizmu. Pisze tak, jak gdyby to oni byli winni nieprawdopodobnych wprost gwałtów, mordów i prześladowań. Cytuje np. bez komentarza i bodaj z aprobatą skandaliczne zdanie władyki prawosławnego o „forsownym przejęciu licznych cerkwi w zachodniej Ukrainie". Kryje pod eufemistycznymi słowami i powołaniem na Stalina fakt, że to im właśnie w ciągu mojego życia odebrano siłą wszystkie świątynie, zabroniono przez pół wieku modlić się zwyczajem ich ojców, zakatowano w sowieckich obozach biskupów i księży.

Znałem wielu spośród nich, prawdziwych wyznawców wiary. Sposób w jaki zostali potraktowani przez p. P. oburza mnie. Uważam za sprawę pilną, aby czytelnicy *Kultury* dowiedzieli się prawdy o najnowszych dziejach Katolickiego Kościoła Ukraińskiego. Niestety, ja sam, choć być może wiem o nim więcej niż p. P., nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

Dlatego *zwracam się do ukraińskich katolickich czytelników* Kultury *z prośbą o reakcję na ten artykuł.*

J.M. BOCHEŃSKI

●

Warszawa 6.11.1991

Mit czy rzeczywistość?

Przez ostatnie dwa lata publicyści w Polsce, a szczególnie Redakcja wysokonakładowego dziennika *Gazeta Wyborcza*, wskazywali na antysemityzm, jako na jeden z najpoważniejszych problemów, z którymi boryka się nasz kraj. Zachodnie środki masowego przekazu chętnie podchwytywały ton polskiej publicystyki. W ten sposób nasz kraj postrzegany jest jako światowe centrum „ciemnogrodu" i antysemityzmu.

27-go października 1991 odbyły się w Polsce pierwsze po wojnie wolne wybory. I cóż się okazało? Jedyna partia (Stronnictwo Narodowe), która hasła antysemityzmu i nacjonalizmu uczyniła podstawą swego programu i lansowała je w przedwyborczych transmisjach telewizyjnych, *nie uzyskała ani jednego mandatu*. Przy stosowaniu ordynacji wyborczej faworyzującej małe

partie taki wynik jest fenomenem na skalę europejską. Fenomen ten zdarzył się w Polsce i wypadałoby, aby — podobnie jak poprzednim doniesieniom o antysemityzmie — nadano mu odpowiedni rozgłos.

Wyniki wyborów wydają się świadczyć, że zjawisko antysemityzmu, w przeszłości niewątpliwie zakorzenione w polskiej rzeczywistości, jest teraz problemem marginalnym, swego rodzaju mitem, nie mającym wiele wspólnego z realiami dnia dzisiejszego. Aż dziw, że w dobie rozbudzonych w Europie Centralnej nacjonalizmów, ten prosty wniosek wynikający z wyborczej arytmetyki pozostał całkowicie niezauważony. Czyżby w dalszym ciągu w procesach opiniotwórczych „fakty prasowe" były ważniejsze niż rzeczywistość?

Mając nadzieję, że poruszony w moim liście problem wyda się Panu wartym opublikowania, składam wyrazy uszanowania.

Barbara GROCHULSKA

●

Londyn, 19 listopada 1991

Szanowny Panie Redaktorze,

W moim artykule pt. „Stosunki sowiecko-japońskie" (*Kultura* nr 11/91) zniekształciłem bezwiednie (transliteracja z jap. *katakany* mniej znanych nazwisk nastręcza czasami trudności) nazwisko szefa Wydziału Japonii Instytutu Dalekiego Wschodu w Moskwie — powinno być Konstantin O. Sarkisow (a nie 'Salinkow').

Sądząc z częstych wzmianek o nim i wywiadów w prasie japońskiej, Sarkisow odgrywa (w charakterze specjalnego doradcy) znamienną rolę w poszukiwaniu właściwego rozwiązania „legalistycznego" w sprawie Wysp Kurylskich, a więc byłbym niezmiernie wdzięczny za umieszczenie niniejszego sprostowania w *Kulturze*. Czytelników i redakcję *Kultury* za nieścisłość tę serdecznie przepraszam.

Łączę wyrazy szacunku

J. MONDRY

●

Londyn, 22 listopada 1991 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W moim liście do redakcji (*vide* listopadowa *Kultura*, str. 158) chochlik drukarski włożył w usta Żyda, broniącego się w rosyjskim sądzie przed zarzutem pomagania powstańcom 1863 r., polskie słowo proch. A tymczasem Żyd powiedział:

— Trochu poroch, a trochu mak. Trochu — niet, a trochu — tak.

Pozostaję z szacunkiem

Z.S. SIEMASZKO

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

E.S., Izrael **— Ma pan dar ewokowania niesamowitości, zbyt jednak zagęszczonej i językowo przeładowanej barokiem.**

N.F., USA **— Wybraliśmy jeden wiersz.**

A.P. w Kraju **— Rys biograficzny Konopnickiej w 150-tą rocznicę urodzin nadawałby się raczej do jakiejś gazety codziennej.**

G.L. w Kraju **— Błaha jest pana notka o „Korczaku", film Wajdy zasługuje na szersze omówienie. Z wierszy nie skorzystamy.**

K.B. w Kraju **— Z wierszy nie skorzystamy.**

Z.D. w Kraju; T.S., Kanada **— Z wierszy nie skorzystamy.**

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmieć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie Bankructwo. — Rozpad. — Odrzut organizmu. — Komunizm handlowy. — Kompromitacja praktyki. — Agonia komunizmu* oraz *Posłowie*.

Str. 276.

Cena F. 145,00.

●

TOM 457

POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka opracowała Anna M. Cienciała

Str. 448.

Cena F. 220,00.

Elżbieta i Witold J. Zahorscy, Rzym — w trzecią rocznicę śmierci Męża i Ojca — Witolda Zahorskiego	**F.**	**500,00**
Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 27-my — dol. 1000,00	**F.**	**5.400,00**
Zamiast kwiatów na grób Zofii Kubarowej w USA — rodzina Stauber	**F.**	**300,00**
Zamiast kwiatów na trumnę Przyjaciela, Witolda Knychalskiego (syna Mariana, oficera lotnictwa, zamordowanego w Katyniu), zmarłego we Francji 8 grudnia 1991 r. — Mira i Jurek oraz Maja i Krysia	**F.**	**400,00**
Bezimiennie z Albuquerque, NM (USA), po raz 15-ty — dol. 10,00	**F.**	**54,00**
Bezimiennie z Paryża — pamięci Idy Jurysiowej-Spira, w trzecią rocznicę Jej śmierci	**F.**	**300,00**

●

Jan Zalewski, Chester, W. Bryt. — na pomoc Polakom w Rosji — £ stg. 10,00	**F.**	**100,00**

DZIĘKUJEMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

Kwartalnik pod redakcją Jerzego Giedroycia wydawany od 1962 r. przez INSTYTUT LITERACKI w PARYŻU, przedrukowywany w drugim obiegu, nareszcie ukazuje się oficjalnie w Polsce. Wydawcą edycji krajowej ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH jest WYDAWNICTWO PoMOST, spółka z o.o.

Cena prenumeraty czterech numerów kwartalnika: 93/1990, 94/1990, 95/1991, 96/1991 wynosi zł. 50.000.

Wpłaty należy przekazywać na konto:
Wydawnictwo PoMOST, spółka z o.o.
PBK III O. w Warszawie, nr 370015-973548-136
z zaznaczeniem: prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

NAGRODY „KULTURY" ZA ROK 1991

— *Nagroda Publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego — Tadeusz Wyrwa* ... 193

— *Nagroda Literacka im. Zygmunta Hertza — Włodzimierz Bolecki (Jerzy Malewski)* ... 194

CI, CO ODESZLI

Włodzimierz Sznarbachowski: *Wspominając Kisiela* ... 196

KSIĄŻKI

Michał Heller: *„Memuary" wirują po planecie* ... 199

Ola Hnatiuk: *Trzecia straż Jurija Szewelowa* ... 200

— *Nadesłane nowości wydawnicze* ... 207

WOLNA TRYBUNA

Aleksiej Fryszman: *Dialog i kapitał (odpowiedź Ewie Thompson)* ... 209

•

— *Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki kanadyjska i norweska* ... 213

•

J.M. Bocheński, B. Grochulska, J. Mondry, Z.S. Siemaszko: *Listy do Redakcji* ... 220

— *Odpowiedzi Redakcji* ... 222

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1' trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France
N° d'imprimeur 4656-1991

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1992		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 12,00	$A. 70,00	$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 100,00	Fl h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$can. 12,00	$can. 65,00	$can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köin, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 – 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 10,00	$US 55,00	$US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury" należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu", „Porcja wolności", „Krótkie spięcie", „Płonie komitet".

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: *„Solidarność" przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981–1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983–1984: Policja i opozycja.*

Str. 160. Cena F. 80,00.

●

TOM 470 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

zawiera opracowania: Hanna Świderska: *„Co mamy zrobić z Andersem" (Gen. Anders* w Public Record Office); Jędrzej Tucholski: *Ekshumacja Charków-Miednoje 25.VII.–31.VIII. 1991 r.*; Edmund Nowak: *Obóz Pracy w Łambinowicach 1945-1946*; Z.S. Siemaszko: *Pipsztoki*; Leszek Brzoza: *Piłsudczycy a kryzys prezydencki*; Tadeusz Wyrwa: *Francja w podziemnej prasie polskiej 1940-1944*; Jan J. Lorys: *Walka o użycie w Kraju I. Samodzielnej Brygady Spadochronowej*; Piotr Wandycz: *August Zaleski o polskiej polityce zagranicznej w 1941 r.*; August Zaleski: *Do mego następcy na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych w Londynie*; Zygmunt Pociecha: *System Wronki*; Agata Tuszyńska: *Warszawskie wspomnienia Mikołaja Awenariusa*; Alfred Kolator: *Internowanie na Litwie*; Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. I*; Kazimierz Braun: *Jerzy Braun (1901-1975)*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Michał Heller: *Mołotow, najwierniejszy z wiernych*; Jan Ciechanowski: *W sowieckim osaczeniu* i *Udany autoportret powstańca i emigranta;* Ryszard Löw: *Czytając Borwicza*; Józef Lewandowski: *Jeszcze o Powstaniu Styczniowym* i *Federacja środkowoeuropejska*; Wojciech Roszkowski (Andrzej Albert): *Odpowiedź Grzegorzowi Mazurowi*; Czesław Miłosz: *List do Redaktora „Zeszytów Historycznych"*; Marek Zieliński: *Odwaga staniała*; Tomasz Mianowicz: *Dwa nieznane listy.*

Str. 240. Cena F. 90,00.

I.N. - 93400 Saint-Ouen — 4656-1991

Cena 80 F